EWA PRZYDRYGA

MURSZ

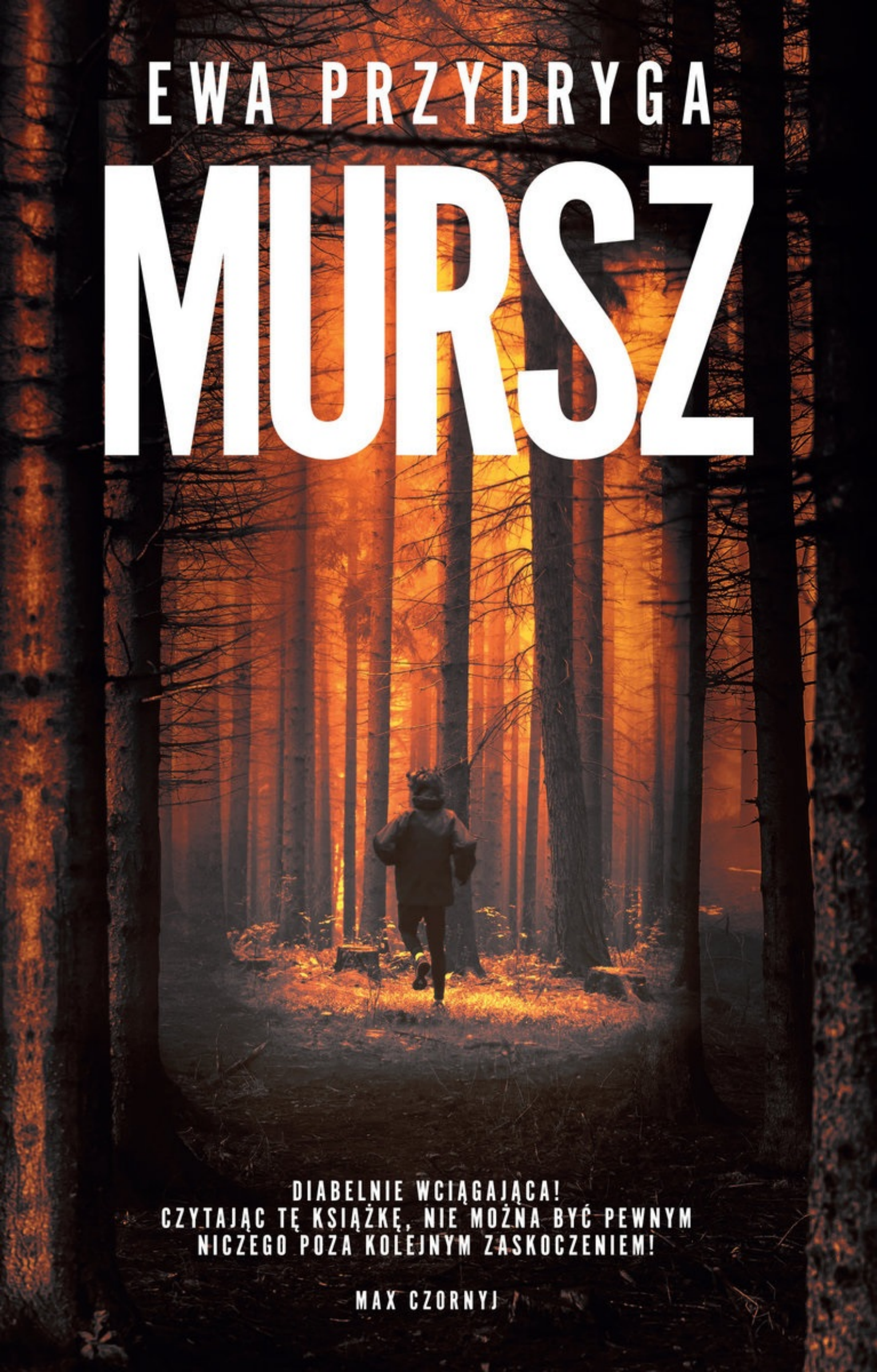

DIABELNIE WCIĄGAJĄCA!
CZYTAJĄC TĘ KSIĄŻKĘ, NIE MOŻNA BYĆ PEWNYM
NICZEGO POZA KOLEJNYM ZASKOCZENIEM!

MAX CZORNYJ

EWA PRZYDRYGA

MURSZ

MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Duchny Las obejmie cię konarami swoich drzew i ukaże nowe oblicze strachu. Powiew wiatru, padający cień, czy pękająca gałąź to jego scenerie. Na każdej ścieżce będą ci towarzyszyć niepokój i lęk, za którymi będzie kroczyć przejmująca refleksja. Ewa Przydryga z każdego miejsca jest w stanie uczynić mroczną arenę, na której występują przyodziane w emocje ludzkie tajemnice. Nie potrzebuje do tego krwi i brutalności. Jej siłą są klimat, ciągłe napięcie i bezgraniczne zaufanie do wyobraźni swoich czytelników.

Bartosz Soczówka @bliskiespotkania

Oto historia osnuta wokół tajemniczych morderstw, której oś stanowi mroczny, kaszubski las. A w lesie tym czai się ZŁO. Duszna, niezwykle klimatyczna i fascynująca powieść! Ewa Przydryga powraca w najlepszym stylu. Uzależnia, przyprawia o gęsią skórkę, przeraża do skraju wytrzymałości. Trzyma kurczowo za gardło i nie puszcza do samego końca. A finał? O nieświadomy niczego Czytelniku! - finał wgniata w wygodny fotel. Czapki z głów! Tak się pisze thrillery!

Małgorzata Tinc, ladymargot.pl

Wchodzisz tu na własną odpowiedzialność. Ten mroczny spowity mgłą las kryje wiele tajemnic. Czy to, co widzisz, jest prawdą? A może koszmarnym snem? Daj się pochłonąć tej nieprzewidywalnej i pełnej emocji powieści. Nie będziesz żałować.

Natalia Miśkowiec @prostymislowami

Topieliska wciągnęły czytelnika prosto w swoje otchłanie, a *Mursz* trzyma go, pochłania i nie chce wypuścić ze swoich szponów. Ewa Przydryga po mistrzowsku meandruje po bagiennych odmętach ludzkiej psychiki, umiejętnie odwraca naszą uwagę, żongluje emocjami czytelnika. Co jest prawdą, a co wykwitem chorego umysłu? Komu możemy zaufać? *Mursz* to thriller psychologiczny najwyższej klasy - nie sposób się od niego oderwać.

Olga Kowalska, WielkiBuk.com

Mursz jest wyjątkowo tajemniczym i mrocznym thrillerem, w którym nie brakuje nawiązań do rzeczywistych miejsc i legend o nich opowiadanych. Ma niesamowity klimat, który nie pozwala nawet na

moment odpocząć od tej historii. A Przydryga kolejny raz udowadnia, że jest prawdziwą wirtuozką gry na emocjach czytelników.

Paula Sieczko @ruderecenzuje

Niebezpiecznie wciągająca, zachwycająca zniewalającym klimatem i naznaczona mrocznymi tajemnicami z przeszłości. Jedna z najlepszych powieści jakie przeczytałam w tym roku. Pochłonie Was bez reszty!

Gabriela Setla, @gabriela_setla

Las, który Ewa Przydryga okryła tajemnicą, daje czytelnikowi pewność, że nigdy, ani na chwilę, nie chciałby się tam znaleźć. Śmierć młodej kobiety doprowadzi do tego, że tajemnice, jedna po drugiej, zaczną powoli wypływać na powierzchnię. A wtedy możemy spodziewać się najgorszego. Czy jesteście gotowi odkryć przerażającą prawdę? Niepokojący i duszny klimat sprawi, że z obawą będziecie wyczekiwać finału tej historii. Polecam!

Joanna Cwiertka, @panda_zksiazka_

Ewa Przydryga to cesarzowa polskich thrillerów! Autorka w swojej nowej powieści stworzyła gęstą i duszną atmosferę, która osiada na czytelniku, powodując szybsze bicie serca! Wyraziści bohaterowie, mroczny klimat i Duchny Las, który skrywa przerażające tajemnice, są kwintesencją tego thrillera. *Mursz* to kunszt literacki, który z dziką fascynacją będą odkrywać tej jesieni fani gatunku i nie tylko! Gorąco polecam!

Barbara Śniechota @_my_world_book_

Ciarki. Na skórze. Pod skórą. Dogłębnie przenikające nerwy. Przydryga przelała na karty papieru historię utkaną z ludzkich dramatów i demonów przeszłości, która od pierwszej strony pochłania swoją posępną aurą. A ja? Ja wciąż czuję przenikający zapach murszu. I długo go nie zapomnę.

Weronika Trzęsień @ver.reads

Pajęcza sieć powiązań, labirynt z niewiadomymi na każdym zakręcie i opadająca, klimatyczna mgła, która przyprawi o dreszcze! Kolejna historia spod pióra Ewy Przydrygi, ukazująca mrok w najczystszej postaci. Czy odważysz się przewrócić kolejną stronicę książki, by szukać odpowiedzi?

Aleksandra Sobolak @livremacabre

Genialny thriller! Ma wszystko na swoim miejscu - zaczynając od fabuły, która została nafaszerowana zagadkami, szalonymi zwrotami akcji, poprzez perfekcyjnie wykreowanych bohaterów, którzy są istnym skarbem tej powieści, na nieprzewidywalnym rozwiązaniu tajemnicy kończąc. Wszystko w niezwalniającym tempie, co tworzy idealną atmosferę mistrzowsko zbudowanego thrillera.

Aneta Marciniak @amatorka_ksiazek

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
Projekt okładki: *Tomasz Majewski* Redakcja: *Małgorzata Burakiewicz*
Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*
Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*
Korekta: *Lilianna Mieszczańska*
Zdjęcie wykorzystane na okładce:
© by Jakub Kriz on Unsplash
© by Filip Zrnzević on Unsplash
© by Ewa Przydryga
© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2021
ISBN 978-83-287-1681-0
Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA
Wydanie I Warszawa 2021

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku JamaNiamy

Mojej kuzynce Kasi

Kiedy muszę się odtworzyć,
szukam najciemniejszego lasu,
najgęstszego i nieprzeniknionego bagna: oto siła,
kwintesencja Natury... ogromna, dzika,
okropna matka nas wszystkich, Natura.
HENRY DAVID THOREAU

O, groźna, groźna nocy!
Niech nad puszczą uśpioną –
Gdy ja zamykam oczy –
Twoje gwiazdy zapłoną.
WILLIAM BLAKE, *Wróżby niewinności*
(tłum. Zygmunt Kubiak)

PROLOG

lipiec 2020

Odpowiednio dobrana terapia podobno potrafi zdziałać cuda, w Srebrzysku skutecznie leczone są nawet beznadziejne przypadki. Przynajmniej tak mówią statystyki. Ale ze mną było inaczej. Dedykowana terapia sukcesywnie oddalała mnie od życia, które toczyło się na zewnątrz. A może to ja niespecjalnie chciałam tam wracać? Nie miałam przecież do kogo, więc w ogóle się nie starałam. Jakkolwiek bym próbowała, rzucenie się w wir pracy nie wypełni pustki po stracie Kuby i Jasia. Strata dwojga moich najbliższych. Tu powinnam postawić kropkę. Ale poza moim mężem i synem była przecież jeszcze Ida. Ją także straciłam. W zasadzie powinnam akurat to rozstanie wziąć za dobrą monetę, za znak gojących się po latach ran, ale wciąż nie potrafię na to spojrzeć trzeźwo i krytycznie. A już na pewno nie potrafię udawać, że brak jej obecności w moim życiu jest oznaką powrotu do zdrowia.

Tygodniami przyzwyczajałam się do powtarzalnych dźwięków, do powracających zapachów i do gładkich faktur otaczających mnie przedmiotów. O tak, wszystko jest tu cholernie gładkie i lśniące, pozbawione kantów i chropowatości. Jakby wyłącznie to one miały decydować, czy chory znów runie w przepaść, czy jednak utrzyma się na powierzchni, by potem wyczołgać się na brzeg. Brzeg - to tutaj słowo klucz. Jeśli do niego nie dobijesz, nie wypuszczą cię na zewnątrz. Proste. I ja nauczyłam się więc tej wygodnej gładkości, przystosowałam do

nieskomplikowanych bodźców, do kolejno odhaczanych zadań, do tej marnej imitacji życia. W moją codzienność wpisał się stukot butów pielęgniarek na korytarzu, gorzki posmak pigułek, twarze zmieniających się pacjentów. W gruncie rzeczy ci ostatni byli jedyną namiastką normalności, a także łącznikiem ze światem zewnętrznym, nośnikiem przynoszonych stamtąd historii. Pozwalałam, aby codzienna rutyna wypełniała upływające dni. Liczyłam je wszystkie razem i każdy z osobna, choć byłam bierna i uległa, aż do momentu, w którym i we mnie coś drgnęło. Nie wiem, czy to odpowiednio dobrane leki, czy terapia behawioralna, czy po prostu moja własna wewnętrzna wola przetrwania, która w końcu zaczęła wołać o uwagę. A może każde z nich po trochu? Jakkolwiek faktycznie było, Ida w końcu ucichła, a ja zapragnęłam wrócić do życia, choćby tego w odcieniach szarości. Miałam nadzieję zmienić kiedyś tę szarość na jaśniejsze kolory. Wiedziałam, że nigdy nie będzie tak jak wcześniej. Nikt nie rozpoczyna tak po prostu nowego rozdziału życia, udając, że poprzedniego nie było. Ale tak, wolałam to nieznane niż wegetację za kratami psychiatryka. I co najważniejsze, potrafiłam już odróżnić wegetację od woli walki. A wcześniej nawet i one zlewały mi się w jedno.

- Pani Szulc? - Zza moich pleców dobiega energiczny kobiecy głos. Podnoszę się z krzesła i obracam w stronę, z której dochodzi. W wyciągniętej dłoni młoda pielęgniarka trzyma niewielkie tekturowe pudełko i zadrukowaną oraz opieczętowaną kartkę. - Proszę tutaj podpisać - mówi, wręczając mi dokument.

Odbieram od niej obie rzeczy, kładę je na okrągłym stoliku. W pudełku pobrzękuje kilka przedmiotów. Nie muszę zaglądać do środka, by wiedzieć, co się tam znajduje. Sekretnik, obrączka, dowód osobisty, klucze, telefon. Wszystko to zarekwirowano mi podczas przyjęcia na oddział i umieszczono w depozycie. Składam podpis, tylko pobieżnie przeczytawszy dokument. Nie chcę przeciągać tej chwili ani o minutę dłużej. Niemal czuję na sobie wilgoć parnego powietrza, która wślizguje się przez uchylone okno. Chcę już je chłonąć. Chcę być po drugiej stronie krat.

- Czy ktoś panią odbierze? - pyta pielęgniarka. Jej głos jest przyjazny, ciepły.

Kiwam na potwierdzenie głową.

- Wuj mojego męża. Pewnie już czeka na zewnątrz - odpowiadam i zerkam z nadzieją przez okno. Ale z miejsca, w którym stoję, nie widać ulicy.

- Powodzenia! - mówi Joanna, bo tak pielęgniarka ma na imię, i nachyla się nade mną. Rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. Kładzie rękę na moim ramieniu. Biorę to za gest cichego przymierza. Za składaną jej w ten sposób w milczeniu obietnicę, że już tutaj nie wrócę. Wsuwam do torby pudełko i dokument. Kątem oka zerkam też na jej oddalającą się sylwetkę.

- Zrób tam, na mieście, hałas. Za nas obie. - Z przeciwnej strony korytarza dobiega inny głos. Odwracam się, ale oślepiona słońcem przesłaniam dłonią oczy. W tej padającej przez okno poświacie widzę tylko drobną postać nastolatki. Dobrze wiem, że to zmyłka; znam ten głos, więc wiem, że to młoda kobieta. Po chwili wyłania się zza szeregu plastikowych krzeseł i staje przede mną. Czerwony T-shirt z Betty Boop i różowe szorty z poszarpanymi kolorowymi naszywkami odejmują jej lat. Wygląda najwyżej na trzynaście, w rzeczywistości ma ich o dziesięć więcej. Mówiąc o namiastce normalności i o twarzach, które pozwalały mi tutaj przetrwać, miałam na myśli też ją. Kasandrę. W tych dziwnych okolicznościach zbudowałyśmy więź wzajemnego zrozumienia.

- Niedługo zrobisz to sama - odpowiadam. Kiedy stajemy naprzeciwko siebie, padamy sobie w ramiona, po raz drugi dzisiaj. Żegnałyśmy się już kilkadziesiąt minut temu.

Pod palcami na skórze Kas wciąż wyczuwam wgłębienia i chropowatości, tak niepożądane i piętnowane tutaj. Na szczęście jest ich już znacznie mniej. Są bledsze i płytsze niż kilka miesięcy temu.

- Obiecaj mi jedno - mówię, zaciskając dłonie na jej drobnych ramionach. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest bardzo krucha i delikatna. Mimo postępów w terapii i dobrych rokowań to jedno się w niej nie zmieniło. Zupełnie jakby zapadnięte ramiona wciąż dźwigały ciężar jej dotychczasowych przeżyć.

- Obiecywałyśmy sobie już setki rzeczy. - Kas wybucha śmiechem, ale przygląda mi się czujnie. - Jest coś jeszcze, co powinnam dorzucić do tej listy?

U nasady jej sięgających brody tlenionych blond włosów widać niewielki odrost. W oczach Kasandry jak zwykle dostrzegam coś, co kojarzy mi się z przestraszonym dzieckiem.

- Obiecaj mi, że nie będziesz potrzebowała żadnych zapewnień, ile jesteś warta. Od nikogo! - mówię i przesuwam palcem po delikatnej skórze jej ramion.

Kiedy Kasandra tu trafiła, pod jej bluzą, spodniami, nawet pod bielizną kryły się zdania naniesione permanentnym markerem. Kontur niektórych słów poprawiony był igłą albo żyletką. Może scyzorykiem. Nie wiem tego na pewno, do żadnego z tych narzędzi Kas nie chciała mi się przyznać. Sama też nie potrafiłam tego ocenić, bo wyryte w skórze słowa zdążyły pokryć się bliznami.

Jestem wystarczająca. Uda mi się. Szanuj mnie. Fighterka.

Przekreślone dwukrotnie Szmata.

Przekreślone dwukrotnie Wywłoka.

Przekreślone trzykrotnie Luzerka.

To tylko kilka słów z kilkudziesięciu innych im podobnych. Kasandra wydziarała je sobie sama. Nie tylko dziary, czyli potężne kompleksy i niska samoocena, przywiodły ją do Srebrzyska. Rok temu na zlocie zorganizowanym przez Larę Gaj, mistrzynię urbexu i youtuberkę, dla której Kas wtedy pracowała, doszło do tragedii. Lara została zamordowana. Bezpośrednią przyczyną śmierci dziewczyny było utonięcie poprzedzone brutalnym podduszaniem, najprawdopodobniej z użyciem cienkiej, ale ostrej żyłki lub struny. Jej porzucone w strumieniu zwłoki znalazła Kasandra. Do zdarzenia doszło w nocy podczas gry terenowej, czyli jednego z zadań wieńczących tamten zlot. Przez ostatni rok mnożyły się spekulacje, kto był zabójcą dziewczyny. Typowano kilkoro uczestników zlotu. Brano pod uwagę również to, że śmierć Lary mogła mieć związek z rytualnym mordem. Chodziło o to konkretne miejsce, o niechlubną historię Murszu, czyli o niewielki obszar na terenie Duchnego Lasu, gdzie odbył się zlot. W czasie drugiej wojny światowej ten las był świadkiem masowego mordu, więc teraz wielu okolicznych mieszkańców uważało go za miejsce złowrogie. A nawet potępione. Dla przyjezdnych był jednak tylko kuszącą atrakcją turystyczną.

Potencjalnego zabójcy szukano wśród młodych recydywistów, członków grupy satanistycznej. Podejrzenie padło też na mieszkającego na obrzeżach lasu pszczelarza, który miał podobno na pieńku z youtuberką. Na policyjnym celowniku była też Kas, to ona przecież znalazła Larę. Każdy z tych tropów okazał się fałszywy, a przynajmniej policja nie zebrała dotychczas wystarczających dowodów, by postawić komukolwiek zarzuty. Śledztwo wciąż było w toku, a zabójca pozostawał na wolności.

Mniej więcej tyle dowiedziałam się od Kasandry, która niechętnie dzieliła się ze mną szczegółami. Ale to było przecież zrozumiałe, z taką

traumą trudno się oswoić, szczególnie dziewczynie, która już wcześniej zmagała się z wieloma problemami. Pamiętam też medialne wzmianki o krwawym finale tamtego zlotu. Trójmiasto żyło sprawą zamordowanej Lary przez miesiąc, najwyżej dwa, dopóki nie przyćmiły jej inne, bieżące zdarzenia.

- A co, jeśli nas do końca nie naprawili? - wypala niespodziewanie Kasandra. Wzrok zawiesza na oknie, na kosie trzymającym w dziobie jakąś zdobycz.

- Co masz na myśli? - pytam.

Kasandra, nie odrywając wzroku od ptaka, podchodzi do parapetu i na nim siada.

- Stawiają diagnozy tylko na podstawie tego, co my im z siebie dajemy. Owszem, to niby eksperci, wiedzą, jak interpretować nasze zachowania i słowa. To, co mówimy, albo nawet to, co próbujemy przemilczeć. Ale może się zdarzyć, że nie dotarli do źródła, bo ich do niego nie dopuściłyśmy. Nie znają przecież wszystkich haseł. Nie mają do nas wszystkich kluczy. To byłoby zbyt proste... - dodaje enigmatycznie.

Podchodzę do parapetu, siadam naprzeciwko Kas i w ten sposób wymuszam, by na mnie spojrzała. Ale ona wciąż wpatruje się w ptaka, który łapczywie połyka owada.

- Hej, coś cię dręczy? - pytam, trącając ją w ramię.

- Powiedzmy, że pytam czysto hipotetycznie. - Kasandra odrywa wzrok od kosa i spogląda na mnie. Ale jej spojrzenie jest inne niż dotychczas, jakieś odległe. Po chwili, kiedy oczy Kas zupełnie zachodzą mgłą, wydaje mi się, że całkowicie tracę z nią kontakt.

- Wychodzisz stąd za dwa tygodnie. Jeśli czujesz, że z czymś sobie nadal nie radzisz, to ostatni moment, by o tym opowiedzieć. Szczerze. Czy tak jest?

- Czy tak jest, ale co? - odburkuje wciąż zamyślona. Wydaje mi się, że nie zrozumiała sensu moich słów. Albo zwyczajnie gra na zwłokę.

- Duszenie w sobie tego syfu, który nas tu sprowadził, to nie jest dobry sposób na powrót do normalności. To droga do autodestrukcji. Sama wiem o tym najlepiej. Pytam serio. Czy faktycznie z czymś jeszcze sobie nie radzisz? Coś cię męczy? - dodaję łagodniej, bardziej zachęcająco.

Na usta Kas wpełza blady uśmiech.

- Tak jak mówisz, wychodzę stąd za dwa tygodnie. Tu było bezpiecznie, a tam, na zewnątrz, będę musiała wziąć sprawy we własne ręce. Będę zdana

sama na siebie. Tylko to, nic więcej. Zwykły stres i lęk przed nieznanym. Tyle. - Wzrusza ramionami, a potem krzyżuje ręce na piersiach.

- Masz mnie - zapewniam ją.

Kas kiwa głową, ale bez przekonania.

- Pamiętasz, o czym rozmawiałyśmy? - pyta.

- Rozmawiałyśmy o wielu rzeczach...

- Zmierzyć się z nowym oznacza zabić stare. Ty i ja. Obie jesteśmy tego częścią, częścią tego starego. Może jeszcze nie teraz, ale to stanie się za moment. Ty zostawisz stare za sobą, jak tylko przekroczysz próg tej przeklętej budy. - Kas obrzuca wnętrze szpitalnego korytarza niechętnym spojrzeniem. - Ja też zrobię to już niedługo. A potem, dla każdej z nas z osobna, nastanie czas próby.

„Czas próby" i „zmierzenie się z nowym" to nie są autorskie myśli Kas. To formułki, którymi nasiąkałyśmy podczas terapii integralnej, a dokładniej naszych licznych sesji grupowych.

- Okej, ale umówiłyśmy się też, że nie zrywamy ze sobą kontaktu - przypominam.

- No tak, ale na naszych własnych staroświeckich zasadach. - Kas wybucha śmiechem. Nieobecna dziewczyna, która była w niej jeszcze przed chwilą, nagle gdzieś znikła.

- Czyli podsumujmy, tak dla jasności - mówię i odchrząkuję. - Jeśli poczujesz, że chcesz o czymś pogadać, wrzucisz list do mnie do skrzynki pocztowej. Ja zrobię to samo. Jak będzie kurewsko źle, pisz! Jeśli wydarzy się coś dobrego, pisz! *Deal?*

- *Deal!*

Zerkam na wiszący nad wejściem zegar. Obie wskazówki ustawiły się na dwunastce.

- Muszę już iść. Wuj Kuby pewnie na mnie czeka. - Zarzucam torbę na ramię.

W drodze do wyjścia odwracam się jeszcze dwukrotnie. Za pierwszym razem Kas siedzi w dokładnie tej samej pozycji, w jakiej ją zostawiłam - skulona, oparta o wnękę parapetu. Za drugim już jej nie ma.

Kiedy wychodzę przed bramę szpitala, powietrze pachnie wszystkim tym, co było dla mnie dotychczas zakazane. Wszystkim tym, co stało mi się już niemal obce, o czym prawie zapomniałam. Zaciągam się nim łapczywie. Wyczuwam woń ziół z pobliskiego przydomowego ogródka. Zza otwartych

drzwi dostawczego vana wydobywa się aromat świeżo upieczonych drożdżówek. Smród spalin, cholera, nawet za tym się stęskniłam. Nagle wyrasta przede mną Paweł Sikora, wuj Kuby. Wygląda inaczej niż kilka miesięcy temu, bardziej elegancko. Ma na sobie uprasowaną białą koszulę i pachnie dobrą wodą kolońską. Jest lekko speszony, jakby nie wiedział, jak się zachować, co powiedzieć. I ja czuję się podobnie.

- Chodź, jedziemy do domu - mówi po chwili i odbiera ode mnie torbę. Jego głos jest kojący. - Już najwyższy czas - dodaje i bierze mnie pod ramię, a ja pozwalam mu się prowadzić do zaparkowanego opodal samochodu. Tak wygląda bliskość i troska, ta prawdziwa. Ta, która nie jest tylko służbowym obowiązkiem. Jej też byłam spragniona.

POLA

cztery tygodnie później

sierpień 2020

- Może pomóc? - W głosie dobiegającym znad ławki słyszę drwinę. Zamiast chęci pomocy wyczuwam w nim wycelowaną we mnie agresję.

Przenoszę wzrok z bawiących się w piaskownicy dzieci na stojącą nade mną wysoką blondynę w luźnym T-shircie z brokatową wszywką. Kobieta ma około trzydziestki, a na twarzy wyraz permanentnego wkurwienia. Zupełnie jakby jej mimika i drobne zmarszczki zastygły jakiś czas temu w chwili wielkiej frustracji i tak już zostały. Przez ramię przewieszoną ma połyskującą torbę wypełnioną akcesoriami dla niemowląt. Kobieta kołysze wózek, by uspokoić kwilące w nim maleńkie dziecko.

- Słucham?

- To ja się pytam, o co kaman?! - prycha. - Siedzi tu pani i wgapia się w dzieci już któryś dzień z rzędu. Jak jakiś zbok albo może powinnam powiedzieć... wariatka!? - warczy i rozgląda się wokół, jakby szukała gdzieś aprobaty.

- Chyba nie muszę się pani tłumaczyć z tego, dlaczego siedzę na ławce - odpowiadam, siląc się, by zachować spokój.

- Nie na jakiejś ławce, tylko na placu zabaw. Nie widzę tu żadnego dzieciaka. - Ostentacyjnie rozgląda się wokół. - To znaczy, żaden z tobą nie przyszedł!

- Z torby wyciąga pluszowego szumisia, uruchamia go i kładzie przy twarzyczce płaczącego dziecka. Ale ono wcale się nie uspokaja. Wręcz

przeciwnie. Płacze jeszcze głośniej.

- Może, zamiast przyglądać się mnie, lepiej zajmie się pani swoim dzieckiem. - Wskazuję na niemowlę. - Płacze. Pewnie przeszkadza mu ten wrzask i to, że właśnie robi tu pani scenę.

Kąciki ust blondyny drgają, na policzkach wykwitają czerwone plamy wzburzenia. Wydaje mi się, że kobieta jest na granicy wybuchu.

- Dobra, nie działa po grzeczności, to zrobimy inaczej. - Puszcza wózek, blokuje jego koła, po czym kładzie ręce na biodrach. - Lepiej się stąd wynoś, bo...

- Ucina, a po chwili wyrzuca z siebie z jeszcze większą agresją, wściekle gestykulując: - My wiemy!

Rozglądam się dookoła, mój wzrok prześlizguje się po siedzących na pozostałych ławkach mamach i babciach. Zerkam też na tych, którzy bawią się z dziećmi na placu zabaw. Większość ich spojrzeń faktycznie wycelowanych jest w nas. Nie wiem, czy chodzi im o mnie, o to, że wiedzą, kim jestem, czy jednak to ta rozhisteryzowana baba zwróciła ich uwagę. Przyglądam się twarzom kobiet dokładniej. Czuję na sobie przynajmniej kilka potępiających spojrzeń, więc spuszczam wzrok. Wypowiedziane z nienawiścią „wiemy" wciąż dudni mi w głowie niczym upiorne echo.

Przełykam ślinę, ale nie ruszam się z miejsca.

- A w ogóle to kiedy przeszłyśmy na ty? - pytam, podnosząc wzrok. Zauważam wtedy, że zza pleców blondyny wyłania się Wanda Wośkowiak, moja sąsiadka. Trzyma za rękę swojego kilkuletniego wnuka.

- W porządku. To moja znajoma. - Wanda zwraca się do blondyny. - Pola, porozmawiamy? - Kiwa porozumiewawczo głową i wskazuje ręką na uchyloną furtkę. Blondyna przez chwilę się waha, ale w końcu robi krok do tyłu.

- Znasz ją, to zrób z tym jakiś porządek! - odburkuje, odblokowuje wózek i oddala się od nas wraz z płaczącym niemowlęciem.

Po placu zabaw rozchodzą się głosy komentujących scysję ludzi. Nie wyławiam z nich żadnych słów, chcę tylko, by zlewały się w szum. Nic więcej.

- Ja po prostu tutaj z nim przychodziłam - mówię, kierując się w stronę wyjścia. Przyspieszam. - Mam tu swoje wspomnienia - zwracam się do Wandy wyjaśniająco. Na nadgarstkach mojej sąsiadki pobrzękują krzykliwe bransolety, kryształ osadzony w jej złotym medalionie iskrzy w słońcu.

- I właśnie dlatego pojawianie się w tym miejscu jest jak wbijanie kija w mrowisko. One tego nie rozumieją.

- One, czyli kto?

- Te kobiety - oznajmia Wanda. - Przecież doskonale cię kojarzą - dodaje konspiracyjnym szeptem.

- I co z tego? - Tuż za furtką zatrzymuję się na chodniku, przed przejściem dla pieszych. Ale Wanda gestem dłoni sygnalizuje mi, że światło zmieniło się na zielone. Przechodzimy przez pasy.

- Jesteś dla nich, hmm... Nie wiem nawet, jak to ująć - mówi i przygryza dolną wargę.

- Zagrożeniem? To chciałaś powiedzieć?

Wanda wzdycha i kątem oka spogląda na wnuka umazanego jakąś błotną breją, którą przyrządził pewnie na placu zabaw. Mały pakuje sobie do ust lizaka.

- Wiesz, jacy są ludzie. - W oczach sąsiadki dostrzegam nieprzyjemny błysk. - Nie zrozum mnie źle. Tu nie chodzi, broń Boże, o mnie i o moje obawy - zarzeka się. - Ale inni boją się intruzów na swoim własnym podwórku. A boją się ich szczególnie wtedy, kiedy chodzi o bezpieczeństwo ich dzieci.

- Intruzów?! Mówisz tak, jakbym faktycznie chciała zrobić komukolwiek krzywdę. A przecież nigdy nic takiego nie miało miejsca.

Wanda milczy. Poprawia wnukowi zsuwającą mu się z głowy bejsbolówkę.

- Wyszłaś ze szpitala niedawno, prawda? - pyta ostrożnie, z fałszywą kurtuazją.

- A co to ma do rzeczy? - pytam i ściągam brwi.

Kolejne ciężkie westchnienie.

- Wieści rozchodzą się szybko. Gdańsk to wbrew pozorom nie taka znów metropolia. A Olszynka to już w ogóle bardzo kameralna dzielnica. Większość z tych kobiet wie przecież, że przychodziłaś tu wcześniej z... - bierze głęboki wdech, powoli wypuszcza powietrze z ust - ...z tym chłopcem.

- Czyli co mam zrobić? Mam się stąd wynieść? Zniknąć?

- Na razie dla własnego dobra po prostu unikaj takich miejsc - kwituje i uśmiecha się kwaśno. - My wchodzimy tutaj - dodaje i wskazuje na salon fryzjerski mieszczący się między Żabką a pralnią. - Trzymaj się, skarbie! -

wykrzykuje, po czym znika wraz z wnukiem we wnętrzu niewielkiego zakładu.

Przez ostatnie cztery tygodnie, poza spacerami do miejsc, które przywoływały choć skrawki tych dobrych wspomnień, zatraciłam się w wirze pracy. Byle nie siedzieć w domu. To miejsce, teraz tak okrutnie ciche i puste, przywoływało zbyt wiele trudnych chwil. Rozważam sprzedaż, zresztą nabieram coraz większego przekonania, że w mojej sytuacji to jedyna słuszna decyzja. By opóźnić powrót, po raz kolejny dziś zaglądam do mieszczącej się przy ulicy Świętojańskiej kwiaciarni. To kwiaciarnia matka. Jest pierwszą, którą otworzyłam, dlatego mam do niej szczególny sentyment. Tutaj prowadzę zajęcia z ikebany, tutaj mieści się niewielka palmiarnia z rzadkimi tropikalnymi roślinami. Ale dziś nie mam już tam wiele do zrobienia, więc po kilku kwadransach papierkowej roboty wracam do domu.

Sięgam do skrzynki pocztowej z tym samym co zwykle lękiem. Jego źródłem jest wisząca mi nad głową wizja rozprawy sądowej. Wezwanie może nadejść w każdej chwili. Pospiesznie przetasowuję więc niewielki plik kopert, ale, ku mojej uldze, nie znajduję pośród nich żółtego kartonika z sądowym awizo. Postawiono mi dwa zarzuty - o współudział w porwaniu i o znieważenie zwłok. Mój adwokat zakłada optymistyczny scenariusz. Moja niepoczytalność w tamtym okresie może spowodować wyłączenie winy. A to znaczy, że jeśli biegli sądowi i lekarze psychiatrzy uznają, że moja świadomość faktycznie była wtedy zaburzona, to z dużym prawdopodobieństwem nie zostanę skazana na więzienie. Co dalej, co zamiast tego? Nie wiem. Sama wizja przechodzenia przez piekło tamtych zdarzeń raz jeszcze i oczekiwanie na wyrok są jak ciągnący mnie na dno balast.

Przechodzę przez ganek, wkładam klucz do zamka i przekręcam. Zgrzyt metalu otwiera mi drzwi do pustej przestrzeni, której wciąż nie rozpoznaję. Owszem, są tu te same meble, te same, dobrze znane mi dekoracje, ale bez dziecięcego śmiechu, bez zapachu parzonej przez Kubę kawy. Przebywanie w tym miejscu jest jak najgorsza katorga. Prawdę mówiąc, jest to dla mnie większa kara niż ewentualny pobyt za kratkami. Reguluję pokrętło radia, nie chcę utonąć w tej ciszy, więc łapię jakąś pierwszą lepszą radiostację. Byle tylko ktoś do mnie mówił. Potem siadam na hokerze i przeglądam wyciągniętą ze skrzynki korespondencję. Są tam rachunki za prąd i gaz, jakieś ulotki. Kiedy mam już je odłożyć na wyspę kuchenną, ze złożonej na

pół gazetki reklamowej wysuwa się błękitna koperta. Zwraca moją uwagę, bo nie ma na niej nadawcy ani naklejonych znaczków. Otwieram ją, ale charakteru pisma nadawcy również nie rozpoznaję. Dopiero kiedy mój wzrok zatrzymuje się na podpisie, a potem, słowo po słowie, odczytuję wiadomość, serce mi martwieje.

Hej, współtowarzyszko niedoli! 🙂

Słowo się rzekło, więc piszę. Naprawdę nie chciałam, żeby ta wiadomość przyszła do Ciebie w takich okolicznościach. Głupio mi też obciążać Cię swoimi problemami, wiem przecież, ile sama ostatnio przeszłaś. Ale prawda jest taka, że nie mam komu o tym powiedzieć, a raczej komu się wyspowiadać - po raz pierwszy na serio, bez zmyłek, bez uników. Rodzice i siostra nigdy nie zauważali tego, co się ze mną działo. A wysyłałam im mało subtelne sygnały, wierz mi. Ale nie winię ich. Wiem, że mnie na swój sposób kochają, tylko trudno jest im mnie zrozumieć. Wiem też, że tym listem złamałabym im serce.

Tam na korytarzu, tuż po Twoim wypisie, rozmawiałyśmy jeszcze przez chwilę. Pamiętasz? Zastanawiałam się nad tym, co będzie, jeśli nie znaleźli do nas klucza (myślałam wtedy głównie o sobie, to był taki mały egoizm z mojej strony - wybacz). Ciągnęłaś mnie przez chwilę za język, ale potem odpuściłaś. A ja wtedy skłamałam. Tamto pytanie nie było hipotetyczne. Bo w rzeczy samej tak właśnie się okazało - w Srebrzysku nie znaleźli do mnie odpowiedniego klucza. Nie udało im się mnie otworzyć. Miesiącami wkręcałam ich wszystkich. Gliniarzy. Lekarzy. I jak się okazało - także Ciebie. Nie, nie ja ją zabiłam. Bo może tak teraz myślisz. Mówię o Larze, oczywiście. Ale wiem, jak było. Wiem, co się z nią stało na zlocie. Innych przez te wszystkie miesiące truła niewiedza, ze mną było odwrotnie, to wiedza na temat tamtej nocy trawiła mnie od środka. Ona i wyryty pod powiekami obraz leżącej w strumieniu Lary. Widziałam ją chwilę wcześniej, jeszcze żywą, uciekającą między drzewami. Wyrzuty sumienia nie dawały mi spać. Wszystko inne, co wcześniej wydawało mi się paskudne, wcale takie nie było. Ale pojawił się pewien paradoks. Mimo wszystko nie mogłam stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami wyznania prawdy. Nie poradziłabym sobie z tym. Jak się jednak okazało, fikcji, w której żyłam, też nie zdołałam udźwignąć. Nie myśl o mnie jak o tchórzu, który składa broń i tak po prostu odchodzi. Nie zakładałam, że tak będzie. Naprawdę wierzyłam, że Srebrzysko nareszcie pozwoli mi się odbić od dna. I owszem, pozwoliło, na krótką chwilę, ale teraz znów doszłam do ściany. I wiem, że już jej nie przebiję. Nie wydostanę się na zewnątrz. Nie tym razem. Nie chcę, żeby było ckliwie, ale są też dobre rzeczy, których ostatnio doświadczyłam. Mam na myśli choćby nasze rozmowy - to, że naprawdę słuchałaś i chciałaś mnie zrozumieć. Dlatego liczę, że i tym razem tak będzie i że zdołasz im wszystkim jakoś to wytłumaczyć.

XXX

Twoja Kas

Kiedy jeszcze raz przebiegam wzrokiem tekst, a sens wiadomości jest wciąż ten sam, oblewa mnie fala gorąca. W kieszeniach spodni w panicznym pośpiechu szukam telefonu, porządkując w głowie wszystko to, co wiem na temat Kas, a co może przydać się dyspozytorce. Muszę natychmiast wezwać pomoc, tylko o tym teraz myślę. Nie wymieniałyśmy się numerami telefonu, nie mam namiaru do rodziców Kasandry. Ale adres pamiętam.

Kurwa!

Drżącą ręką odblokowuję klawiaturę i wstukuję numer alarmowy. Po chwili operatorka przełącza mnie do policyjnej dyspozytorki. W głowie wciąż mam gonitwę myśli, ale usiłuję się maksymalnie skupić i zachować spokój.

- Nazywam się Pola Szulc - rzucam w słuchawkę, kiedy odzywa się w niej równie spokojny, co poprzednio, głos. Mów zwięźle i na temat, ponaglam się w myślach.

- W czym mogę pomóc?

- Pomoc potrzebna jest mojej znajomej. Obawiam się, że zamierza popełnić samobójstwo.

- Rozumiem. Dlaczego myśli pani, że znajoma chce targnąć się na swoje życie?

- Kasandra Klimas, bo tak moja znajoma się nazywa, ma historię leczenia w ośrodku zamkniętym, a oprócz tego dwie próby samobójcze, obie w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. Przed chwilą znalazłam w skrzynce list od niej. Nie miał znaczka, więc wsunęła go osobiście, najprawdopodobniej kilka godzin temu, bo rano listu na pewno nie było w skrzynce. Z treści wynika, że to pożegnanie. Że chce sobie zrobić krzywdę.

- Próbowała się pani z nią kontaktować?

- Nie mam jej numeru telefonu.

Nawet jeśli dyspozytorkę zdziwiła ta informacja, to nie daje tego po sobie poznać. Jej głos wciąż jest profesjonalny i opanowany.

- Czy znajoma sugerowała w liście, w jakie miejsce zamierza się udać?

- Nie. Ale z tego, co wiem, te wcześniejsze dwie próby podejmowała w domu. Przedawkowała leki.

- Czy jest z nią ktoś, z kim może się pani skontaktować?

- Nie, Kasandra mieszka sama. Czy może pani wreszcie kogoś wysłać pod jej adres? Tak jak już mówiłam, ten list mogła mi zostawić kilka godzin temu... Nie wiem, co się z nią działo od tamtego momentu...

Spodziewam się kolejnych pytań albo nawet odmowy, ale reakcja kobiety mnie zaskakuje.

- Przyjmuję zgłoszenie. Proszę podać adres znajomej.

- Wyspa Sobieszewska, ulica Stulecia ZHP osiemnaście, mieszkanie numer pięć - wyrzucam z siebie jednym tchem.

Kilka sekund później operatorka się rozłącza. Mniej więcej tyle samo czasu zajmuje mi podjęcie decyzji. Nie chcąc tak po prostu biernie czekać, biorę kluczyki i z zamiarem jak najszybszego dotarcia do Kas wsiadam do samochodu. Od jej mieszkania na Wyspie Sobieszewskiej dzieli mnie dziesięć, najwyżej piętnaście minut jazdy. Od śmierci Kuby niechętnie siadam za kierownicą, z jeszcze większą awersją przejeżdżam przez każdy most, nie tylko ten biegnący nad Martwą Wisłą. Ale w chwili takiej jak ta wszystkie powstrzymujące mnie mary i własne słabości nagle się ulatniają.

Oblężenie Sobieszewa przez turystów paraliżuje jedyną drogę dojazdową do centrum i spowalnia mnie na ostatnim odcinku trasy - piesi, rowerzyści, a na dodatek jeszcze ci podróżujący w rikszach i meleksach. Niech ich wszystkich szlag trafi! Na kilometr przed dotarciem do celu parkuję samochód na poboczu i przedzieram się przez rozleniwiony tłum, biegnąc ile sił w nogach. Smród frytury i żar buchający z pobliskich smażalni w połączeniu z wszechogarniającym lękiem o Kas przyprawiają mnie o mdłości. Na miejsce docieram po kolejnych kilku minutach, a może szybciej. Czas odmierza się teraz zupełnie inaczej, wbrew wszelkim zasadom logiki. Na miejscu zastaję niewielką, ale zadbaną dwupiętrową kamienicę. Zatrzymuję się na moment, by wyrównać oddech. Życie toczy się tutaj normalnie. Pod kamienicą nie widzę ani karetki, ani policyjnego radiowozu. Na ganku pod plastikowym daszkiem siedzi pulchna kobieta około sześćdziesiątki. Ma na sobie białą sukienkę w chabry, z jej szyi zwisają szklane korale. Roztacza wokół siebie aurę spokoju, który wcale mi się nie udziela. Na jej kolanach rozłożona jest gazeta, ale twarz zwróconą ma ku słońcu. Mijam ją i wbiegam na klatkę schodową. Wiatr wpadający przez otwarte na oścież okno tnie moją skórę chłodnym ostrzem. Pokonuję najpierw wysoki parter, potem wbiegam na piętro. Kiedy docieram do celu, zza drzwi oznaczonych piątką nie wydobywa się żaden dźwięk. Znowu wyrównuję oddech i wciskam przycisk dzwonka - za pierwszym razem

dość krótko, za każdym kolejnym coraz bardziej nagląco i w końcu pulsacyjnie. Ale to na nic się zdaje. Radosna melodyjka dzwonka przypomina radiowy dżingiel. W mieszkaniu Kas nikt się nie porusza. Nikt się nie odzywa. Po chwili rezygnuję z dzwonienia i zaczynam tłuc pięściami w drzwi. Nie ma żadnej reakcji po drugiej stronie. Łomot zwraca jednak czyjąś uwagę. Drzwi mieszkania naprzeciwko Kas lekko się uchylają. W szparze pojawia się siwa i potargana czupryna starszego mężczyzny. Twarz ma zmęczoną, jakby sparciałą, pełną wgłębień i wybrzuszeń.

- O co tu się rozchodzi? Skoro panienka nie otwiera, to widocznie jej tam nie ma. Nie trzeba tak walić - mówi surowo i ściąga brwi.

- Zna pan Kasandrę? - pytam.

- Nie za bardzo. Mieszka tu od niedawna. Mijamy się czasem na klatce i tyle. - Mężczyzna drapie się po brodzie.

- Widział pan, jak gdzieś dziś wychodziła? I kiedy wracała? - Wskazuję na drzwi z numerem pięć.

- Nie szpieguję sąsiadów - oznajmia z wypisanym na twarzy zażenowaniem.

Podchodzę bliżej mężczyzny, ale on, zaskoczony moją reakcją, bardziej przymyka drzwi.

- Myślę, że mogło jej się coś stać. - Wyciągam dłoń, nie chcę, by je zatrzasnął. - Nie odbiera telefonów, a wcześniej bardzo źle się czuła - kłamię, ale w tym wypadku cel uświęca środki. - Jestem jej przyjaciółką. Muszę się upewnić, że nic jej nie jest. - W moim głosie słychać determinację. - Czy jest gdzieś tutaj drabina, żeby zajrzeć przez jej okna od frontu?

Mężczyzna przez chwilę się waha, ale w końcu odpowiada.

- No, skoro naprawdę ma pani takie obawy, to lepiej będzie pójść do właścicielki. I ja raz widziałem, jak tu do panienki przyjechał ambulans. – Odchrząkuje i spuszcza głowę. - A co do właścicielki, to ma zapasowy klucz do wszystkich lokali. Krystyna Nowicka, tak się nazywa, mieszka tutaj. - Otwiera drzwi szerzej, wychodzi poza próg mieszkania i ręką wskazuje na dolną kondygnację.

- Pod którym numerem? - pytam.

- Pod jedynką. Ale jak jej tam nie będzie, to niech pani szuka w ogródku albo gdzieś wokół domu. Lubi się tutaj kręcić. A ja jeszcze

spróbuję, może panienka w końcu mi otworzy - dodaje, wskazując na drzwi.

Zamiast do mieszkania Nowickiej kieruję się bezpośrednio na ganek, licząc, że siedząca tam kobieta okaże się właścicielką kamienicy.

- Pani Krystyna Nowicka?

Kiedy mnie zauważa, przesłania dłonią oczy i chmurzy czoło. Kiwa głową, ale na jej twarzy pojawia się kolejny grymas niezadowolenia. Chyba ma mi za złe to, że zasłaniam jej słońce. Ale ja nie mam czasu na jej fochy.

- Chodzi o Kasandrę Klimas, dziewczynę spod piątki - zwracam się do niej.

Kiwa kolejny raz głową i prostuje się na krześle. W jej oczach błyska zainteresowanie.

- Co z nią? - pyta.

Stawiam na szczerość. W tej sytuacji ukrywanie prawdy, byle nie popsuć reputacji Kas, to zgubny plan. Mówię więc zdawkowo o liście, o swoich obawach i o wcześniejszym leczeniu Kas.

- Podobno ma pani zapasowe klucze - wtrącam na koniec. - Muszę dostać się do środka.

- Nie mogę tak przecież otwierać każdemu - zżyma się kobieta, ale odkłada gazetę i podnosi się z krzesła. - Nie wiem nawet, kim pani jest i czy mówi prawdę. Mało to jest wyłudzaczy? Nie mówię, że tak teraz jest, ale sama pani rozumie... - dodaje wyjaśniająco.

- Nie mam innego wyjścia. Albo wejdę po drabinie, albo wyważę zamek - nie ustępuję.

- Jak pani to zrobi, zawiadomię policję.

- Nie musi pani. Policja już tu jedzie.

Wzmianka o policji zbija kobietę z tropu.

- Skąd pani wie, że ona jest w środku? - pyta, mierząc mnie czujnym wzrokiem.

- Nie wiem tego na pewno, ale w tym mieszkaniu doszło przynajmniej do jednej próby samobójczej. Musiała pani coś widzieć lub słyszeć. To jak, otworzy mi pani czy mam szukać narzędzia, by sforsować drzwi? Czas ucieka! - ponaglam ją.

Właścicielka milczy, ale chyba coś w niej drgnęło. Jej polakierowane na bordowy kolor paznokcie nerwowo stukają o futrynę jednego z mieszczących się w suterenie mieszkań. Biorę to za znak, że zaraz, choć na pewno niechętnie, podejmie decyzję.

- Chyba nie chce mieć jej pani na sumieniu, jeśli tam faktycznie coś się stało? - dodaję.

Wzrok Krystyny Nowickiej prześlizguje się po mnie z niechęcią, kobieta wymija mnie w milczeniu i wspina się schodami na półpiętro.

- No dobrze. Proszę za mną - wzdycha, nie odwracając się. - Wszystkie komplety kluczy mam u siebie w mieszkaniu.

Kolejne sekundy pochłania dźwięk podzwaniającego o siebie metalu. To Nowicka. Z grubego pęku wyławia w końcu właściwy komplet kluczy. Kiedy mi go podaje, natychmiast biegnę na pierwsze piętro.

- Sama pani tam nie wchodzi! - krzyczy za mną Nowicka. - Pani poczeka! Do diaska, słyszy pani!?

Nie czekam. Pod zamkniętymi drzwiami mieszkania Kas nadal stoi jej sąsiad i bezradnie rozkłada ręce. Wygląda na to, że w tym starym drewnianym skrzydle niedawno wymieniono oba zamki. Klucze wchodzą w nie gładko, bez większych oporów puszczają też i same drzwi. Po przekroczeniu progu mieszkania uderzają mnie dwie rzeczy - panująca tu grobowa cisza i duchota niewietrzonych od dawna pokojów, zapach cytrusowych perfum i świeżo upieczonego ciasta. Korytarz przypomina mi limonkową landrynkę - seledynowa włochata wykładzina i dwuosobowa sofa w tym samym kolorze. Wiszą nad nią oprawione w różową ramkę plakaty z pieskami. Jest i siedzący między ozdobnymi poduszkami pluszowy chart. Można by odnieść wrażenie, że mieszka tutaj dziecko, a nie dorosła kobieta. Wołam Kas rozpaczliwie, ale nikt się nie odzywa. Serce tłucze mi się w piersi, kiedy wchodzę do kolejnych pomieszczeń.

Wysprzątana na błysk kuchnia i łazienka przywodzą mi na myśl mieszkanie z katalogowej ekspozycji salonu meblowego. Nie ma tu okruchów, niepozmywanych naczyń i rzuconych niedbale ręczników. Niczego, co wskazywałoby na jakiekolwiek ślady użytkowania. Wszystko lśni nieprawdopodobną wręcz czystością.

Znajduję Kas dopiero w kolejnym pokoju - na łóżku, w otoczeniu wielkogłowych pluszaków i ułożonych na stoliku nocnym błękitnych blistrów po lekach. Ludiomil. Psychotropowe cholerstwo stosowane w leczeniu depresji. Czasami leczy, innym razem, szczególnie kiedy stosuje się je niezgodnie z zaleceniami, wypala mózg. W sześciu blistrach powinno znajdować się łącznie trzydzieści sześć pomarańczowych tabletek. Teraz wszystkie są puste, podobnie jak szklanka stojąca na krawędzi stolika. Gdy uświadamiam sobie, co Kasandra zrobiła, działam jak w transie. W mózgu

uruchamia się jedynie tryb przetrwania. Nachylam się nad nią, ma drgawki, do spoconego czoła są przyklejone poskręcane wilgotne kosmyki. Wyczuwam u niej oddech, ale jest płytki, niemiarowy. Na ułamek sekundy przenoszę się pamięcią do swojej sypialni, w której w przeszłości mierzyłam się już ze śmiercią i w której to ona, nie ja, zwyciężyła.

- Niech pani dzwoni po pogotowie. Szybko! - rzucam w kierunku stojącej za mną przerażonej Nowickiej.

- Zostawiłam telefon na dole. Ale już po niego idę - mówi i znika w korytarzu. Równie przerażony sąsiad tylko mi się przygląda.

Nie czekam. Wyciągam komórkę i wystukuję trzy dziewiątki. Widzę, że z kącika ust Kasandry wydostaje się smużka piany, więc w obawie, by się nią nie zachłysnęła, z mozołem układam ją na bok. Próbuję wyczuć puls, przykładam więc palec do zagłębienia na szyi pod żuchwą. Podobnie jak oddech, puls jest ledwie wyczuwalny, a ciało - lodowate.

- Kas, do cholery, nie rób mi tego! Słyszysz?! - krzyczę.

Uderzam ją otwartą dłonią w policzek. Raz, drugi i trzeci. Z fotela obok nocnego stolika ściągam koc i szczelnie okrywam Kasandrę, pod stopy wsuwam jej kilka poduszek. Wiem, że tak powinno się postępować, kiedy człowiek jest na granicy zapaści. Ale zupełnie nie mam planu na to, co dalej. Spod jednej z poduszek wypada fotografia, trochę wyblakły Polaroid z naniesionym białym markerem podpisem „Mursz". Nie wiem, co ani kto jest na zdjęciu, nie zaprzątam sobie tym zresztą głowy, bo potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Wydobywający się ze słuchawki głos dyspozytorki tłumią dobiegające z klatki schodowej ciężkie kroki policjantów i ponaglające nawoływania Nowickiej.

LARA

sierpień 2019

Podciągam się na metalowym pręcie wystającym z wyłomu w ścianie. Z dawnej antresoli przeczołguję się na dach pokryty mchem i rozwarstwiającą się papą. Dookoła mnie leżą rozbite butelki, puszki i pety, a cuchnie tu jeszcze gorzej, niż można się spodziewać. Obstawiam, że za ten fetor odpowiadają szczyny, pleniący się na ścianie grzyb i resztki rozlanego alkoholu.

- Cyknij jeszcze jedno. O, tutaj! - instruuję Artura i staję na krawędzi dachu zwrócona plecami do metalowego płotu, który odgradza zamknięty teren wojskowy od linii brzegowej. - A Mursz? Kojarzysz to miejsce? - pytam swojego narzeczonego.

Artur naciska spust migawki, robi to kilkukrotnie, za każdym razem, kiedy zmieniam pozę.

- Mursz? - pyta. Na jego twarzy wypisane jest zdziwienie.

- A w takim razie Duchny Las? Mursz jest jego częścią.

- No jasne. To na Kaszubach - odpowiada, kucając z aparatem w ręku. Zadziera głowę, mruży oczy i obraca pierścieniem, by wyregulować ostrość. - To ten las, pod którym biegnie sieć schronów - dodaje. - Niemcy wymordowali tam robotników, jak tylko tamci odwalili całą robotę. Jedna z mniej znanych ponurych kart historii drugiej wojny światowej. A co ci chodzi po głowie? Chcesz tam pojechać? - pyta wyraźnie zaintrygowany.

Ściągam z włosów gumkę i nasuwam ją na nadgarstek. Pochylam się i dłońmi mierzwię swoje długie, sięgające ramion włosy. Potem kolejny raz zmieniam pozę - siadam na daszku, krzyżując nogi.

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o swojej nauczycielce biologii? Tej, która uczyła mnie w ogólniaku?

Artur nie rusza się z miejsca, ale potwierdza skinieniem głowy.

- To była jedyna osoba, która w tamtym okresie miała na mnie jakikolwiek wpływ - mówię i zamyślam się. Na moment wracam do chwil sprzed ośmiu lat.

- To ktoś w ogóle miał wtedy na ciebie wpływ? Na tę małą jadowitą żmiję?! - Artur rży, błyska zębami w szerokim uśmiechu. - Bo idę o zakład, że jako nastolatka wcale nie byłaś milsza, niż jesteś teraz.

Wyciągam przed siebie prawą dłoń i pokazuję mu faka.

- I dlatego właśnie ze mną jesteś. Symbioza. - Wzruszam ramionami. - A w kwestii liceum to chodziłam do naprawdę dobrej szkoły. Nauczyciele truli, ale potrafili nas przycisnąć. Relacje z nimi mieliśmy letnie. Takie wiesz, odfajkuję swoje, zamykam dziennik i spadam. Z Mery, bo tak ta biolożka kazała nam na siebie mówić, było inaczej. Nie postępowała według sztywnych reguł, nikogo nie trzymała też na smyczy. Stawiała na autonomię. To rzadko się sprawdza wśród cwaniakujących nastolatków. Ale na nas to podziałało. Nasze wyniki na tle innych klas były wyjątkowo dobre. Jej naprawdę zależało - na nas i na tym, co robiła. Już wystarczy. - Podchodzę do narzeczonego i opuszczam obiektyw aparatu. - Chodź - mówię i ciągnę go za rękę.

Siadamy na krawędzi dachu, a szorstka powierzchnia starej poszarpanej papy drażni skórę moich ud. Pod palcami lewej dłoni wyczuwam drobinki roztrzaskanego szkła. Wysuwam stopy z trampek i kładę je na rozgrzanej blasze, twarz wystawiam do słońca. Odnoszę wrażenie, że dzięki setkom eksploracji takich jak ta moje ciało stało się odporne na wszelkie ostre kanty, na zadrapania i siniaki. Albo jest ich mniej, albo ja przestałam je po prostu zauważać.

Z miejsca, w którym siedzimy, rozciąga się widok na zatokę, a dokładniej na szalejącą na morzu cofkę i na torpedownię w Babich Dołach. Lubię ten jej dekadencki *vibe,* w pewien sposób lubię też degradację, jaką przyniósł upływ czasu. Nie tylko to mnie w niej ujmuje. Takie miejsca, opuszczone budynki, ich tajemnice i historia po prostu mnie pociągają. A głównie chyba niedostępność i adrenalina, której poziom skacze wraz z wejściem na zakazany teren. Właśnie za to pokochałam urbex.

- Okej. Ale wciąż nie rozumiem, jak jedno ma się do drugiego. Jaki związek ma biolożka z tamtym lasem? - pyta Artur. Czuję na twarzy jego oddech. Po chwili ręka Artura ląduje na moim udzie, a kiedy sunie w dół, jego paznokcie drażnią się z moją skórą. Jak zwykle wtedy czuję przyjemne mrowienie w podbrzuszu. - Mówiłaś, że ona nie żyje, to był tragiczny wypadek. Dobrze kojarzę? - docieka.

Kiwam na potwierdzenie głową.

- Mieszkała na skraju tamtego lasu, w starej leśniczówce - wyjaśniam. - Z tej chaty zostały podobno już tylko zgliszcza. Zginęła w tym pożarze.

Artur obejmuje mnie ramieniem i jeszcze bardziej przyciąga do siebie.

- Czyli rozumiem, że chcesz to miejsce wrzucić na naszą urbexową *to-do-list*?

Wysuwam aparat z jego dłoni. Zbliżam oko do wizjera i przybliżam kadr. Rozmyte kontury torpedowni zaczynają łapać wtedy właściwą ostrość. Przyciskam spust migawki, przechwytuję obraz, na którym pojawia się chmara ptactwa unoszącego się nad jednym z kominów. Wolę, tak jak teraz, utrwalać chwile i miejsca, a nie stawać przed obiektywem.

- Pojadę tam w pierwszą rocznicę jej śmierci - oznajmiam i zoomuję kolejny kadr. - Ale nie po to, żeby zbierać materiały do filmu.

- To o co właściwie chodzi? - Artur marszczy brwi. Na jego twarzy maluje się konsternacja.

- Sama nie wiem - wzdycham. - Przez tych kilka lat nie miałyśmy ze sobą kontaktu, ale jej śmierć mocno mną wstrząsnęła. To było jak strata bliskiej osoby. Wcześniej nie miałam odwagi pojechać do tego lasu - przyznaję z pewną skruchą. Nie lubię okazywać słabości, nawet przed Arturem. - A poza tym coś mi w tym jednak nie grało. Stary budynek, wadliwa instalacja i tak dalej. Nie mogła się z niego wydostać, bo gęsty dym i przewrócony wieszak zablokowały jej drogę ucieczki. Słyszałam, że tak było. Tylko że ta kobieta miała sporo wrogów. I wciąż myślę o tym, czy to nie było związane z tym, co się stało. Rok temu, na kilka miesięcy przed jej śmiercią, w szkole wokół niej rozpętało się prawdziwe piekło...

Artur unosi ręce w geście poddania.

- Okej, wystarczy mi tych teorii spiskowych. Jeśli chcesz, to tam pojedźmy. Wszystko, bylebyś się nie bawiła w panią detektyw. - Patrzy na mnie błagalnie. - To zadanie dla glin, a skoro prokurator uznał pożar za wypadek, to najwyraźniej miał na to dowody. A z rzeczy przyziemnych - nagle zmienia temat - jak bardzo jesteś skłonna przyjąć tamtą ofertę?

- Mówisz o kampanii dla Biedry? - Wzdycham i rzucam mu niechętne spojrzenie. - Nie chcę o tym teraz gadać.

- To przecież tylko sesja zdjęciowa z puszką energetyka w ręku. - Artur stara się mnie przekonać.

Krzywię się.

- Ja to widzę inaczej. Mówimy o energetyku, czyli syfie, pod którym mam się podpisać i który mam zareklamować. A to wiąże się też z tym, że moja twarz zostanie przepuszczona przez Photoshopa i wklejona potem na tekturowe standy. To cholernie nie w moim stylu. Nie połaszczę się na tę kasę - oznajmiam kategorycznie.

W oczach Artura widzę rozczarowanie.

- Namawiam cię nie jako twój facet, tylko jako twój menago. Też chciałbym robić tylko to, co lubię. I z tego żyć. Ale kieruję się przede wszystkim rozsądkiem. I twoim finansowym bezpieczeństwem. Odrzucasz wszystkie oferty reklam. A przecież to żaden obciach. Każdy influencer robi takie rzeczy. Masz ćwierć miliona subskrybentów na swoim kanale, więc jesteś jednym z nich - przekonuje.

- Nie lubię słowa „każdy" - odburkuję. - I nie muszę się łaszczyć na byle jaką ofertę.

- Dobra, to inaczej. Podsumujmy twój przychód z ostatnich miesięcy. - W głosie Artura wyczuwam kpinę.

Wysuwam ramię z jego objęć.

- Daj już spokój. Mam z czego żyć. Nie chcę teraz gadać o hajsie. To jest...

- Pozwól mi dokończyć - wchodzi mi w słowo Artur. - Dwa razy w tygodniu organizujesz urbexowe wycieczki, do tego masz panele plus pochłaniające wiele godzin dojazdy, czasem piszesz artykuły, generalnie za wszawy grosz - wylicza. - Bywa, że z Google AdSense wyciągasz całkiem niezłą forsę, ale to się dzieje raczej sporadycznie, a nie często. Tu trudno o pewniaka. A ten energetyk to jest prosty temat, pozwoli ci złapać finansowy oddech. Czterdzieści kafli na stole i miesiąc ekspozycji we wszystkich Biedrach i gazetkach, online i tych drukowanych. A przy okazji to też świetna kampania wizerunkowa. Masz wreszcie szansę wykorzystać swoją popularność i zarobić niezły hajs.

Odkładam lustrzankę na blaszany daszek i wsuwam stopy w trampki.

- I co potem? Leżelibyśmy parę miesięcy na uroczej sofie, w uroczych ciuchach, w uroczym wnętrzu, zblazowani. Wyobrażasz to sobie? Brzmi jak nuda. -Wybucham śmiechem. - Wolę, jak forsa kapie powoli, ale na moich własnych zasadach. I już się tak nie krzyw. - Wsuwam dłoń we włosy Artura i je przeczesuję. Patrzę na niego pojednawczo.

- Czyli nie? - pyta z rezygnacją.

- Czyli nie.

W kieszeni moich szortów wibruje telefon. Wyciągam go i odczytuję wiadomość.

- A ona czego znowu chce? - Artur zagląda mi przez ramię. Zauważam, że kątem oka zerka na wyświetlacz.

Przesuwam palcem po smartfonie, by przewinąć wiadomość.

- A dlaczego czytasz moje esemesy? - Spoglądam na niego spode łba. - Nie wyładowuj się na Kasandrze za to, że się nie zgadzam na ten twój *deal*.

- Nie o to chodzi - zżyma się Artur. - Ta laska działa mi na nerwy.

- To wiem, nie rozumiem tylko dlaczego. Co nie gra między tobą a Kas?

- Lata za tobą jak szczeniak. Ciągle coś do ciebie pisze albo ci wysyła. A poza tym jest na każde twoje zawołanie. Jakby jej życie ograniczało się jedynie do bycia przy twoim boku. Trochę to porąbane.

W okienko wiadomości wstukuję „okej" i przesuwam palcem nad ikonką„wyślij". Na powrót wsuwam telefon do kieszeni spodni.

- Nie znasz jej tak, jak znam ją ja - mówię enigmatycznie.

Artur unosi czujnie brew.

- To czego niby o niej nie wiem?

- To nie temat na teraz, ale generalnie miała ciężko, kiedy dorastała. To bardzo wrażliwa dziewczyna. Potrzebuje jakiegoś wzorca, by znów nabrać pewności siebie. Poza tym pracuje u mnie i jest zaangażowana. W tej sytuacji to chyba normalne, że mamy stały kontakt. - Ucinam. - Nie rób już kwasów, okej?

- Dobra, jak sobie chcesz - odburkuje Artur i podnosi z daszku aparat. - Mówię tylko, co o tym myślę. Zrobię jeszcze kilka ujęć magazynu i możemy spadać. - Wstaje i odchodzi w stronę antresoli. Wciąż jest nieco naburmuszony. Nie wiem, czy chodzi mu faktycznie o to, że mnie nie przekonał, czy o mój stosunek do Kas.

Po chwili zza ściany dochodzi mnie dźwięk uruchomionego spustu migawki.

Sięgam dłonią do plecaka, by wyciągnąć z niego butelkę wody. Z bocznej kieszonki wyławiam też wykonaną z rzemyka bransoletkę. To jedyna pamiątka, jaka została mi po mojej dawnej nauczycielce. Na rzemyk nawleczona jest metalowa zawieszka z głową wilka i niewielka prostokątna tabliczka z wygrawerowanym na niej fragmentem cytatu.

Nigdy się nie poddawaj.

Cichy głos mojej nauczycielki, niczym oddalające się echo, szepce w mojej głowie kilka kolejnych słów.

Osoba z wielkimi marzeniami jest o wiele silniejsza od tej znającej wszystkie prawdy.

Zaciskam bransoletkę w dłoni, a potem odkładam ją na swoje miejsce.

MARIANNA

kwiecień 2018

- „Nigdy się nie poddawaj. Osoba z wielkimi marzeniami jest o wiele silniejsza od tej znającej wszystkie prawdy" - zagaduję do Elizy siedzącej na ławce i zwróconej do mnie plecami. Jej zadbane blond włosy, sięgające pasa, połyskują w słońcu. Opadają na oversize'ową sukienkę, której fason i kolor znacznie odbiegają od obecnych trendów. A przynajmniej tych akceptowanych przez nastolatki. Podobnie jest z topornymi sandałami na wysokim koturnie. Wyglądają na wyciągnięte z peerelowskiej szafy.

- Wiem, że chce pani dobrze, ale to tylko pusty frazes - rzuca Eliza znad ławki, nie odwracając się.

- To nie żaden frazes, ale myśl, którą podkradłam Einsteinowi. A facet wiedział, co mówi. - Podchodzę bliżej i kładę jej rękę na ramieniu. Eliza sztywnieje, ale się nie odsuwa.

- A co on ma niby ze mną wspólnego? - bąka od niechcenia.

- Na przykład to, że zwycięstwo nie przyszło mu łatwo, było okupione wieloma porażkami i trudnościami, którym stawiał konsekwentnie czoła, aż w końcu przekuł je w sukces. Teraz tak tego nie widzisz, ale niepowodzenie to właśnie znak tego, że zrobiłaś kolejny krok naprzód. Bo spróbowałaś, czyli podjęłaś ryzyko, które czegoś cię nauczyło. Zresztą to tylko konkurs, a nie wyznacznik tego, kim jesteś i co tak naprawdę potrafisz.

Eliza kiwa głową, ale wydaje się nieprzekonana. Niespiesznie zbiera z ławki swoje rzeczy. Komórka, teczka i arkusz z wynikami, które znacząco odbiegają od tych, na jakie liczyła. Wpycha je do przewieszonej przez ramię listonoszki. Kiedy się odwraca, wciąż unika mojego spojrzenia. Na jej twarzy wypisane jest głębokie rozczarowanie. W kącikach oczu błyszczą łzy.

- Gdyby tylko moi rodzice myśleli w ten sam sposób - wzdycha ciężko.

- Chcesz, żebym z nimi pogadała? - proponuję.

Kiedy w końcu podnosi na mnie wzrok, w jej oczach maluje się przerażenie.

- Sama to z nimi załatwię. Zresztą nie tylko o nich chodzi. Ten konkurs to dodatkowe punkty i być może przepustka na medycynę w Poznaniu. A teraz...

- Urywa. - Teraz to nie wiem, jak będzie. Ma pani w ogóle jeszcze na to siłę? - Przygląda mi się ze zdziwieniem.

Jej pytanie zbija mnie z tropu.

- Na co?

- Na mnie i na innych tutaj. Na tę walkę z wiatrakami. Na naprawianie świata. Dlaczego tak pani na tym zależy?

- Masz na myśli zwykłą ludzką życzliwość? - dziwię się.

Eliza wzrusza ramionami.

- Bo to jest normalne - mówię z przekonaniem. - To, że zależy nam na innych. Świat nie kończy się na czubku własnego nosa. To egoizm jest odchyleniem od normy.

- Przepraszam, ale muszę już iść. - Nastolatka spuszcza głowę i odchodzi. Wygląda na przygaszoną.

Eliza to jedna z najlepszych uczennic w szkole, genialny umysł i wzór niezwykłej sumienności. A przy tym ktoś, kogo nie potrafię do końca rozgryźć. Podejrzewam, że świetne wyniki w nauce są też efektem wytężonej pracy w domu, a być może wywieranej przez rodziców presji. Tego nie potrafię ocenić, zamierzam jednak z nimi wkrótce na ten temat porozmawiać. Jednak sukces w jednej dziedzinie często oznacza deficyt winnej. A przynajmniej tak jest w przypadku Elizy, która już od dawna ma problem z socjalizacją. Siedzi sama w ławce, najczęściej sama też spędza przerwy. Na pewno częściowo wynika to ze zdiagnozowanego u niej niedawno zespołu Aspergera. Zresztą w wyborze psychologa, do którego dziewczyna regularnie chodzi na terapię, jej rodzice pokierowali się moją rekomendacją. Patrzę jeszcze przez chwilę za jej skuloną sylwetką znikającą za budynkiem szkoły.

Do końca długiej przerwy zostało jeszcze kilka minut. Wsłuchuję się w rozchodzący się po boisku radosny gwar, akurat rozgrywany jest jakiś spontanicznie zorganizowany mecz. Grupka dziewczyn siedzi na okalającym boisko murku. Chichoczą, wpatrując się w wyświetlacz telefonu należący do jednej z nich. Kasia i Damian, uczniowie z IB, siedzą na krawężniku, oderwani od rzeczywistości, wtuleni w siebie, ukryci w bańce własnego świata. W tym miejscu wciąż zmieniają się twarze, zapisują nowe historie.

Pracuję tu już od dwunastu lat jako nauczycielka biologii, powinnam być rutyniarą i mieć ten sam patent na każde zajęcia. Powinnam być gotowa na każdą reakcję uczniów. Ale tak nie jest. Nie potrafię wpasować się w

ramy, nie potrafię się dostroić. Zdaniem niektórych to od zawsze był mój problem - wyraz niesubordynacji, przez który czterokrotnie niemal straciłam posadę. Ja wolę myśleć o swoim podejściu jak o pewnej umiejętności, która wytrąca z marazmu innych nauczycieli, a przed tymi dzieciakami otwiera nowe horyzonty. Szkoła to przecież nic innego, jak mikrospołeczność, pas startowy do dorosłego życia.

Dobiegający od strony lasu głos przebija się przez radosną wrzawę meczu. Jest inny, porażający. Mam wrażenie, że ten skowyt wydaje z siebie ranne zwierzę, a nie człowiek. Zaniepokojona biegnę w kierunku bocznej furtki, która wychodzi na leśną polanę. Czasem zbierają się tam dzieciaki, żeby popalać fajki. Wtajemniczeni wiedzą, że wiedzie tam też droga na skróty. Prowadzi do osiedla położonego po drugiej stronie wzniesienia. W jednym z bloków mieszka Eliza, dlatego najczęściej wraca do domu tą ścieżką. To ją zauważam, kiedy dopadam furtki. Leży na ziemi kilka metrów dalej. Już nie krzyczy, nie broni się. Po prostu leży bez ruchu z zaciśniętymi powiekami i z zaciśniętymi w pięści dłońmi, gotowa, by przyjąć cios. A może się mylę. Może za chwilę chce go oddać ze zdwojoną siłą? Trudno mi to teraz ocenić. Po jej brudnych policzkach spływają łzy. Wokół porozrzucane są śmieci, nasadę włosów brudzi biała maź, sądząc po konsystencji, to jogurt. Jej delikatna mlecznobiała cera płonie wściekłością albo może wstydem. Nad Elizą stoją dwie nastolatki, jedna z nich trzyma w ręku telefon i nagrywa filmik, druga pochyla się nad Elizą, ale nie słyszę, co do niej mówi. Jedno jest pewne - z jej słów zionie nienawiść. W dziewczynach rozpoznaję dwie uczennice z naszej szkoły, Alicję i Martę. Nie uczę ich, ale wiem, do której klasy chodzą. Ich wychowawczynią jest zaprzyjaźniona ze mną polonistka. Mija chwila, nim obie mnie zauważają. Wpadam w furię.

- Co wy wyprawiacie? Przestańcie! - krzyczę i podbiegam do Elizy. Kucam obok niej. Dziewczyna otwiera oczy, jest oszołomiona. Z moją pomocą podciąga się i opiera dłońmi o wystający z ziemi korzeń. Potem powoli się podnosi. Zauważam wtedy, że z jej rozciętego łokcia płynie krew.

- Wyłącz to! - rozkazuję niższej z dziewczyn, brunetce o pociągłej, nakrapianej piegami twarzy, której włosy upięte są w wysoki kucyk. To ona trzyma w dłoni telefon. Dwa różowe kosmyki wyswobadzają się z upięcia i opadają na jej twarz. Nie ma na niej wstydu ani skruchy. Jest tylko buta. - Co tu się stało?! - ponawiam pytanie.

- My nic jej nie zrobiłyśmy. Taka z niej oferma, że sama się przewróciła. Wystarczy tylko na nią spojrzeć - prycha ze wzgardą wyższa z dziewczyn, wysoka i koścista blondynka. Ma na sobie odsłaniający pępek neonowy top i szorty, które obnażają jej krzywe nogi.

- Macie to w tej chwili pozbierać! - Wskazuję na śmieci i na leżący w krzakach pusty błękitny worek z czerwonymi ściągaczami.

W myślach szybko łączę fragmenty wydarzeń. Najprawdopodobniej dziewczyny wyciągnęły worek z kosza na śmieci i wysypały jego zawartość na Elizę.

- Nie zrobię tego. Tu leży strzykawka - mówi ta wyższa, Marta. - Ktoś tu najwidoczniej dawał sobie w żyłę... - oznajmia, udając niepokój. - Nie będę przecież dotykać tego gołą ręką. - Wykrzywia się paskudnie.

Przebiegam wzrokiem po odpadkach. Tak jak chwilę wcześniej, nadal czuję furię. To ona dyktuje kolejne słowa.

- Skoro wysypałaś te śmieci na koleżankę, to równie dobrze możesz je teraz pozbierać. W strzykawce nie ma igły. No już, bez gadania! - rozkazuję.

- To nie jest żadna moja koleżanka - odburkuje Marta kpiąco. - I niech lepiej uważa na słowa, zamiast zgrywać teraz ofiarę. - Krzyżuje dłonie na piersiach.

Z kieszonki spodni wyciągam napoczętą paczkę chusteczek. Rzucam ją Marcie pod nogi.

- Użyj tego, żeby pozbierać śmieci. - Wskazuję brodą na chusteczki. - No dalej! - ponaglam ją.

- To nie był żart? Serio każe mi pani podnieść tę strzykawkę, tak? - Marta zerka porozumiewawczo na drugą z dziewczyn. Na jej usta wpełza bezczelny uśmieszek.

Mimo wcześniejszego polecenia, jakie jej wydałam, niższa z dziewczyn, Alicja, wciąż trzyma w ręku telefon i nagrywa. Obiektyw kamery skierowany jest na mnie i na Elizę.

- Dokładnie tak, dobrze słyszałaś. A jutro obie macie stawić się na pierwszej dużej przerwie w gabinecie dyrektora.

Pomagam Elizie pozbierać jej rzeczy, ale ona w pewnej chwili powstrzymuje moją dłoń. Gestem ręki sygnalizuje mi, że chce to zrobić sama. Kątem oka zauważam wtedy, że Marta zdążyła już pozbierać śmieci i wrzucić je do worka. Ale nie użyła do tego chusteczek. Są nietknięte. Wygląda więc na to, że zebrała śmieci gołą ręką.

- Podaj mi swój telefon. Chcę zobaczyć to nagranie - zwracam się do szepczącej coś do Marty Alicji.

Kiedy podnoszę się z kolan, by odebrać jej aparat, nastolatki porozumiewają się szybkim skinieniem głowy, zrywają z miejsca i pędzą do lasu. Wołam za nimi, każę im się zatrzymać, ale to tylko działa na nie pobudzająco. Zamiast znieruchomieć, przyspieszają. Wbiegam na prowadzącą w głąb lasu ścieżkę, ale nie mam z nimi szans, a już na pewno nie w butach na wysokim obcasie, które dziś noszę. Dziewczyny są bardziej zwinne i znacznie szybsze i z każdą sekundą coraz bardziej się oddalają.

- Ona tego pożałuje! - dociera do mnie głos jednej z nich.

Zziajana i z poczuciem winy, że pozwoliłam im się wymknąć, wracam do Elizy. Dziewczyna nadal stoi na polanie i gorączkowo otrzepuje się z kurzu i śmieci. Wygląda dość upiornie, jak wyłaniająca się z lasu senna mara. Włosy ma potargane i pełne igliwia, twarz pokrywa warstwa pyłu.

- Jak łokieć? - pytam, kiedy staję naprzeciwko niej. - Poza tym otarciem jesteś cała?

Eliza kiwa głową, unosi prawą rękę i sprawdza, jak wygląda rana.

- Wyliżę się jakoś - odpowiada.

- Opowiedz mi po kolei, co tu się stało. I czy to one cię przewróciły? - dociekam. Staram się, żeby mój głos brzmiał zachęcająco.

Eliza potrząsa przecząco głową.

- Rzuciły we mnie tym workiem. Wtedy straciłam równowagę.

- Ale jak do tego doszło?

- A co powiedziałby na to Einstein? Miałby dla mnie jakąś złotą myśl albo radę? - Na twarzy Elizy pojawia się blady uśmiech. Niespecjalnie klei mi się z obrazkiem znieważonej i upokorzonej dziewczyny, którą mam przed sobą.

- Nie wiem. Może ty coś masz?

- Zrobiłam to, na co nigdy wcześniej nie miałam odwagi - odpowiada. W oczach Elizy dostrzegam błysk. Jest w nim wyraz triumfu.

- Czyli co?

- Kiedy po raz kolejny rzuciły we mnie obelgą, taką jak zazwyczaj, że jestem brudną niedojdą czy coś w tym stylu, zachowałam się inaczej niż do tej pory. Odgryzłam się.

Skinieniem głowy zachęcam dziewczynę, by mówiła dalej. Na twarzy Elizy wypisane jest teraz nie tylko zawstydzenie. Widzę na niej dumę.

- Powiedziałam, że z nich wredne, prymitywne suki. - Wypowiadając ostatnie słowo, ścisza głos. Sonduje moją reakcję. A kiedy wyczuwa wsparcie, dodaje: - Resztę już chyba pani zna.

Zamiast oburzenia przez moment i ja czuję cichą satysfakcję. W podobnych sytuacjach ta satysfakcja wpędzała mnie zawsze w kłopoty.

Ramy, trzymaj się ram, w głowie huczą mi rozkazujące słowa dyrektora.

Jak zwykle jest już za późno. Wiem, że właśnie popełniłam kolejny błąd.

POLA

sierpień 2020

Minęły trzy godziny, a ja wciąż nie wiem, co z Kas. Zeznania pochłonęły przynajmniej kilkadziesiąt minut. Kiedy dobiegły końca, udzielono mi jedynie zdawkowej informacji, do którego szpitala ją zabrano. Od policji nie dowiedziałam się niczego więcej. Kiedy zadzwoniłam pod numer szpitalnej centrali, uzyskałam informację, że owszem, dziewczyna o tym nazwisku została niedawno przyjęta. Ale na tym koniec. Odmówiono mi jakichkolwiek informacji na temat stanu jej zdrowia, zasłaniając się przepisami, że nie jestem najbliższą rodziną. Niczego też nie wskórałam, przyjeżdżając pod szpital na gdańskiej Zaspie. Ze względu na covidowe obostrzenia nikt z zewnątrz, poza pacjentami przyjmowanymi na SOR, nie jest wpuszczany do środka.

Bezsilność i niepokój pozwalają mi myśleć tylko o Kas. Widziałam przecież, w jakim była stanie, śmiertelnie blada i nieprzytomna, kiedy zabierała ją karetka.

Jeszcze chwilę kręcę się pod drzwiami, licząc nie wiadomo na co. Po kilku minutach wracam więc do samochodu, który zaparkowałam przy pobliskim parku. Próbuję w pamięci odszukać wszystkie możliwe kontakty, które mogłyby doprowadzić mnie do celu. O swoich rodzicach i siostrze Kasandra zawsze mówiła niechętnie i dość lakonicznie. Wiem, że Ania, jej starsza siostra, mieszka w Warszawie, jest już zamężna i ma dziecko. Tylko

tyle. O rodzicach Kas mówiła per ojciec, matka. Jakby pozbawieni byli jakichkolwiek konkretnych cech, a przede wszystkim, jako rodzina, nie mieli ze sobą nic wspólnego. Z kieszonki torebki wyciągam telefon i w pierwszym odruchu sprawdzam media społecznościowe. Na Facebooku zarejestrowanych jest kilkudziesięciu użytkowników noszących takie same nazwisko. Rezygnuję więc z tego pomysłu, otwieram wyszukiwarkę i tam sprawdzam. Kolejny raz pudło. Wygooglowane nazwisko Klimas nie daje żadnych zadowalających mnie rezultatów.

W pewnym momencie coś sobie przypominam. Przez jedną z naszych rozmów przewinął się Riff, największy salon muzyczny w Trójmieście. Kas wspomniała o nim w kontekście zakupu ukulele, na którym uczyła się grać. To była jedna z niewielu rzeczy, z których była dumna, dlatego opowiadała o niej często i szczegółowo. W wyborze odpowiedniego instrumentu pomagał jej zatrudniony w Riffie narzeczony Lary - tej zamordowanej w Duchnym Lesie dziewczyny, o której rozmawiałyśmy i o której Kas pisała w liście. Miał chyba na imię Artur. Skoro Kasandra była od dłuższego czasu zatrudniona u Lary, to może ten facet zna Kas na tyle dobrze, by wiedzieć, jak mogę skontaktować się z jej rodziną? Nie zastanawiam się dłużej, ten człowiek to w tej chwili mój jedyny łącznik z przeszłością Kas. Wyznaczam trasę do salonu muzycznego mieszczącego się przy alei Grunwaldzkiej, wrzucam bieg i ruszam.

Pomysłowe, a przy tym nieco surrealistyczne wejście do Riffa przypomina olbrzymi otwór rezonansowy gitary. Zbudowane na planie prostokąta wnętrze salonu robi na mnie jeszcze większe wrażenie. Każda z kilku przestrzennych sal wyróżnia się inną kolorystyką, dopasowaną do instrumentów, które się w niej znajdują. Na jednej z żółtych ścian w pierwszej sali widnieje logo Steinway and Sons. Ustawione na dębowej lakierowanej podłodze fortepiany i pianina nadają temu pomieszczeniu wytworny charakter. W bardziej kameralnej i nowoczesnej liliowej sali o zawrót głowy przyprawia wybór perkusji, werbli i talerzy. W jednym z narożników dostrzegam też bębenki afrykańskie i sprzęt do homerecordingu. Szybkim krokiem mijam kolejną salę przypominającą studio nagraniowe. Na ścianach są porozwieszane gitary, na podłodze stoją wzmacniacze. W przejściu mijam się z młodą dziewczyną ubraną w koszulkę z logo Riffa. To zapewne jedna z pracownic.

- Czy zastałam Artura? - pytam.

Dziewczyna zatrzymuje się i zerka na zawieszony nad przejściem zegar.

- Nie wiem. Artur pracuje dziś do siedemnastej. Czyli albo właśnie wychodzi, albo już wyszedł. Sprawdzę! - proponuje.

Podążam za nią do ostatniego ze wszystkich pomieszczeń, na końcu jest kasa i przylegające do niej zaplecze. Dziewczyna znika, a chwilę później wychodzi z niego najwyżej trzydziestoletni mężczyzna ubrany w luźny podkoszulek i bojówki. Moją uwagę zwracają jego tatuaże, jest ich sporo, głównie na umięśnionych ramionach i szyi, a także na odsłoniętym torsie. Artur jest atrakcyjny i chyba zdaje sobie z tego sprawę. Ma mocno zarysowaną szczękę, zaczesany do góry samurajski kucyk i błękitne oczy. Emanuje z niego pewnego rodzaju magnetyzm i tajemnica, które mogą pociągać kobiety. Kiedy podchodzę bliżej, dostrzegam biegnącą pod jego prawym oczodołem głęboką bliznę. Wygląda na pozostałość po ranie zadanej ostrym narzędziem.

- W czym mogę pomóc? - zwraca się do mnie, zawieszając na ścianie pęk zafoliowanych kabli.

- Jestem znajomą Kasandry Klimas. Zna ją pan?

Na wzmiankę o Kasandrze uprzejmy wyraz jego twarzy nagle gaśnie. Artur wbija wzrok ścianę. Milczy, ale mruży oczy i kiwa głową, jakby nad czymś się w zastanawiał albo jakby coś sobie przypominał.

- Nie rozmawiałem z nią od... - Urywa. - To już szmat czasu. Od roku, chyba tak. Co z nią? - pyta niby od niechcenia. Ale wydaje mi się, że wcale nie chodzi o nonszalancję, tylko to jakiś drażliwy dla niego temat.

- Wiedział pan, że była od kilku miesięcy w Srebrzysku?

- Nie. Ale powiedziałbym, że to się wydawało nieuniknione - stwierdza z powagą.

- Nie rozumiem.

Mężczyzna po raz kolejny się zamyśla i patrzy przed siebie.

- Ta dziewczyna miała ze sobą jakieś problemy, a raczej cały arsenał problemów - podkreśla. - To było jeszcze na długo, zanim moja narzeczona... - Urywa kolejny raz. - A o co tak właściwie chodzi? - Ton jego głosu się zmienia, staje się twardy i nieustępliwy.

W sytuacji, kiedy kurczy nam się czas, stawiam na szczerość. Wyjaśniam, co się stało i po co tutaj przyszłam. Wspominam też o liście.

- Wiem, że od dłuższego czasu Kas pracowała dla pana narzeczonej - dodaję na koniec. - Dlatego pomyślałam, że może wie pan, jak

skontaktować się z jej bliskimi.

Spod lady Artur wyciąga niewielkie kolorowe kostki i obraca je w palcach. Ściąga z nich i gniecie foliowe opakowanie, a kostki wrzuca do ustawionego na stojaku koszyka. Odnoszę wrażenie, że chce odwlec odpowiedź.

- Nigdy nie rozmawiałem z jej rodzicami. Ale siostra Kasandry uprzedzała Larę, moją narzeczoną, o problemach tej dziewczyny. Chyba nawet zostawiła do siebie jakiś kontakt. Wie pani, tak w razie czego - rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie.

- Czy może mi go pan podać? - pytam z nadzieją w głosie.

- Moja narzeczona nie żyje. - W jego opanowanym dotychczas głosie coś się zmienia, wyczuwam w nim żal, może tęsknotę. - Jeśli w ogóle Lara go miała, to był zapisany nie w moim, tylko jej telefonie. Siostra Kasandry jest chyba właścicielką streetwearowej marki odzieżowej Aloha. - Drapie się po nieogolonej brodzie. - Tak, chyba tak się nazywa ta marka. Lara dostała od niej kiedyś kilka ciuchów. W internecie na pewno są dane kontaktowe.

Tyle mi wystarczy. Dziękuję mu i kieruję się w stronę wyjścia.

- Czy wiadomo, dlaczego to zrobiła? - Pytanie Artura zatrzymuje mnie w przejściu.

- To miało jakiś związek z tym, co się stało w Duchnym Lesie - odpowiadam, nie wdając się w szczegóły.

- Nigdy nie wierzyłem w wersję, którą ta dziewczyna sprzedała policji. I w to, że jej załamanie było spowodowane tylko tym, że znalazła Larę tamtej nocy. - Wyznanie Artura zaskakuje mnie.

Jego słowa podsycają moją ciekawość. Chciałabym wyciągnąć z niego więcej, ale jedynym, na czym mi teraz tak naprawdę zależy, jest jak najszybsze skontaktowanie się z siostrą Kasandry. Umieram z niepokoju.

Po wyjściu z Riffa siadam na najbliższej ławce. W okienko smartfona naprędce wstukuję numer telefonu, który znalazłam na stronie internetowej firmy Aloha. Kobieta, z którą rozmawiam, najpewniej jedna ze sprzedawczyń, nie chce jednak podać mi bezpośredniego kontaktu do właścicielki. Staram się ją przekonać, że to pilne, bo chodzi o siostrę szefowej. Udaje mi się jedynie wymóc na niej obietnicę, że sama się z nią skontaktuje i poinformuje ją o moim telefonie. Podaję swój numer. Przez kilka kolejnych minut wpatruję się w milczący telefon, a kiedy wciąż nie dzwoni, wracam do samochodu, uruchamiam silnik i wrzucam wsteczny.

Dopiero wtedy telefon się odzywa. Na wyświetlaczu pojawia się nieznany numer. Kiedy odbieram, ze smartfona wydobywa się metaliczny trzask. Przez niego przebija pojawiający się i na powrót zanikający głos.

- Halo? - Głos należy do młodej kobiety, wyczuwam w nim zdenerwowanie. - Chodzi o moją siostrę. Podobno chciała pani ze mną rozmawiać. To pani ją znalazła?

- Tak. Czyli już pani wie?

- Rodzice się ze mną skontaktowali. Jest pani na miejscu? Wie pani już coś więcej? - Nerwowe pytania kobiety tłumi kolejny trzask, słychać gaworzące w tle dziecko.

- Nie. Nie chcą mi niczego powiedzieć. Myślałam, że może pani ma jakieś informacje. Bardzo się o nią niepokoję.

Kobieta wzdycha.

- Na razie tylko czekamy. - W jej głosie słychać lęk. - Wiem tylko, że dla bezpieczeństwa lekarze wprowadzili ją w śpiączkę farmakologiczną. Doszło do niedociśnienia i zaburzeń metabolicznych. No i do znacznego upośledzenia funkcji nerek. To powikłania późne, jakoś tak to ujął lekarz. Bo to była kolejna próba. Wcześniejsze bardzo zniszczyły jej nerki. - Siostra Kas ścisza głos, po swoich słowach stawia wielokropek. - Nie mogę teraz rozmawiać. Jestem w trasie i gubię zasięg. Poza tym czekam na wiadomość od rodziców. Bo oni są na miejscu - tłumaczy pospiesznie.

- Jeśli się pani czegoś dowie, to bardzo proszę o telefon. Przyjaźnimy się z Kas - dodaję.

- Wiem. Siostra mi o pani opowiadała. Dziękuję. Dziękuję, że pani zareagowała.

Klik.

Ta krótka rozmowa ani trochę mnie nie uspokoiła. Wręcz przeciwnie. Niemoc to jeden z największych wrogów. Choćby nie wiadomo jak zaklinać rzeczywistość, nie wiadomo jak bardzo starać się naprawić coś, co zostało w niej zachwiane, ruch i tak jest po przeciwnej stronie.

Na myśl o powrocie do domu, szczególnie teraz, gdy znów zastanę w nim tylko pustkę, a niepokój o Kas nie zelżeje, czuję strach. Mam ochotę zamknąć się w aucie i tu czekać.

Z zamyślenia wyrywa mnie przemierzający parking Artur. W dłoniach trzyma wielkie metalowe pudło, pod którego ciężarem się ugina. Jego niedopowiedzenia i list Kasandry każą mi się zastanowić, gdzie leży prawda. Mam na myśli Duchny Las i wydarzenia tej nocy, kiedy zginęła

Lara. Te same, które miesiącami niepokoiły Kasandrę. Okłamywała przez ten czas wszystkich, w tym samą siebie. Przekazałam list pożegnalny policji, być może jako kolejny dowód w sprawie pomoże posunąć śledztwo naprzód. Nie chcę tkwić w tej nieznośnej bezczynności, postanawiam więc skonfrontować swoje wątpliwości z Arturem. Wysiadam z wozu, przyspieszam kroku i po chwili zrównuję się z mężczyzną.

- Mogę spytać o coś jeszcze? - wyrzucam zdyszana. - Chodzi o tamtą noc podczas zlotu. - Dochodzimy do jego samochodu, starego, ale zadbanego mercedesa kombi z kolorowymi surferskimi wklejkami przytwierdzonymi do tylnej szyby. - Powiedział pan, że podejrzewał Kas o to, że coś wtedy zataiła. Dlaczego?

- A dlaczego tak to panią interesuje? Co było w tym liście? - Artur wbija we mnie niecierpliwy wzrok.

Kiedy odkłada pudło na ziemię, słyszę, że w środku pobrzękują jakieś przedmioty. Wierzchem dłoni ociera spocone czoło.

- Był chaotyczny - kłamię. - Ale odniosłam wrażenie, że Kas o coś się obwiniała.

- Nigdy jej nie ufałem, ale moja narzeczona zawsze miała słabość do biednych i pokrzywdzonych. - Kiedy wypowiada ostatnie słowa, w powietrzu rysuje palcami cudzysłów.

- Co pan przez to rozumie? - dociekam.

- Kiedy Lara zatrudniała Kas, ta dziewczyna była jednym chodzącym kompleksem. Przyssała się do Lary, zachowywała tak, jakby złapała Pana Boga za nogi. Owszem, prowadziła fanpage'a, zbierała wszystkie informacje, regularnie je publikowała. I takie tam. Co do tego nie mam zastrzeżeń. Ale w tym chodziło o coś więcej niż tylko obowiązki.

- Ich relacja była toksyczna - podsuwam.

Artur kiwa sugestywnie głową. Opiera się o bagażnik, z kieszeni spodni wyciąga zapalniczkę i zmiętego papierosa. Zapala go.

- Tak, ze strony Kas na pewno. - Zaciąga się i wydmuchuje z ust szary obłoczek dymu. Dwoma palcami obraca nasunięty na kciuk srebrny sygnet. - Ona widziała w Larze swoją mentorkę. Wydawało mi się, że z czasem to jej nadskakiwanie, a potem i napastliwość zaczęły Larę męczyć. Ale nic z tym nie robiła. Ona traktowała relację z Kas w kategoriach misji. Albo i nawet odkupienia.

- Odkupienia? - podchwytuję. - Czy w takim razie Lara czuła się czemuś winna?

- To nie miało żadnego związku z Kas. Chodziło o brata Lary, Maksa. To był od lat jej własny wyrzut sumienia. Ale zupełnie niesłusznie - mówi Artur i gwałtownie ucina rozmowę.

Wyrzuca niedopalonego papierosa, otwiera bagażnik i wkłada do środka metalowe pudło. W bagażniku jest bałagan. Piętrzą się w nim poskręcane kable i zgniecione puszki po energetykach. Jest i wymięty koc oraz kilka puszek z farbą.

- Do tej pory nie schwytano sprawcy. Nikogo pan nie podejrzewał? - pytam, czujnie mu się przyglądając.

Mężczyzna zerka na mnie z wyrzutem.

- Podejrzewałem, a jakże - odburkuje ze zniecierpliwieniem.

- Kogo? Kas?

- To ona ją znalazła - odpowiada zdecydowanie, zatrzaskując bagażnik. - To, że nie zebrano przeciwko niej wystarczających dowodów, nie miało dla mnie znaczenia. Była tam, na miejscu, kiedy to się stało. Była ona i jej chora głowa.

- Co nie czyni z niej jeszcze zabójczyni - stwierdzam.

- Ale o co właściwie chodzi? Bierze mnie pani na spytki, wyciąga ze mnie przykre wspomnienia. A ja wciąż nie wiem, do czego pani zmierza. I nadal nie wiem, do czego ta dziewczyna się przyznała. Szczerość albo działa w obie strony, albo nie działa w ogóle - mówi ostrym tonem.

Wiem, że faktycznie tylko tak mogę prowadzić z nim dalej tę rozmowę. Muszę dać mu coś w zamian, muszę dać mu coś, na co czeka. Jeśli tego nie zrobię, to się wycofa.

- Przyznała się jedynie do tego, że widziała ostatnie chwile Lary - mówię.

- Czyli widziała, kto to zrobił? - bardziej stwierdza, niż pyta Artur.

- Nie. A przynajmniej nie wyjawiła tego w liście. Naprawdę był bardzo ogólny. Nie zdradziła niczego więcej. Mieli jakichś podejrzanych? - zmieniam temat.

- Wielu. Policja przez moment typowała nawet uczestników zlotu, a oprócz tego okolicznych dziwaków.

- Czyli kogo konkretnie?

- Nie wtajemniczano mnie w szczegóły śledztwa. Ale wiem na pewno, że przez długi czas na celowniku był jakiś chłopak. Ślady jego naskórka znaleziono pod paznokciami Lary. Miał potężne zadrapania na przedramieniu. Ale potem okazało się, że kilka osób widziało, jak w trakcie

zlotu, podczas przeciągania liny, Lara chwyciła go za ramię i zaparła się, wbijając w nie paznokcie. I stąd te zadrapania. Był też pszczelarz, który mieszkał na skraju lasu i miał z Larą na pieńku. Był też myśliwy. Powiązano go, bo na ciuchach Lary znaleziono włosie z ogona jelenia. Często zdobione są nim myśliwskie czapki. Ale i jemu niczego nie udowodniono. Gość miał podobno mocne alibi. Jedno jest pewne. Gliniarze poruszali się po omacku. I tak już zostało. Niech się pani nie bawi w detektywa. Larze też to nie wyszło na dobre - puentuje enigmatycznie.

Głowa pęka mi od natłoku informacji.

- Co nie wyszło na dobre? - pytam. - Nie rozumiem.

- Snucie teorii - odpowiada, zapalając kolejnego papierosa. Kiedy to robi, kilkakrotnie mruży drgające niespodziewanie powieki. Wygląda to na nerwowy tik. - I stukanie w niewłaściwe drzwi - dodaje po chwili, kiedy powieki nieco się uspokajają. - Bo wszystko zaczęło się od jej nauczycielki i od Murszu, niewielkiego obszaru na terenie Duchnego Lasu, w którym odbył się zlot. Wybór tego miejsca nie był przypadkowy. To właśnie tam jej dawna nauczycielka mieszkała i tam zginęła w płomieniach. To się stało na rok przed śmiercią Lary. Lara bardzo się tym przejęła. Zaczęła snuć teorie, grzebać i pytać. Z czasem nie myślała już trzeźwo. Jakby ten cholerny las i na nią rzucił urok. - W głosie Artura wyczuwam żal i frustrację.

Kiedy milknie, drzwi od strony pasażera się uchylają, słyszę podzwaniające o pulpit paznokcie i zniecierpliwione westchnienie. Po chwili do moich nozdrzy dociera zapach drogich perfum.

- To tyle - rzuca Artur od niechcenia. Kątem oka zerka na uchylone drzwi, po czym czubkiem buta gasi kolejnego peta. - Muszę już jechać - stwierdza.

Wsiada do samochodu, a ja przyglądam się młodej kobiecie. Nie widzę jej twarzy, a jedynie półprofil - zgrabny, lekko zadarty nos, wydatne usta i długie, sięgające pasa, kręcone włosy. Na pewno zadbane tak samo jak i ona. Kobieta patrzy w lusterko i nakłada pomadkę. Potem lekko zaciska wargi i je oblizuje. A wreszcie muska nimi policzek Artura, przed czym on wcale się nie broni.

Przez moment wybiegam myślami w przyszłość. Zastanawiam się, gdzie ja mogłabym zobaczyć siebie w rok po stracie Kuby i swojego dziecka, stracie równie dramatycznej, co niedawna strata tego mężczyzny. Moja wizja nijak ma się do miejsca, w którym on się teraz znajduje. Czas podobno leczy rany, mówi się nawet, że zmarli chcieliby, abyśmy nie

cierpieli. Abyśmy szybko ułożyli sobie życie na nowo. Pocieszajki, wyświechtane frazesy. Bzdury. Bo nie, nie widzę siebie budującej szczęście u boku kogoś innego w takim tempie, jak ten facet, a przynajmniej nie w tak ostentacyjny sposób.

LARA

sierpień 2019

- Co to jest? - Obracam w dłoniach niewielkie pudełko.

- To prezent od ojca - odzywa się mama, kąciki jej ust drgają. Jak zawsze, kiedy wypowiada słowo „ojciec". Wtedy zwykłe robi się nerwowa.

- Zobacz, no otwórz je wreszcie! - woła Maks, mój jedenastoletni brat. Skacze na stojącej w ogrodzie trampolinie. Wzbija się w powietrze i opada, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki radości. Ponagla mnie.

Czerwona kokarda wieńczy przewiązane wstążką czarne metalizowane pudełeczko. Na kokardzie wytłoczone jest moje imię i cyfra osiemnaście. Na kartoniku pobłyskują srebrne drobinki. Mój ojciec zawsze przywiązywał wagę do detali. Kiedy był. Od trzech lat, odkąd rozwiódł się z matką i wyprowadził do Swansea, tylko bywa. Najwyżej raz w roku. Wolałabym w dzień swoich osiemnastych urodzin zobaczyć jego zamiast pudełka. Ale każda namiastka ojca uzmysławia mi tylko to, że nie potrafię się wkurzać. Nie na niego. I to jest mój problem, bo to raczej do siebie mam pretensję o tę pobłażliwość.

- No otwórz - zachęca mama. - Powinnam w zasadzie dać ci ten prezent, kiedy przyjdą goście, ale pomyślałam, że wtedy będzie dużo się działo. Teraz się nim bardziej nacieszysz.

- A więc wiesz, co jest w środku? - pytam mamę, stukając palcem w kartonik. Na drugi palec nawijam wstążkę.

- Chyba nie w środku, tylko na zewnątrz - wypala Maks, po czym zasłania usta, jakby właśnie zdradził najpilniej strzeżony sekret. Chichocze.

Moja ciekawość sięga zenitu. Łapczywie ciągnę za końcówki wstążki, która posłusznie się rozsupłuje. Ściągam wieko i zaglądam do środka. Na kremowym, piankowym wyścielaniu leżą kluczyki od samochodu z przyczepionym do nich breloczkiem w kształcie czterolistnej koniczyny.

- Co to jest? - pytam, pobrzękując nimi.

- No chyba widzisz. Dostałaś furę! - wykrzykuje Maks i chwyta się za głowę. - Chodźmy się przejechać - namawia.

- Nie ma mowy - reaguje stanowczo mama. - Ty masz się przebrać - zwraca się nagląco do Maksa, którego T-shirt umazany jest dżemem truskawkowym. Zresztą jego twarz też nie wygląda lepiej.

- Gdzie on jest? - pytam.

Maks zeskakuje z trampoliny. Idziemy wyłożoną kamieniami wąską ścieżką w stronę wychodzącej na ulicę furtki. Kiedy Maks ją otwiera, moim oczom ukazuje się żółty volkswagen beetle. Moje odwieczne niedoścignione marzenie, którego realizację rezerwowałam na dorosłe życie, nie wcześniej niż za dziesięć lat. Wygląda na używany, ale to nie ma absolutnie znaczenia. Lśni czystością. Jest zjawiskowy, jest mój.

Maks wyrywa mi z ręki kluczyki.

- Zobacz, tutaj odblokowujesz zamek - wykrzykuje podekscytowany chyba bardziej niż ja. Otwiera drzwi i zajmuje miejsce za kierownicą, a potem grzebie przy wmontowanych w kokpicie pokrętłach.

- Podoba ci się? - pyta mama i staje obok mnie. Na jej twarzy pojawia się delikatny uśmiech. A to ostatnio rzadkość. Odejście ojca odebrało jej radość i witalność, a przynajmniej wyssało sporą jej część. Obowiązki prowadzenia firmy spadły tylko na jej barki. Odchodząc, ojciec zostawił coś jeszcze. Informację o innej kobiecie i o tym, że była w naszym życiu już od kilku lat.

- Jest cudny. - Przesuwam palcem po lśniącej czystością karoserii. Nagrzana blacha skrzy się w słońcu. - Ale jak to? Mówiłaś, że to nie jest jeszcze odpowiedni czas.

- Myślę, że na niego zasłużyłaś. - Mama kiwa z przekonaniem głową. - To była nasza wspólna decyzja, moja i ojca.

- Skoczmy tylko po lody. To trzy minuty stąd - nalega mój brat. Szczerzy zęby w tym jego rozbrajającym uśmiechu.

- Później. Ja teraz jadę odebrać garmażerkę, wy się nim tu nacieszcie, a potem przygotujcie do imprezki. Wracam za pół godziny - oznajmia mama i wchodzi przez ganek do domu. Wraca z torebką, wyciąga z niej kluczyki do swojej toyoty i po chwili odjeżdża.

Przebiegam wzrokiem po ogrodzie gotowym na przyjęcie gości. Zastawiony stół, kieliszki, talerzyki, zawieszony między sosnami hamak łopocze na wietrze. Wypełnione helem batony. Jest nawet zawieszona na gałęzi piniata, dźwigająca ciężar znajdujących się w niej słodyczy. Przygotowane do gry bule leżą na trawniku. Perfekcja, głównie w wykonaniu mojej mamy. Na niebie nie widać ani jednej chmurki. I tak ma podobno zostać aż do wieczora. Idealne popołudnie na przyjęcie urodzinowe. Chwilę później, kiedy wyciągam z kuchennej szafki kolorowe słomki, wyrasta przede mną mój brat.

- Masz dziś urodziny, tak czy nie? - W jego oczach widzę cwaniacki błysk.

- A co ci chodzi po głowie? - pytam.

- Lody, tylko trzy minuty stąd. Plisssssss. - Maks składa dłonie i robi tę swoją minę, którą zawsze mnie rozbraja. - Jest cholernie gorąco. - Bierze do ręki gazetę i ostentacyjnie się nią wachluje.

- Po pierwsze nie przeklinaj, po drugie obiecaliśmy mamie - mówię, ale wiem, że zaczynam się wahać.

- Gałka waniliowych i czekoladowych. - Maks wyciąga z kieszeni portfel i nim potrząsa. Znajdujące się w środku drobniaki wesoło pobrzękują. - Z posypką. Ja stawiam. Tu są dokumenty. - Wyciąga przed siebie drugą dłoń z dowodem rejestracyjnym. - Mama włożyła je do szuflady. Weź tylko prawko i jedziemy - dodaje błagalnym tonem.

- No dobra - wzdycham, w końcu mu ulegam. To faktycznie zaledwie dwa kilometry drogi, nie więcej, obliczam w myślach.

Podekscytowany Maks naciąga na czubek głowy swoją ulubioną bejsbolówkę z logo Lakersów, wierzchem dłoni przeciera lepkie usta, kiedy każę mu zmyć dżem. Nim się obejrzę, młody siedzi już w samochodzie, przypięty pasem. W okularach przeciwsłonecznych o okrągłych szkłach, które podkradł mi w zeszłym roku, wygląda szpanersko. Kiedy na niego patrzę, zalewa mnie fala czułości. Po chwili wsiadam do samochodu i wkładam kluczyk do stacyjki, czując eksplodujący we mnie wyrzut adrenaliny. Trzymam kierownicę swojego własnego wozu! Nim ruszę, staram się jednak ochłonąć - sprawdzam, czy beetle *jest gotowy do jazdy.*

Samochód prowadzę po raz pierwszy od dwóch miesięcy, odkąd zdałam egzamin na prawko. Moje nowe auto sunie po asfalcie, posłusznie wchodzi w każdy zakręt, a wskazówka prędkościomierza nie wychyla się poza siedemdziesiątkę dozwoloną na tym odcinku. Po kilku minutach jazdy i kilku kolejnych spędzonych w lodziarni wracamy z dwoma wafelkami wypełnionymi porcją lodów.

- Zapnij pasy - rozkazuję bratu. - I potrzymaj, zjem w domu. - Oddaję mu swoją porcję lodów, włączam kierunkowskaz i patrzę w boczne lusterko. Kiedy upewniam się, że wszystko jest w porządku, włączam się do ruchu.

- Okej - odpowiada Maks i z zapałem bierze się do loda.

Od domu dzieli nas już tylko kilometr prostej drogi. Prowadzę w pełnym skupieniu, po uprzednim sprawdzeniu wszystkich ikonek i pokręteł. Światła - włączone. Olej - odpowiednia temperatura. Klimatyzacja - włączona. Kojący chłód wydobywa się z wentylacyjnej kratki, owiewa nasze uśmiechnięte twarze, gdy Maks rapuje do jakiegoś starego hitu w wykonaniu Coolia. Gangsta's Paradise, *chyba tak ten kawałek się nazywa.*

Jednego nie mogłam przewidzieć. Nikt zresztą nie byłby w stanie. Bo jakie jest prawdopodobieństwo, że mały włochaty kundel postanowi wtargnąć na jezdnię, żeby w jakimś tylko jemu znanym psim celu przeprawić się na drugą stronę? Szansa jedna na milion? Mniej czy więcej? Padło jednak na nas. Odruchowo skręcam gwałtownie kierownicą, by go wyminąć, wciskam hamulec. Pisk opon uderza we mnie z taką samą siłą, jak głośny szum krwi w moich uszach. Potem oba dźwięki zlewają się już tylko w jeden wyjący w mojej głowie tępy syk. Kiedy na powrót otwieram oczy, przedniej szyby już nie ma, zamieniła się w pokrywający mnie grad odłamków. Obracam głowę jak w transie, by sprawdzić, co z Maksem. Nie mogę zapanować nad gonitwą myśli, zaklinam rzeczywistość. Ale to już się stało. Mój brat siedzi w fotelu przypięty pasem, ale nie porusza się, jego ciało wygięte jest pod jakimś dziwnym kątem. Przypomina porzuconą na siedzeniu nieruchomą kukłę.

- Lara, odleciałaś czy co? - Ten głos należy chyba do Artura.

Pozwalam żywemu wciąż we mnie wspomnieniu odpłynąć. Kiedy kontury otaczających mnie przedmiotów powoli się wyostrzają, zauważam przed sobą zaciśniętą dłoń narzeczonego. Trzyma w niej podzwaniające o siebie kluczyki.

- Jesteśmy już prawie na miejscu, jeszcze tylko dwa kilometry. Przesiądźmy się, pojedziesz chociaż ten kawałek lasem - zachęca.

Dwa kilometry - kolejne podobieństwo i ta wyjęta z mojego wspomnienia kombinacja słów sprawiają, że żołądek zaciska mi się w ciasny supeł. Obiecałam Arturowi, kilkakrotnie już zresztą, że kolejnym razem na pewno się odważę. Ale zawsze kończy się tak samo - wymawiam się jakąś bzdurą, byle tego nie zrobić. Od siedmiu lat, odkąd zdarzył się tamten wypadek, nie siadłam ani razu za kierownicą.

- Jeszcze nie teraz - powtarzam, jak zwykle. - Ty prowadź!

Artur nie naciska. Wrzuca jedynkę i rusza. Zza otwartych okien naszego samochodu bucha duchota jednego z najcieplejszych sierpniowych wieczorów. Dochodzi dwudziesta, a nasze ciała wciąż są lepkie od potu. Telepiemy się po wertepach, a z nieutwardzonej drogi co rusz wystają kolejne pułapki korzeni. Nie tylko one nas spowalniają. Koła raz po raz grzęzną w muldach i dziurach. Wzdłuż naszej drogi, przez bagniste obniżenia terenu, biegnie wąska dróżka. Tuż za nią rozciąga się opadające gwałtownie w dół, kilkudziesięciometrowe zbocze. Porasta je mieszany las. U jego podnóża, z prędkością górskiego potoku, przez wąską gardziel przedziera się Radunia.

- Ohyda! Zobaczcie, co on wyprawia! - woła z tylnego siedzenia Wiktoria, jedna z dwóch zatrudnionych przeze mnie dziewczyn. Zajmuje się kręceniem i montażem filmików, a także robieniem zdjęć. Siedząca obok niej Kasandra prowadzi mój urbexowy kanał oraz fanpage'a.

- To jedna z dwóch chat oznaczonych na mapie - dodaje Kas, słyszę, jak stuka paznokciem w wyświetlacz.

Zaintrygowana odwracam głowę, by sprawdzić, o czym mówią. Artur zwalnia. Po drugiej stronie drogi, oddalona od nas o jakieś pięćdziesiąt metrów, stoi drewniana chatka. Znajdujący się na ganku olbrzymi metalowy stół jest nieproporcjonalny w stosunku do niewielkich gabarytów budynku. Pochyla się nad nim facet w umazanym krwią gumowym fartuchu. To o nim mówiła Wika. Na stole leży martwe zwierzę, po porożu i wielkości można się domyślić, że to jeleń. Facet układa go na grzbiecie, w powietrzu błyska ostrze noża. Sprawnym ruchem wykonuje nim podłużne cięcie od mostka do gardła. Następnie wsuwa jedną rękę w głąb ciała zwierzęcia i wyszarpuje jego trzewia. Szybkość i wprawa, z jaką to robi, przyprawiają mnie o dreszcze. Z oporządzanego jelenia wolno wycieka krew.

- Przyjemniaczek - zauważa Artur, jeszcze bardziej zwalniając. - Wie, jak patroszy się zwierzynę.

- Może i wie. Ale biorąc pod uwagę, że w obrębie tego lasu są, a raczej były, tylko trzy domy, to nie chciałabym mieć takiego rzeźnika za sąsiada. - Wiktoria się wzdryga.

W dalszej drodze mijamy jeszcze jedną parcelę. Zza wysokiego żywopłotu nie widać niczego poza ustawionymi tuż za furtką ludowymi drewnianymi rzeźbami ludzi i zwierząt. Wyglądają imponująco, ale mają zniekształcone twarze i wzbudzającą grozę mimikę.

- Ciekawe, czy właściciel wykonał te rzeźby sam... - zastanawiam się głośno.

- To nie są tylko rzeźby - wtrąca Kas. - Możesz ściszyć radio? - zwraca się do Artura. - Posłuchajcie.

Kiedy parkujemy tuż pod bramą, Artur gasi silnik. Znad ustawionych na podeście rzeźb faktycznie dobiega cichy szum.

- *Fuck!* To jest pasieka! - wykrzykuje Wiktoria.

- Nie byle jaka - mówi Kas, w jej głosie wybrzmiewa przechwałka. - To są ule figuralne.

- Czyli co? - docieka Wiktoria.

- Kiedyś wierzono, że takie ule chronią pszczoły przed złymi mocami, spojrzeniem czy zaklęciem. I że to ma wpływ na powstający w takiej pasiece miód. On miał z kolei chronić przed złymi mocami i przed zepsuciem tych, którzy go jedli.

- W takim miejscu, jak to, to faktycznie niegłupi pomysł. - Wiktoria wybucha śmiechem. - A tak w ogóle, to co zaciągnęło samotną matkę do miejsca, któremu przyklejono etykietę polskiego lasu wiedźmy z Blair? Bo słyszałam, że ta nauczycielka mieszkała tutaj tylko z nastoletnią córką.

- Okoliczności - odpowiadam, przypominając sobie przebieg zdarzeń, który znam tylko ze słyszenia. Żałuję, że w porę nie mogłam na nie wpłynąć, a przede wszystkim zapobiec najgorszemu. Wciąż mam wobec swojej biolożki niespłacony dług wdzięczności.

- To są zabobony - wtrąca Artur, zwracając się do Wiktorii. - Bo chyba nie wierzysz w strzygi i upiory?

- Nie takie znowu zabobony - reaguje Kas. - Radiesteci wykryli w niektórych obszarach tego lasu energię o mocy dwudziestu tysięcy jednostek Bovisa.

- Jest jeszcze jedno, historyczny fakt - dorzuca Wiktoria, przecierając dłonią wilgotne czoło. Perlą się na nim kropelki potu. - Ta spalona leśniczówka, a raczej już pogorzelisko, nigdy jakoś nie miała dobrego vibe'u. A przynajmniej ja nie chciałabym mieszkać tam, gdzie Niemcy stworzyli obóz pracy, a jak tylko więźniowie wybudowali bunkry i schrony, dokonali na nich masowego mordu. Bo wiecie, że to się stało właśnie w tym budynku, nie?

- A potem i budynek, i cały teren wokół niego dopadła zaraza - wtrąca Kas ściszonym głosem.

- Zaraza? - podchwytuję.

Kas kiwa sugestywnie głową i rozgląda się po otaczającym nas terenie.

- Z tego powodu ten odcinek lasu ma swoją własną nazwę. Mursz.

- Mursz? A co to właściwie znaczy? - odzywa się Artur.

- Wkrótce po tamtych zdarzeniach iglaste drzewa rosnące w promieniu kilkuset metrów od leśniczówki zaczęła trawić zgnilizna - podejmuje Kas. - To był chyba jakiś grzyb, który wywoływał gnicie korzeni i zamieranie pędów. W kolejnych miesiącach obumierało całe drzewo, zarażając przy tym następne, zgodnie z zasadą domina. Z biegiem lat drzewa przypominały już tylko zmurszałe, smętnie sterczące kikuty. Było zupełnie tak, jakby przyroda wszczęła własny bunt przeciwko temu, co się tutaj

stało. Jakby rośliny wchłonęły krew zamordowanych, która pod ziemią zamieniała się w truciznę. Albo jakby zaciągnięta do lasu ludzka zaraza zniszczyła jego własną barierę ochronną...

Przebiegam wzrokiem po mijanych przez nas sosnach i nielicznych modrzewiach. Wpadający przez okno zapach żywicy poraża mnie intensywnością. Uderza mnie także to, że faktycznie otaczające nas drzewa, choć tryskające zdrowiem, wyglądają na dużo młodsze niż te, które mijaliśmy nieco wcześniej.

- Chyba jesteśmy na miejscu - odzywa się Artur ponurym tonem, kiedy wjeżdżamy na szutrową drogę.

Drewniany budynek z bali, który widziałam tylko na zdjęciach, a który stał tutaj jeszcze przed rokiem, zamienił się w sczerniały szkielet, nadający się jedynie do rozbiórki. W otoczeniu bujnie rosnących sosen strawiona przez ogień leśniczówka wygląda, jakby toczył ją rak. Na dróżce prowadzącej do wejścia osadzony jest pal z przyczepioną do niego metalową tabliczką.

Działka na sprzedaż. Bez pośrednika. 332-972-921

- Lepiej, żeby zburzyli tę budę. Nie zachęca do kupna, raczej odstrasza - mówi Artur, parkując na poboczu.

- Czego tak naprawdę tutaj szukamy? - pyta Wika, kiedy wysiadamy z samochodu. Z pokrowca wyciąga lustrzankę i zdejmuje osłonę z obiektywu.

- Tutaj niczego nie szukamy. To znaczy żadnych zdjęć. - Chwytam za obiektyw i stanowczym ruchem opuszczam go w dół. - Ale możecie powoli iść w kierunku bunkrów i tam nagrać materiał. Mam telefon. - Poklepuję dłonią kieszeń szortów. - Zaraz do was dołączę!

- I co chcesz tutaj robić sama? - Artur przygląda mi się sceptycznie.

- Nie wiem - odpowiadam zgodnie z prawdą. - Chcę tu po prostu przez chwilę pobyć sama. To osobiste tematy - wyjaśniam zdawkowo.

Wiktoria, Artur i Kasandra jeszcze przez chwilę kręcą się wokół pogorzeliska. Potem Artur grzebie w swoim telefonie, by namierzyć dokładną lokalizację bunkrów. Ustalamy wtedy miejsce naszego spotkania.

- Wika? - wołam za oddalającą się dziewczyną, kiedy Artur chowa telefon do kieszeni. Patrząc na jej sylwetkę, nietrudno zgadnąć, czym się zajmuje poza pracą u mnie. Jej nogi są długie i smukłe, a w lekkim, powabnym chodzie widać wypracowaną na treningach gracje. Włosy upięte ma w wysoki, gładki kok. Wiktoria jest zatrudniona w gdyńskim Teatrze

Muzycznym, wykonuje tam powietrzne akrobacje na szarfach. - Jesteś pewna, że od września rezygnujesz? - pytam z nadzieją, że zmieniła zdanie.

Wiktoria rozkłada bezradnie ręce.

- W teatrze kończy mi się kontrakt. Wracam do Francji. Muszę dokończyć studia. Może będę mogła zostać tu jeszcze chwilę, do połowy września, jeśli będziesz miała pilne zlecenia do ogarnięcia - proponuje.

Wtedy podchodzi do nas Kas.

- No to jak? Idziemy? - zwraca się ponaglająco do Wiktorii.

Jej telefon wibruje. Gdy go odblokowuje, by odczytać wiadomość, zauważam, że zmieniła na ekranie portretowe zdjęcie swojego dachowca na naszą wspólną fotografię. Ja i ona podczas jednej z urbexowych eksploracji. Kolejny argument dla Artura, by potwierdzić, że Kas jest dziwna. Ale nie to mnie w niej martwi.

Kiedy ich trzy sylwetki znikają po chwili za drzewami, obchodzę teren pogorzeliska raz jeszcze. Jest niezabezpieczony, żadnego płotu, żadnego ogrodzenia. Można tam tak po prostu wejść. Jeśli ocalały jakiekolwiek meble, to zostały już stąd zabrane. Napotykam jedynie ukruszone biało-granatowe płytki w łazience. Jest jeszcze fragment winylowej wykładziny w korytarzu. Poza tym niemal wszystko strawił ogień. Jedynym znakiem, że kiedyś toczyło się tu życie, jest metalowy stojak z dzwoneczkiem, ustawiony od strony dawnego ogrodu. Nie wiem, czemu miał służyć, ale w kontekście tej zdegradowanej całości wygląda absurdalnie. Podobno niektórzy chodzą na cmentarz, żeby ukoić tęsknotę i poczuć obecność swoich zmarłych. Nie wiem, czy to dlatego chciałam zostać tutaj sama. To dziwne, ale nie zawsze potrafię trafnie odczytywać swoje potrzeby i zamiary. Pozwalam decydować intuicji. Ale jeśli faktycznie tak było, jeśli chciałam poczuć tu obecność mojej nauczycielki, to nic z tego. To tylko cholernie smutne i przygnębiające miejsce.

Wyruszam tą samą drogą, którą kilkanaście minut wcześniej poszedł Artur wraz z dziewczynami. Wydreptana ścieżka szybko przechodzi w grząską i śliską maź, w której odbite są nakładające się na siebie odciski butów. Na chwilę zbaczam z trasy, by lepiej przyjrzeć się dolinie skąpanej w zachodzącym słońcu, schodzę zboczem na sam dół. Widok, który mam przed sobą, zapiera dech w piersiach. Dno doliny wyłożone jest różnobarwnymi głazami, podobno wypłukanymi z polodowcowych osadów. Między kamieniskami rosną falujące w wodzie sploty roślinności. Wyglądają jak wplątane w skały, wijące się włosy topielicy. Po powrocie na

ścieżkę, najwyżej kilka minut później, zauważam odbite w błocie nowe odciski butów. Są inne, olbrzymie. Ktokolwiek tędy przed chwilą przeszedł, miał wielką stopę, jeszcze większą niż Artur, który nosi buty w rozmiarze czterdzieści siedem. Kiedy przykładam do wgłębienia swój but, jego czubek sięga ledwie do połowy. Czuję się trochę nieswojo, wiedząc, że na tym absolutnym pustkowiu bezszelestnie pojawił się ktoś jeszcze, a poza odciskiem buta pozostawił po sobie ohydny stęchły zapach od dawna hodowanego brudu. Opadający na dolinę chłód i zmierzch, a także jakiś rodzaj złego przeczucia przyspieszają moje kroki. Wyciągam telefon z kieszeni spodni i uruchamiam latarkę.

Posiłkując się wyznaczoną w telefonie trasą, docieram kilka minut później na umówione miejsce, czyli pod obsypany wałem ziemnym betonowy sześcian. W stropie dwupoziomowego schronu wydrążono kilka otworów, w których osadzono kamionkowe przepusty. Jego wejście znajduje się wśród gęstych krzaków, spomiędzy których wystaje betonowa platforma. Rozglądam się ostrożnie, ale nikogo nie ma wokół. Kilkanaście schodów prowadzi mnie w dół do podziemnego korytarza, w którym panuje przenikliwy chłód. By się rozgrzać, energicznie pocieram dłońmi ramiona.

- Artur, jesteście tu? - wołam, ale nikt się nie odzywa.

Mieliśmy się spotkać tutaj albo w oddalonym stąd o sto metrów kolejnym schronie. Obie lokalizacje miały nam służyć za scenografię do kilku ujęć, które trafią potem na mój urbexowy kanał. W bunkrze panuje grobowa cisza, ale postanawiam jeszcze wejść do kolejnego pomieszczenia zasypanego butelkami i gruzem. Schron ma formę łamanego korytarza, drugie pomieszczenie, które wydawało mi się ostatnie, przechodzi w jeszcze jedno. Panująca tutaj temperatura nie przekracza paru stopni. By się rozgrzać, kilkakrotnie podskakuję, płosząc nieliczne nietoperze. Pod ścianą zauważam zmurszałe kawałki drewna. Zastanawiam się, czy są to te same, których kilkadziesiąt lat temu używali robotnicy przymusowi. Podobno palili je w ustawionych przy szybach wentylacyjnych beczkach zrobionych z łusek torped. Czytałam o tym kiedyś. Dotykam chropowatej faktury drewna, a wtedy kawałek historii ożywa na nowo.

Ostatnie przejście kończy się zasypaną kolejnym gruzowiskiem ścianą. Przemierzając pomieszczenie, potykam się o porzuconą na podłodze butelkę i upadam, uderzam kolanami o betonową posadzkę. Kurwa! Przewracam się na bok i otrzepuję piekące kolana, które jakimś cudem nie są obtarte. Leżąc w tej pozycji, zwrócona twarzą do ściany, zauważam, że

kilka przylegających do podłogi cegieł jest poluzowanych i lekko wysuniętych. Nie ma mowy, abym mogła je zobaczyć, stojąc. Po ich wysunięciu mogłaby się tam mieścić jakaś skrytka, przechodzi mi przez myśl. Kiedy wyciągam rękę, by to sprawdzić, z oddali dobiega mnie donośny szczęk zatrzaskiwanego metalu. Następujący po nim huk jest niemal ogłuszający, przypomina mi wystrzał pocisku, odbijający się rykoszetem od betonowych ścian. Sparaliżowana ze strachu, podnoszę się powoli z ziemi, przylegam ciałem do ściany i wyłączam latarkę. Dopiero kilka chwil później przesuwam się po omacku do przodu. Czuję tłukące się w piersi serce. Przed wślizgnięciem się do środkowego pomieszczenia wyjmuję telefon i sprawdzam zasięg. Nie ma nawet jednej kreski. No tak, jestem przecież pod ziemią, to jasne. Kurwa! W pomieszczeniu panuje cisza, ale wcale mnie to nie uspokaja. Jest złowieszcza. Poruszam się wzdłuż ściany i docieram do pierwszego pomieszczenia. W miejscu, w którym znajduje się wyjście i z którego powinno wciąż jeszcze wydobywać się blade światło, nic nie dostrzegam. Słyszę przybierający na sile syk, więc chowam się we wnęce. Syk przeradza się w odbijający się od ścian huk. Kiedy wszystko wokół mnie na powrót cichnie, zapalam latarkę i kieruję strumień światła na drogę prowadzącą do wyjścia. Na środku leży roztrzaskana butelka. Odłamki szkła są rozproszone po całej podłodze. Jedynym elementem, który pozostał w całości, jest cienka szyjka zakończona porcelanową zatyczką i metalowym klipsem, pod którym znajduje się zielona gumka. Wokół odłamków szkła pieni się jakaś ciecz.

Dobrze mi znany skok adrenaliny podsuwa dwa rozwiązania - czekaj albo uciekaj. Wybieram to drugie. Ale kiedy docieram do przejścia, nie wygląda ono tak samo jak wcześniej. Zamiast otwartej dziury widzę ciężkie metalowe drzwi. Musiały już tam być wcześniej, tyle że otwarte, więc ich nie zauważyłam. W drzwiach wykrojone jest niewielkie koło o średnicy najwyżej dwudziestu centymetrów. Najprawdopodobniej to tędy wrzucono butelkę. Zapieram się o drzwi i staram się je pchnąć. Ale choć wkładam w to całą siłę, ani drgną, nawet o milimetr. Po drugiej stronie panuje zupełna cisza, nikt się nie odzywa, tylko poruszane przez wiatr liście szeleszczą łagodnie. Sprawdzam raz jeszcze swój telefon, prosząc w myślach o choć jedną kreskę. Tylko jedną przeklętą kreskę. Ale ona wciąż się nie pojawia. Kiedy wyciągam rękę, by spróbować przecisnąć ją wraz z telefonem przez okienko w drzwiach i tam złapać zasięg, po drugiej stronie nagle coś się

zmienia. Słyszę czyjś przyspieszony oddech i zbliżające się w moją stronę ciężkie kroki.

MARIANNA

maj 2018

- Czy to nie one powinny się teraz gęsto tłumaczyć?

- Usiądź, proszę. - Dyrektor odchrząkuje. To facet po pięćdziesiątce, okrągły i rumiany jak pączek. Przygładza klapy marynarki i siada na fotelu przy niewielkim stoliku. Ręką wskazuje mi drugi.

Jego gabinet zagracony zbieranymi przez lata przedmiotami pęka w szwach. Na dwóch górnych półkach regału ustawione są puchary i medale zdobywane latami przez naszych uzdolnionych uczniów. Na kolejnych piętrzą się segregatory i książki. Ostatnią półkę zajmują rodzinne fotografie dyrektora i jakieś bibeloty, chyba pamiątki z podróży. Na ścianie, tuż nad jego głową, zawieszony jest sztandar szkoły. Nasza relacja zawodowa przypomina balansowanie na cienkiej linie. Kiedy sypią się sukcesy moich uczniów, jest dobrze, ale kiedy próbuję pokazać dzieciakom, jak wyjść poza strefę komfortu, jego stosunek do mnie diametralnie się zmienia, szczególnie pod wpływem innych. Asekuranctwo. Myślę, że o to głównie chodzi.

Siadam na wskazanym przez niego miejscu. Czekam.

- One już się z tego tłumaczyły. Chodzi mi o twoją reakcję.

- Agresja powinna być chyba piętnowana. Czy nie takie jest credo naszej szkoły? - pytam, unosząc czujnie brew.

- Nie o tym mówię. - Zbywa mnie machnięciem ręki. - To znaczy, oczywiście, nie tolerujemy agresji w żadnej formie, to jasne - zarzeka się. - Chodzi o twoje zachowanie. Było nieadekwatne. A i to mało powiedziane. Było samobójem. Na filmiku, który rejestruje ten incydent, widać, jak zmuszasz tę Bielawską do podniesienia strzykawki.

- Wiem, o który filmik chodzi - odpowiadam, wiercąc się niespokojnie w fotelu. - Chciałabym jednak wiedzieć, czy te dziewczyny odtworzyły go w całości. Pokazały początek, kiedy tę samą strzykawkę, razem z resztą ohydnych śmieci, wyrzuciły na swoją koleżankę?

- Nie roztrząsamy tutaj ich zachowania, za które zostaną odpowiednio ukarane - mówi dyrektor dobrze mi znanym tonem. Rezerwuje go zawsze na te swoje „trudne rozmowy".

- Wiem, że to było nieodpowiednie - przyznaję z pewną skruchą. - Nie powinna brać strzykawki gołymi rękoma. Ale ja działałam pod wpływem silnych emocji. Podałam jej zresztą chusteczki.

- I to także tłumaczyłem rodzicom Bielawskiej, ale - dyrektor bierze głęboki wdech, zapiera się o drewniany podłokietnik - są też pewne naciski.

- Jakie naciski? - pytam i sztywnieję.

- Postawię sprawę jasno. Niekonwencjonalne metody twojej pracy od zawsze - cmoka i urywa, zauważam, że waży słowa - wzbudzały kontrowersje. Na niektóre wpadki przymykałem oko, bo korzyści przewyższały straty. Tak to ujmijmy - dodaje konspiracyjnym szeptem. - Żaden z nauczycieli nie ma takich wyników jak ty. Młodzież cię lubi, w większości - zaznacza. Bierze kubek z kawą i pociąga łyk.

- Ale? Teraz nie możesz przymknąć oka, tak?

- Ale to nie ty ustalasz zasady panujące w tej szkole. Do tego zmierzałem - oznajmia, odstawia kubek i prostuje się w fotelu.

Kolejny raz przygładza klapy marynarki, to samo robi z krawatem.

- Mówiłeś o naciskach? - drążę temat.

- Rodzice Bielawskiej zawsze szczodrze wspierali naszą szkołę.

- Chodzi o te koszulki dla szkolnej drużyny koszykówki? I o sponsorowanie imprezy z okazji dnia patrona? - prycham drwiąco.

- Nie tylko. Chodzi o ich zaangażowanie i o to, że mamy z nimi dobre relacje, których nie chcę popsuć.

- Angażują się, oj, angażują - odpowiadam kpiąco. Gardzę takimi kolesiowskimi ustawkami. - Dlatego nie starcza im czasu na zaangażowanie się w wychowanie własnej córki. Z nastoletnich agresorek wyrastają agresywne kobiety.

- Możesz mi nie przerywać, proszę?! - Dyrektor ściąga brwi, ton jego głosu staje się ostry. - Mogą narobić kłopotów tobie, a także pośrednio i naszej szkole. Bielawscy, bo to o nich mówię. Znasz procedury. Jeśli niezadowolony rodzic zgłosi incydent do kuratorium, to nigdy nie wiadomo, co będzie dalej. Temat może rozejść się po kościach, ale jeśli ktoś się bardzo postara, to staniesz przed komisją dyscyplinarną. A wtedy już tylko krok dzieli cię od zakazu wykonywania zawodu. - Rozkłada bezradnie ręce.

Oblizuję spierzchnięte wargi. Czuję, że zasycha mi w gardle.

- Dlaczego mnie tym wszystkim straszysz? - pytam i odchrząkuję nerwowo. - Dobrze wiesz, że nie doszłoby do tego.

- Jak mówiłem, są pewne naciski - powtarza. - Nie chcemy rozdmuchiwać tej sprawy, nie chcemy robić afery. Koniec kropka. Rozmawiałem z rodzicami Marty, wiem, że odpuszczą, jeśli wypracujemy z nimi kompromis.

- Jaki? - Przełykam ślinę, a wraz z nią dławiący mnie niepokój.

Przesuwam się na krawędź fotela. Czekam, aż w końcu powie mi, o co chodzi.

- Muszę wpisać w twoje akta naganę i odebrać ci motywacyjne - odpowiada twardo. - A od przyszłego roku zabieram ci wychowawstwo.

Wzdrygam się. Te słowa są jak zdetonowana we mnie bomba, czuję pulsującą w skroniach krew. Nie chodzi mi o motywacyjne. To tylko wszawy grosz, a ja nigdy nie łaszczyłam się na kasę. Przepracowałam setki godzin ponad te, które wpisane są w moją umowę. I za które mi faktycznie płacono. Nagana też nie robi na mnie wrażenia. Ale utrata wychowawstwa to najgorszy cios.

- Moja klasa ma w przyszłym roku maturę. Nie zostawię ich tak po prostu - wypalam i podrywam się z fotela.

- Nikt nie każe ci ich zostawiać - odpowiada dyrektor ze stoickim spokojem. - I ten temat nie podlega dyskusji - podkreśla. - Od teraz jesteś na cenzurowanym. Bądź świadoma tego, że są tu tacy, którzy będą czekać na twoje potknięcie. Wielokrotnie prosiłem, żeby uczniowie nie mówili ci po imieniu. Tym razem nie proszę, tylko żądam. To, jak zwracają się poza budynkiem szkoły, nie ma znaczenia - zaznacza. - Ale tutaj ma panować porządek. Nie chodzi już nawet o to, czy mi się takie spoufalanie podoba, czy nie. Inni nauczyciele się burzą...

- Tylko jeden - wchodzę mu w słowo. - Cholerny zazdrośnik. - Jestem na skraju wybuchu. Wsuwam dłoń do kieszeni i miętoszę kluczyki od samochodu, by zająć czymś ręce i ochłonąć. - Jak zostaną ukarane te dwie dziewczyny?

- Stosownie do ich przewinienia - ucina dyrektor. - Nie odbieraj tego tak, jakby to był atak na ciebie. - Jego głos znów staje się przymilny.

Mdli mnie na myśl o tych jego układach i układzikach. Mam ochotę wykrzyczeć mu w twarz wszystko, co o tym myślę, ale wiem, że to da mu pretekst do poczynienia dalszych kroków, łącznie ze skłóceniem mnie z uczniami.

- To najlepsze wyjście z tej sytuacji - dodaje, jego głos jeszcze przez chwilę rezonuje mi w uszach.

- A co z wycieczką? - pytam. - To już za dwa tygodnie.

- Tutaj jest bez zmian. Po prostu się wtedy pilnuj. To wszystko - dodaje, zabiera ze stolika kubek i skinieniem głowy daje mi znać, że już ze mną skończył.

Wychodzę z budynku i idę na umówione wcześniej spotkanie.

Kiedy mija mnie młoda dziewczyna, ostatni przechodzień w zasięgu mojego wzroku, ocieram ukradkiem łzę. Nie lubię okazywać słabości, a już na pewno nie przy innych. Moja porywcza natura kłóciła się nieraz ze szkolnymi dyrektywami, ale nigdy nic, co robiłam, nie godziło w dobro dzieciaków. Wyciągam z torebki lusterko, z kącika oka usuwam zaciek rozmazanego tuszu. Potem skręcam w skąpaną w słońcu ulicę Żwirki i Wigury. Matka Elizy siedzi już w restauracyjnym ogródku Werandy, w otoczeniu liliowego bzu, obok podświetlanego neonu, tuż przy samym wejściu.

- Przepraszam. Coś mnie po drodze zatrzymało - mówię do Eleonory Nowińskiej, odsuwam krzesło i siadam.

- Nic się nie stało. Ja już zamówiłam. - Uśmiecha się i podsuwa mi kartę menu. - Mają tu świetne frappe.

- A więc wezmę to samo. - Ściągam torebkę i wieszam ją na oparciu krzesła. Eleonora Nowińska od razu przechodzi do rzeczy.

- Pani pierwsza zaproponowała spotkanie, ale i ja chciałam to zrobić. Już od jakiegoś czasu. Też to pani w niej zauważyła? - pyta, patrząc mi prosto w oczy.

Mimo nieco egzotycznej zniewalającej urody na jej twarzy wypisany jest permanentny smutek. Smutek i głęboki niepokój. Matka Elizy ma zgrabny, lekko zadarty nos, a ostro zakończone kąciki oczu układają się w kształt migdała. Choć jest po pięćdziesiątce, cerę ma wciąż gładką. Obstawiam, że to raczej sprawa genów, a nie ingerencji chirurgicznej.

- Zauważyłam? - pytam. - Co ma pani na myśli?

Eleonora bierze w rękę paczkę papierosów i kilkukrotnie ją obraca.

- Eliza się zmieniła - wzdycha. - Na początku roku szkolnego, jeszcze na długo zanim zaczęła chodzić na sesje terapeutyczne. One jej pomagają, bo teraz bardziej niż kiedyś otwiera się przed ludźmi. Ale im bardziej otwiera się przed obcymi, tym bardziej zamyka się przede mną i mężem. Pomyślałam, że może w szkole też taka była, nieobecna? Nie mówię tu o aspergerze, bo to przecież nie minie i zawsze będzie mieć wpływ na jej codzienne funkcjonowanie. Chodzi mi o jakiś inny rodzaj wyobcowania.

Uczy ją pani już drugi rok, więc może pani też coś zauważyła albo Eliza o czymś powiedziała? Ona wciąż niechętnie odnosi się do ludzi, a jednak o pani mówi ciepło, z szacunkiem, jak o przyjacielu.

Po tym, co wydarzyło się w gabinecie dyrektora, te słowa sprawiają mi radość i satysfakcję. Mój upór w dotarciu do tej dziewczyny miał jednak sens.

- Myślałam o tym - odpowiadam. - Zastanawiałam się nawet, czy któreś z państwa nie wywiera na nią nadmiernej presji. Chodzi mi o naukę - uściślam. - Eliza ostatnio przejmuje się znacznie bardziej każdym szkolnym niepowodzeniem.

- Mój mąż jest wymagający, to prawda. - Kobieta bierze szklankę, pobrzękują w niej kostki lodu. - A ostatnio jest także bardzo drażliwy. Nasz wieloletni pracownik okazał się oszustem. - Wyczuwam zakłopotanie w jej głosie. - Ale to nie miało wpływu na zmianę jego stosunku do Elizy. Nasza córka, jak wiele innych dzieci z aspergerem, jest pasjonatką i geniuszem w swoich dziedzinach. A są nimi właśnie biologia i chemia. W ogóle nauka jest jej siłą napędową.

Kiwam na potwierdzenie głową i uśmiecham się na myśl o mojej pochylonej nad książkami uczennicy. Bo tak faktycznie zawsze było, Eliza z naturalną lekkością przyswajała wiedzę.

- Tak, wiem ojej planach - przyznaję z entuzjazmem. - O medycynie w Poznaniu. To bardzo dobry wybór.

- W Poznaniu? - dziwi się matka Elizy.

- Tak, tak zrozumiałam.

- Poznań jest oczywiście alternatywą, ale celujemy raczej w Gdańsk. W każdym razie chciałam prosić o jedno - nagle zmienia temat. - Zbliża się klasowa wycieczka na Kaszuby. Może uda się pani porozmawiać z Elizą i dowiedzieć się, czy coś ją gnębi. Jest szansa, że przed panią się otworzy.

- Jasne, spróbuję - obiecuję.

Jeszcze niedawno nie mogłam doczekać się wspólnego kilkudniowego wypadu ze swoją klasą. Po dzisiejszej rozmowie z dyrektorem na myśl o wycieczce wcale nie tryskam już taką radością. Chodzi o dane tym dzieciakom słowo, którego nie będę mogła dotrzymać. Za ich namową zaplanowałam kilka przygód z gatunku tych ekstremalnych, między innymi nocną wyprawę survivalową i inne. Mój własny plan działania, jak zwykle, był odmienny od szkolnego planu wycieczki. Ale w obecnej sytuacji będę musiała zrezygnować z tych atrakcji. „Są ludzie, którzy będą czekać na

twoje potknięcie" - słowa dyrektora wciąż brzmią w mojej głowie. A ja naprawdę nie mogę stracić tej pracy i zaufania dzieciaków. Nie teraz.

POLA

sierpień 2020

Dopuściłam do tego, przed czym tak bardzo się wzbraniałam. Jeszcze dwa tygodnie temu w zlewie piętrzyły się brudne talerze i garnki, a teraz, owszem, są czyste, może i nawet ustawiłam je na półce w szafce, ale tylko dlatego, że zupełnie przestałam ich używać. Nie gotuję, choć jeszcze niedawno sprawiało mi to wiele radości. W śmietniku piętrzą się za to plastikowe pudełka po jedzeniu na wynos. Ale wciąż jeszcze jem, głównie po to, by mój żołądek wytrzymał końskie dawki leków.

Doświadczyłam ostatnio pewnego paradoksu - by uciec od siebie, a raczej od rodzinnego życia, które budowałam, a które nagle runęło, zaangażowałam się w życie kogoś innego. A wszystko za sprawą sekretu, który powierzyła mi Kas. Tak to sobie tłumaczę.

Jej sekret zaprowadził mnie teraz do mojego własnego laptopa i zmusił do dalszych poszukiwań. Kiedy ekran wybudza się z uśpienia, w wyszukiwarkę wpisuję kombinację kilku haseł. Mam nadzieję, że wyniki powiedzą mi coś więcej o tamtym zlocie. Wszystkie artykuły datowane są na sierpień, wrzesień, a częściowo także na październik dwa tysiące dziewiętnaście. Wydaje się, że potem temat zabójstwa youtuberki zupełnie ucichł. Lakoniczne doniesienia zwykle publikowane były razem z jej zdjęciami. Sprawdzam jeszcze media społecznościowe dziewczyny. Na swoim facebookowym profilu Lara sprawia wrażenie niezłomnej i szczęśliwej. Zgrabna, z ładnie wyrzeźbioną sylwetką, na każdym zdjęciu ma ten sam zadziorny błysk w oku. Blond włosy upięte ma w niewielki

kucyk. Na zdjęciu zapowiadającym zlot Lara wygląda na chłopczycę. Ale rysy jej twarzy są łagodne i delikatne. Być może i w niej mieszkały dwie różne dziewczyny? Sprawdzam jeszcze, kto administrował fanpage'em Lary. Spodziewam się tam znaleźć inicjały lub nazwisko Kas, ale oprócz pseudonimu Kazz, który najpewniej faktycznie stosowała Kasandra, jest jeszcze ktoś, kto posługiwał się inicjałami V.V. Nie udaje mi się znaleźć niczego więcej na temat tej osoby.

Pod ostatnim opublikowanym już po śmierci Lary postem zamieszczono ponad osiemset komentarzy. Ich czytanie raczej nie ma sensu, rezygnuję więc po zapoznaniu się z kilkudziesięcioma, które są tylko wyrazem głębokiego żalu, smutku, złości i niedowierzania. Są też groźby rzucane sporadycznie pod adresem zabójcy. W materiałach prasowych też nie znajduję niczego, o czym bym już nie wiedziała. Poza jedną informacją. W weekendowym wydaniu „Dziennika Bałtyckiego" swój apel do czytelników wystosowała matka dziewczyny. Prosiła wszystkich uczestników zlotu bądź kogokolwiek, kto tamtego wieczoru przejeżdżał obok Duchnego Lasu i coś widział lub coś wie, o kontakt z nią lub z policją. Pod zdjęciem jej zmęczonej, wymizerowanej twarzy pojawiła się wzmianka o tym, że jest właścicielką Flauty - największej gdyńskiej pralni. Nie wiem, czemu ta informacja ma służyć, bo raczej nie wykryciu zabójcy Lary. Ale mnie może się przydać.

Pralnia chemiczna Flauta mieści się u zbiegu ulic Gołębiej i Energetyków, tuż nad gdyńskim portem. Dochodzący z portu rybi fetor jest duszny i odstręczający, zupełnie nie pasuje do zawieszonego nad wejściem błękitnego neonu, który przypomina olbrzymie wodne bąbelki. Jest czysty, radosny i nowoczesny, wkomponowany w prostą modernistyczną bryłę.

Już przy wejściu oplata mnie kojący chłód klimatyzacji. Wystrój jest minimalistyczny. Za ladą siedzi młody, najwyżej dwudziestoletni chłopak. Ma pociągłą twarz, nastroszoną blond czuprynę, nosi okrągłe okulary. Na zapleczu krzątają się dwie pracownice. To młode dziewczyny, które metkują zafoliowane ubrania i umieszczają je na żółtych wieszakach.

- Czy zastałam właścicielkę? - zwracam się do chłopaka. Dopiero wtedy zauważam, że nie siedzi na krześle, ale na wózku inwalidzkim. Mierzy mnie czujnym wzrokiem, a potem kiwa na potwierdzenie głową.

- Mamo! - woła w stronę oświetlonego przejścia na zapleczu.

Zdawkowe słowa Artura o bracie Lary i o jej wyrzucie sumienia nabierają teraz nowego znaczenia, a przynajmniej są zastanawiające. Czy

ten chłopak to właśnie wyrzut sumienia Lary, a jeśli tak, to czy to ona w jakikolwiek sposób odpowiadała za jego niepełnosprawność?

Moje rozmyślania przerywa pojawienie się eleganckiej kobiety w dopasowanym kostiumie. Jej twarz, smutną i piękną, zapamiętałam z internetowego artykułu. Kobieta ma starannie nałożony makijaż i takie same oczy jak jej córka, głęboko osadzone i intensywnie zielone. Różnią się jednak. W oczach Lary widziałam witalność, a oczy matki są przygaszone, zasnute cienką siateczką mgły, przez co wydają się niemal martwe.

- Słucham? - zwraca się do syna.

- Ta pani chciała z tobą rozmawiać. - Chłopak wskazuje na mnie.

Kiedy matka Lary rzuca mi pytające spojrzenie, stawiam na mocne wejście, czyli na coś, co podziała na nią jak wabik. To nie do końca fair, ale liczę, że dzięki temu nie będzie chciała mnie zbyć.

- Chciałam porozmawiać o Larze. Są nowe okoliczności w sprawie jej śmierci...

Przez twarz kobiety przebiega ledwie zauważalny cień. Potem coś jeszcze się w niej zmienia, kurczy się, a oczy się zapadają. Jakby pytanie o córkę obnażyło cierpienie ukryte pod starannie nałożonym makijażem.

- Jest pani z policji? - pyta ostrożnie.

- Nie, ale zdobyłam pewne informacje, które już im przekazałam.

- Chyba nie rozumiem. - Kobieta podchodzi do lady i się o nią opiera. Rzuca mi kolejne wyczekujące spojrzenie. - Czyli znała pani moją córkę?

- Niestety nie - odpowiadam.

Czuję na sobie ciężar spojrzenia chłopaka, a także dwóch pracujących na zapleczu dziewczyn, które wcześniej ze sobą rozmawiały, a teraz zamilkły.

- Możemy porozmawiać na osobności?

Drzwi pralni otwierają się nagle i do środka wchodzi młoda kobieta ze spacerówką i gromadką dzieci. Ich podekscytowane głosiki zagłuszają naszą rozmowę.

- Proszę za mną - odzywa się matka Lary.

Podążam za nią wąskim korytarzem. Niewielki kantorek, do którego po chwili wchodzę, okazuje się jej biurem. Panuje w nim pedantyczny wręcz porządek. Ułożone w chronologicznej kolejności foldery stoją na regałach, długopisy i kolorowe markery ułożone są w równej odległości od faktur tworzących idealnie równy plik. To samo dotyczy spinaczy, pieczątek,

czekoladowego batonika i każdej leżącej na biurku rzeczy. Wszystko ma tutaj swoje miejsce, łącznie z siedzącą za biurkiem właścicielką.

- Znała pani Kasandrę? - pytam, siadając naprzeciwko niej.

Na wspomnienie Kas matka Lary jeszcze bardziej pochmurnieje.

- Prawdę mówiąc, przez ostatnie lata oddaliłyśmy się od siebie. Mam na myśli siebie i córkę. Nie znałam jej, a przynajmniej nie tak, jak kiedyś. Niewiele wiedziałam też o jej współpracownikach. Czy to, o czym chce mi pani powiedzieć, ma związek z tą dziewczyną? - Kładzie dłonie na rachunkach, rozprostowuje je i lekko pochyla się do przodu.

Ujawnienie informacji o Kas kolejnej osobie jest pewnego rodzaju zdradą. Postanawiam powiedzieć tylko tyle, ile będzie naprawdę konieczne. Zresztą najpewniej i tak ta kobieta wkrótce dowiedziałaby się tego od śledczych.

- Myślę, że wiedziała coś o sprawcy. Być może bała się konsekwencji albo jego zemsty, dlatego milczała.

Ciało kobiety sztywnieje.

- Jego? Co ta dziewczyna konkretnie wiedziała? - pyta, ściągając brwi.

- Tego nie wiem. Kas leży nieprzytomna w szpitalu. Wcześniej napisała do mnie lakoniczny list, który przekazałam już policji. Niewiele z niego wynika, poza tym, że wiedziała coś na temat sprawcy.

Kobieta kolejny raz gładzi faktury, kiedy przesuwa nad nimi dłonie, zauważam, że jej palce drżą.

- Czy ona z tego wyjdzie?

- Mam taką nadzieję - odpowiadam z przekonaniem.

Zapada między nami niezręczna cisza.

- O co tu chodzi? - przerywa ją matka Lary. Jej głos jest inny niż poprzednio, przenikliwy i ostry. - Twierdzi pani, że nie zna mojej córki, skąd więc to zainteresowanie? Nie zliczę medialnych hien, które po śmierci Lary przychodziły tu i usiłowały wyciągnąć ze mnie coś, co mogłyby zamienić na pieniądze. Jeśli po to tu pani przyszła, by zarzucić na mnie jakąś fałszywą przynętę, a potem wyciągnąć stąd stare brudy i je opublikować, to może pani natychmiast wyjść.

- Wskazuje ręką uchylone drzwi.

Przekręcam obrączkę na palcu. Ściągam ją i ponownie nakładam. Nie mogę przecież jej powiedzieć, że zabijam w ten sposób stres o życie Kas. Nie mniejszą rolę odgrywa w tym wszystkim również to, że muszę coś

zrobić dla samej siebie, dla swojej równowagi psychicznej, muszę zająć czymś głowę.

- To osobiste sprawy - wzdycham. - Leczyłyśmy się z Kasandrą w tym samym ośrodku, zaprzyjaźniłyśmy się. To do mnie wysłała pożegnalny list, zanim połknęła garść tabletek - wypalam wbrew samej sobie. Jeśli moje słowa ją wystraszyły, matka Lary nie daje tego po sobie poznać. Na jej twarzy maluje się coś w rodzaju ulgi. - Wspominała pani, że wasze drogi się rozeszły. Dlaczego? - pytam.

- To również osobiste powody - ucina, w jej głosie wyczuwam smutek.

- Czy znała pani kogoś o inicjałach V.V.? Albo może o takim pseudonimie? - zmieniam temat. - Mam na myśli kogoś ze współpracowników pani córki - uściślam.

- Była jakaś Wiktoria - mówi matka Lary. Jest zamyślona. - Ale nie wiem, czym się dokładnie zajmowała ani nawet jak się nazywa. Przepraszam, ale jeśli zamierza mnie pani wypytywać, a nie ma mi pani do powiedzenia niczego więcej na temat mojej córki, to muszę wracać do pracy. Na pewno zaniosła pani ten list na policję? - Unosi czujnie brew.

- Oczywiście.

Matka Lary wkłada okulary i zaczyna wertować dokumenty. A raczej udaje, że to robi. Kiedy docieram do wyjścia, zatrzymuję się i odwracam raz jeszcze w jej stronę.

- Jaka ona była? - pytam.

- Kto?

- Lara, pani córka.

Na usta kobiety wypełza blady uśmiech. Odkłada papiery i tęsknym wzrokiem wodzi po grzbietach segregatorów, jakby tam miała znaleźć swoją córkę. Albo jakby czekała na to pytanie.

- Złożona. Równie nieobliczalna, co szlachetna. I zakochana. On uwalniał w niej tę inną, gorszą stronę.

- On, czyli kto? Artur? - podchwytuję.

Matka Lary przenosi wzrok z segregatorów na mnie. Jej oczy niespodziewanie ożywają, błyska w nich iskra gniewu.

- A więc zna go pani?

Kiwam na potwierdzenie głową.

- Skoro tak, to pewnie widziała pani jego bliznę?

Potwierdzam jej słowa kolejnym sugestywnym skinięciem głowy.

- Tak, tak, pamiętam, mam ją pod okiem - przypominam sobie.

- To była jej robota. Podobno w niego nie celowała, ale przecież inaczej odłamki szkła nie rozcięłyby jego policzka, pozostawiając po sobie tak głęboką bliznę. Ten chłopak to była patologia, przy nim moja córka przejmowała podobne zachowania. Pytała pani, dlaczego nasze drogi się rozeszły? Artur był jednym z tych powodów.

To powiedziawszy, kobieta znów pochyliła się nad biurkiem. Zgarbiona wygląda na znacznie starszą i bardziej kruchą niż wcześniej. Szelest zapalczywie kartkowanych faktur daje mi do zrozumienia, że skończyła rozmowę ze mną. Gdy wychodzę z kantorka i zamykam za sobą drzwi, wpadam na znajdującego się w niewielkim korytarzyku brata Lary. Wygląda na to, że podsłuchiwał naszą rozmowę. Jego wózek ustawiony jest do mnie bokiem. Zagradza mi przejście.

- To nieprawda, że chodziło tylko o tego typa - mówi. - Fakt, to był złamas, który ją wysysał jak pijawka. W ten sam sposób ssał też z niej pieniądze.

- W jego głosie słyszę pogardę. - Ale nie dlatego one ze sobą nie rozmawiały. No i druga sprawa: Lara nie upodobniła się do niego, do tego całego Artura. Wręcz przeciwnie. Skończyła z nim na dobre. W przeciwieństwie do matki utrzymywałem z siostrą kontakt, więc wiem - mówi z jakąś bolesną przechwałką w głosie.

- A więc dlaczego Lara i wasza mama nie rozmawiały ze sobą? O co chodziło? O ciebie? - dociekam.

- Może. - Chłopak przechyla głowę i patrzy mi zuchwale w oczy. - To zależy, co pani jeszcze wie o mojej siostrze. I o tej Kasandrze. Co dokładnie było w tamtym liście? - W jego głosie słyszę desperację i chęć wyciągnięcia ze mnie jakichś informacji.

Dalsze ujawnianie szczegółów listu Kas nie wchodzi w grę, nawet jeśli miałoby to w czymś mi pomóc. Nie potrafię rozszyfrować jego intencji. Nie wiem zresztą, komu mogę zaufać, a dalsze nierozważne ujawnianie tego, co wiem, mogłoby narazić Kas na niebezpieczeństwo.

- Nic ponad to, o czym mówiłam - oznajmiam.

Widzę, że mi nie wierzy. Na jego twarzy wypisane jest rozczarowanie.

- Maks, klientka czeka. Trzeba nabić odbiór na kasę. - W przejściu po drugiej stronie korytarzyka pojawia się młoda dziewczyna z trzema zafoliowanymi pakunkami w rękach. Rzuca chłopakowi naglące spojrzenie.

Maks kładzie dłonie na metalowych kołach wózka, niechętnie obraca go w jej stronę. Wydaje mi się, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale w końcu

rezygnuje. Kiedy na moment unosi prawą rękę, spod mankietu jego koszuli wysuwa się spory tatuaż. Na szczupłej dłoni chłopaka tatuaż wygląda jak odciśnięte na skórze piętno. Przedstawia przetrącone drzewo życia z doczepionymi do jego gałęzi małymi prostokącikami. Nie widzę szczegółów, stoję zbyt daleko. Ale pod korzeniami drzewa znajduje się jakiś znak, chyba drukowana litera L, może I. Nie jestem pewna. Kiedy chłopak zauważa, że się przyglądam, zsuwa mankiet i w milczeniu odjeżdża. Stoję jeszcze przez chwilę w korytarzu, rozważając swoje kolejne kroki, a potem wychodzę.

LARA

sierpień 2019

W nocy dźwięki zawsze brzmią inaczej, są zwielokrotnione, bardziej niepokojące, szczególnie te, które rozchodzą się po lesie. Ale to nie one mnie przerażają. Jedynym złem, które czai się w mroku, nie są zwierzęta ani duchy, ani nawet diabelskie moce, w których istnienie wierzą tutaj niektórzy, lecz człowiek. To nie był nastoletni wygłup, tylko działanie z pełną premedytacją. Ktoś zamierzał mnie zranić albo przestraszyć. Pytanie tylko, czy było mu zupełnie obojętne, kto natrafi na zastawioną przez niego pułapkę, czy jednak od samego początku chodziło mu o mnie. Jakkolwiek jest, zamierzam się tego dowiedzieć. Nie należę do tych, którzy unikają konfrontacji. Wręcz przeciwnie, dążę do niej.

- Nie wiem, co by z tobą było, gdybyśmy w porę nie usłyszeli wczoraj tego huku. To on nas do ciebie zaprowadził. Skoro drzwi były zamknięte na zasuwę od zewnątrz, to komuś bardzo zależało, żebyś się tak szybko stamtąd nie wydostała. Wyjaśnisz mi, co po tym wszystkim jeszcze cię tu ciągnie? I dlaczego akurat teraz, w środku nocy? - odzywa się Artur, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Koła naszego wozu wpadają w kolejną dziurę, światła reflektorów tną rozlewający się dookoła mrok, drgają na drodze. Wpadający przez uchyloną szybę zapach żywicy i wilgotnej ziemi jest przyjemny, pierwotny. Jak zawsze, działa na mnie pobudzająco.

- Świr, który zamknął mnie w schronie. To chyba oczywiste. Być może nie tylko na mnie testował tutaj swoje pułapki - mówię, wciąż myśląc o nauczycielce i jej córce, i o tym, jak trudno musiało być im zaadaptować się do tego odludnego i nieprzyjaznego miejsca.

- Jaki masz plan? - Artur zwalnia, kiedy na drodze pojawiają się zrzucone z drzew gałęzie i konary, ślady po wczorajszej nawałnicy. Wymija je.

- Zaparkujmy pod leśniczówką i sprawdźmy najpierw schron. Może zostało w nim coś jeszcze, co przeoczyliśmy.

- A potem? - W jego głosie nie wyczuwam entuzjazmu, raczej niechęć.

- Potem chcę się przyjrzeć tym dwóm parcelom. Z dużym prawdopodobieństwem szukamy kogoś, kto mieszka w tym lesie. Może to

ten myśliwy. Albo gość od dziwnej pasieki. Poza nimi w tym lesie nie ma żywej duszy.

- Albo mówimy o kimś z zewnątrz. O kimś, kto wiedział, że tutaj będziemy, i tylko chciał nas nastraszyć. Mało masz zazdrośników, pseudourbexowców, którzy cię naśladują? I to z marnym efektem. Możliwości jest sporo. Ten nocny spontan jest jak jakieś pieprzone polowanie na czarownice - marudzi Artur. - No i nie uśmiecha mi się zaczajać nocą pod chatą myśliwego... - Wykrzywia z niesmakiem usta.

Rzucam mu pełne politowania spojrzenie.

- Wymiękasz? Możesz zaczekać w aucie.

- Dowcipnisia. - Artur przewraca oczami.

- Wiesz, o czym jeszcze myślałam w kontekście zlotu? - pytam, kiedy chwilę później wjeżdżamy na podjazd leśniczówki. Artur parkuje, wyciąga kluczyk ze stacyjki, ale nie wysiada. Czeka. - O tym, by zmienić miejsce zlotu - mówię. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu, możemy to dobrze przygotować.

- To może postawmy w tym sezonie na Duchny Las, na okolice Murszu. - Artur wybucha gromkim śmiechem i uchyla drzwi.

- Żebyś wiedział. Myślałam o tym, serio. - Kiwam głową z przekonaniem. - Ale wybrałabym jakieś przyjemniejsze miejsce, może skarpę nieopodal rzeki.

Artur czujnie mi się przygląda.

- Ty jesteś naprawdę nieźle szurnięta - mówi, ale wyczuwam w jego słowach cichą aprobatę.

- Poza tym mam pomysł na jedno z zadań integracyjnych - dodaję, wysiadając z auta. - Chodzi o anonimowe kartki, na których wszyscy uczestnicy spisywaliby dręczące ich problemy, które moglibyśmy wspólnie przegadać przy ognisku. Kartki zawiesilibyśmy na gałęziach jednego z drzew, indywidualnie. Potem podchodzilibyśmy pojedynczo i odczytywalibyśmy je na głos, na chybił trafił. Grupowo dawalibyśmy sobie wsparcie i szukalibyśmy właściwych rozwiązań.

- Coś na wzór japońskiego *o-mikuji*? - pyta Artur.

- Tak, tylko że Japończycy z karteczek odczytują zapisane dla nich przepowiednie, dla nas byłaby to taka forma zwierzenia. Drzewo życia, dosłownie. Co o tym myślisz?

- Okej, to jest dobry pomysł - przyznaje. - Ale tylko zakładając, że ludzie będą chętni do zwierzeń.

- Będą. Pamiętaj, że zachowamy pełną anonimowość. Udzielanie rad na forum jest łatwiejsze niż przyznawanie się do własnych słabości. Od tego będzie to drzewo. A poza tym trochę wszyscy się znamy, to już przecież czwarty raz, kiedy organizujemy taki zlot. Nawet jeśli przyjadą na niego zupełnie nowi uczestnicy, a tacy są już też zapisani, to tym bardziej przełamiemy w ten sposób pierwsze lody.

- No dobra. Niech Wiktoria i Kas się tym zajmą. To co, idziemy? - mówi Artur, wysiada z auta i grzebie w bagażniku w poszukiwaniu naszych latarek.

Trasa, którą pokonałam wczoraj o zachodzie słońca, teraz wygląda inaczej. Rozpoznaję ją raczej po dźwiękach i konturach przedmiotów ledwie rysujących się w słabo rozświetlonej ciemności. Mijane drzewa przypominają dygoczące na wietrze, złowieszcze olbrzymy o cienkich, wydłużonych kończynach. Wilgotna kora jest jak oblekający ich ciała srebrzysty pancerz. W oddali słyszę szum wartkiej rzeki, a raczej stale powtarzany przez leśne echo jej szept. Chlupot zanurzanych w mokradłach podeszew i szelest trącanych przez nas gałęzi to tylko niektóre z dźwięków, które w nocnej ciszy potęgują się przynajmniej kilkukrotnie. Wwiercają się w wyostrzający czujność mózg. Ale to w niej, w tej nieprzepuszczalnej ciemności, paradoksalnie czuję się bezpiecznie. Wyposażeni w mocno świecące czołówki po kilku minutach szybkiego marszu docieramy do bunkrów. Artur stoi na czatach, a ja wchodzę do środka, z oczywistych powodów zostawiam drzwi otwarte. Dopiero tam dopada mnie paraliżujący lęk. Kiedy biorę się w garść, zaglądam po kolei do każdego pomieszczenia. Moje skrupulatne poszukiwania nie przynoszą jednak rezultatu. W żadnym z dwóch schronów nie znajduję śladów, które moglibyśmy wcześniej przeoczyć.

- Co teraz? Naprawdę chcesz węszyć dalej pod tamtymi chatami? - odzywa się Artur, kiedy mniej więcej kwadrans później wracamy na miejsce, do zaparkowanego pod leśniczówką wozu.

- Za chwilę - odpowiadam i raz jeszcze idę na teren pogorzeliska.

Ustawiam pokrętło latarki na większą moc. Jasny strumień światła pada wtedy na wybrukowaną alejkę prowadzącą na ganek, a potem na podtrzymujące daszek sczerniałe i zawilgocone belki.

- Co z tym mieszkaniem dla Maksa? - słyszę za sobą głos narzeczonego. Nieruchomieję. Rozmowy o moim bracie zawsze źle się kończą.

- Dokładnie to samo, co poprzednio - odpowiadam ze stoickim spokojem. Idę naprzód przez spalony korytarz. Kiedy dotykam dłonią ściany, by wyminąć gruzowisko na podłodze, osypuje się z niej ukruszony tynk. - Wynajmę mu kawalerkę w klatce obok. Właściwie to już dogadałam się z właścicielem - oznajmiam.

Artur wzdycha ciężko.

- Nie musisz czuć wciąż potrzeby spłacania jakiegoś długu wobec niego - przekonuje, a mnie na te słowa cierpnie skóra. - To był tylko wypadek, nie musisz stale układać mu życia.

Zatrzymuję się w kolejnym pomieszczeniu, a właściwie w przejściu między jednym z pokoi a pozostałościami po tarasie wychodzącym na ogród.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - Odwracam się w stronę Artura. Czuję wzbierający we mnie gniew.

- O tym, że jeśli wynajmiesz mu mieszkanie i będziesz je opłacać, to dzieciak się przyzwyczai. Poza tym będziesz musiała go niańczyć. Przecież on nie radzi sobie z najprostszymi czynnościami.

- Tak cię to dziwi? To jest mój brat. Chcę mu pomóc się usamodzielnić. W bloku jest nie tylko winda, ale i podjazd. I tak, uprzedzając twoje obawy, będę do niego zaglądać i mu pomagać. Cholernie często. Koniec tematu - wyrzucam z siebie jednym tchem.

- Ty będziesz zaglądać do niego, a on pewnie do nas, równie często. A wtedy zrobi się ciasno... - Po swoich słowach Artur stawia wielokropek.

Mój wzrok prześlizguje się po nim, po jego twarzy. Wydaje mi się, że w ciągu tych kilku chwil jej wyraz zupełnie się zmienił. Wpełzł na nią jakiś krzywy cień i tam już pozostał. Jest obca, tak jak obcy wydaje mi się on sam.

- Zostaw dla siebie swoje chujowe mentorskie rady - cedzę przez zaciśnięte zęby. - I gnij sobie w tym swoim egoistycznym komforcie. Sam! - W końcu wybucham.

- No już, nie wściekaj się. - Ton jego głosu nieco łagodnieje. - Mówię tylko, żebyś się zastanowiła. Bo to nie jest na chwilę. A co, jeśli w pewnym momencie zabraknie ci kasy, jeśli on będzie musiał radzić sobie sam? Co wtedy? - pyta uparcie.

Wyciąga ręce i próbuje położyć mi je na ramionach. To stały element próby pojednania. Ostatnio takich prób było w naszym związku wiele. Ale zamiast dawnego czułego uścisku czuję na sobie tylko nieprzyjemny ciężar.

- Nie dotykaj mnie! - Wyszarpuję się i robię krok do tyłu.

Trącam wtedy plecami jakiś znajdujący się na tarasie przedmiot, wysoki i sztywny, który upada z hukiem na ziemię. Tracę równowagę i ląduję na ziemi razem z nim. Z doczepionego do przedmiotu dzwonka wydobywa się wtedy ostry, metaliczny dźwięk. Dociera do mnie, że to pewnie ten pieprzony stojak, który widziałam poprzednim razem.

- Zostaw mnie - warczę, kiedy Artur wyciąga rękę, by pomóc mi podnieść się z ziemi.

- Chcesz tu siedzieć sama? - pyta.

- Dokładnie tak.

Artur wzrusza ramionami.

- Okej, będę na ciebie czekał w samochodzie, jak ochłoniesz - mówi obojętnym tonem i odchodzi.

Siedzę jeszcze przez chwilę na wilgotnej ziemi. Czasem wystarczy kropla, taka jak ta, by przelać czarę goryczy. Przez ostatnie pół roku w naszym związku sukcesywnie wzbierało morze dzielącej nas niezgody. A czasem i wzajemnej pogardy. Połączyły nas wspólne trudne doświadczenia, a oddalał od siebie - paradoksalnie - mój sukces, który on chłonął i którym się napawał. Ostatnio tylko to we mnie widział. To i wszystko inne, co mógłby zamienić w pieniądz. Dawna pasja gdzieś się ulotniła. To samo działo się z naszą miłością. Od tego momentu zaczęłam dostrzegać dzielące nas różnice, z których większość wydaje mi się teraz nie do pogodzenia. Patrzę na błyszczący na moim palcu kamień, piękny i tak cholernie nierzeczywisty. A przede wszystkim niepasujący do mnie od samego początku. Naprawdę nie widzę siebie przy człowieku, w którego od kilku miesięcy Artur się przeistacza. Nie wiem nawet, czy cokolwiek powstrzyma ten postępujący z dnia na dzień rozkład.

Rozlewającą się wokół mnie absolutną ciszę przerywają tylko dwa dźwięki. Jednym z nich jest dobiegająca od strony ganku muzyka, pewnie radio, którego Artur teraz słucha. Drugi dźwięk, poszum trącanych gałęzi, wydobywa się spod korony rosnącego w ogrodzie drzewa, chyba buku. Pewnie jakiś ptak. Nie mam ochoty zostać w tym miejscu, nie teraz, nie z Arturem, więc podrywam się z ziemi z zamiarem jak najszybszego powrotu do domu. Instynktownie podnoszę też przewrócony stojak. Wprawiony w ruch dzwonek po raz kolejny wydaje z siebie ten sam przeraźliwie głośny dźwięk. Sądzę, że dzwonek ma jakieś inne specjalne przeznaczenie, bo jego odgłos ma drażniące ucho rejestry dźwięków. Szelest między gałęziami

znów przybiera na sile. Zupełnie jakby dzwonek i szelest były w pełni zsynchronizowane. Podchodzę pod drzewo i kieruję strumień światła na miejsce, z którego szelest dochodzi. Mniej więcej trzy metry nad ziemią, na drzewie, zamocowana jest drewniana budka z niewielkim wejściem o średnicy najwyżej trzydziestu centymetrów. W jej środku coś się porusza, coś sporego i puchatego. Wracam do stojaka i raz jeszcze wprawiam dzwonek w ruch. Powtarzam tę czynność kilkukrotnie. Za którymś razem z budki wyfruwa puchaty ptak, skrzydła ma szeroko rozpostarte, a spojrzenie wyraziście pomarańczowych oczu wycelowane we mnie. Podobnie jest z trajektorią jego lotu. Sowa kieruje się prosto na mnie, jej zakończone szponami dwa palce skierowane są do przodu, gotowe, by coś chwycić. Jestem pewna, że zaraz mnie zaatakuje, kulę się, zaciskam powieki i dłońmi zasłaniam głowę. Ale nic się nie dzieje. Nic, poza kolejnym dźwiękiem wydobywającym się z tego przeklętego dzwoneczka. Kiedy na powrót prostuję ciało i otwieram oczy, sowa siedzi na stojaku. Jest mniejsza, niż początkowo zakładałam. Ma najwyżej trzydzieści centymetrów. Wierzch jej ciała, duża głowa i zaokrąglone skrzydła są ciemnobrązowe. Pióra mają niezliczoną ilość drobnych włosków, długie uszy zakończone są grubą, ciemną pręgą. Na jej prawą goleń nasunięte jest coś w rodzaju obrączki. Dotychczas nie słyszałam o obrączkowaniu sów, co przecież wcale nie znaczy, że się tego nie robi. Przysuwam się nieco bliżej, by lepiej się jej przyjrzeć - ku mojemu zdziwieniu ptak nie odlatuje, nawet się nie porusza. Ale przez cały czas czujnie mi się przygląda. Rozprostowuję palce i unoszę powoli dłoń, by go dotknąć. Przez głowę przebiega mi myśl, że sowa jest chora. Prawidłowa reakcja dziko żyjącego zwierzęcia powinna być zupełnie inna. Chyba że zostało wytresowane - w głowie błyska mi kolejna myśl. Udaje mi się jej dotknąć, upierzenie sowy jest w dotyku delikatne jak aksamit. Moje palce biegną w dół, w stronę obrączki. Kiedy już mam jej sięgnąć, ptak zagina szpony w kształt litery V, wyglądają na ostre jak igły. Nie wiem, jak odczytać to zachowanie - czy możliwe, że to sygnał ostrzegawczy albo, co gorsza, sygnał gotowości do ataku? Potem wszystko dzieje się błyskawicznie. Sowa wzbija się w powietrze, w ostatniej chwili, nim zdoła odlecieć, udaje mi się odpiąć obrączkę i wyszarpnąć ją z jej nogi. Zaskoczone zwierzę wbija mi szpony w skórę. Ostry ból rozsadza moją dłoń, z rany natychmiast tryska krew i płynie po nadgarstku. Z kieszonki bojówek wydobywam bandankę i owijam ją powyżej rany. Czekam, aż oszołomienie minie, a rana przestanie krwawić. Dzieje się to dosyć szybko.

Wtedy przypominam sobie, że w zranionej ręce nadal trzymam swoją zdobycz. Obracam ją w palcach. Macam jej gładką, a gdzieniegdzie pordzewiałą powierzchnię. Z całą pewnością ten niewielki elektroniczny przedmiot nie jest obrączką. Nie wiem, do czego służy. Nie widziałam czegoś takiego nigdy wcześniej.

MARIANNA

maj 2018

- Będziemy się prowadzić za rączkę jak jakieś przedszkolaki? - marudzi Dawid. Jego donośny głos odbija się echem o puste mury pomieszczenia, które kiedyś miało być salą balową. Zamek w Łapalicach, a właściwie pustostan o powierzchni pięciu tysięcy metrów kwadratowych i samozwańcza atrakcja Kaszub, niszczeje od ponad dwudziestu lat. Pozostali uczniowie, a także Matylda, moja czternastoletnia córka, rozproszeni są gdzieś na kilku kondygnacjach tego zamczyska.

- Masz na myśli tę obiecaną wcześniej wspinaczkę? - pytam, choć dobrze wiem, że właśnie o to mu chodzi.

- Ta południowa ściana aż się prosi, żeby się na nią wspiąć - przekonuje chłopak. - Zabrałem uprząż i wszystko to, co potrzebne. - Poklepuje obszerną kieszeń swojego plecaka. - Na ścianie zainstalowane są uchwyty wspinaczkowe, w wersji pro. Sprawdziłem. To przecież prościzna, nawet dla amatora.

Potrząsam kategorycznie głową.

- Nie wszystko zależy ode mnie. Wiesz dobrze, że plan wycieczki się zmienił.

- Odkąd zołzy nakręciły tamtą aferę, tak? Bo od tego czasu jest jakoś inaczej... - mówi z wyrzutem i bada moją reakcję.

- Dodałam lepszy punkt do nowego planu - odpowiadam wymijająco. - Chodź, pomożesz mi rozpalić ognisko. - Wskazuję na pobliskie jezioro i na leśną polanę, gdzie przygotowano palenisko. Zerkam na wyświetlacz telefonu. Dochodzi dwudziesta, czyli godzina naszej zbiórki.

Dni są co prawda coraz dłuższe, ale teraz zaczyna się już ściemniać. Nad przylegającym do zamku jeziorem unoszą się opary szarej mgły, zanikający ślad po upalnym majowym popołudniu. Drwa na ognisko i prowiant, głównie kiełbaski i napoje, zorganizowałam wcześniej wraz z Miłoszem, praktykantem, a jednocześnie drugim opiekunem naszej wycieczki. Na wyjazd zapisanych było dwadzieścia osiem osób, czyli wszyscy uczniowie mojej klasy. Przyjechaliśmy na Kaszuby niemal w komplecie, z wyjątkiem Julii, którą dwa dni wcześniej rozłożyła choroba. Dawid miał rację - podchodzę do tego wyjazdu asekuracyjnie, nad czym

ubolewam. Bo to nie jestem ja, a to, do czego się zmuszam, nie leży w mojej spontanicznej naturze. Ale mam jeden ważny powód. Ostrzeżenie dyrektora - zważywszy na moją sytuację materialną i spłacany kredyt, który zaciągnął na swój eksperymentalny projekt mój zmarły mąż - zabija we mnie naturalne odruchy.

O ustalonej godzinie spotykamy się całą grupą pod bramą wjazdową i przechodzimy wspólnie na polanę. Moi uczniowie siadają na rozstawionych wokół ogniska pniach, wkrótce tworzą się niewielkie grupy, a atmosfera coraz bardziej się rozluźnia. Radosne głosy nastolatków niosą się po tafli jeziora. Nawet Eliza, stojąca na początku z boku, przyłącza się do chichoczących Magdy i Gabrysi. Dawid i Miłosz rozpalają ognisko, a reszta dzieciaków rozpierzcha się po lasku w poszukiwaniu patyków odpowiednich do pieczenia kiełbasek.

- Co powiecie na grę w dwie prawdy i jedno kłamstwo? - proponuję, kiedy kilkanaście minut później, skupieni wokół ogniska z ponadziewanymi na patyki kiełbaskami, wpatrujemy się w pomarańczowe jęzory ognia.

Na leśnej polanie słychać pomruk aprobaty.

- A o co w tym chodzi? - pyta siedząca najbliżej ogniska Magda.

- Mówisz trzy anegdotki na swój temat, dwie prawdziwe historie i jedno kłamstwo - podejmuje wątek Dawid. - Trzeba je opowiedzieć w taki sposób, by pozostali nie domyślili się, co jest prawdą, a co łgarstwem. Gra trwa kilka rund, dopóki mistrzowie kłamstwa nie stoczą ze sobą ostatecznego pojedynku. To tak w pigułce. Coś przekręciłem? - Rzuca mi pytające spojrzenie.

- Okej. A jaką mamy pewność, że kłamca w ostatniej chwili nie zmieni swojej wersji na swoją korzyść? - docieka Magda, nim zdążę odpowiedzieć Dawidowi.

- Nie zmieni, bo zanim zacznie je opowiadać, zapisze wszystko tutaj. Wystarczy, że poda numer zmyślonej historii - tłumaczę. Wyciągam z torby plik kartek i długopis. Kładę je na stojącym przede mną pniu.

- No dobra, to kto zaczyna? - pyta podekscytowana Gabrysia i zaciera ręce.

- Pieńki, na których siedzicie, są ponumerowane - objaśniam, po czym z torby wyciągam miniaturowe koło fortuny domowej roboty, na którym porozmieszczane są cyfry, od jednego do dwudziestu dziewięciu. Kręcę kołem, a drewniany wskaźnik zatrzymuje się na jednej z cyfr. - Kto ma osiemnastkę? - rzucam.

Moje pytanie wywołuje poruszenie, wszyscy podnoszą się ze swoich pieńków i dokładnie im się przyglądają.

- Wygląda na to, że ja lecę na spowiedź pierwsza. - Magda unosi prawą dłoń, podciąga długą powłóczystą sukienkę i podchodzi do pieńka, na którym leżą kartki. Zapisuje na jednej z nich kilka słów i staje na pieńku tuż przy palenisku. - Rozumiem, że to mają być wersje ocenzurowane? - Zerka na moją córkę siedzącą obok i wybucha śmiechem.

- A tak w ogóle, to kto zgaduje? - wtrąca Miłosz, drugi opiekun grupy, który jest na dobrą sprawę niewiele starszy od moich dzieciaków. We wrześniu przez kilka tygodni odbywał w naszej szkole praktyki, za zgodą dyrektora pojechał na wycieczkę w tej nowej dla siebie roli.

- Dwie osoby. Te, które mają cyfrę poprzedzającą i następującą po wylosowanej - wyjaśniam.

Trzy historie w wykonaniu Magdy, która od zawsze słynęła z popisów aktorskich, wirtuozerii słowa i soczystych szczegółów swoich opowiadań, wprowadzają w błąd tych, którzy mają zgadywać, mnie również. Magda schodzi triumfalnie z pieńka z dwoma punktami i to ona kręci kołem. Jego wskaźnik tym razem zatrzymuje się na jedenastce.

- Kto ma jedenastkę? - pytam i rozglądam się dookoła.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywa. Z pieńka w pełnej wyczekiwania ciszy w końcu nieśmiało podnosi się Eliza. Na głowie ma wianek z białej koniczyny, wygląda w nim jak zawstydzona obecnością ludzi rusałka, która przed chwilą wyłoniła się spod tafli jeziora, nie wiedząc, gdzie się znalazła. Podobnie jak wcześniej Magda, Eliza zapisuje na kartce swoje kłamstwo, zgina ją na pół i odkłada. Zamiast wejść na pieniek, siada na nim, skulona i nadal nieco speszona. Wiem, że udział w grze wiele ją kosztuje, biorąc pod uwagę, jak bardzo nie lubi być w centrum zainteresowania.

- Pierwsza sytuacja miała miejsce na promie, w drodze do Ahlbecku. Stałam w kolejce do sklepiku wolnocłowego, pod pokładem, podczas sztormu, ledwie powstrzymywałam mdłości. Cierpię na chorobę morską, ale chodziło mi o jakieś draże z limitowanej edycji, które chciałam wtedy koniecznie mieć, jak to łakomy dzieciak... - Mówiąc to, Eliza powoli podnosi głowę. Przebiega nieśmiało wzrokiem po twarzach przysłuchujących się jej kolegów. - Więc ustawiłam się w kolejce do tamtego sklepiku - dodaje z większym wigorem. - Kiedy jakiś czas później wyszłam z pustym już opakowaniem na pokład, nie tylko okazało się, że

prom dobił do brzegu, ale zdążył też odpłynąć z powrotem. Smak tych drażetek i to, jak było mi wtedy po nich niedobrze, zapamiętam chyba do końca życia. - Eliza uśmiecha się półgębkiem, nieco się rozluźnia. - Moi rodzice i bracia zostali na brzegu, myśleli, że i ja już zeszłam z promu. W rzeczywistości całą tę przymusową drogę powrotną do portu w Świnoujściu przesiedziałam w toalecie. Miałam po tym dosyć podróży morskich na kilka następnych lat. To historia pierwsza - zaznacza, zachowuje kamienną twarz. - Kolejna dotyczy poprzedniej szkoły. Przez jakiś miesiąc w pierwszej klasie kserowano z mojego podręcznika do angola początkowe rozdziały, bo nikt jeszcze wtedy nie miał książki. Problem w tym, że w przypływie głupawki zapisałam na tych stronach jakieś bzdurki-koszmarki, które odbiły się razem z zadrukowanym tekstem. To był straszliwy obciach. Wszyscy te moje zapiski potem czytali. No i historia trzecia. Perfidnie oszukałam kogoś ze swoich bliskich, chodziło o sporą sumę, którą sobie przywłaszczyłam, a winę zrzuciłam na kuzynkę, której moi rodzice ufali. - Dziewczyna wypowiada te słowa jednym tchem bez zająknięcia.

Kiedy kończy, pierwsza do wytypowania kłamstwa zgłasza się siedząca obok Elizy „dziesiątka", czyli moja córka Matylda.

- Dwie pierwsze opowieści są prawdą, trzecia to ścierna - odpowiada bez wahania. - Złodziej nie przyznawałby się do kradzieży na forum, przy prawie trzydziestu świadkach. To byłby samobój - dodaje.

Patrząc na nią, nie mogę oprzeć się wrażeniu, jak bardzo moje dziecko podobne jest do swojego ojca, w okresie dojrzewania te podobieństwa tylko się nasiliły. Matylda ma jego śmiejące się oczy i błyszczące kręcone włosy w kolorze granatowej czerni, które wyglądają, jakby schły po wynurzeniu z atramentu. Ma też jasną, mlecznobiałą wręcz skórę, a także taką samą jak ojciec, smukłą budowę ciała. „Dwunastka", czyli Karina, przyłącza się do teorii Matyldy, podając podobne do mojej córki argumenty. Kilka chwil później, po rozłożeniu kartki, okazuje się, że obie dziewczyny miały rację. Ostatnia fabuła była nieprawdą. Jestem chyba jedyną osobą, której coś tutaj zgrzyta. Przytoczona przez Elizę trzecia sytuacja jest zadziwiająco zbieżna z incydentem, o którym wspomniała jej matka, tym o przywłaszczeniu pieniędzy przez zaufanego pracownika. Może to tylko moja wyostrzona czujność albo po prostu Eliza wykorzystała część tej znanej sobie historii, by wymyślić zbudowane na prawdzie kłamstwo. To jednak nie jest jedyny powód, dla którego chcę z nią jak najszybciej porozmawiać.

Kiedy dwie godziny później gra dobiega końca, jeden z moich uczniów, Mateusz, ponawia wcześniejszą prośbę. Po drugiej stronie wioski za pół godziny ma wystąpić Rojek ze swoim zespołem. Pozwalam jemu i czternastu innym uczniom pójść na koncert pod opieką Miłosza. Reszta zostaje ze mną, gawędzą w niewielkich grupkach przy ognisku. Wykorzystuję ten moment na rozmowę z siedzącą samotnie Elizą.

- Masz ochotę się przejść? - pytam, wskazując na pogrążoną w mroku polanę.

- Ale dokąd pójdziemy? - Dziewczyna obrzuca mnie pełnym zdziwienia spojrzeniem. - Jest już strasznie ciemno.

- To tylko dwa kroki stąd. Chodź.

- Okej. - Wzrusza ramionami i kiwa bez przekonania głową, ale idzie we wskazanym przeze mnie kierunku.

Przedzieramy się przez smagające nasze stopy samosiejki i wysokie, sięgające kolan trawy, a towarzyszące nam świerszcze dają popisowy koncert. Docieramy na miejsce, wszystko cichnie, dobiegające znad polany salwy śmiechu stają się po chwili już tylko odległym echem.

- Czułam, że ostatnio chciałaś mi o czymś powiedzieć, ale nie było czasu, okoliczności też nie sprzyjały.

Eliza zatrzymuje się i odwraca, nasze spojrzenia przelotnie się spotykają. Choć wokół rozlewa się niemal zupełna ciemność, widzę, że w jej oczach czai się strach.

- Co ma pani na myśli?

- Dlaczego wspomniałaś dzisiaj o sytuacji, w której przywłaszczasz sobie pieniądze rodziców?

- Niczego takiego nie powiedziałam. To przecież było kłamstwo - zarzeka się.

- Twoja mama wspominała, że jeden z pracowników okradł twojego tatę.

- Rozmawiała pani z moją mamą? Po co? - Eliza cofa się, unosi ręce i osłania nimi głowę, zupełnie jakby chciała się ochronić przed nadchodzącym ciosem.

- Cokolwiek cię dręczy, powiedz mi, wszystko zostanie między nami - zapewniam. - Nie ma nic gorszego niż zżerające od środka czarne myśli, którymi się karmisz i nie masz z kim się nimi podzielić. Wiem, co potrafią zrobić. Jak bardzo potrafią zniszczyć. Chodź, pogadamy. - Wskazuję na porośnięte mchem, wyszczerbione schody. Eliza rozgląda się wokół, jakby

zastanawiała się, czy lepiej nie uciec, ale po chwili wahania dołącza do mnie. Siadamy na schodkach. - Co się dzieje w twoim domu? Dlaczego teraz tak bardzo przeżywasz każdą porażkę w szkole?

- Bo dobre oceny to dla mnie być albo nie być - odpowiada i zwiesza głowę.

- Nie musisz się obawiać o studia, z dużym prawdopodobieństwem zostaniesz przyjęta na któryś z gdańskich wydziałów medycyny.

- „Z dużym prawdopodobieństwem" to dla mnie za mało. A poza tym nie mogę studiować w Trójmieście. Nie chcę.

- Nie rozumiem. Dlaczego?

Eliza potrząsa głową.

- Jak powiem, to znienawidzi mnie pani - odpowiada, jej wzrok wciąż utkwiony jest w ziemi. Eliza zwykle dość często unika kontaktu wzrokowego, ale mam nieodparte wrażenie, że tym razem kryje się za tym coś jeszcze.

- Możesz mi zaufać, obiecuję, że to zostanie między nami - zapewniam raz jeszcze z przekonaniem.

Czubkiem trampka Eliza drąży w ziemi dziurę, wiem, że nad czymś się zastanawia. Na pewno nie należy na nią naciskać. Czekam więc w milczeniu, aż się przede mną otworzy.

- Mam swoje problemy, ale to nie tak, że nie mogę sama funkcjonować. Potrafię, tylko trochę inaczej niż wszyscy. A mama, ojciec zresztą też, traktują mnie tak, jakbym była zależna od nich, niesamodzielna. Układają mi swój plan na życie. Studia w Gdańsku, wyniki spod linijki, ich oddech na moim karku, na każdym kroku. Wiem, że przemawia przez nich troska, ale nie pozwalają mi samodzielnie o sobie decydować. Organizują mi nawet wolny czas, a wszystko zapisane jest w grafiku, którego muszę się trzymać. Korki z matmy, z biologii, z chemii, pianino, joga, łucznictwo. Zostaje mi tylko godzina relaksu dziennie. A i ona wpisana jest w ten przeklęty grafik. - Eliza podnosi wzrok, nasze spojrzenia znów się spotykają. Kiwnięciem głowy daję jej znać, że ma moją aprobatę, że może bez obaw mówić dalej. - Zrobiłam to, by móc się od nich uwolnić - szepcze.

- Zrobiłaś, ale co? - pytam, choć obawiam się, że już znam odpowiedź.

- Zabrałam te pieniądze z zamkniętej kasy w firmie ojca, wcześniej dorobiłam do niej kluczyk. Tak, jestem złodziejką. - Ostatnie słowa wypowiada z widocznym niesmakiem i zażenowaniem.

Staram się stłumić emocje. Nie chcę, żeby w moim głosie słychać było oskarżenie.

- Dlaczego? - pytam.

- By się usamodzielnić, na start w nowym mieście - odpowiada, jest nadal spięta, oddech ma przyspieszony. Czuję, że to nie koniec, że Eliza chce wyznać mi coś jeszcze. - Chciałam wynająć pokój w Poznaniu, tam studiować i pracować. Nie wiedziałam, że to tak się potoczy, że oskarżony zostanie pan Andrzej. Bo nie tylko on miał dostęp do kasy. Myślałam, że ojciec się nie połapie, że podejrzanych będzie więcej. Ale to jeszcze nie wszystko - mówi zgodnie z moim przypuszczeniem. Bierze głęboki wdech. - Ktoś się o tym dowiedział. Nie wiem, w jaki sposób, bo nikomu nie mówiłam, byłam ostrożna. A przynajmniej tak mi się wydawało. Dwa tygodnie temu na skrzynkę mailową przyszła wiadomość, która wyglądała na wysłaną z mojego własnego adresu. Może ktoś się na nią włamał - tego nie wiem. W każdym razie ten, kto mi ją wysłał, zażądał pięciu tysięcy złotych, czyli dokładnie tyle, ile ukradłam. Kazał mi zapłacić kryptowalutą. Jeśli nie zapłacę, ujawni, co zrobiłam.

- Takie wiadomości z żądaniami zapłaty to fejki, wysyłane są często zupełnie przypadkowym osobom - reaguję, choć mam mętlik w głowie. Nie takiego wyznania się spodziewałam.

- Wiem, ale to nie był przypadek. On wiedział. Znał wszystkie szczegóły. Pisał o nich.

- W zasadzie nie ma znaczenia, czy to był fejk, czy nie. Wiesz, co musisz zrobić, prawda?

Dziewczyna energicznie potrząsa głową. Przesuwa się na krawędź schodów, byle dalej ode mnie.

- Nie mogę przyznać się rodzicom. Nie wybaczą mi tego - oznajmia kategorycznie.

- Myślę, że nie masz wyjścia. Musicie zgłosić to na policję - przekonuję.

Eliza po raz kolejny potrząsa głową, jeszcze bardziej zdecydowanie niż poprzednio. Jest śmiertelnie przerażona.

- Nie zna ich pani. Zamiotą wszystko pod dywan, a potem i tak zrobią swoje. Będą mieli pretekst, by mnie ukarać i kontrolować jeszcze bardziej.

- Mogę ci pomóc, możemy z nimi porozmawiać razem - zapewniam. Mój głos brzmi łagodnie i zachęcająco.

Eliza podrywa się z miejsca i patrzy na mnie z wyrzutem.

- Nie ma mowy! - wykrzykuje.

Kiedy mam zareagować, słyszę nawołujący mnie głos mojej córki. Zostawiam Elizę i kierowana złym przeczuciem wybiegam na ścieżkę. Matylda wygląda na przerażoną. Jej pobladła twarz też nie zwiastuje niczego dobrego.

- Mamo, chodź szybko! - woła. - Jeden z tych chłopaków, zdaje się Ksawery... Coś mu się stało. Leży na ziemi. Chyba wspinał się po ściance razem z tym drugim, który przyniósł ze sobą liny.

Żołądek zaciska mi się w ciasny supeł, serce bije jak szalone.

- Gdzie to się stało?!

- No mówię przecież, pod ścianą wspinaczkową.

Nie czekając na dalsze wyjaśnienia córki, przedzieram się przez porośniętą krzakami alejkę, byle dostać się jak najszybciej pod południową ścianę zamczyska, bo tam zamocowana jest ścianka wspinaczkowa. Kiedy dobiegam na miejsce, uczniowie z latarkami skupieni są wokół leżącego bez ruchu Ksawerego. To na pewno on, poznaję po charakterystycznych neonowych sznurówkach i konwersach na grubej białej podeszwie. Na jeden krótki moment wszystko wokół się rozmywa i wypełnia jasną poświatą, a potem zamiera, zamieram też i ja. Nie wiem, ile czasu upływa, nim udaje mi się przedrzeć przez ten mur nastolatków. Pochylam się nad rannym uczniem.

Trzy tygodnie później rozmawiam z dyrektorem szkoły.

- Nie możesz mieć do mnie o to pretensji. Była komisja dyscyplinarna i kuratorium wydało tę decyzję. Decyzję wiążącą. - Dyrektor odsuwa od siebie list, na którym widnieje decyzja o moim zwolnieniu z zakazem wykonywania zawodu nauczyciela przez okres trzech lat. - Z mojego punktu widzenia decyzja nie mogła być inna - dodaje z wystudiowanym żalem. - Rodzice Ksawerego wnieśli sprawę do sądu. Grozi ci rok więzienia. Co oczywiście nie oznacza, że zostaniesz na tyle skazana ani że zostaniesz skazana w ogóle. Osobiście nie sądzę, by tak się stało. Chodzi jednak o to, że zarzuty są poważne. A kuratorium musiało stosownie do tego zareagować.

- To wszystko jest irracjonalne. To był wypadek - mówię łamiącym się głosem, bo ledwie udaje mi się powstrzymać napływające do oczu łzy. Po raz pierwszy od dawna, od śmierci męża, czuję obezwładniającą mnie bezsilność. - Oddalili się wbrew mojej woli. Wyraźnie im powiedziałam - i Dawidowi, i całej reszcie - że wspinaczka jest odwołana.

Mariusz Witkiewicz rozkłada bezradnie ręce. Ma beznamiętny wyraz twarzy. Pochyla się nad swoim biurkiem, splata dłonie nad leżącymi na nim dokumentami.

- Tak jak mówiłem, decyzja nie zależy ode mnie. Choć od siebie mogę dodać coś jeszcze. Na pewno nie pomaga to, że wcześniej obiecałaś im tę wspinaczkę. To działa na twoją niekorzyść - dodaje teraz oskarżycielskim tonem.

- I chcesz powiedzieć: „A nie mówiłem"?

- To ty powiedziałaś. Ale fakt, ostrzegałem cię wcześniej - mówi i skubie krawędź leżącej na biurku teczki.

- Wiesz, w jakiej jestem sytuacji. Bez możliwości wykonywania zawodu nie opłacę nawet czynszu, nie mówiąc już o spłaceniu kredytu Marka.

Dyrektor przesuwa teczkę na krawędź stołu, poprawia klapy marynarki. Sprawia wrażenie kogoś, kto ma już dość, i szykuje się do wyjścia.

- Powtarzam: chciałbym pomóc, ale nic u mnie nie wskórasz. Na pewno coś sobie znajdziesz. Nawet jeśli będzie to poniżej kwalifikacji, to czasami trzeba opuścić gardę. I brać, co się nawinie. Zresztą masz gdzie mieszkać. Twój ojciec zostawił ci leśniczówkę w Duchnym Lesie. Dobrze pamiętam? - Po raz pierwszy w trakcie naszej rozmowy dyrektor patrzy mi prosto w oczy. Nie podoba mi się to, co widzę w jego spojrzeniu. Czai się tam cicha pogarda zawoalowana życzliwością.

- To złe miejsce, w środku leśnej głuszy, nadające się bardziej do rozbiórki niż zamieszkania - mówię z niechęcią. Dokładnie to czuję do tego domu. - Mam dorastającą córkę, która w przyszłym roku zaczyna naukę w liceum. A ta leśniczówka jest ponad trzydzieści kilometrów od najbliższej szkoły.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć ponad to, że musicie obie jakoś to przetrwać. Mogę obiecać, że jeśli zostanę wezwany na rozprawę, to wstawię się za tobą. - Nerwowo zerka za okno swojego gabinetu. - Naprawdę powinnaś już iść.

Wychodzę z gabinetu z poczuciem klęski. Budynek szkoły, w którym spędziłam ostatnich dwanaście lat życia, był dla mnie drugim domem. Mimo sporadycznych utarczek, głównie z dyrekcją i jednym z nauczycieli, różnych drobnych problemów, które też miały tutaj miejsce, najważniejsze było zawsze to, co współtworzyłam z uczniami. Sukcesy i rozmowy; to one wypełniały tę przestrzeń.

Duchny Las, a w zasadzie Mursz, w którym stoi leśniczówka, to miejsce skrajnie inne, zawsze było mi obce, a w pewien sposób, za sprawą jego historii, nawet przerażające. To spadek po ojcu. Nie miałam serca zajrzeć tam po jego śmierci, nie mówiąc już o tym, żeby zostać tam na noc. Jednak teraz, kiedy dosłownie mam nóż na gardle, przeprowadzka wydaje się faktycznie jedynym sensownym rozwiązaniem.

POLA

sierpień 2020

- Czego pani znowu ode mnie chce? - krzyczy z oddali Artur, najwyraźniej mnie rozpoznając. Przemierza parking sprężystym krokiem, na jego twarzy maluje się grymas niezadowolenia. Oczywiście nie miałam pewności, czy następnego dnia narzeczony Lary będzie kończył pracę o tej samej porze, ale okazało się, że warto było zaryzykować.

- Może się pani odsunąć? Spieszę się - warczy. Opieram się o drzwi jego samochodu. Ani myślę ruszyć się z miejsca.

- Pan i rodzina narzeczonej, przyszła teściowa oraz niedoszły szwagier, chyba za sobą nie przepadaliście? - rzucam konfrontacyjnie.

- Rozumiem, że odpowiedź na to pytanie wystarczy, by się pani stąd zabrała? - Rysy jego twarzy tężeją. Mimowolnie zaciska prawą dłoń w pięść. Wydaje mi się, że jest na granicy wybuchu.

- Czyta mi pan w myślach. - Posyłam mu mdły uśmiech.

- Nie wiem, co nagadali, ale to oni mieli ze sobą potężne problemy - rzuca Artur niecierpliwie. - Święty dwa razy by się zastanowił, zanim wziąłby dziewczynę z takim bagażem. Mam na myśli tę jej rodzinkę. Może pani już odejść? - Macha ręką.

- Mówi pan o jej chorym bracie? - Ignoruję jego gest.

- Nie chodzi o jego niepełnosprawność, ale oto, że było go zdecydowanie za dużo w naszym życiu. Jego obecności, jego telefonów, jego problemów. Nie wchodziłem w związek z Larą i jej bratem w pakiecie. A tak to czasem wyglądało. Czyli już pani wie, co się z nim stało? - pyta po

chwili. Rysy jego twarzy nieco łagodnieją, wypisana na twarzy frustracja ustępuje miejsca ciekawości.

- Nie do końca. Wiem tylko, że doszło do wypadku. Podejrzewam, że z winy jego siostry. Co między wami nie grało? Chcę tylko poznać pana wersję.

Kąciki ust Artura drgają, jakby wahał się między odepchnięciem mnie a wylaniem wiadra pomyj na krewnych byłej narzeczonej. W końcu wybiera to drugie.

- Moją wersję? - Wybucha sztucznym śmiechem. - Nie wiem, co ta stara wariatka naopowiadała, ale to ona ma nie po kolei w głowie. - Artur puka się w czoło. - Wie pani, jakie dorastanie zafundowała własnemu synowi? Z obawy, że znów mu się coś stanie, pozwalała mu spotykać się z kolegami tylko w domu, pod jej czujnym okiem. Zrobiła z niego tresowane zwierzątko. Nieprzystosowanego do życia dorosłego człowieka. Wpadła w paranoję. Latami wymyślała potencjalne nieszczęścia, które mogą go spotkać. Wszędzie widziała coś, co mogłoby mu zagrozić. Do teraz ma go przy sobie, uzależniła go finansowo. Chłopak pracuje z nią w pralni, raczej nie z własnej woli...

Postanawiam zaryzykować. Zdążyłam się zorientować, że prowokacja to właściwy klucz do wydobycia z Artura kolejnych wspomnień.

- A więc przemoc w waszym związku też była jej wymysłem?! Ta blizna pod pana okiem to podobno efekt jednej z takich kłótni, Lara ponoć specjalnie pana skaleczyła. Tak słyszałam... - mówię i zawieszam głos.

- I właśnie tak się dzieje, jeśli wierzyć komuś, kto ma zwidy. - Artur parska nerwowym śmiechem. - O tym przed chwilą mówiłem. Gwoli ścisłości, nie muszę się z niczego tłumaczyć - dodaje i przyjmuje pozycję defensywną, krzyżując dłonie na piersiach. - Ale szlag mnie trafia, kiedy ta baba puszcza w obieg takie bzdury. A więc krótko i na temat. Potem ma się pani odsunąć.

- Okej. - Kiwam głową.

- Tak, to Lara spowodowała wypadek. Cholerny pech. W swoje osiemnaste urodziny wracała z bratem z lodziarni, pod koła samochodu wbiegł jej pies. By go wyminąć, gwałtownie skręciła. Jej auto weszło w niegroźną kolizję z innym samochodem, dopiero potem z impetem uderzyło w słup wysokiego napięcia. Lara jechała przepisowo, to był niefart, tak naprawdę zupełnie niezależny od niej. Ale jej druga błędna decyzja miała swoje konsekwencje. Spod maski samochodu zaczął wydobywać się dym.

Lara spanikowała. Bała się, że dojdzie do eksplozji. Pomoc, której nieumiejętnie udzieliła zakleszczonemu w aucie nieprzytomnemu Maksowi, spowodowała wielkie szkody. Każdy wie, że przy uszkodzeniach kręgosłupa nie należy ruszać rannego.

- Ale ona to zrobiła, bo bała się, że samochód stanie w płomieniach. Wybrała mniejsze zło - kończę za Artura.

- Tak - przyznaje. - Lara dopiero co zrobiła prawko, nie miała doświadczenia. Wydostała brata z samochodu, ale powinna odpowiednio unieruchomić mu kręgosłup. Skończyło się uszkodzeniem rdzenia w odcinku piersiowym z porażeniem kończyn dolnych. Może chłopakowi zaszkodziło przemieszczenie, a może i bez tego byłby sparaliżowany. Nie wiadomo. - Artur rozkłada ręce. - Mówię o tym, bo od tego czasu Lara panicznie bała się wsiadać za kółko. Skoro moja blizna tak bardzo panią obchodzi, to tak, faktycznie, mam ją za sprawą Lary. Ale ona nie celowała tą filiżanką we mnie. To było tak. Jechaliśmy gdzieś razem, ja prowadząc, odebrałem esemesa i zacząłem odpisywać. Niemal spowodowałem przez to wypadek, niewiele brakowało, a wpakowałbym się w jadącego przed nami saaba. Kiedy kilka kilometrów później zatrzymaliśmy się w Macu na kawę, Lara zrobiła mi karczemną awanturę. Do tego stopnia, że cisnęła filiżanką o blat stołu. Największy odłamek odbił się rykoszetem i rozharatał mi policzek. Ot, i to cała historia naszej przemocy - kwituje. - Mieliśmy umowę. - Patrzy na mnie wyczekująco.

Odsuwam się na bok i pozwalam mu odblokować automatyczny zamek. Artur otwiera drzwi, wślizguje się za kierownicę i wkłada kluczyk do stacyjki. Uchyla okno.

- Inicjały V.V. To ktoś, kto poza Kasandrą prowadził fanpage'a? - pytam pospiesznie w nadziei, że wydobędę z niego jeszcze tę jedną informację. Moje pytanie zostaje zagłuszone odgłosem uruchomionego silnika.

- Wiktoria Wójcik - odpowiada. - Ale ona nie prowadziła fanpage'a. To była działka Kas. Wika kręciła i montowała filmiki. Skończyliśmy już tę rozmowę, ostatecznie. - To powiedziawszy, Artur dociska pedał gazu i rusza z piskiem opon.

Przez głośny szum mknących ulicą Grunwaldzką samochodów ledwie słyszę dobiegający z torebki dźwięk dzwonka. Kiedy wydobywam telefon, na wyświetlaczu pojawia się zapisany przeze mnie ostatnio numer. Należy do siostry Kasandry. Przesuwam palcem po ekranie i odbieram połączenie.

- Wybudziła się? - rzucam w słuchawkę.

LARA

sierpień 2019

- Widzisz tamten balkon ze srebrnymi doniczkami? - Wskazuję na mieszczące się na trzecim piętrze szerokie okno apartamentowca z zamocowaną przed nim metalową balustradą. - Tam jest twoje nowe lokum. Będziesz miał blisko na polibudę, to tylko dwa przystanki stąd. Żeby było jeszcze lepiej, tą trasą jeżdżą tylko autobusy niskopodłogowe. Wszystko sprawdziłam. No i masz rzut beretem do mnie. Pasuje? - zwracam się do brata, poruszającego się obok mnie na wózku.

Kiedy Maks zawiesza wzrok na wskazanym przeze mnie nowoczesnym, dziesięciokondygnacyjnym budynku, jego oczy rozbłyskują.

- Ale masz soczystą gadkę, siora. Zajarany, i to jeszcze jak! - W jego głosie słyszę autentyczny entuzjazm. - A jak zacznę od września udzielać korków, to oddam ci za czynsz tyle, ile uda mi się uskładać. Nie będę pijawką.

Zatrzymujemy się przed krawężnikiem. Maks odchyla się do tyłu, przenosząc środek ciężkości na przednie koła wózka. Zjeżdża z przejścia dla pieszych na chodnik.

- Zapomnij o tym. Jak za kilka lat będziesz cholernie sławnym informatykiem, to oddasz mi hajs z nawiązką. *Deal?*

Po przejściu na drugą stronę ulicy skręcamy w przylegającą do centrum ulicę Warszawską, gdzie ruch pieszych i rowerzystów nieco słabnie. Mój brat przez chwilę nie reaguje, jego twarz pochmurnieje. Widzę, że coś go gryzie.

- Jak myślisz, co na to wszystko mama? - Wcześniejszy entuzjazm w jego głosie zupełnie gaśnie.

Wzruszam ramionami.

- Nie truj się tym. Pomarudzi trochę i jej przejdzie. - Zbywam temat machnięciem ręki.

- No nie wiem. - Zamyśla się. - Od tamtego czasu jest nadopiekuńcza, ta wiadomość zwali ją z nóg. - Maks ma na myśli wypadek. Nie używa tego słowa, bo zostało ono przez naszą matkę nie tyle zakazane, co wręcz wyparte z rodzinnego słownika. Nie tylko słowo „wypadek", ale i wszystko, co związane jest z tamtym feralnym dniem.

- Określenie „nadopiekuńcza" to wersja soft. - Parskam śmiechem. - Matka jest raczej jak cerber, ewentualnie kwoka, która rozpościera nad tobą skrzydła z obawy, żebyś czasem się jej nie zgubił.

- Czy właśnie nazwałaś mnie maminsynkiem? - Maks obrzuca mnie pseudogniewnym spojrzeniem. Uśmiecha się półgębkiem.

- Zwyczajnie już czas odciąć tę pępowinę. Nie wyprowadzasz się na koniec świata, tylko na drugą stronę miasta. A poza tym ja będę tuż obok - zapewniam go.

- Jej to powiedz - odburkuje, ewidentnie przestraszony możliwą reakcją matki.

- Hej. - Dotykam jego szczupłego ramienia. - Razem to zrobimy.

- No właśnie, ale kiedy?

- W przyszłym tygodniu. Wpadnę do was, przyniosę jakieś ciasto albo coś. Zadbam o odpowiedni nastrój, żeby ją trochę udobruchać.

Maks rzuca mi pełne politowania spojrzenie.

- Myślę, że tu nie pomoże ani ciasto, ani nic, co przyniesiesz. I tak wpadnie w tę swoją histerię.

- A od kiedy jesteś takim pesymistą?

- Raczej realistą. Ale dobra, nie martwmy się na zapas. Mów lepiej, co na to wszystko pan goguś - zmienia temat. Powiedziawszy „goguś", ostentacyjnie mruga oczami i wpatruje się we mnie z zadziornym błyskiem w oku. Błękitne ogniki gasną przy tym i się zapalają. Tym spojrzeniem mój brat lubi się ze mną drażnić.

- Artur nie ma tu nic do gadania - odpowiadam kategorycznie.

- Czyżby wreszcie cię porządnie wkurzył? I czy aby na tyle, żeby miał zrobić stąd wypad? - pyta z nadzieją w głosie. Czujnie mi się przygląda.

- Wtedy byłbyś najszczęśliwszy, co?

Szczerzy zęby w szerokim uśmiechu. To wystarcza mi za odpowiedź.

- Mówimy o trutniu, który siedzi w twojej kieszeni, w twoim mieszkaniu. - Maks po chwili podejmuje temat. - W dodatku ten konkretny truteń jest mało sympatyczny, szczególnie wtedy, kiedy miłość do ciebie przelicza na złotówki. A robi to często. I nawet specjalnie się z tym nie kryje. Nie kryje się też z tym, że olewa tych, z których nie ma korzyści. Trudno gościa polubić, jeśli spojrzeć na to bez emocji.

Młodszy o osiem lat brat jest moim najlepszym powiernikiem. A to dzięki temu, że znamy się jak łyse konie i doskonale wyczuwamy swoje nastroje. I właśnie z tego powodu nie ma sensu ukrywać przed nim tego, że

ostatnio faktycznie mi się z Arturem nie układa. Maks i ja wspólnie przeszliśmy przez wszystkie kręgi piekła. Zdarzenia takie jak te, które były naszym udziałem, albo cementują, albo bezpowrotnie oddalają. W naszym przypadku zaczęło się od odejścia ojca, potem zdarzył się tamten wypadek. Tygodnie rehabilitacji, początkowo zupełnie bez efektu, zżerające mnie wyrzuty sumienia i morze wspólnie wylanych łez. Dopiero potem przyszły drobne sukcesy, które systematycznie podsycały ogień wieloletniej walki. Mojej i jego, bo tak, od samego początku siedzieliśmy w tym całym syfie razem. Kiedy on leżał na łóżku nieruchomy jak kłoda, odmawiając ćwiczeń, mnie niszczył inny paraliż. Wina i strach. Ale paradoksalnie ta wspólna walka nas umocniła. Wskoczyłabym za swoim bratem w ogień i myślę, że on zrobiłby dla mnie to samo.

- Nie do końca - odpowiadam szczerze, pogrążona we własnych myślach, które skaczą po osi czasu. - Nie wiem, czy tego jeszcze chcę.

- Tego? - podchwytuje Maks. - Co masz na myśli?

- Ślub chyba nigdy nie był dla mnie. A wizja wpakowania się w formalny związek z Arturem w tym momencie jest jeszcze mniej realna, niż była kiedyś. Im bardziej go poznaję, tym mniej podoba mi się to, co w nim widzę. - Marszczę brwi, bo nagle przez myśl przebiegają mi wszystkie słowa rzucane przez Artura, które mnie ostatnio raniły. Mówię to z niebywałą lekkością, bez wstydu. - Dziwne, co?

- Powiedziałbym: wreszcie! Dodałbym też, że to bardzo normalne - wykrzykuje mój brat triumfalnie. - Wreszcie chemia, motylki i te inne bzdety, przez które miałaś bielmo na oczach, przestały działać. Hej, to tu. Już jesteśmy na miejscu! - Maks woła za mną, kiedy z rozpędu mijam miejsce, do którego się kierowaliśmy. Jest nim wykonany z blachy kontener z ogromnymi przeszklonymi drzwiami i prostokątnym oknem. Dzięki przeszkleniom wyraźnie widać to, co dzieje się w środku. W tej niemal pustej przestrzeni wyłożonej płytą wiórową przy jedynym biurku siedzi młody chłopak z przylizanymi włosami związanymi w lichy kucyk. Jego pociągła wymizerowana twarz przywodzi mi na myśl jakiegoś gryzonia. Najbliżej mu chyba do szczura. Rozgałęziające się od jego komputera i podłączone do różnego sprzętu kable przypominają wijące się na blacie macki jakiegoś stwora. Biurko wygląda jak chlew. Poza kablami usłane jest kilkunastoma papierkami po krówkach. Widzę też pusty plastikowy talerzyk i trzy przewrócone kubeczki. Wygląda na to, że zalegają tam od dawna.

- Jesteś pewien, że możemy temu gościowi zaufać? - Przytrzymuję drzwi wjeżdżającemu do kontenera Maksowi, pochylam się nad nim i szepcę mu do ucha. Chyba krzywię się na widok pracującego tam faceta.

Brat rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. Przykłada palec do ust.

- Jeezy może jest fleją, ale o kamerkach wie wszystko - mówi cicho. - Zaufaj mi.

- O ile ten przedmiot faktycznie jest kamerką - mówię i zatrzaskuję za nami drzwi.

- No proszę cię. - Maks spogląda na mnie z wyrzutem.

W tej niewielkiej przestrzeni panuje przyjemny chłód, pewnie za sprawą włączonej klimatyzacji. Na dźwięk zamykanych drzwi Jeezy podnosi się znad biurka i obraca głowę w naszą stronę. Maks podjeżdża do chłopaka i przybija z nim piątkę. Przedstawia nas sobie.

- Masz coś dla nas? - pyta, zerkając mu przez ramię.

Chłopak wzdycha ciężko i udając zmęczenie, odgina się na oparciu krzesła.

- Mam, ale drugi raz już bym się w to nie wpakował. Przesiedziałem nad tym całą wczorajszą noc. W sieci nie znalazłem żadnej specyfikacji tego urządzenia. A przez to nie mogłem dopasować go do żadnego z modeli dostępnych na rynku.

- Dlaczego? - docieka mój brat.

- Dlatego, że nigdy tej kamerki nie wprowadzono na rynek. - Jeezy mówi to z przechwałką odkrywcy w głosie. Wysuwa z biurka szufladę i spośród mnóstwa leżących tam w nieładzie przedmiotów wyciąga ten, który przyniósł mu przedwczoraj mój brat. Ten sam, który ja zabrałam z Duchnego Lasu. - Wygląda na prototyp. Gdyby nie mechaniczne uszkodzenie, to na moje oko do teraz byłby w pełni sprawny. A przynajmniej był, kiedy go ostatnio używano. Ma sporo bajeranckich funkcji - dodaje z ekscytacją.

- Dobra, mów wszystko, co wiesz - ponagla go mój brat. Bierze kamerkę w rękę i obraca ją w palcach. Opuszka palca gładzi jej gładką powierzchnię.

- To jedna z kamerek typu Body Work Video, czyli kamera nasobna.

- A mógłbyś jaśniej, tak żeby moja siostra mogła zrozumieć?

- To rodzaj kamer personalnych noszonych przez policję, wojsko, organy ścigania, antyterrorystów albo pracowników pogotowia ratunkowego. Jednym z pionierów tej technologii jest choćby brytyjski

Audax. Konkurencja na rynku jest spora. Ale żeby was nie nudzić, to powiem tylko, że to cacko różni się od wszystkich innych dostępnych modeli paroma znaczącymi update'ami. Powiedziałbym nawet, że konkurencji zrzedłaby mina na wieść o istnieniu tego maleństwa. To zupełnie inny poziom.

- To co ją w takim razie wyróżnia? - włączam się do rozmowy.

- Przede wszystkim jej rozmiar - odpowiada Jeezy. - Jest dziesięciokrotnie mniejsza od poprzedniczek. A to wcale nie odbija się na wydajności jej baterii. Wręcz przeciwnie. Ten miniakumulatorek litowo-jonowy jest w stanie pociągnąć do czterdziestu ośmiu godzin nieprzerwanego nagrywania. Poza standardem dla tego typu modeli, czyli transmisją w czasie rzeczywistym czy nagrywaniem materiału na kartę SIM, widzeniem nocnym w podczerwieni albo detekcją ruchu i pozycjonowaniem GPS, ta mała ma w sobie coś jeszcze. Wygląda na to, że stworzono ją w komplecie ze stacjonarną bazą albo oprogramowaniem. A one z kolei pozwalały na zdalny dostęp do kamerki, do której można było wgrać różne polecenia. Z tej zdalnej pozycji ktoś mógł choćby usuwać nagrane na kartę dane i nie tylko.

- Mówiłeś o karcie SIM. Było na niej coś nagrane? - pytam, chłonąc wiedzę na temat wszystkich wymienionych przez chłopaka funkcji urządzenia. Sprawia mi to trudność, przyswajanie informatycznego żargonu nie jest moją mocną stroną.

- To nie takie proste. Te dane są szyfrowane - odpowiada. - Tak jak mówiłem, to już jest wyższy *level*. Trzeba się z tym trochę pobawić, a i tak nie wiem, czy wtedy się uda. To prototyp, nie miałem wcześniej czegoś takiego w rękach. Ale przypuszczalnie jest tam zarejestrowanych - stuka palcem w niewielkie urządzenie - ostatnich czterdzieści osiem godzin pracy kamery przed pełnym rozładowaniem. Mówiąc „pracy", mam na myśli ruch osoby czy, dajmy na to, ptaka, który miał ją na sobie. Rozumiem, że chcecie się do tego dostać bez wiedzy właściciela tej kamery? - pyta, ściszając konspiracyjnie głos.

- Tak. Być może należy ona do kogoś, kto nie żyje od zeszłego roku... Mogę? - Przenoszę wzrok z Jeezy'ego na Maksa, następnie wskazuję na znajdującą się w jego otwartej dłoni kamerkę.

Brat ostrożnie mi ją podaje, oglądam ją dokładnie z każdej strony. W pewnej chwili natrafiam pod obiektywem na wytłoczone srebrnymi literami słowo.

- Matt - odczytuję na głos.

Ta drobna wskazówka, którą przeoczyłam wcześniej, jest jak kolejne bezcenne znalezisko. Jest też dowodem na to, że kamerka faktycznie należała do mojej nauczycielki.

- Matt - powtarzam je po raz kolejny, z jakąś dziwną czułością, a może z sentymentem; przypominam sobie, że tak zwracała się do swojej córki Matyldy moja biolożka.

MARIANNA

czerwiec 2018

- Masz Matta? - pytam córkę i objuczona dwiema walizkami oraz siatką zatrzaskuję bagażnik naszej hondy.

Stojąca na ganku Matylda w zamyśleniu poklepuje kieszeń dżinsowej kurtki i kiwa na potwierdzenie głową.

- No przecież wiadomka, że tak - odpowiada. - Jest bezpieczny, w pudełku. Nie bój nic, mamo.

Zadziera głowę ku błyszczącej w słońcu iglicy wieńczącej dwuspadowy dach. Na jej twarzy maluje się coś w rodzaju zachwytu i przerażenia jednocześnie. We mnie więcej jest tej drugiej emocji. Lęk przed nieznanym dosłownie wypełnia mnie całą.

Podobno najlepiej czujemy się tam, gdzie są nasze korzenie, a najcenniejsze jest to, co zostaje po bliskich. Jeśli ta teoria jest prawdziwa, to po raz kolejny mnie ona nie dotyczy, a przynajmniej nie jest nią ani to miejsce, ani tym bardziej ta chata. Dla mnie stanowi tylko siedlisko złych wspomnień. Zbudowany na planie prostokąta drewniany dom z bali z zewnątrz wygląda całkiem zwyczajnie, ma charakterystyczną zieloną werandę z zaokrąglonymi oknami, do których przytwierdzone są dwuskrzydłowe okiennice, jego dach jest pokryty świerkowymi szyndlami. Dom przywodzi na myśl tradycyjną kaszubską chatę. I to nawet całkiem miłą. Taką, którą kiedyś wypełniały miłość, śmiech, po prostu zwyczajne życie.

Ale historia tego domu jest zgoła inna. Kilkadziesiąt lat temu był świadkiem katorżniczej pracy, przerażenia i rozpaczy, a potem śmierci. Śmierci osiemnastu młodych mężczyzn. Potem, po latach samotnej degradacji, ten owiany złą sławą dom kupił mój ojciec. Do dziś nie wiem, co nim powodowało. Dla mnie, wtedy i teraz, to było czyste szaleństwo. Nie pomógł gruntowny remont, który ojciec przeprowadził samodzielnie, ani próby stworzenia w tym miejscu rodzinnego siedliska na okres wakacji. Drewniany domek na drzewie, zbudowany dla mnie trzydzieści lat temu, jest jednym z takich gasnących śladów mojego taty. Teraz domek przypomina już tylko smętny zbutwiały szkielet.

Przejście przez główne drzwi leśniczówki jest jak wkroczenie do innej, mimo wszystko trochę lepszej ery, czyli czasów, kiedy mój ojciec jeszcze żył. Aż do zeszłej środy, kiedy przywiozłam tu część naszych rzeczy, przez siedemnaście lat nie miałam odwagi tutaj przyjechać, ani z moją córką, ani z nikim innym. Czasem wpadała tu tylko moja kuzynka.

Stawiam walizki na progu i wciągam do płuc znajomy zapach sosnowych desek. Aromat żywicy jest tak samo wyrazisty jak zawsze, przez co pobudza odległe wspomnienia. Ożywają we mnie na nowo. Rozglądam się po holu. W narożniku, w miejscu obłażącej ze ściany tapety, widać ślady po gipsie porośnięte czarnym grzybem. Tydzień temu było ich znacznie więcej, ale sukcesywnie, z pomocą kuzynki i szwagra, staram się od kilku dni zaprowadzić tu względny porządek. Ze ścian zwieszają się pajęczyny, które przypominają mi zakurzone i porozciągane strzępki waty cukrowej. Pajęczyny to tylko czubek góry lodowej. Są tu jeszcze do uprzątnięcia setki innych rzeczy. Pod schodami znajduje się wiklinowy kosz wypełniony książkami. Jest ich tu zresztą całe mnóstwo. Na każde z pomieszczeń, poza kuchnią i łazienką, przypada przynajmniej jeden regał, uginający się pod ich ciężarem. Maniakalny zbieracz książek, głównie o lesie, podróżach i numizmatyce - tak można by nazwać mojego ojca. Z głębi domu, z salonu, dobiegają dźwięki niepasujące do tej zakurzonej stagnacji. Dociera stamtąd zapach świeżej farby, tak inny od wszechobecnego zapachu stęchlizny.

- Cześć, ciociu - odzywa się Matylda, kiedy znika w salonie, dziwnie radosna jak na te okoliczności. Odpowiadają jej serdeczne głosy mojej kuzynki i jej męża.

W kieszeni moich spodni wibruje telefon. Kierowana instynktem, a raczej lękiem przed złymi wiadomościami - od prawnika, od dyrektora albo od któregoś z rodziców, bo takie nakręcane spiralą nienawiści wiadomości też się ostatnio zdarzają - sprawdzam wyświetlacz. Na szczęście pojawia się na nim tylko imię i esemes od Elizy.

Wyjeżdżam na dwa tygodnie do dziadków, z rodzicami bez zmian. Ojciec milczy, od mamy wieje chłodem, ale i tak jest lepiej, niż się spodziewałam. Możemy porozmawiać? Chciałam pani powiedzieć o czymś jeszcze. I prosić o radę.

Po wyznaniu Elizy i zdarzeniach tamtej nocy wiadomości przychodzą od niej kilka razy w tygodniu. Dawałam jej wsparcie, licząc na to, że moje namowy wpłyną na jej decyzję o wyznaniu rodzicom prawdy o kradzieży.

Jeśli wierzyć zapewnieniom Elizy, cel osiągnęłam. Moje własne problemy nie pozwoliły mi jednak ostatnio pilotować innych spraw niż osobiste, w tym tego, co naprawdę działo się w życiu mojej uczennicy. Wsuwam telefon do kieszeni, na razie nie odpowiadam na jej wiadomość. Wchodzę do salonu.

Pokryta białym pyłem twarz męża mojej kuzynki sprawia wrażenie obsypanej mąką. Jego ciuchy też są całe w pyle. Stojący na drabinie Wojtek kłóci się ze swoim zwykłym nienagannym image'em, wyrytym w mojej głowie. Jest terapeutą od uzależnień. Zawsze, także poza gabinetem, nosi się elegancko. Wygląda profesjonalnie. Za to moja kuzynka z wałkiem umazanym kremową farbą wygląda całkiem normalnie. Od zawsze była działaczką, a raczej kimś, kto lubił pomagać w równym stopniu, co stawiać sobie kolejne wyzwania. Jej charyzmatyczna osobowość przydaje się w jej pracy z ludźmi. Kasia jest coachem motywacyjnym, jednym z najlepszych w Trójmieście.

Salon, który jeszcze w zeszłym tygodniu wyglądał jak obraz nędzy i rozpaczy, nabrał już ciepłych i przytulnych barw.

- Mam nadzieję, że jesteście głodni - mówię, wskazując na wystające z siatki plastikowe pudełko. - Upiekłam pizzę.

- Nie przekupisz nas żarciem. Przebieraj się lepiej i do roboty! - odpowiada Kasia i wita mnie pocałunkiem w policzek. Jej oddech pachnie truskawkową gumą do żucia.

- A tak całkiem serio, to chcesz czy nie, potrzebujesz tu na gwałt fachowców - mówi Wojtek, schodzi z drabiny i ściąga lateksowe rękawice. Jego twarz przybiera poważny, może nawet kategoryczny wyraz.

- Co masz na myśli?

- Chodź, pokażę ci.

Wspinamy się po schodach prowadzących na poddasze pełne skosów i ukrytych pod nimi zakamarków. Mieści się tam pokój, który należał kiedyś do mnie. Wygląda jak relikt z przeszłości, sprzed trzech dekad. Łóżko zasłane jest dzierganą przez moją babcię grafitową kapą, która wciąż przykrywa ten sam materac. Malowaną kiedyś ręcznie ramę drewnianego łóżka, a także biurko i szafki pokrywa gruba warstwa kurzu. Teraz w tym pokoju, pośród moich dawnych mebli, zamieszka Matylda. Przywiezione przez nas kartony z jej rzeczami wytrącają ten pokój z dawnego marazmu. Kiedy docieramy na niewielki strych, Wojtek wskazuje mi dach, a dokładnie trzy deseczki różniące się kolorem od reszty gontów.

- Ktoś musi to zrobić fachowo. Wymieniłem je doraźnie, ale te prześwity mnie niepokoją. Przy potężnej ulewie albo wichurze zaleje was natychmiast - wyrokuje, przebiegając wzrokiem po dachu. - Zresztą te deski - podskakuje na falującej pod naszymi stopami drewnianej podłodze - są gdzieniegdzie przegniłe. Na stropach, szczególnie na parterze, widać zacieki. A to znak, że miesiącami, może nawet latami, regularnie tutaj przemakało. Instalacja elektryczna i wodociągowa też nie są chyba w najlepszym stanie. Nie znam się na tym, więc nie będę tego nawet ruszał. Ale powinnaś przynajmniej zrobić przegląd.

- Okej, załatwię to. - Kiwam głową, ale wiem dobrze, że to będzie odroczone w czasie. Resztę oszczędności zainwestowałam w materiały do kosmetycznego remontu. Honorarium adwokatki pochłonęło kilka tysięcy złotych, choć proces jeszcze się nie rozpoczął. A kolejne wydatki już mnożą się w zastraszającym tempie. To one zajmują moje myśli, kiedy schodzimy na parter.

- Widziałyście, co znaleźliśmy rano przed domem? - U podnóża schodów pojawia się Kasia. Ramię w ramię z moją kuzynką stoi Matylda z kawałkiem pizzy w ręku.

Schodzę z ostatniego schodka i przyglądam się niewielkiemu przedmiotowi ułożonemu na dłoni kuzynki.

- Strasznie śmierdzi. To chyba okoliczne dzieciaki - mówi Kasia i pociera przedmiot palcami. Zgniły fetor staje się jeszcze bardziej nieznośny.

- Biorąc pod uwagę, że na tym zadupiu, poza dwiema chatkami, nie ma żadnych domów, to dzieciaki są raczej wątpliwe - reaguje moja córka, pochyla się nad przedmiotem i wykrzywia usta.

Podłużny przedmiot to nic innego jak niewielki walec uformowany z jakiejś rośliny o szarosinobłękitnej barwie, przewiązany w dwóch miejscach białym sznureczkiem. Liście rośliny są omszałe, lekko parchate, z wyraźnie wtartym w nie lepkim olejkiem. Liście poprzetykane są kielichowatymi główkami dziewanny.

- Gdzie to znaleźliście? - pytam Kasię, mój głos drży.

- Na podjeździe.

Przełykam nerwowo ślinę, kiedy stare niechciane wspomnienie ożywa we mnie. Podobnie ułożone i związane rośliny widziałam w tym lesie już wcześniej, niespełna trzydzieści lat temu. To jedno z tamtych wspomnień, przez które historia Duchnego Lasu i dla mnie wybrzmiewała moim własnym ponurym tonem.

- Wyrzuć je! - nakazuję. - Wyrzuć, proszę! - W moim głosie słychać desperację podszytą paniką. Zamiast czekać na reakcję Kasi, wyrywam jej z ręki roślinne zawiniątko, wychodzę z domu i ciskam je do kontenera na śmieci. Po chwili wracam, tłumacząc swoją reakcję tym, że ten odstręczający smród przyprawił mnie o mdłości.

Nawet jeśli moje zachowanie kogoś dziwi, nikt mi tego w żaden sposób nie okazuje. Nikt mnie o nic nie pyta. Po półgodzinnej przerwie na pizzę zabieramy się do dalszych prac, choć moje myśli wciąż zaprząta leżąca w śmietniku roślinka. Kto ją podrzucił?

W salonie czeka nas już tylko ostatni, względnie łatwiejszy etap - ściągamy z mebli folię ochronną, a z podłóg gazety. Potem pastuję całkiem nieźle zachowany parkiet, a Matylda myje pokryte pyłem ramy i okna. Kiedy kończymy, rozpierzchamy się po całym domku i powoli, przez kilka kolejnych godzin, porządkujemy pozostałe pomieszczenia. Wojtek znika w łazience. Po kilkunastu kolejnych minutach przychodzi do mnie z wypisaną na twarzy prośbą.

- Skończył się klej do listew i trzeba by wymienić jeszcze dwa gniazdka, jedno w kuchni, a drugie w łazience. Mogłabyś skoczyć po nie do Castoramy?

- Ociera czoło zroszone kropelkami potu.

- Skoczyć to bardzo lajtowe określenie na pokonanie odległości trzydziestu kilometrów - mówię, ale i tak zrobię, o cokolwiek mnie poprosi. Jestem im wdzięczna za pomoc. Sama nie dałabym z tym wszystkim rady.

- W Żukowie chyba też coś znajdziesz - dodaje i wraca do pracy.

- Jasne, załatwię to - mówię i odkładam na stolik zakurzoną miotełkę. Otrzepuję z siebie pył, biorę torebkę i kluczyki i wychodzę. W GPS wpisuję znaleziony wcześniej adres najbliższego sklepu budowlanego.

Od utwardzonej drogi dom mojego ojca dzielą dwa kilometry leśnego traktu. Prowadzę samochód powoli, wskazówka prędkościomierza nie wychyla się za trzydziestkę, a i tak honda podskakuje na wybojach, wzbijając wokół tumany kurzu. Kiedy nieco opadają, zza gryzącej mgiełki wyłania się postać. Początkowo jest tylko odzianą w ciemne ciuchy ludzką plamą poruszającą się środkiem drogi. Zwalniam, licząc na to, że kiedy usłyszy chrzęst zbliżających się kół, to sama zejdzie na pobocze. Ale nic takiego się nie dzieje, nawet wtedy, kiedy postać, chyba mężczyzna, znajduje się w odległości kilku metrów od maski samochodu. Idzie wolno, jakby miał kłopoty z poruszaniem albo chciał mi zrobić na złość. Dociera

do mnie, że jeśli nie zareaguję, to w tym tempie będę wlokła się za nim jeszcze z godzinę.

- Przepraszam, czy może pan zejść na bok? - Wychylam głowę przez spuszczoną do połowy szybę i wołam w jego stronę.

Wtedy mężczyzna zatrzymuje się i odwraca, a we mnie wzbiera dziwny, niczym nieuzasadniony niepokój. Pierwszym, co przykuwa moją uwagę, jest czarny, średniej wielkości mieszaniec, którego facet trzyma na rękach. Pies wtulony jest w ramiona właściciela, tak samo nienaturalnie znieruchomiały, jak ten stojący przede mną człowiek. Jedynym znakiem tego, że pies jest jednak żywy, są jego błyszczące, czarne jak węgielki oczy. Dopiero potem przenoszę wzrok na twarz mężczyzny, a wtedy z moich ust wyrywa się krzyk. Wiem dlaczego. Widziałam tę twarz już wcześniej, trzydzieści lat temu, taką samą. Identycznie wydłużona szyja, brwi czarne i gęste. Ta sama krępa budowa ciała. Nie widzę tylko jego włosów, ukrytych pod zaciągniętym na czoło szarym kaszkietem. Kuriozalność tej sytuacji polega na tym, że upływ czasu nie tylko nie odcisnął na wyglądzie tego człowieka żadnego śladu, ale sama jego obecność tutaj nie ma żadnej racji bytu. Żadnej! Bo przynajmniej od czterech lat ten facet nie żyje. Tak słyszałam. Próbuję więc połączyć mentalne kropki, ale wciąż nic się tutaj nie zgadza. Zupełnie jakby w moim mózgu zaciął się jakiś skomplikowany mechanizm. I zamiast ruszyć do przodu, na powrót wciągnął mnie w wir wspomnień, do miejsca, gdzie widziałam tę twarz po raz ostatni.

- Tato, ale ona nie chce. Przecież nie musimy tego robić, nic jej już nie grozi. - Przerażony dziecięcy głosik dobiega zza moich pleców.

Ponownie próbuję się poruszyć, a raczej szarpię się z jeszcze większą niż dotychczas determinacją. Bezskutecznie. Moje plecy wciąż są przytwierdzone do zimnej, metalowej ramy krzesła. Przesłaniająca oczy opaska i unieruchomione nogi, a także wykręcone do tyłu i związane jakimś sztywnym materiałem ręce sprawiają, że jestem całkowicie bezbronna. Wąska szczelina światła, która wyłania się znad osuwającej się opaski, wydobywa moje pole widzenia z niemal zupełnej ciemności. Wcześniej dostrzegałam jedynie ledwie zarysowane kontury. Ale to i tak za mało, bym wiedziała, gdzie jestem i co ten człowiek teraz robi. Albo raczej co zamierza zrobić. Próby wołania o pomoc z kneblem wciskającym się do ust tylko pogarszają sprawę. Uspokajam więc oddech, by złapać powietrze. Wciągam je nosem. Sytuacja, w jakiej się znalazłam, wyostrza za to mój zmysł słuchu. Staram się kodować wszystkie dźwięki, w razie gdyby miały przydać mi się później. Bo przecież przetrwam, cokolwiek ten człowiek dla mnie zaplanował. Przetrwam! Koduj, przyczaj się i wykorzystaj -

powtarzam to sobie jak mantrę, biorąc te słowa za główny punkt odniesienia. A przy okazji też za punkt honoru. Bębniące o blat krople wody synchronizują się z przyspieszonym biciem mojego serca. Ale to niejedyny dźwięk, który słyszę. Inny, zakłócony sporadycznymi trzaskami i chrobotem, to radio gubiące raz po raz zasięg. Maksymalnie się na nim skupiam, na wydobywających się z niego słowach. Kiedy spiker kończy czytać prognozę pogody na dzisiejszy wieczór, słyszę charakterystyczny radiowy dżingiel. Ta wesoła melodyjka jest jak sygnał startu, ale nie dla mnie, tylko dla tego obcego, przetrzymującego mnie tu człowieka. Naraz zapominam o wszystkim, o skrupulatnie kodowanych dźwiękach i o wąskiej smużce światła, bo czuję na sobie jego dotyk... Wzdrygam się...

Kiedy mój kark muska chłodny, lekko chropowaty przedmiot, po kręgosłupie przebiegają mi ciarki. Zaciskam powieki tak mocno, że natychmiast pojawiają się pod nimi regularne tęczowe okręgi.

- Tato, proszę, ona się boi - powtarza ten sam co wcześniej cienki głosik. Ale nikt mu nie odpowiada. W tle wciąż płyną ciche odgłosy włączonego radia.

To dziwne, jak nastawiony na nagłą krzywdę mózg pokrętnie koduje każdy docierający do niego bodziec. Szczególnie kiedy jesteś dzieckiem, a twoja wyobraźnia działa na najwyższych obrotach. Spodziewam się gwałtownego szarpnięcia albo ciężkiej spoconej ręki, która mnie uderzy, a zamiast tego pod moją koszulkę wsuwa się ten sam, co poprzednio, chropowaty przedmiot. Przebiega w dół, wzdłuż kręgosłupa, od podstawy czaszki aż po kość ogonową. Próbuję rozszyfrować jego kształt. Wydaje się owalny albo walcowaty, ale ze spiczastym zakończeniem.

- W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, opuść to dziecko, siło nieczysta, i nigdy więcej tu nie wracaj.

Dobiegające z ust mężczyzny słowa są tylko cichym pomrukiem. Czuję nad sobą jego potężną sylwetkę, czuję nieświeży oddech. A do tego drażniący, skondensowany, unoszący się nad nami zapach suszonych roślin i ziół, a także jakichś sfermentowanych naparów, może nalewek. Cokolwiek to jest, cuchnie przeraźliwie. Na powrót otwieram oczy.

Mija chwila, nim ten ledwie prześwitujący przez opaskę cień się poruszy. Robi się wyższy, zupełnie jakby mężczyzna na czymś stanął albo unosił coś nad swoją głową.

- Panie, spraw, aby w tym dziecku już nigdy nie gościło nic prócz czystości, prawdy i siły. - Tym razem deklamuje głośno i wyraźnie, z zapalczywością graniczącą z obłędem.

Potem nieskładnie mamrocze coś jeszcze, coś, czego nie rozumiem, coś, czemu towarzyszy cichy trzask przypominający rozbijaną o brzeg szklanki

skorupkę jajka.

- W mojej ręce trzymam nie skorupkę, lecz brzemię tego dziecka.

Stojący przede mną cień nagle się kurczy, równocześnie słyszę chlupot czegoś wpadającego do wypełnionego wodą naczynia.

- Precz, siło nieczysta! Precz!

Te słowa powtarza kilkukrotnie, z takim samym jak poprzednio namaszczeniem, za każdym kolejnym razem w coraz większym zapętleniu. Nie wiem, co dzieje się potem, bo mężczyzna zostawia mnie samą i gdzieś odchodzi. Orientuję się, co najprawdopodobniej robi, kiedy słyszę odgłos odkręcanego kurka, a do zlewu wpada silny strumień wody. Mężczyzna coś myje, zakręca kran, docierają do mnie głośne kroki, chyba znów zmierzające w moją stronę.

A potem on robi coś, czego się zupełnie nie spodziewam. Luzuje więzy, najpierw te na rękach, potem na nogach, na końcu ściąga opaskę, z ust wyjmuje mi knebel. Przed przyzwyczajonymi do ciemności oczami tańczą jasne plamy światła. Wirujące wraz z nimi przedmioty dopiero po chwili wracają na swoje miejsca. Ale to nie przedmioty są pierwszym, co tutaj zauważam. W kąt pomieszczenia, przypominającego trochę archaiczną kuchnię, a trochę zaniedbaną zielarnię, wciśnięty jest jasnowłosy chłopiec. Ten sam, przez którego się tutaj znalazłam. Przygląda mi się z lękiem.

- To było tylko dla twojego dobra, kochanie. - Ciężka dłoń stojącego za mną mężczyzny przesuwa się najpierw po moim czole i skroniach, a potem po włosach. Jest szorstka, spracowana. - Musiałem cię unieruchomić, inaczej byś uciekła. Teraz jesteś bezpieczna. - Wypowiedziawszy te słowa, staje przede mną.

Moje początkowe wyobrażenie o człowieku potworze ulega zmianie. Ale nie wiem, czy to na jego korzyść. Raczej nie. Stojący przede mną człowiek jest odstręczający, ale w inny sposób, niż zakładałam. Ma około czterdziestki, czarne krzaczaste brwi, wydłużoną szyję, małą ptasią głowę i krępą budowę ciała. Jest jak rysowana przez dwie różne osoby komiksowa postać, karykaturalna i pełna niespójności. Wilgotne poprzetykane nitkami siwizny włosy opadają mu na ramiona. Spuszczam głowę i omiatam wzrokiem pokój w poszukiwaniu drogi ucieczki. Robię to tak, by on tego nie zauważył. Po przeciwległej stronie dostrzegam zamknięte drewniane drzwi.

Nie czekam na żaden sygnał, instynktownie zrywam się z krzesła, szarpię za klamkę, wypadam na zewnątrz. Biegnę, ale nogi nie niosą mnie tak jak zawsze, są wolniejsze, bardziej oporne, a krajobraz wokół mnie wydaje się rozmyty. Ale nie tylko to się nie zgadza. Czuję, że coś jeszcze jest inaczej. Ze mną. Kątem oka zerkam na lewą rękę. Pulsujące miejsce na moim ramieniu w zgięciu łokcia zaklejone jest niewielkim plastrem. Oblewa

mnie zimny pot. Nie odwracam się w obawie, że za plecami zobaczę któregoś z nich - mężczyznę albo chłopca.

Ale nic takiego się nie dzieje, nikt mnie nie zatrzymuje. Biegnę ile sil w nogach, choć wciąż wszystko odbywa się w spowolnionym tempie, jak na pauzowanym raz po raz kadrze. Mijam ostatnią bazę, czyli znajdujące się na tej parceli ule, tak samo szkaradne, jak cale to miejsce. Przypominają zastygłych w bezruchu ludzi i zwierzęta. Kiedy zostawiam je za sobą, wybiegam za bramę i kieruję się w stronę domu.

Obraz człowieka z tamtego sierpniowego popołudnia wyrył mi się w pamięci na zawsze, towarzyszył mi w nawracających koszmarnych snach. Teraz znów mam tę twarz przed sobą, twarz, która nie jest tylko odtwarzaną cyklicznie nocną marą. Czuję, że mężczyzna też mnie rozpoznał, widzę to w jego oczach, w skupionym spojrzeniu, w rozszerzonych źrenicach. Nie wiem, ile czasu upływa, nim schodzi na bok. A kiedy to robi, wrzucam dwójkę, wymijam go i gwałtownie przyspieszam.

POLA

sierpień 2020

Do niewydolności nerek, spowodowanej kolejną próbą samobójczą, doszła także niewydolność krążeniowa i to ona była głównym powodem wprowadzenia Kasandry w stan śpiączki farmakologicznej. Tego dowiedziałam się od jej siostry. Dowiedziałam się też, że stan dziewczyny ulega powolnej, ale systematycznej poprawie i że jeśli ta tendencja się utrzyma, to za dwa tygodnie lekarze podejmą próbę wybudzenia Kas. Ta wiadomość była tak naprawdę jedynym, na co czekałam przez ostatnie dni. Wszystkie kroki mające mnie doprowadzić do sedna tajemnicy, do której dopuściła mnie Kasandra, były także próbą wypełnienia godzin i dni oczekiwania na jakieś pomyślne wieści.

Idąc tym tokiem rozumowania, powinnam poprzestać na tym, czego dotychczas się dowiedziałam o Larze, a w gruncie rzeczy było tego niewiele. Facet szuja, kochający dziewczynę brat, trudna do rozgryzienia matka, a do tego Duchny Las, w którym na sławną dziewczynę mógł zaczaić się każdy, począwszy od psychofana po okolicznego świra. I to by było na tyle. Zamiast dalej brnąć w te liche poszlaki, powinnam zadbać o siebie, wejść w jakąś swoją bezpieczną rolę albo odnaleźć zapewniającą mi względny spokój rutynę. Zamiast tego, ubrana tylko w podomkę, z bezładnie upiętym jeszcze wczoraj kokiem, od dwóch godzin wertuję facebookowy profil Wiktorii Wójcik, czyli kolejnej dziewczyny, która miała podobno współpracować z Larą. A skoro tak było, Wiktoria musiała dobrze znać się także z Kas. Wysłana godzinę temu wiadomość do Wiktorii Wójcik na razie pozostaje bez odpowiedzi. Małe białe kółeczko w prawym

dolnym rogu ekranu informuje mnie, że wiadomość nie została jeszcze dostarczona.

Nietrudno było mi namierzyć tę dziewczynę. Miała w gronie znajomych zarówno Larę, jak i Kasandrę. Publiczne ustawienia jej profilu pozwalają mi dowiedzieć się o niej trochę więcej. Zadziwiające jest to, jak bardzo Wiktoria różni się od Lary. W Larze widziałam żądną mocnych wrażeń zdobywczynię, bynajmniej nie troszczącą się o dobre maniery i grzeczną formę, a przede wszystkim niekwestionowaną liderkę. To ona skupiała wokół siebie ludzi, wytyczała im wspólne cele, swoją charyzmą przyciągała ich jak magnes. Wokół Wiktorii unosi się inna aura, to pewien rodzaj czegoś wysublimowanego i eleganckiego. A w pewnym stopniu i niedostępnego. Dziewczyna wygląda jak dostojny łabędź, inaczej niż stojące razem z nią na scenie koleżanki, jej wyprostowana sylwetka wydaje się dosłownie płynąć w powietrzu. Sprawia wrażenie delikatnej, ale jednocześnie silnej i zdeterminowanej. Te dwie ostatnie cechy są jedynym znakiem mentalnego pokrewieństwa z Larą.

Niemal wszystkie fotografie i filmiki zamieszczone na wallu Wiktorii związane są z jej pasją. Mieszkająca teraz w Lyonie dziewczyna regularnie występuje na deskach teatralnych, nowe posty publikowane są przez nią średnio co kilka dni. Z tego, co udało mi się zauważyć, raczej nie gra głównych ról, ale jej pokazy akrobatyczne, które po kolei podziwiam, wyglądają spektakularnie. Ale teatr to niejedyna pasja dziewczyny. Wiktora umieszcza też autorskie zdjęcia i montowane przez siebie filmiki, wykonane głównie na zamówienie, ale nie tylko. Zdolna z niej bestia, muszę to przyznać. W jednym ze swoich postów oferuje usługi w tym właśnie zakresie.

I dokładnie pod tym fikcyjnym pretekstem do niej napisałam. Liczę, że jej relacja z Kas była dobra, inaczej mój spontaniczny plan nie będzie miał szans powodzenia. Kiedy scrollując wpisy na jej tablicy, cofam się aż do dwunastego grudnia ubiegłego roku, na ekranie telefonu wyskakuje kółeczko przedstawiające zdjęcie profilowe dziewczyny. Pojawia się nad nim też cyfra jeden, czyli znak tego, że właśnie dostałam od niej wiadomość. Otwieram okienko Messengera.

Ja

Nazywam się Pola Szulc. Przyjaźnię się z Kasandrą. Zastanawiałam się, czy przyjmujesz jeszcze zlecenia na montaż filmików wideo. Kas mówi, że

jesteś najlepsza i że można zaufać tylko tobie. Chodzi o filmik urodzinowy, a raczej o kolaż różnych krótkich ujęć rejestrowanych przez kilka lat. Max 3' długości. To tak z grubsza.

Wiktoria

Przykro mi, ale w tym i przyszłym miesiącu nie przyjmuję żadnych zleceń. Druga praca i ciągłe rozjazdy mi na to nie pozwalają.

Widzę tańczące na ekranie trzy kropeczki, to znak, że dziewczyna pisze coś jeszcze.

Wiktoria

A co u Kas?

Zastanawiam się, co powinnam jej odpisać. Nie wiem, ile ta dziewczyna wie. Jedno jest pewne - nie mogę wyjawić prawdy, a przy tym muszę jakoś naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

Ja

Teraz, po skończeniu terapii, jest z nią znacznie lepiej. Ale trauma, którą przeżyła, wciąż w niej tkwi. Często o tym mówi. Tym bardziej że sprawa zabójstwa Lary wciąż jest otwarta. I nic nie zapowiada, by to się miało zmienić...

Tańczące kropeczki kolejny raz pojawiają się na ekranie.

Wiktoria

Gdyby policja z równą energią, co przesłuchiwanie uczestników zlotu, zabrała się za dwóch mieszkających w Duchnym Lesie psycholi, to sprawa byłaby dawno rozwiązana.

Duchny Las. Wiktoria jest już kolejną osobą, która za źródło wszelkiego zła uważa to właśnie miejsce. Znam jego historię, czytałam o niej niejednokrotnie. Czytałam też o biolożce, która rok wcześniej w stojącej tam leśniczówce zginęła w płomieniach. Na forach i w internetowych artykułach często spekulowano też, że Lara nieprzypadkowo wybrała Duchny Las, a dokładniej owiany złą historią Mursz, na miejsce zlotu. Podobno miało to mieć jakiś związek z biolożką - jej nauczycielką z czasów liceum.

Ja

Psycholi? Kogo masz na myśli?

Wiktoria

Jeden to myśliwy. Cholerny z niego oblech. Drugi gość to jakiś nawiedzony typ, który uznał, że cały las jest jego i że ma monopol na odpędzanie złych mocy. Lara zabrała coś, co należało do niego. Facet miał motyw i sposobność. Farciarz z niego - wyłgał się.

Ja

Co zabrała mu Lara?

Kropeczki tym razem nie chcą przez dłuższą chwilę pojawić się na ekranie, choć Wiktoria przeczytała wiadomość i nadal jest aktywna. Kiedy mam dopisać coś jeszcze, mniej więcej dwie minuty później, kropeczki znów zaczynają swój taniec.

Wiktoria

Tych rozmów lepiej nie zaczynać. I tak to już nic nie da. Przepraszam, za pół godziny mam próbę.

Kiedy kilka sekund później Wiktoria znika, ja wciąż zastanawiam się, co powinnam teraz zrobić. Waham się między dwoma skrajnie rozbieżnymi rozwiązaniami. Odłożyć Duchny Las na zamkniętą na klucz półkę w swojej głowie. Albo, to bardziej kuszące, pojechać w to miejsce, żeby je poczuć. Zdaję się na instynkt.

LARA

sierpień 2019

Na okrągłym stole w salonie leżą upieczone przeze mnie muffinki udekorowane do nieprzyzwoitości czekoladą, owocami i bitą śmietaną. Podobnie jak przygotowany przez mamę dwudaniowy obiad, od blisko godziny stoją nietknięte. Ledwie zdążyłam włożyć do ust kawałek burgera, kiedy Maks nieśmiało poruszył temat przeprowadzki, a wtedy rozpętała się awantura.

- Od jak dawna knuliście to za moimi plecami? - Mama kolejny raz przebiega wzrokiem po twarzy mojej i brata. Wygląda przy tym tak, jakby właśnie wydawała osąd - moje dzieci są winne podwójnej zdrady. W jej spojrzeniu wypisane są też rozczarowanie i żal.

- Wiedzieliśmy, że tobie ten pomysł się nie spodoba - wtrąca nieśmiało mój brat. Aby zająć czymś dłonie, bawi się serwetką.

- I dlatego postanowiliście powiedzieć mi o tym w ostatnim momencie, na trzy tygodnie przed twoją planowaną wyprowadzką? Ty go do tego namówiłaś? - zwraca się do mnie chłodno matka, jej ton jest oskarżycielski.

- Nie musiałam. Maks jest już dorosły, ja chcę mu tylko pomóc się usamodzielnić. Tak jak mówiłam, to w żaden sposób nie nadweręży twojego budżetu, mamo. Ja opłacę...

Matka zagryza dolną wargę i unosi prawą rękę, by mnie uciszyć.

- Nie o to mi chodzi. Nie o pieniądze.

- Więc w czym problem?

- Czy wiesz, jak na co dzień funkcjonuje twój brat? - mówi podniesionym głosem. - Pozwól, że odpowiem za ciebie. Nie, nie wiesz. Nie mieszkasz z nami, więc nie wiesz, że twój brat wciąż potrzebuje pomocy.

- Nie muszę mieszkać, by wiedzieć, że Maks jest samodzielny. A przynajmniej na tyle, że będzie potrafił sam sobie poradzić - tym razem to ja wchodzę jej w słowo. - Tak jak już mówiłam, będę mieszkała klatkę dalej, pomogę mu. Ta lokalizacja jest dla niego korzystniejsza niż mieszkanie tutaj, na przedmieściach. Choćby ze względu na bliskość uczelni - przekonuję.

- Jest samodzielny, ale tylko dzięki wieloletniej rehabilitacji - podkreśla matka. - Ale mówimy o samodzielnym mieszkaniu, w dodatku w miejscu, które nie jest przystosowane dla osoby niepełnosprawnej. A to zmienia postać rzeczy. Pomyślałaś o tym?

- Oczywiście. W tej kawalerce mieszkała wcześniej starsza osoba, która też poruszała się na wózku. Blaty w kuchni są na odpowiedniej wysokości, pod prysznicem i przy łóżku są zamocowane poręcze i uchwyty bezpieczeństwa. A w bloku są winda i podjazd - wymieniam z przekonaniem.

- Rozmawiacie tak, jakby mnie tu w ogóle nie było - włącza się do dyskusji Maks, ton jego głosu jest stanowczy, co szczególnie w trakcie rozmów z matką nie jest dla niego typowe. - Jakbyście to wy decydowały o moim życiu - zżyma się jeszcze bardziej. - Ale ja już nie jestem dzieckiem. Pozwól mi spróbować, mamo. Nie chcę czuć się przez kolejne lata jak nieprzystosowany do samodzielnego życia kaleka.

Zapada między nami chwila niezręcznej ciszy.

- Czy to znaczy, że przy mnie tak się czułeś? - pyta matka. Coś w jej twarzy się zmienia, martwieje.

- Potrzebuję więcej swobody. Chcę chociaż sprawdzić, czy mi się uda - odpowiada Maks wymijająco. - Jeśli będziesz mnie wyręczać na każdym kroku i organizować mi czas, nigdy nie będę miał szansy, żeby się dowiedzieć, czy sam dam sobie radę. A wierzę, że dam.

Jeśli te słowa zabolały lub rozwścieczyły naszą matkę, nie daje tego po sobie poznać. A przynajmniej nie podejmuje tematu. Widzę tylko, że zapada się w sobie i kurczy, kiedy pochyla się nad talerzem z zupą. Zamiast energicznej, przedsiębiorczej kobiety, którą była do czasu odejścia naszego ojca, a względnie też do dnia wypadku, teraz widzę w naszej mamie tylko złamaną lalkę. Każdy kolejny życiowy zawód upodobniał ją do niej jeszcze bardziej. Czuję, że dzisiejsza rozmowa jest dla niej ciosem.

- Dobrze więc - odpowiada znad talerza i bierze łyżkę zupy do ust. - Dobrze - mówi jakoś machinalnie.

Odnoszę wrażenie, że w tym jej przyzwoleniu wcale nie ma zgody.

Zjadamy zimny już posiłek w zupełnym milczeniu. Na pewno żadne z nas nie czuje nawet smaku dań, po prostu gramy w jakąś dziwną grę, byle dobrnąć do jej końca. Niewypowiedziane wciąż słowa wiszą między nami jak ciężkie burzowe chmury. Po posiłku mama wychodzi bez słowa, kieruje

się na piętro do swojej sypialni. Podążam za nią wzrokiem, potem wkładam brudne naczynia do zmywarki, a brat ściera blat stołu.

- Myślisz, że jej przejdzie? - pyta.

- Myślę, że musi się z tym oswoić. Ona cię kocha, musi tylko zrozumieć, że jej dotychczasowe pojęcie miłości nie jest najlepsze.

- Jeezy się odezwał, ma te dane z karty - oznajmia Maks, zerkając na wyświetlacz telefonu. - Napisałem mu właśnie, że przyjedziesz. Ja lepiej z nią zostanę. - Wskazuje na schody prowadzące do sypialni.

Jeśli Jeezy w ogóle dba o higienę, to ja chyba nie mam szczęścia, by natrafić na te dni, w których akurat bierze prysznic. Kontener, w którym pracuje, przypomina dziś rozgrzaną do czerwoności puszkę. Temperatura w środku musi wynosić zylion stopni. Na koszulce chłopaka, na plecach i pod pachami wykwitają mokre plamy, z czoła spływa mu strużka potu. W pomieszczeniu unosi się charakterystyczny, stęchły zapach.

- Klima nawaliła, więc gorąco tu jak w piekle - wyjaśnia przepraszająco i wachluje się jakimiś papierami. - Nie zamykaj drzwi - mówi, kiedy przekraczam próg kontenera.

- Podobno masz te dane z karty?

- Yhm - cmoka z zadowoleniem. - Są na karcie, zgrałem je też na pendrive'a. - Podaje mi go.

- Możemy je teraz odtworzyć? - Obracam pendrive'a w palcach.

- Mam tu jeszcze trochę roboty - mówi, ale zauważam, że się waha.

Przebiegam wzrokiem po pogrążonym w zupełnym chaosie biurku. Poza tymi samymi co przedwczoraj jednorazowymi naczyniami na blacie leżą zwinięte kable i jakieś drobne elektroniczne części. Nie mam zielonego pojęcia, do czego służą. Stojący przy biurku metalowy kosz aż kipi od wysypujących się z niego śmieci.

- No chyba że znajdzie się jeszcze miejsce na urbexową wycieczkę w przyszłym tygodniu, dla mnie i mojej dziewczyny. - Jeezy szczerzy się w szerokim uśmiechu. Mam wrażenie, że po szczoteczkę do zębów chłopak też sięga nieczęsto.

- Okej - mówię z udawanym entuzjazmem i wręczam mu pendrive'a. - Pokaż, co tam jest.

Chłopak podpina go do laptopa, a kiedy komputer informuje o wykryciu nowego urządzenia, Jeezy klika dwukrotnie na szarą ikonkę. W tej samej chwili w kieszeni moich spodni wibruje telefon. Wyciągam go, odblokowuję ekran i odczytuję nową wiadomość. To Kas, kolejny raz w

tym tygodniu wysyła mi SMS-a tylko po to, by życzyć mi dobrego dnia. Wstukuję w telefon emotkę uśmiechniętej buźki, przesuwam palcem nad „wyślij" i odkładam telefon na miejsce.

- Oglądałeś to nagranie? - pytam Jeezy'ego w pełnym napięcia oczekiwaniu.

- Pobieżnie. Nie jest długie. Jak mówiłem, kamera o tej wydajności baterii rejestruje obraz nieprzerwanie najwyżej przez czterdzieści osiem godzin. Potem należy ją ponownie podładować. Kamera nie była w ruchu non stop przez ten cały czas, nagranie obejmuje siedem dni, okres między dwudziestym drugim a dwudziestym dziewiątym sierpnia. A i tak łączna długość nagrań wynosi ledwie sto dwadzieścia minut.

- Dwudziestym drugim sierpnia zeszłego roku?

- No chyba właśnie tak mówię, co nie? - odpowiada i przygląda mi się z wyraźnym rozbawieniem.

Umysł ludzki to arcyciekawa konstrukcja. Pokrętnie koduje wszystkie daty, związane z nimi chwile, a także smaki i zapachy, które w jakiś sposób, według tylko sobie znanego klucza, uzna za szczególnie ważne. Dwudziesty drugi sierpnia nie jest tutaj wyjątkiem, nie w moim przypadku. Dokładnie pamiętam, że dzień później, dwudziestego trzeciego, na facebookowym profilu mojej nauczycielki pojawił się wpis opublikowany przez jej córkę Matyldę. Kilka skleconych pod wpływem emocji zdań, których przekaz złamał mi serce. Marianna, moja nauczycielka biologii, dzięki której w klasie maturalnej zdołałam przetrwać pierwsze tygodnie po swoim wypadku, nie żyła. Zginęła w pożarze w leśniczówce, dokąd niedawno się przeprowadziła. Tyle pamiętam z tamtej wiadomości opublikowanej na wallu Marianny. Zanotowałam też w głowie te wszystkie bzdurne szczegóły tamtego dnia. Przypominam sobie wyraźnie, że krzątałam się wtedy po kuchni, przygotowując sałatkę tajską. Kroiłam mango i dłonią zabrudzoną pulpą bezmyślnie scrollowałam facebookową tablicę, nie spodziewając się, że to, co przeczytam, tak bardzo mnie zaboli. Tuż po swoim wypadku byłam z tą kobietą bliżej niż z własną milczącą matką, miesiącami karzącą mnie ciszą za kalectwo brata. Śmierć Marianny była więc jak strata kogoś mi najbliższego, przynajmniej w pewnym okresie mojego życia.

Po kilku kolejnych sekundach oczekiwania czarny ekran komputera rozbłyskuje jasnym światłem. W prawym dolnym narożniku pojawia się data i godzina. Czternasta dwadzieścia dwie. Przez parę pierwszych minut

nic się nie dzieje, nie ma żadnego ruchu poza unoszącymi się na wietrze liśćmi. Trudno określić nawet miejsce nagrania. Kolejny fragment zarejestrowano pół godziny później. Filmik trwał niecałe trzy minuty i dokumentował krótki lot sowy nad lasem. I na nim nie wypatrzyłam żadnych interesujących mnie szczegółów. Następny fragment zarejestrowano o dwudziestej drugiej trzy. Ta znaczna przerwa w nagraniu wcale mnie nie dziwi, sowy polują i są najbardziej aktywne nocą. Zaskakująca jest za to całkiem niezła jakość obrazu. Szczegóły drzew i fragmentu budynku, oddalonych od kamery o przynajmniej kilka metrów, są wyraźne, mimo że nagranie zostało zarejestrowane nocą w podczerwieni. W miejscu, w którym najprawdopodobniej w tamtym momencie znajdowała się kamera, rozpoznaję zamocowaną na drzewie budkę, czyli sowie miejsce lęgowe w lasku przylegającym do leśniczówki. Czuję, jak mój puls skacze, a serce kołacze mi się w piersiach. To przez niepewność tego, co zdarzy się dalej, i przez nagły skok adrenaliny. Nie wiem dokładnie, o której godzinie doszło do pożaru, poza tym, że stało się to tamtej nocy, a to oznacza, że najwyżej kilka godzin dzieliło ten konkretny kawałek nagrania od faktycznego momentu śmierci Marianny. Biorę głęboki wdech i dalej oglądam film klatka po klatce. Przez kolejne dwie minuty nic szczególnego się nie dzieje. Umiejscowienie kamery od strony ogrodu nie jest korzystne, bo nie widzę tego, co dzieje się od frontu. W pewnej chwili kamera się porusza, podskakuje i unosi nad budynkiem, co wskazuje na to, że ptak najprawdopodobniej poderwał się do lotu. Nie widzę nic poza koronami drzew i gęstą leśną darnią. Rozmazują mi się przed oczami. Potem ptak najpewniej się zatrzymuje, bo nagranie zostaje przerwane. Wznowienie pracy kamery następuje dopiero kilka minut później i, co dziwne, wydaje się, że film kręcony jest wciąż z tej samej perspektywy. Zupełnie jakby ptak się przyczaił i na coś czekał. Sowa, a wraz z nią kamera, wzbija się w powietrze i gwałtownie opada, przez moment na ekranie pojawia się niewielki jasny ptaszek z długą pręgą na brzegach ogona, prawdopodobnie ofiara sowy. Potem znika pochłonięty przez rozedrgany obraz. Przez kolejne sekundy kamera unosi się i na powrót opada, wciąż rozmazany obraz nie pozwala mi zorientować się, co się dzieje. Przypuszczam jedynie, że w tym czasie sowa rozszarpywała i zjadała ofiarę. Obraz wkrótce nieco się uspokaja, wydaje się, że sowa pokonuje tę samą trasę, co poprzednio. Rozpoznaję ją po mijanych w pewnym momencie pniach o olbrzymiej średnicy i charakterystycznym

skrzyżowaniu dróg, z których jedna prowadzi do leśniczówki, sowa jest w niewielkiej odległości od niej. W przeciwieństwie do wcześniejszego zapisu, na filmiku, a dokładnie w miejscu skrzyżowania dróg, pojawia się całkiem spora, jasna plama. Nie zwracam na nią większej uwagi, oglądam kolejne sceny. Nie przynoszą jednak niczego nowego. Po kilku chwilach sowa najwyraźniej usadawia się w swoim legowisku - świadczy o tym powrót do widoku na ten sam co poprzednio fragment leśniczówki. Nagranie kończy się osiem minut po dwudziestej trzeciej.

- Możesz cofnąć do momentu, gdy widać skrzyżowanie dróg?

Jeezy kiwa głową i manipuluje przy obrazie, ruchome klatki przesuwają się jedna po drugiej.

- O to chodzi? - pyta Jeezy, kiedy kadr zatrzymuje się na skrzyżowaniu i tkwiącej tam plamie.

- Możesz ją przybliżyć? - Wskazuję na niewielki punkcik. Mrużę oczy, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Mogę, ale nie spodziewaj się obrazu ostrego jak brzytwa. To ujęcie przechwycone kilka metrów nad ziemią. W najlepszym razie obraz będzie ziarnisty.

- Nieważne. Chodzi mi tylko o tę jasną plamę na środku skrzyżowania.

Po otoczeniu plamki czerwoną ramką i po kilku kolejnych kliknięciach obraz się przybliża i lekko wyostrza. Zegar wskazuje dwudziestą drugą czterdzieści pięć. Jest tak, jak twierdził, że będzie - napaćkane na monitorze piksele nie pozwalają mi przyjrzeć się szczegółom, ale obraz jest na tyle wyraźny, by plamka swoim kształtem zaczęła przypominać sylwetkę potężnego człowieka. Ujęcie zostało przechwycone od góry, co z kolei uniemożliwia przyjrzenie się jego twarzy, ale nie mam wątpliwości, że to mężczyzna z plecakiem przełożonym przez lewe ramię. To jedyne, co w nim rozpoznaję. Bardziej niż jego obecność na tej ścieżce niepokoi mnie jednak kierunek, który ten człowiek obrał. Droga prowadzi wprost do leśniczówki. Z tego, co pamiętam, od tamtego miejsca w lesie dzieli ją najwyżej sto, może dwieście metrów. Niewiele, cholernie niewiele. Obawiam się, że to żaden pieprzony przypadek. Kiedy to do mnie dociera, żołądek zaciska mi się w ciasny supeł. W tych szczególnych okolicznościach naznaczonych tragiczną śmiercią Marianny intuicja po raz kolejny mówi mi, że kimkolwiek ten człowiek jest, nie znalazł się tam przypadkowo. Czyżbym właśnie patrzyła na zabójcę, który sfingował tragiczny wypadek?

MARIANNA

czerwiec 2018

Maleńki migoczący punkcik rozświetla rozlewającą się za oknem absolutną czerń. Przesuwa się powoli, najprawdopodobniej wzdłuż drogi oddalonej od leśniczówki o kilkadziesiąt metrów. Oczywiście za światełkiem może stać każdy - czający się na zwierzynę myśliwy, samotny harcerz, który oddzielił się od grupy, albo przytulona do siebie zakochana para. Przyszli z dreszczykiem podniecenia na miejsce miłosnej schadzki - staram się przetłumaczyć ten scenariusz swojej podświadomości. Ale moje natrętne myśli wciąż krążą tylko wokół człowieka z psem, na którego kilka dni temu się natknęłam. Nawet przy założeniu, że nie będzie go tutaj, kiedy się wprowadzimy, perspektywa zamieszkania w Duchnym Lesie było trudna do zaakceptowania, ale mimo wszystko znośna. Obarczona mniejszym ryzykiem. Teraz każdy kolejny zmierzch, następujące po nim noc i poranek, kiedy budzę się niewyspana, są jak przeprawa do uśpionych przez te wszystkie lata moich własnych lęków. Najgorsze jest to, że ukrywam ten sekret przed własną córką, by jej niepotrzebnie nie straszyć. Matylda nie wie o tym, co przydarzyło mi się w dzieciństwie, i o tym, jaką rolę odegrał w tym Duchny Las.

- Co masz na myśli, mówiąc, że nie mogę wchodzić do lasu po zmierzchu? - Matylda oparta o szafki kuchenne wpatruje się we mnie natarczywie. Krótki top odsłania jej goły brzuch, z postrzępionych nogawek szortów wystają kolorowe nitki.

- Dokładnie to, że nie masz zapuszczać się w głąb lasu - mówię ostrzejszym tonem. - Wiem, że to będzie trudne - dodaję nieco łagodniej. - Jeśli będziesz potrzebowała, zawiozę cię do wioski. Zawsze. Po prostu nie chcę, żebyś chodziła sama tamtą leśną drogą. Jesteśmy tu tylko tymczasowo, na miesiąc, może dwa, a do tego czasu musimy uważać.

- Uważać, ale na co? - Matylda przygląda mi się podejrzliwie. - I niby że co? Remontowaliśmy ten dom tylko po to, żeby stał się dla mnie twierdzą na miesiąc? To nie ma sensu, nie pisałam się na coś takiego... - Moja córka stanowczo potrząsa głową.

Wyrzuty sumienia, które mam wobec niej z powodu tego, na co ją skazałam, każą mi się wytłumaczyć.

- Ten drugi dom, który mijamy po drodze. Ten z dziwną pasieką, kojarzysz?

Matylda potwierdza skinięciem głowy.

- Co z nim?

- Mieszka tam człowiek, który wiele lat temu zwabił do swojego domu dziecko. I je tam skrzywdził...

Niespokojny ruch źrenic Matyldy i jej wyczekujące spojrzenie nakazują mi zdradzić na ten temat coś więcej.

- Co dokładnie mu zrobił? - pyta.

Nie wyczuwam w tym pytaniu strachu, a jedynie ciekawość. Jest ona jedną z tych cech, które Matylda odziedziczyła po swoim ojcu - przeniesiona w genach została także jego niezłomność i ryzykanctwo, niezależnie od okoliczności. To niebezpieczna mieszanka, szczególnie w miejscu takim jak to.

- Dokładnie nie wiadomo. - Unikam spojrzenia córki, przenoszę wzrok na znajdujące się na parapecie doniczki z ziołami. - Tamta dziewczynka nie wszystko pamiętała. Ale jedno jest pewne - to był szaleniec, który nafaszerował ją środkami uspokajającymi, związał i odprawił nad nią egzorcyzmy, myśląc, że dziewczynce groziło niebezpieczeństwo. A potem ją wypuścił. Zamknięto go w psychiatryku na kilka lat.

- I wiedząc, że nadal mieszka tu psychol, ściągnęłaś nas tutaj? Po jakie licho? To on zostawił te cuchnące rośliny, tak? - W głosie Matyldy słyszę zarzut.

- Byłam pewna, że ten człowiek nie żyje - tłumaczę.

Wyraz twarzy Matyldy się zmienia, staje się surowy i ostry. Oczy zachodzą mgłą, w ich kącikach pojawiają się łzy. Ta gwałtowna reakcja jest zapowiedzią jednego z jej wybuchów.

- Mam dość, mamo. Tej ciągłej huśtawki. Musiałam zostawić dom, koleżanki, całe swoje życie, bo ty spartaczyłaś sprawę. Okej, jakoś i wtedy się trzymałam. Ale teraz jeszcze to... Nie mogłabyś zamiast na innych, raz jeden skoncentrować się na swojej rodzinie? Po co zawsze wychodzisz przed szereg? Jeśli będę chciała wyjść na spacer, zrobię to. - W głosie córki słyszę żelazną determinację. - Zwariuję, siedząc tu całymi dniami, z dala od wszystkiego.

- Nie wyjdziesz, jeśli ci na to nie pozwolę, nie wieczorem - zaznaczam, usiłując zachować spokój. - A myślenie wyłącznie o sobie to egoizm. Dokładnie tym samym jest układanie sobie tylko swojego małego świata.

- Ten twój mały świat to też ja. A karma nie jest sprawiedliwa, jak widzisz, mamo. Dobro wcale nie wraca. Troska też nie. Tylko się rozejrzyj. - Mówiąc to, przebiega wzrokiem po naszej kuchni. - Zobacz, gdzie wylądowałyśmy, gdzie nas zaprowadziło twoje oddanie uczniom i pracy. Do czarnej dziury. Gdyby tata tu był, nie doszłoby do tego. - Na wspomnienie ojca Matylda zanosi się szlochem i wybiega z kuchni.

Stukot jej bosych stóp rozchodzi się po skrzypiących drewnianych schodach prowadzących na poddasze. Moje kilkukrotne próby namówienia jej, żeby wróciła, spełzają na niczym. Tym bardziej że chcąc zagłuszyć moje wołanie, Mat włączyła w swoim pokoju głośną muzykę.

Wspinam się na piętro i otwieram drzwi do jej pokoju. Zastaję córkę leżącą na łóżku, zwróconą twarzą do ściany. Widzę, że szlocha.

- Jeszcze nie skończyłyśmy - mówię, ale mój głos łagodnieje. - Nie ma tu twojego ojca. Jest za to jego kredyt, który muszę spłacać.

- Nie zwalaj winy na tatę. - Mat oddala twarz od poduszki, ale nie odwraca się w moją stronę. Jest roztrzęsiona. - On się przynajmniej starał, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. To w tym celu wziął kredyt. Jego Matt był już prawie gotowy. Chciałby, żebyśmy go wykorzystały. Wystarczy zgłosić go do urzędu patentowego, a potem sprzedać licencję. Teraz leży tu tylko jak jakaś smętna relikwia, a my przecież potrzebujemy pieniędzy.

Podchodzę do córki w milczeniu, ostrożnie siadam na krawędzi łóżka i wierzchem dłoni dotykam jej wilgotnego czoła. Jej twarz wydaje się blada, wyprana z koloru. Kiedy gładzę ją po głowie, nie odtrąca mnie. W tej chwili wydaje mi się bezbronną i całkowicie zależną ode mnie małą dziewczynką. Taką, jak kiedyś. A może wcale tak wiele od tamtego czasu się nie zmieniło? Wciąż potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, którego ostatnio tak bardzo jej brakowało.

- Przetrwamy to - szepcę jej do ucha. - Daj mi jeszcze trochę czasu. I masz rację w kwestii Matta. Zajmę się tym. Tylko obiecaj mi, że nie zrobisz żadnego głupstwa.

Moja córka nie odpowiada, przyciska twarz do poduszki. Siedzę z nią jeszcze przez kilka minut, milczymy, ale czasami właśnie tyle wystarczy. Taką mam nadzieję. Potem zostawiam ją samą. W salonie z zamykanej na kluczyk szafki wyciągam metalowe puzderko z naklejoną na nim etykietą. Przesuwam palcem po literach starannie naniesionych ręką mojego męża.

Matt.

Nie bez powodu nazwał swój wynalazek imieniem naszej córki. Już od chwili narodzin Mat stała się jego oczkiem w głowie, nieodrodną córeczką tatusia. Pod każdym możliwym względem. Podważam paznokciem wieko puzderka, wydobywam jedno z dwóch mieszczących się tam niewielkich, pierścieniowatych urządzeń i obracam je w palcach. Mat ma rację, przechowuję je tutaj jak relikwię, a raczej ostatni fizyczny łącznik z moim mężem. Sprzedaż licencji postrzegałam dotychczas jako zdradę, a czasem nawet jako przejaw pazerności, ale chyba całkiem niepotrzebnie. Czas zapomnieć o obiekcjach powstrzymujących mnie przed sprzedażą, choćby po to, żeby zapewnić córce bezpieczeństwo. Odkładam kamerę do puzderka z postanowieniem rychłego rozeznania się w sprawie sprzedaży licencji. Po kolejnym wyczerpującym dniu siadam w fotelu, zamykam oczy, by dać im odpocząć. Tylko przez chwilę...

Ze snu wyrywa mnie hałas. Gwałtownie wybudzona, nie wiem, co było jego przyczyną ani skąd dobiegał. Mija chwila, nim się orientuję, że nie leżę w łóżku, że wciąż jestem w salonie, tkwię tak samo jak wcześniej w fotelu. Wskazówki starego dwukurantowego zegara ustawiły się na dwunastce. A to oznacza, że musiałam przysnąć na godzinkę. W pierwszym odruchu sprawdzam drzwi wejściowe, które, ku mojej uldze, okazują się zamknięte. Trzy zasuwy są na swoich miejscach. Kierowana złym przeczuciem po naszej wieczornej kłótni, idę na poddasze, do sypialni Mat. Drzwi do jej pokoju są uchylone, a panująca w nim ciemność jest nieprzepuszczalna i gęsta. Nie chcę zapalać światła, żeby jej nie obudzić, skradam się do znajdującego się pod oknem łóżka. Ale zastaję w nim tylko skotłowaną kołdrę. Zrzucony z łóżka jasiek leży na podłodze. Zamknięte wcześniej okno jest lekko uchylone, wpada przez nie chłodne, silnie pachnące żywicą powietrze. W głowie szybko kalkuluję możliwe scenariusze. Okno jest zbyt małe, by to przez nie Mat mogła się przecisnąć, gdyby chciała uciec. Staram się uspokoić pędzące w głowie myśli, bo równie dobrze moja córka może być w toalecie albo w kuchni. Bezpieczna. Tylko że przeczucie mówi mi co innego. Czuję obezwładniający mnie niepokój. Jakby na potwierdzenie panującą w domu przeraźliwą ciszę przerywa dobiegający zza okna arsenał trudnych do nazwania dźwięków. Przypominają syczenie albo pisk, a momentami i trzeszczący wrzask. Mój mózg pracuje na najwyższych obrotach, staram się spośród tych dźwięków wyłapać coś jeszcze. Czymkolwiek są, bez wątpienia nie wydaje ich z siebie człowiek. Tylko tyle wiem na pewno. Instynktownie wychylam

głowę przez niewielkie okienko. Nie mogąc wyłowić z absolutnej ciemności żadnego ruchu ani kształtu, wołam imię córki.

- Mamo, chodź tu! Szybko! Pomóż mi! - Głos Matyldy dobiega zza okna. Ale jest daleko, wydobywa się jakby zza dźwiękoszczelnej ściany. Nie potrafię dokładnie go zlokalizować.

Nie zadaję córce żadnych pytań. Zbiegam schodami, po drodze sięgam tylko do mieszczącego się w holu schowka, w którym mój ojciec przechowywał narzędzia. Wybieram siekierę. Wypadam z nią na dwór przez boczne otwarte na oścież drzwi wychodzące na ogród. Odgłosy, te same co wcześniej, teraz ostre i powtarzające się, dobiegają z przylegającej do ogrodu leśnej polany. Czuję dławiące mnie emocje. To za sprawą żywego wciąż we mnie obrazu człowieka z moich wspomnień, którego wyobrażam sobie teraz z moją córką. Wiem, że jeśli będzie trzeba, to się nie zawaham. Biegnę na oślep w tamtą stronę, choć poruszanie się po tym terenie sprawia mi ogromną trudność, tym bardziej że dookoła widzę tylko najgłębszy odcień czerni, w której i ja jestem zanurzona. Czuję się jak na pogrążonej w mroku teatralnej scenie, pośród elementów scenografii, których faktyczny kształt i formę ktoś zaburzył, zarzuciwszy na nie czarną płachtę. To samo dotyczy mnie. Nadal nic nie widzę, dopóki zza drzew nie wyłoni się niewielkie światełko, które służy mi za drogowskaz. Kiedy biegnę w jego stronę, jazgotanie się nasila, tak samo jak głos mojej córki.

- Tutaj jestem - woła.

Kiedy dobiegam na miejsce, między sosnami, na polanie przypominającej ogromny okrągły ring, siedzi okrakiem Matylda. Dzięki padającemu częściowo na nią światłu latarki widzę, że ma na sobie tylko stanik i szorty, jej góra od pidżamy owinięta jest wokół poruszającego się niespokojnie zwierzęcia, chyba ptaka. Nie potrafię rozpoznać. Ptak jest spory i wije się niespokojnie w rękach mojej córki. Tylko tyle widzę, zmieniający się kształt koszuli.

- Pomożesz mi? Coś się jej stało... Chyba jest chora albo ranna...

Pochylam się nad szarpiącym się i wydającym z siebie przeraźliwe odgłosy ptakiem. Spod materiału raz po raz wyłaniają się pióra. Ale dopiero wtedy, kiedy na moment spod tkaniny wysuwa się głowa zwierzęcia i wielkie pomarańczowe oczy, dociera do mnie, że moja córka trzyma w dłoniach sowę.

POLA

sierpień 2020

Wśród iglaków dominujących na terenie Jaru Rzeki Raduni wierzba płacząca jest jak pozostawiony sam sobie buntownik. Przypuszczam, że Lara wybrała ją nieprzypadkowo, właśnie ze względu na jej inność. Na wielu zdjęciach z nocy zabójstwa youtuberki dołączanych do artykułów przewijało się to charakterystyczne drzewo, rozłożyste i niewyobrażalnie smutne. Stanowiło swoistą bazę, centralne miejsce, wokół którego skupiali się wszyscy uczestnicy zlotu. Wierzba była wyjątkowa także z innego powodu. Tamtego feralnego dnia Lara zaproponowała, żeby każdy, kto ma jakiś problem, zapisał go na karteczce, którą, zwiniętą w rulon, przyczepi do gałązki. Mieli je potem kolejno zdejmować i wspólnie te problemy rozwiązywać. Podobno, zanim doszło do morderstwa, nawet częściowo im się to udało. Również i tę informację wyczytałam w jednym z artykułów, i tę, że reszta wyznań zapisanych na świstkach papieru pozostała nieodczytana.

Moja próba odnalezienia wierzby była tak naprawdę tylko pretekstem do odwiedzenia Duchnego Lasu. Jeśli wierzyć lakonicznym słowom Wiktorii, Lara mogła narazić się któremuś z tamtejszych mieszkańców. I choć nie sądzę, bym mogła natrafić na coś więcej niż to, co udało się ustalić policji, to i tak postanawiam spróbować. Mój plan ogranicza się w zasadzie tylko do próby konfrontacji choćby z jakimś wycinkiem zdarzeń z tamtej feralnej nocy, ale nie wiem, czego właściwie powinnam oczekiwać. Chcę zdać się na instynkt. Według Google Maps i geolokalizacji w Duchnym

Lesie są tylko trzy posesje, włączając w to spaloną leśniczówkę. Nie powinnam mieć problemu, by do nich dotrzeć.

W lesie zawsze czułam się bezpieczna. Bez względu na porę dnia czy pogodę przyroda od zawsze wypełniała mnie naturalną siłą, nawet, a może zwłaszcza, w tych najpodlejszych życiowych sytuacjach. To tam uciekałam, to tam szukałam wspomnień o swoim mężu i synu. Ale ten las jest inny. Być może to wina mojego złego nastawienia. Wiem, że doszło tutaj do wielu tragicznych wydarzeń, tych historycznie odległych i tych całkiem niedawnych, więc odbieram go inaczej. Wyczuwam w nim pewną milczącą wrogość. Tutejsza przyroda nie chroniła życia, biernie obserwowała śmierć. Panująca dziś wokół cisza też jest nienaturalna, złowieszcza. Nie słyszę ptasiego śpiewu ani szelestu poruszanych na wietrze gałęzi. Niczego, żadnego znaku życia.

Zatrzymuję samochód przy jednej z trzech oznaczonych na Google Maps posesji. Podobnie jak sam las, ona też nie wygląda przyjaźnie. Na podjeździe stoi stalowy stół, jego boki zbiegają się do środka, tworząc nachyloną pod ostrym kątem rynnę. Stół ma w sobie coś odstręczającego, służy z pewnością do patroszenia i skórowania zwierzyny. Rynna odprowadza upuszczaną ze zwierzęcia krew. Wzdrygam się na samo wyobrażenie czegoś takiego. Stół i ta chłodna stal stanowią nieprzyjemny kontrast z drewnianym parterowym budynkiem. Na posesji nie ma nikogo, a na podjeździe nie parkuje żaden samochód. Niezrażona naciskam dzwonek. Mija minuta, może dwie, ale nikt się nie odzywa. Dzwonię jeszcze dwukrotnie. Nadal bez skutku.

Wsiadam do samochodu i kieruję się w stronę drugiej posesji, oddalonej od tej o pół kilometra. Kiedy docieram na miejsce, przeżywam kolejne rozczarowanie.

Teren, otoczony wysokim zaniedbanym żywopłotem, wygląda na niezamieszkany. Zachłanne pędy roślin są dowodem postępującej tutaj degradacji. Sięgają sztachetek płotu, przeciskają się przez nie, obejmują mackami nawet wyrastające z ziemi korzenie pobliskich drzew. Zasłaniają mi widok na to, co dzieje się po drugiej stronie płotu. Idę wzdłuż posesji i zauważam, że w jednym miejscu pędy zostały zerwane. Nachylam się i spoglądam przez metalowe sztachety. Widzę przez nie nieduże porośnięte trawą poletko, na którym w równych odległościach rozstawiono drewniane figury. Są imponujące i przerażające jednocześnie, detale ich twarzy oddane są niezwykle realistycznie. Nie dostrzegam jednak nic poza figurami, więc

wracam pod furtkę. Ku mojemu zdziwieniu nigdzie nie ma dzwonka. Próbuję przekręcić gałkę, ale metalowe drzwi nawet nie drgną. Zauważam, że od wewnętrznej strony są zabezpieczone ciężką zasuwą. Kręcę się pod płotem jeszcze przez chwilę, opracowując dalszy plan działania. Czekanie na właściciela, który równie dobrze może dziś w ogóle się tutaj nie pojawić, nie ma sensu. Zostawiam samochód na poboczu i wyruszam w głąb lasu z zamiarem dotarcia do płaczącej wierzby. Według notatek, które przygotowałam wcześniej, powinna rosnąć na szczycie zbocza, w odległości stu metrów od największego bunkra.

Po przejściu kilometra mijam parcelę, na której stała leśniczówka. Nie pozostał po niej żaden ślad. Najwyraźniej ktoś kupił działkę, ogrodził ją i zrównał dawny budynek z ziemią. Za parcelą droga leśna nieco się zwęża, a krajobraz staje się bardziej urozmaicony, w oddali wesoło szumi potok. Jego dźwięk przełamuje wszechobecną tu martwotę. Po dalszym kilkuminutowym spacerze zauważam leżący na środku ścieżki przewiązany sznurkiem liść łopianu. Pod sznurek wciśnięte są wielokolorowe byliny. Część z nich ma grube kolce. Podnoszę go i wdycham ich ciężką, nieprzyjemną woń. Wydaje mi się, że liść i rośliny zostały wysmarowane jakąś lepką mazią, która przylgnęła teraz do moich palców. Wyciągam z torebki chusteczkę i wycieram dłoń. Ten liść to niejedyne takie znalezisko. Kilkadziesiąt metrów dalej natrafiam na kolejny. Im bliżej jestem celu, tym więcej takich liści pojawia się na ścieżce.

Kiedy wychodzę na polanę, w powietrzu unosi się szara mgiełka. Zapach, który się z niej wydobywa, jest przyjemny, ma wyczuwalną nutę różano-żywiczną, a także akcent mięty i cytrusów. Na razie nie potrafię zlokalizować jego źródła. Wierzba rośnie w centralnym punkcie łagodnie opadającego zbocza. Jest znacznie większa, niż ją sobie wyobrażałam. Ma gęstą szeroką koronę i wiotkie zwisające gałęzie, które wyglądają niczym słabnące dłonie poruszane przez wiatr. Ale to nie ona, tylko stojący pod nią człowiek przykuwa teraz moją uwagę. Zgarbiona sylwetka, masywne ramiona i łydki kojarzą mi się ze szpetną postacią z jakiegoś niskobudżetowego horroru. Nie mogę przypomnieć sobie, o jaki film konkretnie chodzi. Mężczyzna ma najwyżej czterdziestkę, ale jego toporna fizjonomia i to, że jest zaniedbany, dodają mu lat. Facet nie jest sam, w jego ramiona wtulony jest niewielki czarny kundelek. Wyglądają razem dość kuriozalnie.

- Lepiej zostawić je tam, gdzie były - odzywa się, kiedy mnie zauważa. Jego głos, łagodny i przyjemny, gryzie się z jego odstręczającym wyglądem.

Początkowo nie wiem, o co mu chodzi. Gdy spogląda wymownie na moje ręce, domyślam się, że mówi o liściu łopianu. Jego natarczywe spojrzenie wywołuje we mnie niepokój.

- Co to za rośliny? - pytam, wskazując znalezisko.

- Czartopłoch i biała szałwia oczyszczają i odwracają wszelkie zło. Węzeł musi pozostać na miejscu nienaruszony.

- Dlaczego nie powinien być naruszony?

Moje pytanie zawisa w ciszy. Odpowiedź przychodzi kilkadziesiąt sekund później.

- Jest bezpieczniej, jeśli rośliny tam są. Jest bezpieczniej, jeśli są na miejscu. Po prostu. Jest bezpieczniej, jeśli węzeł nie jest przerwany.

Gdy mężczyzna wypowiada słowo „bezpieczniej", jego ciało spina się i na powrót rozluźnia. Jest tak, jakby to konkretne słowo wprowadzało go w trans. Odkładam liść łopianu na trawę, w głowie mam gonitwę myśli, wszystkie krążą wokół tego, co dalej. Ewidentnie z tym człowiekiem coś jest nie tak, dlatego powinnam czym prędzej się wycofać. Ale jego obecność jest równie przerażająca, co kusząca. Postanawiam zaryzykować i wyciągnąć z niego jakieś informacje. Bezpieczna odległość kilkunastu metrów umożliwi mi ucieczkę, jeśli sytuacja stanie się niebezpieczna.

- Mieszka pan tutaj? - pytam.

Mężczyzna kuca i wypuszcza z rąk psa. Kundelek trzyma się blisko właściciela, kręci się wokół jego stóp. Z jednego z dwóch przymocowanych do paska płóciennych worków mężczyzna wyciąga przewiązaną sznureczkiem wiązkę drewienek o pomarańczowozłotawej barwie. Są niewielkie, mieszczą się w jego dłoni. Podpala koniec drewienka, zdmuchuje płomień i umieszcza je na blaszanej podkładce. Przebiegam wzrokiem po polanie, zauważam, że podkładek jest tutaj znacznie więcej, to one wydzielają unoszącą się w powietrzu zapachową mgiełkę.

- Zawsze mieszkałem - mówi, wpatrując się w uwalniające przyjemny zapach kadzidełko.

- To pewnie pan słyszał o tym, co się tutaj stało. O zabójstwie tej młodej dziewczyny...

Mężczyzna podnosi się i podchodzi bliżej, skracając dzielący nas dystans do najwyżej kilku metrów. Ściąga wszystkie mięśnie twarzy.

- Mówiłem jej, że nie powinna była tutaj przyjeżdżać. Nie powinna była jej stamtąd zabierać - mówi i mruży oczy, jakby coś sobie przypominał.

- Mówi pan o Larze, dziewczynie, która zginęła rok temu?

Kategorycznie potrząsa głową.

- Nie, choć ona też nie słuchała. Ale mówię o Mariannie, o Mariannie z leśniczówki. Mówiłem jej, a on i tak po nią przyszedł.

O śmierci nauczycielki w płonącej leśniczówce wiem tak naprawdę niewiele. Niewiele ponad to, że zawiniła wadliwa instalacja elektryczna, a drążąca temat Lara doszukiwała się w tym wypadku drugiego dna. Ale go nie znalazła.

- On, czyli pożar?

Po raz kolejny długo czekam na odpowiedź. Kiedy mężczyzna przenosi wzrok na mnie, jego spojrzenie jest inne niż dotychczas, zadziwiająco przytomne.

- Ten, który krzywdzi i zsyła męki na innych, to zawsze jest człowiek. Nikt inny. Za zło nigdy nie odpowiada przyroda, ona tylko przyjmuje to, czym człowiek ją karmi. A człowiek zamiast pielęgnować, najczęściej ją truje. Dlatego trzeba ją oczyszczać, by mogła znów sama się wyżywić. By mogła się odrodzić i dać dobry plon. To miejsce tutaj - przebiega wzrokiem po polanie - potrzebuje szczególnej pomocy, szczególnej troski. Ściągają tutaj źli ludzie. Mursz jest magnesem dla rozchwiania i wypaczeń. Po to tu jestem. Po to, żeby pomagać i oczyszczać. Ale temu, co się stało, nie zdążyłem w porę zapobiec. - Wypowiada te słowa z dziwnym namaszczeniem. - Tamtej nocy był tutaj człowiek, widziałem jego żółte światło, słyszałem, jak z kimś rozmawia.

To wyznanie zupełnie zbija mnie z tropu. Nie wiem nawet, jak połączyć jego słowa w logiczny ciąg. Zastanawiam się też nad tym, czy są to tylko chore wizje niezrównoważonego człowieka, czy próba wyznania prawdy.

- Nie rozumiem. - Kręcę głową. - Mówi pan o tamtej nocy, kiedy zginęła nauczycielka? Czy policja o tym wie?

- Wie, ale policja nie dręczyła po tym jego, tylko mnie. Nawet go nie szukała...

- Jego?

- Mówiłem, to był mężczyzna.

- Rozpoznał go pan?

- Nie wiem, kim był - odpowiada z wyraźną niechęcią. Pochyla się nad psem, ponownie bierze go na ręce. Pies posłusznie sadowi się w ramionach

właściciela.

- Ale widział go pan?

- I tak, i nie.

- Co to znaczy?

Mężczyzna bierze głęboki wdech, powoli wypuszcza powietrze z ust. Wyczuwam w tym pewne rozdrażnienie.

- Dochodziła północ. Wyglądał tylko jak ruchomy cień, jakich wiele. Bezosobowy, nieszczególny. Szedł za światłem, za jego cienką wiązką. Nie odsłaniało jego twarzy, tonęła w mroku. Myślałem, że to może oni, kolejni, którzy uzurpują sobie prawo do lasu. Ale to był ktoś inny, najgorszy truciciel. Morderca. Ale wtedy tego nie wiedziałem. Wróciłem do swoich zajęć. Przez uchylone okno poczułem w pewnym momencie swąd spalenizny i dym. To było trzy kwadranse później. Zanim doszedłem na miejsce, leśniczówkę trawiły już płomienie - mówi i zbliża się do mnie jeszcze bardziej, ciągnąc za sobą ostry smród. Jest podobny do tego, który wydzielają wysmarowane liście łopianu. Jest tak odpychający, że natychmiast wywołuje u mnie mdłości. - Proszę je zatrzymać i podpalić w domu - mówi i wciska mi w dłoń wiązkę drewienek, takich samych jak te, które tlą się na polanie. - Widzę, że pani też ich potrzebuje.

Zamieram, spodziewając się z jego strony gwałtownej reakcji. Ale nic takiego się nie dzieje. Mężczyzna przez chwilę stoi nieruchomo i tylko lustruje mnie od stóp do głów. To irracjonalne, ale za sprawą jego natarczywego spojrzenia czuję się w pewien sposób naga. Przypięty do jego paska woreczek nagle się porusza, wydobywa się z niego cichy pisk podobny do tego, który wydają z siebie myszy albo inne drobne gryzonie. Musi tam być jakieś niewielkie stworzenie, może nawet niejedno.

- Co tam jest? - Wskazuję na poruszający się w worku niewielki kształt.

Mężczyzna ignoruje moje pytanie i odchodzi bez słowa. Zostaję na polanie sama w otoczeniu tlących się wciąż kadzidełek. Czuję wściekłe pulsowanie w skroniach. Teraz nie jestem już wcale taka pewna, że faktycznie coś się tam poruszyło. To przez ten cholerny smród, który przykleił się do mojego ciała i wdarł w moje nozdrza. Czuję, że nie myślę trzeźwo, że te kadzidełka w pewien sposób też mącą mi w głowie.

By nieco ochłonąć i pozbyć się drażniącego zapachu, podchodzę do kadzidełek, wyciągam z torebki butelkę wody i polewam każde, dopóki wszystkie nie zgasną. Ostatnie kadzidełko umieszczone jest tuż przed pniem wierzby. Dotykam jej pokaleczonej ostrzem kory, sięgam dawno już

zaschniętych cięć, głębokich na kilka centymetrów. Bezkształtne początkowo wgłębienia z pewną nieśmiałością układają się w litery. Porowatości i wybrzuszenia kory utrudniają mi odczytywanie poszczególnych słów. Robię więc krok do tyłu. Pierwsze słowo, wciąż jeszcze trochę kanciaste, widziane z tej perspektywy jest już jednak w pełni widoczne. Po nim, biegnąc po skosie ku górze, pojawiają się kolejne. Anna, Mikołaj, Martyna, Miłosz, Wika, Artur, Kasandra i znajdujące się na samym szczycie Lara, a potem Maks. Imion, należących najprawdopodobniej do uczestników zlotu, jest znacznie więcej. Pną się po bokach, wiją wokół drzewa. Są niemym świadectwem tamtego dnia, tamtej tragicznej nocy.

Maks.

To samo imię nosi brat Lary, a przynajmniej tak zwracała się do chłopaka pracownica pralni. Nie jestem pewna, ale chyba również tym imieniem posługiwał się Artur, mówiąc o bracie swojej dziewczyny. Idąc dalej tym tropem, zastanawiam się, czy brat Lary rzeczywiście był tamtego dnia na zlocie, czy był również przy jej śmierci? Mam jeszcze kilka innych powodów, żeby z tym chłopakiem ponownie porozmawiać.

LARA

sierpień 2019

- Możemy pogadać? - Zeskakuję z podniszczonego murka ogradzającego teren szkoły.

Matylda przygląda mi się tak, jakby starała się zlokalizować mnie w pamięci. Ale to tylko gra pozorów. Doskonale wie, kim jestem. Nieważne, że od naszego ostatniego spotkania minęło tyle lat. Co roku, przez kolejne trzy lata, jeździła z naszą licealną klasą na kilkudniowe wycieczki.

- Jeśli to chodzi o mamę, nie mam ochoty o niej rozmawiać - oznajmia, nie patrząc mi w oczy. Wsuwa do plecaka butelkę z wodą i rusza przed siebie w stronę furtki prowadzącej na ulicę.

- A skąd wiesz, że chodzi o nią? - Przyspieszam i zrównuję się z nią.

- Duchy z przeszłości mojej mamy pojawiają się głównie po to, by mnie o nią wypytywać. A to niczego nie zmieni.

- A co, jeśli powiem, że zmieni?

Matylda nieco zwalnia, widzę, że ma wątpliwości, czy powinna mi zaufać. Ciekawość w końcu zwycięża i dziewczyna się zatrzymuje.

- Jak mnie w ogóle znalazłaś? - pyta, nadal unikając mojego spojrzenia.

- Namierzenie najbardziej obiecującej uczestniczki kółka biol-chemu? Jedynej, która nie odpuszcza zajęć nawet w wakacje? Dla mnie to pestka. Na szkolnym Fejsie nie mogą się ciebie nachwalić. Zresztą wakacyjna rozpiska zajęć jest publiczna.

Mat wzrusza ramionami. Zauważam, że przez tych kilka lat zmieniła się nie do poznania. Z dociekliwego, radosnego dziecka stała się zbuntowaną nastolatką. Ale coś poszło nie tak. Za sprawą ostrego makijażu i kusych ciuchów, a przy tym widocznego w jej oczach głębokiego smutku przypomina raczej steraną życiem dojrzałą kobietę, która robi wszystko, by swoją powierzchownością odwrócić uwagę od przeżytej przez niątraumy.

- O czym chciałaś mi powiedzieć? - pyta z rezygnacją.

- Sowa z przyczepionym do nogi urządzeniem. Małą, ale za to wyjątkowo sprytną kamerką. Brzmi znajomo?

Matylda po raz pierwszy podnosi na mnie wzrok. Na jej twarzy wypisane jest jednocześnie zaciekawienie i zdezorientowanie.

- Skąd o niej wiesz?

Wyciągam z kieszeni bojówek niewielkie urządzenie. Kładę je na otwartej dłoni.

- To mojego taty. - Jej oczy rozbłyskują, kiedy rozpoznaje kamerkę. Wygląda jak ktoś, kto po wielu latach natknął się na dawno zapomniany skarb z dzieciństwa. Zachłannie wyciąga przed siebie rękę, by ją ode mnie odebrać.

Odsuwam i zamykam dłoń.

- To jak będzie? Pogadamy?

Mat patrzy na mnie z wyrzutem.

- Okej, ale nie tutaj. Chodź ze mną - odburkuje.

Przechodzimy przez boisko i kierujemy się w stronę bocznej furtki wychodzącej na las. Za szkolnym płotem wciąż jest palarnia. Na szybkie fajki, tak samo często kiedyś jak i teraz, uczniowie wymykali się tu na długich przerwach. Rozsypane za płotem śmieci, głównie butelki po napojach i pety, są dowodem stałej syfiastej obecności licealistów w tym miejscu. Po przejściu kilkudziesięciu metrów mijamy wybudowany niedawno plac treningowy i docieramy do skarpy, z której rozpościera się widok na port i pełznące ulicą Morską samochody. Siadamy pod drzewem na chłodnej wilgotnej ziemi.

- Kiedy ją wypuszczałyśmy na wolność, kilka kilometrów od Duchnego Lasu, przez głowę przemknęła mi myśl, że pewnego dnia może będzie chciała wrócić, ale chyba do końca w to nie wierzyłam. Zresztą sama przez ten rok nie mogłam się przemóc, by wrócić do tamtego miejsca. To nigdy nie był mój dom. - Twarz Matyldy wykrzywia grymas bólu. - Ani wtedy, ani teraz. Jak ją znalazłaś? - pyta.

- Masz na myśli sowę?

Dziewczyna odpowiada mi skinieniem głowy.

- Wpadłam na stojak, myślę, że zwabił ją dźwięk dzwonka.

- Gdzie ona teraz jest?

- Uciekła. Nic się jej nie stało. Ale udało mi się odzyskać zapis z kamery, z dnia śmierci twojej mamy. Widać na niej jakiegoś człowieka kierującego się w stronę leśniczówki na kwadrans przed północą. Może go rozpoznasz? - pytam z nadzieją.

Matylda wbija we mnie pełne wyczekiwania spojrzenie. Widzę teraz kilkuletnią dziewczynkę, dociekliwą i zdeterminowaną, tę samą, którą kiedyś znałam.

- Pożar wybuchł kilka minut po północy. A to znaczy, że może... - Urywa. - Zaniosłaś to nagranie na policję? - pyta naglącym tonem.

- Jeszcze nie, ale zamierzam to zrobić. Spójrz, może go rozpoznasz. Przewiń do pięć osiemnaście. To jedyny fragment, na którym on się pojawia.

Wyciągam telefon i uruchamiam plik wideo zgrany z pendrive'a. Kiedy przekazuję go Matyldzie, jej dłonie drżą, z każdą sekundą wyczekiwania coraz bardziej. Gdy ekran zalewa zupełna czerń, ledwie udaje jej się utrzymać telefon w dłoni. Z przesuwających się ciemnych obrazów powoli wyłania się biały punkcik, czyli mężczyzna z plecakiem. Wtedy Matylda pauzuje nagranie.

- Możemy to jakoś wyostrzyć? - pyta niecierpliwie, mrużąc powieki.

- Raczej nie.

Dziewczyna zoomuje palcami ziarnisty obraz. Choć biały punkcik staje się nieco większy, to jego krawędzie zupełnie się rozmywają.

- Nic nie widać. - Na jej twarzy odmalowuje się rozczarowanie. - Ale to może być on. Ten świr z sąsiedztwa. Ja nigdy nie wierzyłam w wersję o wypadku. Nie po tym, co nam się tam przydarzyło - mówi i głos się jej łamie.

Na chwilę ogarnia mnie uczucie irracjonalnej ulgi. Nagle nie jestem już jedyną osobą, która podaje w wątpliwość okoliczności śmierci Marianny.

- A co się przydarzyło? - Staram się ukryć zalewającą mnie falę emocji. Nie chcę jej wystraszyć.

Mat przez dłuższą chwilę milczy, nieprzerwanie wpatruje się w zastygły obraz.

- Ten las to parszywe miejsce - mówi łamiącym się głosem.

- Chodzi o jego historię?

Dziewczyna potrząsa przecząco głową.

- Nie tylko. Nasze relacje z mamą pogorszyły się po przeprowadzce. Zabroniła mi chodzić samej po lesie z obawy, że spotkam pszczelarza, tego psychola, który tam mieszkał.

- Druga posesja i dziwne ule rzeźbione w drewnie? - wchodzę jej w słowo.

Matylda unosi głowę i lekko ją przekrzywia. W jej twarzy dostrzegam coś upiornego, odkrytą przede mną nagle bezsilność i skrywany miesiącami ból. Aż za dobrze znam to uczucie.

- Byłaś tam? - pyta słabym głosem.

- Nie. Tylko tamtędy przejeżdżaliśmy.

- Facet miał nierówno pod sufitem - kontynuuje, nieco odzyskuje rezon. - Zostawiał w lesie cuchnące rośliny. Zresztą on sam też cuchnął zgnilizną. Nie mam żadnych dowodów, ale myślę, że to on otruł sowę. W ten sposób trafiła pod naszą opiekę. Znalazłam ją którejś nocy w ogrodzie, zajmowałyśmy się nią z mamą przez trzy tygodnie.

Słowa Matyldy przenoszą mnie do mojej pierwszej wizyty w Duchnym Lesie, do Murszu, do obrazu odciśniętych w grząskiej ziemi butów i unoszącego się wtedy nad ścieżką fetoru. Mógł go zostawić po sobie ktoś, kto uwięził mnie potem w bunkrze.

- Jak to się stało, że na jej nodze znalazła się kamera? - pytam, a w myślach wciąż staram się połączyć ze sobą wszystkie fakty, te stare i nowe.

- Kiedy sowa wyzdrowiała, chciałyśmy sprawdzić, jak radzi sobie na wolności i dokąd poleci, choć przez te pierwsze dni, bo na tyle kontroli starczyć miała bateria. Matt ma wbudowany logger telemetryczny. Wiedziałaś o tym?

- Nie. Co to takiego?

- Pokazuje przebytą trasę i wskazuje dokładną lokalizację jej właściciela.

- Powiedziałaś, że ten las to parszywe miejsce. Czy poza pszczelarzem był jeszcze ktoś, kto się wam naraził?

Na twarzy Matyldy maluje się skupienie, widzę, że stara się sobie coś więcej przypomnieć.

- Był jeszcze gość, który mieszkał w pierwszej chacie, na wjeździe do lasu. Dziwny typ, myśliwy. Patroszył zwierzęta z taką łatwością, jakby to go w ogóle nie ruszało. Zresztą na pewno nie była to dla niego pierwszyzna. Przyszedł kiedyś do nas, mówił, że opisuje historię Duchnego Lasu. Chciał, żeby mama odpowiedziała mu na kilka pytań, w ramach researchu do tej jego książki. Nie znam szczegółów ich rozmowy, bo nie było mnie przy tym, a mama niechętnie mi potem o tym opowiadała. Ale tamta wizyta to nie był koniec tematu. Jakiś czas później mama wróciła od niego z folderem, który starała się przede mną ukryć.

- Co w nim było? - dociekam.

- Nie wiem. Widziałam tylko, jak mama ukrywa tę teczkę za panelami w swojej sypialni. Skoro ją przede mną chowała, to coś musiało być na rzeczy.

- Nie korciło cię, żeby sprawdzić, co jest w środku?

- No jasne, że tak - obrusza się Mat. - Następnego dnia, kiedy mama była w ogrodzie, dosłownie przetrząsnęłam jej sypialnię. Zajrzałam pod tamten i każdy inny panel. Ale tego folderu nigdzie już nie było.

- Musiała go przenieść w inne miejsce - głośno myślę.

Matylda zawiesza wzrok na posuwającym się w ślimaczym tempie sznurze samochodów. Z tej odległej perspektywy wyglądają jak ustawione w równym rzędzie kolorowe matchboxy.

- No raczej, ale ja nigdy niczego nie znalazłam - twierdzi. - Jeśli był dalej w domu, to spłonął, tak jak wszystko inne.

- A jeśli nie?

Skonsternowana Mat marszczy brwi, powoli przenosi wzrok na mnie.

- Nie rozumiem.

- Co, jeśli twoja mama zabrała go z domu?

- A niby dlaczego miałaby to zrobić?

Tego nie wiem. Ale z jakiegoś powodu pamięć dyktuje mi pewne odległe, sięgające jeszcze czasów liceum wspomnienie. Najpewniej zupełnie nieistotne. Jednak z jakiegoś powodu jest teraz ze mną. Jedna z lekcji biologii, a raczej wypowiedziane wtedy przez moją nauczycielkę słowa wybuchają w mojej głowie niczym błysk flesza. Słyszę je głośno i wyraźnie.

- Spośród wszystkich gatunków to niepozorne szczekuszki mają najlepszy patent na wybór skrytki na swoje zapasy. Chowają je nieopodal rumowisk, w których mieszkają, ale nigdy w ich środku. Najczęściej wybierają miejsca, do których każdy ma dostęp. To stosy znajdujące się pod skałami lub gałęziami krzewów. Są w pobliżu, na tyle blisko, by można było do nich z łatwością sięgnąć, jednak wystarczająco daleko od ich domu.

- Dlaczego to ma być ta genialna skrytka? - pytam z pewnym lekceważeniem. - Zapasy pozostawione prawie na widoku to przecież najgorsza z możliwych opcji.

- No i właśnie. To jest typowe myślenie. W naturalnym odruchu szukamy tam, gdzie sami schowalibyśmy swoje skarby, czyli na naszym własnym terenie. Analogicznie, tam będą szukać ich inni. A najciemniej jest zawsze pod latarnią. Dotyczy to tak samo świata ludzi, jak i zwierząt.

Głos mojej nauczycielki powoli cichnie, wkrótce zupełnie się rozmywa. Zastanawiam się, na ile ten szczegół był tylko nieistotną ciekawostką ze świata zwierząt, a na ile strategią, którą wybrałaby moja nauczycielka, gdyby chciała ukryć coś przed córką.

- Chcę dostać to nagranie. Hej, słyszysz mnie? - Stanowczy głos Matyldy wyrywa mnie z zamyślenia. - Chcę je zanieść na policję.

Jeszcze nie teraz, odpowiadam jej w myślach, ale kiwam na potwierdzenie głową, byle tylko Matylda dała mi spokój.

MARIANNA

czerwiec 2018

Ściany niewielkiego gabinetu są obwieszone oprawionymi w ramki zdjęciami zwierząt, głównie psów i kotów, ale widzę tam też papużki i świnki morskie. Niemal pod każdym zdjęciem wydrukowane są podziękowania od właścicieli. W tej ciasnej niewentylowanej przestrzeni unosi się duszny zapach antyseptyków i rozmaitych medykamentów. Moja awersja do takich miejsc każe mi się stamtąd czym prędzej wynieść, ale zaciskam zęby i czekam. Na środku stoi metalowy stół weterynaryjny zajmujący niemal połowę powierzchni gabinetu. Leżą na nim jakieś dokumenty i stoi klatka z zamkniętą w niej sową. Tą samą, którą tydzień temu znalazła w lesie moja córka. Tamtej nocy wyszła z domu zwabiona przeraźliwym nawoływaniem. Tak tłumaczyła swoje nocne zniknięcie. Najprawdopodobniej Mat ocaliła życie tego młodego puszczyka. Naprzeciwko mnie i mojej córki stoi Marcin, kumpel z czasów studenckich. Opiera się o stół, jest ubrany w długi seledynowy kitel. Ja studiowałam biotechnologię, a on weterynarię. Z naszej dwójki tylko on pracuje w wyuczonym zawodzie.

- Sorry, ale naprawdę nie mogę jej tu dłużej trzymać - mówi przepraszająco. - Zwierzaki świrują w jej obecności, a i ona ma już dość. Jesteś pewna, że sama chcesz to zrobić? - W jego pytaniu wyczuwam dezaprobatę dla mojej wcześniejszej decyzji. - Jest jeszcze bardzo słaba. Była przez tydzień na kroplówce. Naprawdę sensowniej byłoby ją zawieźć do Ostoi.

- Zapominasz, że w Ostoi mieliśmy praktyki?

- To było ze sto lat temu. - Marcin wybucha śmiechem. - Pamiętasz jeszcze w ogóle coś z tego, czego się tam uczyłaś?

- Poradzę sobie, niedowiarku - zapewniam go i gromię spojrzeniem. - Będzie dla niej lepiej, jeśli odzyska siły w pobliżu miejsca, które uznawała za dom. Łatwiej się wtedy do niego przystosuje. Dostałeś już te wyniki toksykologii? - Zmieniam temat. - Wiesz, co jej było?

- Tak. Została otruta - odpowiada Marcin i ściąga brwi. Przez chwilę wertuje leżące na blacie papiery. Potem mi je wręcza. - Zresztą wszystkie początkowe objawy na to wskazywały. Nie mogła wzbić się w powietrze

ani nawet ustać, wszystkie wewnętrzne organy miała opuchnięte. Tu masz przebieg jej leczenia i zalecenia dotyczące dalszej pielęgnacji - mówi i wskazuje na dokumenty.

Składam je na pół i wsuwam do swojej torebki.

- Otruta? A wiemy czym?

- We krwi znalazłem ślady rodentycydów.

- A co to takiego? - Matylda przyłącza się do naszej rozmowy.

- Środki do zwalczania gryzoni - wyjaśniam jej pobieżnie.

- Ale skąd to u sowy? - Mat nie daje za wygraną.

Czekam, aż Marcin powie nam na ten temat coś więcej, chociaż sama też mam pewną teorię.

- To całkiem częsty, powtarzalny schemat w obrębie łańcucha pokarmowego. Sowa zjadła mysz, która wcześniej została otruta. I aby uprzedzić wasze pytania: tak, jestem pewien, że to była mysz. Gatunek zjedzonego zwierzęcia określiłem na podstawie wypluwki. Rolnicy często to robią - mam na myśli celowe trucie myszy. Chcą w ten sposób pozbyć się szkodników, bo niszczą ich plony.

- Ale w pobliżu nie ma żadnych terenów rolnych, tylko las...

- Las i mieszkający w pobliżu świr - dorzuca Mat. - Nie zdziwiłabym się, gdyby to on je truł...

- Okej - wchodzę jej w słowo. - Jednego nie rozumiem. Skoro sowy nie jedzą padliny, to w jaki sposób ta nasza zatruła się martwą myszą?

Marcin zerka nerwowo na wiszący na ścianie zegar. Uprzedzał mnie, że musimy się spieszyć i że wciśnie nas między jedną a drugą wizytę swoich pacjentów. Przypuszczam, że czas, który dla nas przeznaczył, właśnie mija.

- Wychodzi na to, że mysz musiała jeszcze żyć, kiedy sowa ją zjadła.

Moja teoria jest zgoła inna.

- Albo ktoś zwabił sowę celowo - mówię. - I celowo nakarmił ją trucizną.

Marcin zbywa mnie machnięciem ręki.

- Wątpię. Przypadków takich jak ten mamy na pęczki - mówi i wręcza mi klatkę. Wyraźnie widzę, że chce się nas jak najszybciej pozbyć. - Sorki, ale za pięć minut mam pacjenta. - Spogląda na drzwi.

Kiedy wsuwam palce obu dłoni w metalowe uchwyty klatki, puszczyk jest spokojny, prawie nieruchomy. Nie wydaje z siebie żadnych odgłosów. Być może nadal jest pod wpływem środków uspokajających.

- Ten puszczyk to podlotek - mówi Marcin, kiedy kierujemy się w stronę wyjścia. - Wiesz, co to oznacza. Mam na myśli opiekę nad nim - rzuca mi zagadkowe spojrzenie.

- Nie mów, że boisz się imprintingu?

- O czym wy znów mówicie? - Moja córka jest zdezorientowana tym żargonem. - Co to takiego imprinting?

- Imprinting to inaczej wdrukowanie. - Marcin zatrzymuje się przed uchylonymi drzwiami i zwraca się do Mat. - Na początkowym etapie rozwoju młodego ptaka utrwalają się pewne zachowania, coś jakby wzorzec rodzica - tłumaczy. - Istnieje więc ryzyko, że młode pisklę weźmie człowieka za swojego opiekuna, będzie za nim podążać i zachowywać się podobnie jak on. Młody organizm analizuje i rejestruje w pamięci cechy obserwowanego obiektu, czyli swojej rodziny, w tym wypadku was. A taki wzorzec rodzica szybko się utrwala. Wystarczy tydzień albo dwa, by ptaka oswoić.

- Chyba nie rozumiem. Co w tym złego? I o jakie ryzyko chodzi? - docieka Matylda, zauważam zmianę w jej zachowaniu. Jest wyraźnie podekscytowana wizją oswojenia puszczyka.

- O takie, że przyzwyczajony do człowieka ptak może nie być potem zdolny do samodzielnego życia na wolności.

- Ale w tym przypadku nie chodzi o pisklaka, tylko o podlotka, a to zmienia postać rzeczy - mówię, wyprzedzam Marcina i otwieram szerzej drzwi. Wpada przez nie świeże powietrze. Z głębi korytarza dobiegają głosy rozmawiających ze sobą kobiet i zawodzenie wystraszonego psa. - Za dwa tygodnie wypuszczę go na wolność, w pełni usamodzielnionego.

Marcin rzuca mi przelotne, nieco sceptyczne spojrzenie.

- Lepiej bądźmy w kontakcie.

Podczas niemal godzinnej jazdy do leśniczówki puszczyk był tak samo apatyczny jak w gabinecie. Przez głowę przemknęła mi nawet myśl, że faktycznie porywam się z motyką na słońce, szczególnie teraz, kiedy dręczące mnie problemy zdają się mnożyć w zastraszającym tempie. Wiszący nade mną proces sądowy, sprzedaż mieszkania - bo to jedyna szansa na płynność finansową, ewentualnie sprzedaż licencji Matta, przed czym jednak trochę się wzbraniam, Eliza, na której problemy nie mam teraz siły, no i napięta sytuacja między mną i Mat. A na koniec jeszcze

sąsiedztwo człowieka, który napawa mnie strachem i obrzydzeniem. W zasadzie to jego powinnam wymienić jako główne źródło mojego lęku. Nie wiem, dlaczego w tej sytuacji zdecydowałam się jeszcze na przygarnięcie dzikiego ptaka. Może to chęć sprostania jakiemuś wyzwaniu, byle tylko udowodnić sobie, że z resztą problemów też dam sobie radę? A może chodzi o wpisaną w moją naturę potrzebę pomagania? Nie wiem tego, nie znam też odpowiedzi na żadne z nurtujących mnie teraz pytań. Moje życie przypomina ostatnio chodzenie po kruchym lodzie. Stawiam na nim długie, ale niestabilne kroki, a każdy nieostrożny ruch grozi kolejnym, bolesnym upadkiem.

- Zobacz, mamo, czy to czasem nie ten psychol? - Głos mojej córki wyrywa mnie z zamyślenia.

W odległości stu metrów od nas przez leśne skrzyżowanie przechodzi ten sam człowiek, na którego natknęłam się wcześniej - ucieleśnienie mojego koszmaru z dzieciństwa, wciąż tak samo żywego. Poznaję go po pochylonej krępej sylwetce, a także po ociężałym chodzie.

- Niech tylko spróbuje podskoczyć. - W głosie Mat słyszę niebezpieczną przechwałkę. Orientuję się, co chodzi jej po głowie, kiedy wyciąga z kieszeni spodni flakonik z gazem pieprzowym.

- Skąd to masz? - Gromię córkę wzrokiem.

- Kupiłam na Allegro. - Mat błyska zębami w tym swoim szerokim bezczelnym uśmiechu.

- Schowaj to natychmiast! - rozkazuję. - I zamknij okno!

Zwalniam, by pozwolić facetowi zejść na pobocze albo skręcić w którąś z rozgałęziających się dróg. Ale nic z tego. Podobnie jak poprzednim razem wcale nie zamierza ustąpić nam miejsca. Konsekwentnie drepcze środkiem drogi, która prowadzi do leśniczówki. Skręcam więc lekko w prawo i zjeżdżam na pobocze, by go wyminąć. Wystające korzenie trą o podwozie, muszę zwolnić jeszcze bardziej. Wbrew mojej woli przyglądam mu się przez ułamek sekundy, potem odwracam wzrok. Stres zniekształca postrzeganie, niejednokrotnie się o tym przekonałam. Mężczyzna wygląda nieco inaczej, niż go zapamiętałam, będąc dziewczynką. Człowiek, który trzydzieści lat temu unieruchomił i uwięził mnie w swoim domu, miał mięsisty nos, pory skóry były rozszerzone, a oczy bezbarwne, spojrzenie puste. Dokładnie wszystko pamiętam. Człowiek, którego teraz mijam, jest równie zaniedbany, a przede wszystkim widzę, że łączy go z tamtym jakiś genetyczny kod. Rysy ma delikatniejsze, a zielone oczy przenikliwe i

czujne. Patrzy nie na mnie, tylko na moją córkę, a właściwie na klatkę, którą Mat trzyma na kolanach. W jego oczach pojawia się dziki błysk łowcy, który zamierza przypuścić atak na swoją ofiarę. Na samą myśl o tym, co mógłby zrobić Mat, przeszywa mnie zimny dreszcz. Nim zdążę zareagować, mężczyzna kładzie rękę na masce samochodu. W ten sposób próbuje nas zatrzymać. Uchylam okno.

- Nie powinnaś tego robić. Nie powinnaś tu wracać. Nie powinnaś jej stamtąd zabierać. Nie powinnaś jej stamtąd zabierać. Nie powinnaś... - powtarza jak opętany. - To się źle skończy. To się musi skończyć źle - mówi i potrząsa gwałtownie głową.

Jego głos też jest inny niż ten zapamiętany. Głos z mojej odległej przeszłości był chropowaty. Ten jest melodyjny, aksamitny, gryzie się z jego zaniedbaniem i szpetnym wyglądem. Kątem oka widzę, jak milcząca dotychczas, za to w pełni skupiona Mat wyciąga z kieszeni flakonik z gazem i odblokowuje zawleczkę. Drugą rękę kładzie na przycisku automatycznego opuszczenia szyby. Potrafię przewidzieć jej następny ruch. Pod wpływem impulsu wrzucam na wsteczny. Wtedy wszystko dzieje się błyskawicznie. Słyszę chrzęst cofających gwałtownie kół, dodaję gazu i wymijam mężczyznę, zahaczając lusterkiem o jego ramię. Ale to mnie nie powstrzymuje, przyspieszam jeszcze bardziej.

Kiedy kilka chwil później nieco się uspokajam, we wstecznym lusterku widzę jego nieruchomą krępą sylwetkę. Wygląda jak mara tonąca w szarych tumanach kurzu. Po chwili gryząca chmura pyłu pochłania go całego, zostawiając mnie z jego groźbą.

- Co za pojeb! - syczy Mat odruchowo, bawiąc się odbezpieczoną zawleczką. - I o co mu chodziło? Gapił się na sowę.

Ignoruję pytanie córki, bo dociera do mnie, że ten człowiek nie jest tym, za kogo go początkowo brałam, co wcale nie oznacza, że moja pamięć jest zawodna. Z najwyżej dwunastoletniego wtedy chłopca stał się mężczyzną, zupełnie niepodobnym do siebie z tamtego okresu. Bo tak, facet, który mieszka w drewnianym domu z pasieką, jest tym samym, przez którego kiedyś tam trafiłam, tym, który wszystkiemu się wtedy biernie przyglądał. Fragment niechcianego wspomnienia atakuje mnie teraz ze zdwojoną mocą. Widzę wyraźnie kolory, słyszę głosy, odtwarzam następujące po sobie obrazy. Każdy z nich zabiera mnie do upalnego lata osiemdziesiątego drugiego.

Różowa sukienka z aplikacją dwóch flamingów ozdobiona jest na ramionach połyskującymi listkami. Włożyłam ją dziś pierwszy raz. Mama wyraziła swoją dezaprobatę. „Kto to widział ubierać się do lasu tak elegancko, wybrudzisz ją całą" - skomentowała mój strój, nim wyruszyliśmy z tatą do leśniczówki, niewielkiego drewnianego domku, który kupił dwa miesiące temu. Mama nie lubiła tam jeździć, zwykle mówiła do taty coś w stylu: „Utopiłeś w niej forsę!", „Po co?" i „Odstręczająca buda". Nie do końca wiem, co miała na myśli, mówiąc „odstręczająca", ale grymas jej twarzy wyrażał obrzydzenie. Moja mama lubi miejsca schludne i sterylne, a chata w lesie taka nie jest. W zasadzie jest zupełną odwrotnością jej wyobrażeń o rzeczach miłych i przyjaznych. A ja pod wieloma względami jestem bardziej jak tata. Choć byłam tam tylko trzy razy, uwielbiałam chatę najbardziej na świecie z powodu tego wszystkiego, czego nie lubiła w niej mama. Tyle wystarczyło, bym chciała tam wracać, tym bardziej że niewiele jeszcze widziałam, niewiele poza oddalonym od leśniczówki o kilka minut bunkrem. Tato zabrał mnie tam ostatnio, pokazał mi ukrytą za ruchomymi cegłami skrytkę. Mówił, że mogę w niej przechowywać swoje leśne skarby. Zostawiłam w niej zrobiony własnoręcznie naszyjnik z szyszek i zasuszonej jarzębiny, ukryłam też scyzoryk.

Dziś ciekawość poprowadziła mnie leśną drogą, jedyną, którą można dotrzeć do naszej leśniczówki. Tata właśnie ucinał sobie drzemkę po kilkugodzinnym karczowaniu przylegającego do leśniczówki lasku, więc na pewno nie zauważy, że wymknęłam się na chwilę. Zapach żywicy, napotykane po drodze żuki, mrowisko z pulsującym w jego centrum życiem, wielokształtne, błyszczące w słońcu kamyki, szumiący gdzieś w oddali potok - wszystko to jest tak inne niż hałaśliwy Gdańsk, tak spokojne i magiczne.

Dziwne wyrzeźbione w drewnie figury przykuwały moją uwagę za każdym razem, kiedy tędy przejeżdżaliśmy. Wyglądały na wydrążone w środku, pewnie miały tam jakąś skrytkę, przez co wydały mi się szalenie intrygujące. To do nich dziś przyszłam, by w końcu dowiedzieć się, czym tak naprawdę są. Nie wiedziałam o tym konkretnym miejscu wiele więcej - ani tego, kto mieszka za wysokim płotem, ani jak wygląda ukryty w głębi parceli dom. Bo to, że stoi tam jakiś dom, wiedziałam na pewno. Zabezpieczona zardzewiałą zasuwą furtka, którą mam teraz przed sobą, nie pozwala mi zobaczyć nic więcej. Zresztą nawet gdyby była otwarta, nie weszłabym do środka. Przyglądam się więc tylko figurom. Słychać w nich szum, co jest dla mnie wskazówką. To ule - przychodzi mi nagle do głowy triumfalna myśl.

- Co tutaj robisz? - słyszę pytanie. Przez ograniczający mój widok gęsty żywopłot znienacka przeciska się mała dłoń. Przestraszona gwałtownie odsuwam się od furtki. Po chwili wyłania się zza niej podłużna twarz chłopca o błyszczących zielonych oczach. Nierówno przycięta, wyjątkowo szpetna grzywka opada mu na czoło. Cerę ma bladą, prawie przezroczystą, jakby od dawna nie widział słońca. Chłopiec jest chyba mniej więcej w

moim wieku, ale jest w nim coś dziwnego. Nie chodzi nawet o jego uczesanie. Wygląda na wyciągniętego z innej rzeczywistości, z innej epoki. - To ty jesteś tą dziewczynką z leśniczówki - mówi i przygląda mi się z zaciekawieniem.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkam? - pytam, robiąc kolejny krok do tyłu.

- Tata o tobie mówił - odpowiada i spuszcza wzrok.

- A skąd twój tata wie, gdzie mieszkam? - pytam.

Widzę, że to wprawiło go w jeszcze większe zakłopotanie, teraz on się wycofuje, wygląda jak dzikie spłoszone zwierzątko. Jeszcze chwila i zupełnie zniknie po drugiej stronie żywopłotu.

- Ej, poczekaj! - wołam za nim. Nie chcę go stracić z pola widzenia.

Słyszę szelest trącanych gałązek.

- Muszę iść - mówi. Nie widzę jego twarzy, słyszę tylko cichy szept, kiedy szelest ustępuje. - Buduję huśtawkę - dodaje chłopiec niemrawo.

Po chwili słyszę stawiane cicho, niepewnie kroki, które zmierzają w moją stronę. Kiedy chłopiec wreszcie pojawia się pod furtką, kładzie dłoń na zaciągniętym ryglu, ale go nie odblokowuje.

- Pokażesz mi ją? - pytam.

- Musiałabyś wejść do środka.

Ta perspektywa wcale mi się nie podoba. Ale ciekawość i jakaś niewytłumaczalna, a powiązana z nią chęć podjęcia ryzyka każe mi wyciągnąć z niego coś więcej.

- To daleko?

- Nie, ale i tak nie powinnaś tu wchodzić. - Po raz pierwszy w jego głosie słyszę pewną stanowczość. Ta nagła zmiana w jego zachowaniu tylko zwiększa moją ciekawość.

- Dlaczego?

- Mój tato... - Urywa. - On nie chce, żeby to przeniosło się na nas. On je tylko wyplenia - mówi z lekkim zażenowaniem.

- Żeby co nie przeniosło się na was? - pytam, zupełnie zdezorientowana.

- Zło, które rozsiane jest w tamtym domu. Zło, które rozprzestrzenia się po lesie - mówi, a jego blada twarz przybiera śmiertelnie poważny wyraz. Śmiertelnie to w tym przypadku słowo klucz, bo chłopak bardziej niż żywą istotę przypomina zjawę. Biała koszulka w paski wisi na jego zapadłej klatce piersiowej i skulonych ramionach i sprawia wrażenie o dwa rozmiary za dużej. Nogi ma równie blade, a do tego cienkie jak dwa liche patyki.

- W jakim domu?

- Tam, gdzie mieszkasz, głuptasie. - Na jego usta wpełza słaby uśmiech. Zamiast rozjaśnić jego twarz, wykrzywia ją w dziwny grymas. - W leśniczówce. Chłopak ciągnie za rygiel, a siła, którą w to wkłada, jest nieproporcjonalna do jego kruchego ciała. Tyle wystarczy, by otworzyć bramkę za pierwszym podejściem. Metalowa furtka otwiera się z głośnym szczękiem.

- Jak chcesz, to chodź - mówi, ale wzrok ma wbity w ziemię. Jakby kolejny raz czegoś się wstydził albo o coś obwiniał. - Tata powinien wrócić z miasteczka dopiero za godzinę. Zdążę ci ją pokazać.

Robię krok do przodu, ale nie wchodzę do środka. Nie do końca podoba mi się to, co ten dziwny dzieciak mówi. Nie wiem też dlaczego, za każdym razem, kiedy mówi o ojcu, unika mojego spojrzenia. Kiedy wytężam wzrok, dociera do mnie, że nie kłamał. Faktycznie buduje huśtawkę. To wycisza trochę mój niepokój. Między dwiema oddalonymi od nas o jakieś pięćdziesiąt metrów sosnami znajdują się dwie liny, jedna pod drugą. Połączone są zaplecionymi wokół nich sznurkami. Na drewnianej ławeczce leży niewielka prostokątna deseczka.

Kiedy chcę spytać go o ojca, którego ewidentnie w pewien sposób się boi, z głębi lasu dobiega warkot rozklekotanego silnika, z każdą chwilą coraz bardziej donośny.

- Idź już, idź! - Chłopak też go słyszy i zatrzaskuje na powrót furtkę. Jego przerażony głos zagłusza zgrzyt metalowej zasuwy. - Będą kłopoty, kłopoty! Obracam głowę, żeby zobaczyć, kto nadjeżdża. Ale samochód, którego silnik słyszałam jeszcze przed chwilą, już zaparkował, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nagle się zmaterializował kilka metrów za moimi plecami. Czas też nagle przyspieszył, usypiając przy tym moją czujność. Drzwi starego ubłoconego suzuki są otwarte na oścież. Nie wiem, kiedy kierowca zdążył wysiąść. Gdy widzę nad sobą jego niezgrabne ciało i gdy czuję ten ciągnący się za nim gnilny fetor, wiem, że szykuje się coś złego. Ale jest już za późno na ucieczkę, bo on stoi zbyt blisko mnie, zaledwie na wyciągnięcie ręki. Otwieram usta, by krzyknąć, ale głos więźnie mi w gardle. Zresztą i tak nikt mnie nie usłyszy, nikt poza chłopcem. Jestem zbyt daleko od domu, na zupełnym pustkowiu. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Na mojej twarzy ląduje najpierw jego dłoń, a potem wilgotna chusteczka. Nagle wszystko wiruje mi przed oczami. Gorączkowo usiłuję złapać oddech, ale zamiast się wyzwolić, posłusznie pozwalam się pochłonąć tej ciemności, która wyłania się spod jego rąk.

POLA

sierpień 2020

Niewielka okrągła tabletka leży na mojej otwartej dłoni. Obracam ją w palcach, ale zwlekanie i tak prowadzi do nieuchronnego. Tabletka ląduje w końcu w moich ustach, popita dużą ilością wody. Jej goryczkowaty posmak i częste mdłości tuż po zażyciu dziennej porcji leków, czyli jeszcze dwóch pigułek, są niczym w porównaniu z korzyściami, jakie daje mi ich regularne przyjmowanie. Zniknęły nocne widma, zniknęły nękające mnie jeszcze niedawno halucynacje. Pozostało tylko jedno uczucie, ale za to najgorsze i niedające się zaleczyć żadną chemią - tęsknota.

Wciąż przed oczami mam żywy obraz utraconej rodziny. Wsuwam blister do torebki, wysiadam z samochodu i kieruję się do otwartych na oścież drzwi pralni. Byle zapomnieć, choć na chwilę, byle wypełnić tę pustkę innym życiem. Z tłukącymi się wciąż w mojej głowie myślami o Kubie i Jasiu przechodzę przez próg pralni. Wtedy natarczywe myśli nieco bledną. Panującą we wnętrzu pomieszczenia ciszę przerywa rytmiczny stukot pracującej na zapleczu maszyny. Siedzący za ladą zblazowany chłopak wgapia się w ekran smartfona i raz po raz przesuwa po nim palcem. Kiedy mnie zauważa, sztywnieje i oblewa się rumieńcem, jakby został przyłapany na jakimś wstydliwym zajęciu. Odkłada telefon na blat.

- Mamy dzisiaj nie ma - mówi z pewnym oporem. Zbiera się, by dodać coś jeszcze, ale go uprzedzam.

- To dobrze. Chciałam porozmawiać z tobą. Masz na imię Maks, prawda?

Chłopak wybucha jakimś dziwnym, wymuszonym śmiechem. Spogląda na mnie.

- Pani faktycznie bawi się w detektywa. Tylko co tym razem ma do tego moje imię?

- A ty?

- Co ja?

Decyduję się na małą prowokację. Taką, która powinna zaboleć wystarczająco mocno, by go pobudzić do szczerej rozmowy.

- Naprawdę nie zastanawia cię, kto zabił twoją siostrę?

Maks dłuższą chwilę milczy. Ale jego spięta twarz wyraża wszystko to, co próbował ukryć nerwowym śmiechem - wściekłość, bezradność i obawę przed nieznanym.

- Każdego cholernego dnia zastanawiam się, co ten skurwiel robi. - Wypowiedziane przez chłopaka słowa zioną nienawiścią. Szczupłe dłonie zaciska na krawędzi blatu. Jego wzrok mógłby zabić. - Kim jest, gdzie mieszka, jak teraz żyje? Myślę o tej chwili, kiedy go dorwą. Wyobrażam sobie moment, w którym ja sam wymierzam mu sprawiedliwość. Wyobrażam sobie, jak to ścierwo dostaje za swoje, jak zdycha - mówi, a rysy jego twarzy nagle się wyostrzają. Przez krótką chwilę Maks przypomina mi żądnego krwi drapieżnika. - I cholernie dobrze mi z tym wyobrażeniem. Im bardziej jest realne, tym lepiej. Więc niech mi pani nie zadaje takich idiotycznych pytań. Powiem więcej. Mam wrażenie, że tylko mnie naprawdę zależy. Śledczy podobno wyczerpali wszystkie środki, sprawdzili wszystkie tropy. *Dead end.* Wciąż słyszę to samo, pomnożoną razy sto marną wymówkę dla ich niedołęstwa i niekompetencji. Nic, o czym mówiłem, nie pomogło.

- A o czym mówiłeś? - podchwytuję.

- A dlaczego tak to panią interesuje? - W jego głosie słyszę oskarżający ton.

- Zakładam, że podsłuchiwałeś wtedy moją rozmowę z twoją matką.

- Owszem. Zrobiłem to. I nadal nie rozumiem. Chodzi o Kas i o list, który do pani wysłała. To wciąż nie ma żadnego sensu.

Do reszty swoich pobudek nie potrafię mu się przyznać. Nikt nie byłby ich w stanie zrozumieć, dla mnie samej motywy tych działań są tylko częściowo jasne. Ucieczka od ciszy, chęć udowodnienia sobie, że wciąż

jeszcze potrafię myśleć trzeźwo. A wreszcie i potrzeba udźwignięcia odpowiedzialności. Chociaż tych kilka powodów potrafię nazwać, reszty nawet nie próbuję, jestem zawieszona w próżni własnych myśli. Odzywam się po dłuższej chwili milczenia.

- Nie wszystko musi mieć sens - mówię wymijająco. - A przynajmniej ten sens nie musi być komunikowany w sposób oczywisty. Podobnie jak ty, po prostu potrzebuję wiedzieć. Ty potrzebujesz tego dla swojej siostry, ja potrzebuję dla siebie.

Tak jak przypuszczałam, ta odpowiedź go nie zadowala. Widzę to w jego oczach, widzę ukrytą w jego spojrzeniu dezaprobatę.

- Pokrętne gadanie... - odburkuje. - Po co tym razem pani tutaj przyszła?

- Byłam w Duchnym Lesie. Na pniu wierzby, na której zawieszone były karteczki, wyryte jest także twoje imię. Też tam wtedy byłeś, prawda?

Wzmianka o wierzbie coś w Maksie zmienia, gwałtownie go rozbudza. Jednym ruchem odpycha się od krawędzi blatu, po czym kieruje się wózkiem na zaplecze, znika za zawieszoną w przejściu żółtą kotarą. Po chwili wraca stamtąd z ładowarką. Podpina ją do gniazdka, końcówkę podłącza do telefonu. Ekran smartfona rozbłyskuje jasnym światłem.

- To niczego nie zmienia. Gdybym coś wtedy widział, to sam bym się tym zajął - mówi, w jego głosie słyszę dojmujący smutek. - Kiedy Lara umierała, byłem czterysta metrów dalej, pilnowałem paleniska, dorzucałem drwa, by ogień nie zgasł. Idiotyczne zajęcie w kontekście śmierci najbliższej osoby. Nie słyszałem jej, nie mogłem zareagować, nie mogłem jej ocalić. - Z każdym wypowiedzianym słowem jego głos słabnie, słyszę, jak wyrzuty sumienia przejmują nad nim kontrolę, jak łapią go za gardło.

- Nie mogłeś tego przewidzieć.

Maks zwiesza głowę i potrząsa nią z rezygnacją.

- Sęk w tym, że powinienem. Na zlocie mógł być ktoś, kto planował ją skrzywdzić. Powinienem to odkryć i temu zapobiec.

- Mówisz o uczestnikach?

Maks potwierdza skinieniem głowy. Nerwowo przeczesuje galerię smartfona, wielokrotnie przesuwa palcem po wyświetlaczu.

- Chodziło o tamte wyznania, o zawieszone na drzewie kartki.

- Co z nimi? - pytam.

- Nie odczytaliśmy ich wszystkich, a jedynie połowę, bo na tyle starczyło czasu - mówi, przewijając kolejne albumy ze zdjęciami. - Większość zapisanych tam problemów to były zwykłe rozterki - kłopoty z

rodzicami, z samooceną, z rówieśnikami. Tak naprawdę nie budziły niepokoju. Tylko treść jednej z nich była zupełnie inna, zawierała wycelowane w moją siostrę oskarżenia. Nie wprost, ale my oboje to wiedzieliśmy, oboje w podobny sposób odczytaliśmy podtekst tej wiadomości.

Skupiona twarz chłopaka tężeje jeszcze bardziej, kiedy wreszcie odnajduje w telefonie to, czego szukał. Powiększa zdjęcie, odłącza ładowarkę i przesuwa telefon po blacie w moją stronę. Zdjęcie przedstawia niewielką zmiętą karteczkę. Są na niej dwa zdania napisane drukowanymi literami. Tuż za nimi jest ciąg trzech liczb.

Jak uporać się z wieloletnim bólem i z tym, że w spowodowanym przez nierozważnego kierowcę wypadku ginie najbliższa ci osoba?

Wymierzyć winnemu sprawiedliwość???

223

9

4

!!!

Czytam wiadomość jeszcze dwukrotnie. Szukam ukrytego w niej komunikatu skierowanego do Lary albo Maksa, ale go nie odnajduję.

- Nie rozumiem. Dlaczego myślisz, że to ma jakikolwiek związek z twoją siostrą? - Wskazuję na zdjęcie.

- Chodzi o te cyfry - odpowiada chłopak. - Mówią o miejscu wypadku, do którego doszło w osiemnaste urodziny Lary. Wracaliśmy wtedy z lodziarni... Zapamiętam te cyfry na zawsze, byłem w tym miejscu potem jeszcze kilkukrotnie. To chyba jakiś cholerny masochizm - przyznaje ze wstydem i spuszcza wzrok. - Zanim Lara uderzyła w słup wysokiego napięcia, potrąciła wcześniej biało-czerwony palik pikietażu. Takie paliki umieszczane są na drodze co sto metrów. Cyfry z kartki zawieszonej na drzewie pokrywały się z tymi na tamtym paliku. Dwieście dwadzieścia trzy to numer drogi umieszczony nad górnym odblaskowym elementem. Kolejne cyfry, w tym przypadku dziewięć i cztery, były pod odblaskiem. Pierwsza z nich to informacja o pełnym kilometrze danej drogi, podczas gdy druga cyfra oznacza kolejny stumetrowy odcinek danego kilometra. W zasadzie to ten właśnie słupek, czyli te cyfry, pomogły dyspozytorowi błyskawicznie ustalić miejsce wypadku. Lara podała je, kiedy dzwoniła po

pomoc. Ktokolwiek napisał tę wiadomość, musiał być na miejscu, jeśli nie tamtego feralnego dnia, to z pewnością później.

W pomieszczeniu rozlega się stłumiony zgrzyt pracujących zawiasów. Po chwili do pralni wchodzi młoda, najwyżej dwudziestoletnia dziewczyna. To jedna z pracownic, ta sama, którą widziałam poprzednio. Wita się z Maksem. Mija nas. Trzyma w dłoniach wilgotną szmatkę, przeciera nią najpierw taśmę, na której wykładane są ubrania, a następnie blat. Raz po raz rzuca nam ciekawskie spojrzenie.

- Okej, ale przecież poza wami i waszym samochodem w wypadku nikt inny nie brał udziału - ściszam głos. - Nikt nie ucierpiał. A właśnie to sugerował autor tej wiadomości.

- Nie do końca tak było. - Głos Maksa jest donośny i przepełniony żelazną determinacją. - Nasz wóz uderzył w zaparkowany na poboczu samochód. Ale tamta terenówka nie miała żadnych znacznych uszkodzeń. Prowadząca wóz kobieta podobno przyjęła uderzenie na tylny zderzak, który jakimś cudem nawet nie został uszkodzony. Odjechała, nic jej nie było. Nie czekała nawet na przyjazd policji, więc nie widnieje w żadnych policyjnych rejestrach. Po prostu rozpłynęła się w powietrzu. Nikt jej nie szukał, to chyba na mnie skupiła się potem cała uwaga - mówi i nerwowo odchrząkuje. - Wiadomość z tej kartki mimo wszystko zasiała we mnie i w Larze ziarno niepokoju. Sugerowałem jej, żebyśmy zachowali czujność. Chciałem, abyśmy trzymali się razem. Siostra mnie zbyła, zaślepiona jakąś swoją misją, którą miała do wykonania tamtej nocy. Mówiliśmy sobie o wszystkim, tylko nie w tym jednym jedynym przypadku. - Maks stwierdza to z wyraźnym rozgoryczeniem.

- Misją? - wchodzę mu w słowo. - Czy to miało związek z finałem zlotu?

- Częściowo tak - przyznaje. - Wiem, że chodziło o dowody, które moja siostra zdobyła wcześniej w Duchnym Lesie, a które miały kogoś pogrążyć. Lara chciała je ujawnić właśnie w finale zlotu.

- Wiesz, kogo dotyczyły?

- Gdybym wiedział, to jest spora szansa, że jej zabójca dawno gniłby już za kratkami. - Chłopak zapalczywie skubie podłokietnik wózka. W jego oczach błyskają iskry gniewu. Cokolwiek mi powie albo nawet przemilczy, jego zmieniający się język ciała mówi mi, że wciąż nie pogodził się ze stratą siostry i na swój własny sposób szuka jej zabójcy. - Moja siostra zaangażowała się w swoje własne śledztwo - kontynuuje. - Chodziło ojej

nauczycielkę. Tyle wiem. To od tego zaczęła się jej fascynacja Duchnym Lasem. Na pewno w jej ręce trafiło nagranie z nocy, kiedy zginęła Marianna, jej dawna nauczycielka. Był na nim jakiś facet. Tylko tyle dowiedziałem się od kumpla, który pomagał Larze odzyskać zapis z kamery. Ale nie wyłącznie o nagranie chodziło. Chodziło jeszcze o pewne dokumenty, które moja siostra znalazła potem. Wiem jedynie, że w jakiś sposób były powiązane z nagraniem. Niczego więcej nie udało mi się z niej wyciągnąć. Miała je ujawnić przy wszystkich, kiedy na mecie pojawi się zwycięzca podchodów. Taki był plan. Z jakiegoś powodu Lara nie chciała powiedzieć mi nic więcej. Może bała się mnie narażać, nie wiem... Wszystko, co moja siostra miała wtedy przedstawić, zniknęło razem z jej plecakiem.

- Mówiłeś o tym policji?

Maks wzdycha głęboko.

- Wielokrotnie, ale to w niczym nie pomogło. Gliniarze niby prześwietlili każdego uczestnika, a i tak niczego nie ustalono. Wykluczanie kolejnych dzieciaków było pójściem na łatwiznę, tak myślę. Nikt z nich nie miał alibi, bo wszyscy rozpierzchli się w tym samym czasie po lesie. Równie dobrze to mógł być każdy, nawet ci dwaj goście mieszkający na obrzeżach lasu albo raczej ten złamas, jej facet.

- Artur?

Na wzmiankę o Arturze w chłopaku wzbiera złość. Zaciska dłonie w pięści, jego kruche ciało skulone na wózku prostuje się i napręża jak struna.

- Dlaczego go nie trawisz? - pytam.

- To cholerny krętacz i kłamczuch. Śmieć, który dla hajsu i statusu zrobi wszystko. Traktował ją instrumentalnie. Zresztą udawał pogrążonego w rozpaczy narzeczonego, choć tak naprawdę nie byli już ze sobą, kiedy Lara została zamordowana.

Wyznanie Maksa zupełnie zbija mnie z tropu.

- Jak to?

- Tak było. - Chłopak sugestywnie kiwa głową. - Lara miała powiedzieć mu tamtego dnia, tuż przed zlotem, że nie chce z nim dłużej być.

- Miała powiedzieć czy faktycznie to zrobiła?

- Miała i zrobiła. Kiedy ją znaleźli, na jej palcu nie było pierścionka zaręczynowego. Musiała mu go wcześniej oddać.

Czuję coraz większy mętlik w głowie. Liczba faktów i przefiltrowanych przez emocje chłopaka wydarzeń otwiera przede mną kolejne ścieżki.

Dociera do mnie, że większość z tych tropów jest zbyt skomplikowana i wykracza poza możliwości mojego działania. Krążąca w żyłach chemia stale tłumi moje trzeźwe myślenie. Nie mogę równać się z wyposażonymi we właściwe narzędzia, odpowiednio przeszkolonymi śledczymi. Zresztą oni z pewnością przeszli już każdą z tych dróg. Zemsta kobiety biorącej udział w kolizji? A może ktoś, kto jest na wspomnianym przez Maksa nagraniu, być może jego dotyczyły nieodnalezione dotychczas kompromitujące dokumenty. Te, które miała ujawnić Lara? Mieszkający w lesie dziwak i jego cuchnące rośliny, a wreszcie nieżyjąca nauczycielka, której tropem poszła siostra Maksa - jaką oni w tym wszystkim grają rolę, w jaki sposób wiążą się z tajemnicą Kasandry?

To zaledwie kilka z wielu tropów. Nie mam pojęcia, który z nich powinnam wybrać. I czy w ogóle powinnam? Po raz pierwszy od chwili, kiedy ze skrzynki wyciągnęłam list od Kas, czuję, że na tym etapie lepiej byłoby się wycofać. Zamiast tego, z jakichś niezrozumiałych nawet dla mnie samej pobudek, brnę w te działania dalej.

- Czy lista uczestników zlotu jest gdzieś opublikowana? - pytam Maksa.

- Nie. Ale Wiktoria zajmowała się jego organizacją, więc pewnie powinna mieć jeszcze do tego dostęp - odpowiada. - Sprawdziłem dokładnie to, do czego pani zmierza. Tych kilka miesięcy temu. I niczego nie znalazłem.

LARA

sierpień 2019

- Zajmiesz się przygotowaniem do zlotu w tym tygodniu, okej? Mam na myśli logistykę, musimy zamknąć listę uczestników, dopracować szczegóły harmonogramu, ogarnąć przygotowanie obozowiska, zastanowić się nad formułą zwierzeń i drzewa życia - wymieniam po kolei. - Zostało nam mniej niż trzy tygodnie. Oczywiście we wszystkim będę cię wspierać. Pomogę, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Siedząca obok mnie Wiktoria opuszcza szybę, do wnętrza samochodu wpada podmuch porywistego wiatru. Dziewczyna wystawia smukłą dłoń za okno, dotyka palcami liści, które ma na wyciągnięcie ręki. Zrywa jeden z nich.

- Jasne, opracuję całość do środy, ale faktycznie będziemy musiały to potem przegadać. Wolę mieć na wszystko twój akcept.

- Okej!

Parkuję samochód z dala od głównej drogi, między rozłożystymi dębami świetnie kamuflującymi naszą obecność. Przekręcam kluczyk, ale zostawiam go w stacyjce. W ciągu zaledwie kilkunastu minut niebo zasnuło się ciemnymi chmurami. Sięgają skraju Duchnego Lasu. Jeszcze chwila, a pojawią się też nad naszą głową.

Obie patrzymy na Kasandrę znikającą między rozkołysanymi przez wiatr drzewami. Jak zwykle w stresujących sytuacjach musiała wyskoczyć na siku.

- To nie był dobry pomysł, by ją tutaj ciągnąć - mówię, bo obawiam się, że obecność Kas może zaburzyć mój plan działania.

- Nie ja jej to zaproponowałam - zarzeka się Wiktoria.

- To w takim razie skąd się dowiedziała? - Marszczę brwi.

- Wiesz, jaka Kas jest uczynna. - Dziewczyna mruga porozumiewawczo. - Obawiam się, że nie przeżyłaby nawet jednego dnia bez swojej mentorki.

- Myślisz, że jej zaangażowanie jest... - Urywam, szukając odpowiedniego słowa.

- Dziwne? Psycholskie? - kończy za mnie Wiktoria. - Nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Obie znamy dobrze historię Kas i jej brak

samoakceptacji, wiemy o różnych rzeczach.

- Masz na myśli okaleczanie samej siebie?

- Przede wszystkim, ale nie tylko. Kas miała przecież już dość porypane relacje z dzieciakami w szkole. A mówiąc w szkole, mam na myśli jej wszystkie etapy: podstawówkę, gimnazjum i liceum. To razem kilka ładnych lat. Jej rodziców chyba niewiele obchodziło, że ich córka potrzebuje wsparcia. I to konkretnego. Latami tkali taką chorą fikcję. Dopiero praca u ciebie podbudowała jej niską samoocenę. To na pewno. Tylko czy dzięki temu Kas uporała się ze wszystkim, co ją gnębiło? Tego nie wiem. Ale nie oszukujmy się, w ciebie jest wpatrzona jak w obrazek.

Nie reagowałam, kiedy wielokrotnie praktycznie to samo mówił o Kasandrze Artur. Słowa padające z ust Wiktorii wyostrzają moją czujność. Dziwi mnie jednak niechęć, z jaką opowiada o dziewczynie, z którą łączyła ją do niedawna dobra, kumpelska relacja.

- Zrób może szybki test - ciągnie Wiktoria. - Kas wspominała mi, że w niedzielę ma jakieś wyjście ze starymi. Zaproponuj jej wspólny wypad w tym samym czasie. Jeśli ci nie odmówi, to znaczy, że masz swoją nową psychofankę. - Wiktoria wybucha śmiechem.

- A wasze relacje? - pytam. - Zauważyłam, że ostatnio między wami coś nie gra.

Kolejne wzruszenie ramionami. Uśmiech na twarzy Wiktorii nieco przygasa.

- Poza tym, co robimy tutaj, nie mamy jakiegoś szczególnego przelotu. Fakt.

- Kiedyś było inaczej - stwierdzam.

- Może - odpowiada niechętnie. - Nie pokłóciłyśmy się, jeśli o to pytasz. Mam teraz sporo prób w teatrze. I to one mnie głównie absorbują. Wolę trzymać się z moją teatralną paczką. Są mniej skomplikowani...

Pod wpływem nasilających się podmuchów wiatru gałęzie uderzają o przednią szybę mojego wozu, kłębią się na niej i niespokojnie wiją. Drzewa zasłaniają mi widok na las i wzgórze, za którym kilka minut temu zniknęła Kas.

- Już jestem. - Tylne drzwi nagle się otwierają. Pojawia się w nich Kasandra.

- Lara planuje w niedzielę wypad kajakami na torpedownię - mówi Wiktoria i odwraca głowę. Jej głos jest ciepły, zachęcający. Ale chyba tylko ja wyczuwam w nim nutę fałszu. - Masz ochotę się przyłączyć?

Oczy Kasandry rozbłyskują, patrzy na mnie wyczekująco.

- Chodzi o nagranie nowego odcinka na nasz kanał?

Milczę. Nie potrafię kłamać, a przede wszystkim nie lubię takich zagrywek.

- Nie - wyręcza mnie Wiktoria. - Zwyczajny chill.

- Jasne. Nie mam żadnych planów - odpowiada Kas bez zastanowienia. Wciąż patrzy na mnie i czeka na moje potwierdzenie. A ja nadal nie mogę i nie potrafię potwierdzić.

Kątem oka dostrzegam triumfalny uśmieszek Wiktorii. Na twarzy Kas niezmiennie wypisane jest podekscytowanie. Na razie nie mam sumienia zaprzeczyć.

- Pogadamy o tym później, jak skończymy to, co mamy zrobić tutaj - mówię.

- A co właściwie mamy zrobić? - pyta Kas.

- Matylda, córka Marianny, twierdzi, że pszczelarz mógł truć ptaki. Podejrzewam, że to on zastawił na mnie wtedy pułapkę w bunkrze. Tak czy inaczej, gość śmierdzi na kilometr. I to dosłownie. Chcę wejść na jego posesję, chcę sprawdzić, co tam trzyma.

- No nie wiem - protestuje Kas. - Stąd przecież nie widać niczego poza ulami. Facet może być w domu. A jeśli cię nakryje, to dopiero będzie syf.

- Zobaczymy. Dam sobie z nim radę. A gdyby się pojawił, to dajcie mi cyna. - Poklepuję się po kieszeni spodni, gdzie zwykle trzymam telefon. - W razie czego się odezwę.

- I to cały plan? - pyta znowu Kas. Jest jeszcze bardziej zaniepokojona niż poprzednio.

- Czasami najlepszy jest brak planu - odpowiadam ze stoickim spokojem. - Często wchodzimy na zamknięte posesje. To dla mnie nie pierwszyzna.

- Tylko że mówimy o opuszczonych budynkach - obrusza się tym razem Wiktoria. - Chcesz zrobić facetowi wjazd na chatę. A to diametralnie zmienia postać rzeczy.

- Jesteśmy na łączach. Telefon mam ustawiony na wibracje, możecie dzwonić. - Nie wdaję się w dalszą dyskusję, po prostu wysiadam z samochodu.

Kiedy jestem na zewnątrz, oblewa mnie fala zimna. Tnący chłodnym ostrzem wiatr obniżył odczuwalną temperaturę przynajmniej o kilka stopni. Zapinam bomberkę, na głowę naciągam kaptur. Mijam furtkę i przedostaję

się pod drewniany płot oddzielający działkę pszczelarza od lasu. Jest niższy niż biegnąca od frontu metalowa siatka, a także znacznie łatwiejszy do sforsowania. Sprawdzam kolejne sztachety w nadziei, że któraś będzie obluzowana i sama puści pod naporem mojej ręki, ale czeka mnie rozczarowanie. Płot jest wyjątkowo solidny. Kiedy dochodzę już na skraj działki, postanawiam jeszcze raz spróbować. Nie mam zresztą wielkiego wyboru, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wspiąć się po sztachetach. Po drugiej stronie panuje absolutna cisza. Płot ma najwyżej półtora metra wysokości, więc przejście na drugą stronę nie wydaje się wcale takie trudne. A przynajmniej nie dla mnie, robiłam to już wielokrotnie. Tym razem dostanie się na zakazany teren jest obciążone pewnym ryzykiem. Ciasno przylegające do siebie sztachety nie pozwalają mi dostrzec tego, co znajduje się po drugiej stronie. Niewiedza nie jest jednak czymś, co mnie powstrzymuje, wręcz przeciwnie. Dokładnie ten rodzaj adrenaliny lubię najbardziej.

Podciągam lewą stopę i opieram ją o wystający ze sztachety potężny gwóźdź. Lewą dłonią chwytam za betonowy daszek i z impetem odbijam się od ziemi. Nie udaje mi się doskoczyć do wieńczącego płot przęsła, ale tyle mi wystarczy, by zaczepić o nie prawą dłoń. Mija krótka chwila skupienia i determinacji, kolejnej próby wytrzymałości dla moich mięśni. Siła moich ramion przez ostatnie miesiące wzrastała na kolejnych treningach na ściance do boulderingu, podobnie było z gibkością. Nie mija więcej niż kilkanaście sekund, a ja znajduję się już po drugiej stronie ogrodzenia i lądуję na lekko ugiętych nogach.

Uderza mnie odstręczająca szpetota i panujący wszędzie nieład. Ogród i mieszcząca się w nim drewniana szopa przypominają pejzaż namalowany przez szaleńca. Stoję pośród sięgających kolan ostów i pokrzyw. Metalowe kontenery na śmieci kipią od wystających z nich pordzewiałych gratów. Kilka metrów dalej, na ziemi, leżą dwie przewrócone beczki ze smołą. W tej lepkiej, czarnej kałuży zatopione są kamienie, a także niewielki ptasi szkielet. Ptak musiał umrzeć w męczarniach, bo nie mógł wydostać się z pułapki. Odwracam od niego wzrok i idę w głąb działki. Ułożone na ziemi wyszczerbione płyty prowadzą mnie do miejsca, które kiedyś było zapewne ogródkiem warzywnym. Świadczą o tym przetrącone tyczki i kępki poprzerastanej chwastami pietruszki. Tylko tyle. Mijam je i kieruję się w stronę komórki, wokół której stoją wyblakłe i celowo oszpecone figurki ogrodowych krasnali. Z ich oczodołów zieją głębokie, czarne jamy.

Szopa jest zamknięta na kłódkę, ale jedyne okienko zostawiono lekko uchylone. Odkrywa to przede mną pewne możliwości. By móc przez nie zajrzeć, muszę stanąć na palcach. Na pierwszy rzut oka wnętrze szopy nie różni się od innych podobnych. Puszki z farbami, leżaki, pędzle, podkaszarka, a nawet rower. Jakiś stary model, który i tak nie byłby w stanie ruszyć z miejsca. Jest zakurzony, z obu dętek zupełnie zeszło powietrze. Wyciągam z kieszeni telefon, wsuwam rękę przez uchyloną szybkę i robię kilka zdjęć jedynego miejsca, którego nie jestem w stanie zobaczyć ze swojego punktu obserwacyjnego. To niewielka wnęka znajdująca się naprzeciwko wejścia. Zdjęcia robię na chybił trafił. Kiedy kończę, wyciągam rękę i od razu przeglądam przechwycone obrazy. Ręka lekko mi drżała, więc zdjęcia są poruszone, ale i tak udaje mi się rozpoznać prawie wszystkie widoczne na nich przedmioty. Moją uwagę przykuwa stary regał. Maksymalnie go powiększam, a wtedy moje serce na moment zamiera. Nie jestem pewna, czy rozmyte zdjęcie nie zaburza mojej oceny. Próbuję trochę ochłonąć. Ponownie wkładam dłoń w szczelinę i robię kilka zdjęć, tym razem porządnie stabilizując rękę. Zdjęcia są wyraźne, potwierdzają też moje przypuszczenia.

Znajdujący się na regale przedmiot widziałam już wcześniej, choć był wtedy roztrzaskany. Przetrwał tylko jeden element, który zachował swoją pierwotną formę. To on wygląda teraz tak cholernie znajomo. W mojej głowie pojawia się obraz sprzed ponad tygodnia. Rozbita w bunkrze butelka miała identyczny porcelanowy klips, metalowy zaczep i umieszczoną pod nim zielonkawą gumkę. Nie mam co do tego wątpliwości. Absolutnie żadnych. Czuję nieprzyjemne mrowienie w karku, a wraz z nim przeszywający moje ciało dreszcz. Przez moment wydaje mi się, że ktoś mi się czujnie przygląda. Odwracam się, ale nikogo nie widzę. Dyktowane strachem pieprzone wyobrażenia, ganię się w myślach. Za to niewielki parterowy domek, który wyłania się zza sosen i gęstych płożących się wokół krzewów, jest rzeczywisty.

Przenoszę wzrok na ekran smartfona i na wyświetlające się na nim zdjęcie komórki. Zauważam, że takich samych butelek jest na regale znacznie więcej. Udaje mi się naliczyć przynajmniej dziesięć, wszystkie są takie same. Długa cienka szyjka, porcelanowy klips i zielona gumka. Pod ich ostatnim rzędem leżą dwa duże opakowania trutki na myszy. W miejscu takim jak to jej obecność nie powinna dziwić. Ale w zestawieniu z butelkami, z których jedna kilka dni temu została wycelowana we mnie,

przemawia na korzyść teorii Matyldy. Jej podejrzenia mogą okazać się słuszne. Dwa spore opakowania trutki mogłyby unicestwić całą armię gryzoni. Przybliżam obraz, chcąc lepiej przyjrzeć się kolejnym przedmiotom, ale znikają, kiedy telefon wibruje. Na wyświetlaczu pojawia się imię Wiktorii.

- Gdzie jesteś? - W sposobie mówienia dziewczyny słyszę wzbierającą panikę.

- Z tyłu posesji, w tym jego odpychającym ogrodzie - odpowiadam szeptem. - Co jest grane?

- Wracaj! I to zaraz! On tutaj jest! - syczy Wiktoria, w jej głosie jest coś złowieszczego.

- Tu, czyli gdzie? - rzucam w słuchawkę.

- W pasiece. Przy furtce. Ma biały kombinezon i kapelusz z siatką. Grzebie coś przy pszczołach. Chyba wyciąga z uli ramki z miodem. Teraz się oddala, idzie z nimi w głąb posesji, w twoją stronę. On... - Kolejne słowa pochłania rozchodzący się po lesie grzmot. Jest tak silny, że na moment nieruchomieję.

Przyciskam telefon do ucha, ale w słuchawce jest już tylko głucha cisza. A po niej cichy szmer. Kiedy dociera do mnie, że połączenie zostało przerwane, wybieram numer, ale zamiast głosu Wiktorii po drugiej stronie rozlega się tylko beznamiętny automat informujący mnie, że abonent jest poza zasięgiem sieci. Niech to szlag. Czekam z nadzieją, że zadzwoni ponownie, ale mój telefon uparcie milczy. Sytuacja się powtarza, kiedy gorączkowo próbuję połączyć się z numerem Kasandry.

Co jest, do diabła?

Nie chcę natknąć się na pszczelarza, więc decyduję się wrócić tą samą drogą, którą przyszłam. W gruncie rzeczy mam to, co chciałam, choćby tylko częściowo. Wsuwam telefon do kieszeni spodni. Wtedy nieoczekiwanie zaczyna się burza. Pada deszcz i grad. Zmarznięte krople wdzierają mi się do ust, do gardła, do nosa. Czuję uderzenie adrenaliny, szczęśliwie udaje mi się przeskoczyć płot. W oddali dostrzegam dwa idące w moją stronę cienie. Mrużę powieki, by zobaczyć więcej szczegółów. W strugach zacinającego deszczu cienie wyglądają jak wstępujące w otchłań diabelskie postacie. Zaciskam powieki i na powrót je otwieram. Strzepuję z nich krople. Obraz nieco się wyostrza. Kiedy dzieli nas odległość kilku metrów, dociera do mnie, że to halucynacje stworzone przez moją

wyobraźnię. W cieniach rozpoznaję przemoknięte do suchej nitki Kas i Wiktorię.

- Dlaczego się rozłączyłaś? - woła z oddali Wiktoria.

- To chyba wszystko przez burzę. Zostawiłyście niezamknięte auto?

- No tak. Nie odbierałaś. Umierałyśmy ze strachu - tłumaczy Kas.

Jej długie włosy przyklejone do ciała i przemokniętej bluzki wyglądają jak macki ośmiornicy. Wydobywają z jej pociągłej twarzy coś zwierzęcego, coś, czego nie widziałam w niej wcześniej.

- Wracajmy! Szybko! - ponaglam je.

Strugi rzęsistego deszczu zalewają dróżkę. Napływają coraz szybszym strumieniem, z taką siłą, że po chwili brodzimy po kostki w wodzie. Chlupocze w naszych butach, kiedy kierujemy się do samochodu. Stopy raz po raz grzęzną w błotnistych kałużach. Ale ulewa to niejedyny nasz problem. Błyskawica tnie niebo, potem rozrywa je głośny huk. Po nim następuje kolejny i jeszcze jeden. Wygląda na to, że jesteśmy w epicentrum burzy. Zalegający dookoła mrok jest o tej porze wręcz surrealistyczny. Przecież przyjechałyśmy tutaj około piętnastej, a czasu nie minęło jeszcze zbyt wiele. Gdy docieramy do zaparkowanego między dębami samochodu, zauważam na przedniej szybie ułamaną gałąź, na szczęście chyba jej nie uszkodziła. Nie mam teraz czasu dokładnie tego sprawdzać. Odrzucam ją na bok i wślizguję się za kierownicę. Kluczyk jest w stacyjce. Przemoczone do suchej nitki dziewczyny równie błyskawicznie zajmują swoje miejsca.

Przy odgłosach pomrukującego wciąż wściekle nieba wrzucam wsteczny i wycofuję samochód.

- Masz coś? - pyta Wiktoria, kiedy oddalam się na bezpieczną odległość. Najwyżej dwa kilometry dzielą nas od głównej drogi prowadzącej do Trójmiasta.

Im bliżej jesteśmy skraju Duchnego Lasu, tym lepsza staje się pogoda. Na granatowym niebie pojawiają się pierwsze nieśmiałe prześwity słońca. Pomruki burzy też powoli cichną.

- Sprawdź. - Podaję jej telefon. - Ostatnie sześć zdjęć, a raczej trzy, bo te pierwsze są trochę niewyraźne.

Między naszymi siedzeniami pojawia się Kasandra, zerka Wiktorii przez ramię.

- Nie rozumiem. To tylko jakaś rupieciarnia - mówi Wiktoria, gdy przegląda kolejne zdjęcia. - Powinnam coś jeszcze zauważyć? - Nadal przygląda się im sceptycznie.

- Te butelki, a raczej ich górna część - wtrąca się Kas. - Czy nie tak wyglądał jeden z odłamków, które znaleźliśmy wtedy w bunkrze? Ta klamra jest chyba identyczna.

- Bingo, Kas - mówię. W lusterku widzę, że twarz dziewczyny się rozpromienia.

Po rozmowie z Wiktorią patrzę na Kas trochę inaczej niż zwykle. I zupełnie nie wiem, czy słusznie.

- Okej, zakładamy, że masz gościa, który zamknął cię w bunkrze i próbował nastraszyć. Co z tym dalej robimy? - pyta rzeczowo Wiktoria.

Nie odpowiadam. Nie mówię też, by zwróciły uwagę na ilość przechowywanej w komórce trutki. Burza już się oddaliła. Teraz słyszę wyraźnie wydobywające się spod deski rozdzielczej monotonne buczenie. Nie udaje mi się go dokładnie zlokalizować. Mam nadzieję, że lada moment samochód nie rozkraczy się nam na drodze.

- Słyszycie to? - pytam i ściszam radio. Zwalniam i wyostrzam słuch.

- Coś jakby buczy - mówi Kas z przejęciem. Przechyla głowę, widzę, że i ona nasłuchuje. - To u nas?

- Też to słyszę - przyłącza się Wiktoria. - Chyba stąd się wydobywa - mówi i jednym ruchem otwiera skrytkę pod deską rozdzielczą.

W pierwszej chwili nie rozumiem, co się dzieje. Ze skrytki wydostaje się chmara czarnych punkcików, wzbija się w powietrze i otacza nas. Biorę to za zły sen, za kolejną szaleńczą wizję mojego umysłu. Mija kilka długich sekund, nim uświadamiam sobie, że Wiktoria właśnie uwolniła rój wściekłych pszczół. Pierwsze ukłucie czuję na policzku, kolejne na przedramieniu. Staram się nie reagować gwałtownie, to podobno tylko pogarsza sytuację. Zjeżdżam na pobocze, wciskam hamulec. Z chwilowego odrętwienia wyrywa mnie przeraźliwy pisk Kasandry. Gwałtownie otwieram drzwi. Kątem oka widzę, że kierowane instynktem dziewczyny robią dokładnie to samo.

MARIANNA

sierpień 2018

Przylegający do leśniczówki ogród miała ozdobić kwiatowa rabata, skalnik i zawieszony między dwiema sosnami hamak. Miało być pachnąco i idyllicznie, abyśmy choć w ogrodzie mogły ukryć się przed wspomnieniami, tymi z naszej odległej i niedawnej przeszłości. Niespodziewana obecność dzikiego ptaka w naszym domu całkowicie zburzyła ten plan. Ale niczego nie żałuję, dla dobra Matyldy zrobiłabym wszystko. Teraz, po trwającej już trzy tygodnie opiece nad sową, widzę, że leśniczówka stała się ostoją nie tylko dla ptaka, bezpieczną przystań zapewniła też mojej córce zaangażowanej w jego powrót do zdrowia.

Metalową wolierę wypożyczyłyśmy z Ostoi, od zaprzyjaźnionej ze mną właścicielki ośrodka rehabilitacyjnego dla ptaków. Dzięki jej wskazówkom Lucek, bo tak Matylda nazwała sowę, nie tylko zregenerował siły, wykształcił też silny instynkt stadny, w pewien sposób zbudował z nami więź. W otwartej teraz wolierze znajduje się niewielki zbiornik wodny i zawieszona na stojaku huśtawka z dzwoneczkiem. Takiego właśnie prezentu na piętnaste urodziny zażyczyła sobie moja córka. Właściwie ostatnio wszystko w jej życiu podporządkowane jest sowie. Dzięki temu na dalszy plan zszedł nasz sąsiad z piekła rodem. Zresztą nie pojawił się już nigdy więcej w lesie, ani on, ani rozkładane przez niego rośliny. Mat wkrótce przestała o niego wypytywać, jednak tymczasowa nieobecność nie uśpiła mojej czujności. Przez te ostatnie tygodnie swoje siły koncentrowałam na próbach sprzedaży naszego gdyńskiego mieszkania. Za uzyskane pieniądze zamierzam kupić coś mniejszego i jak najszybciej nas stąd wyprowadzić.

- Mamo, spójrz - woła mnie stojąca na polanie Mat. Na dłoń ma nasuniętą skórzaną rękawicę zakończoną długim mankietem. Wczepione w nią szpony sowy zwinnie przesuwają się w stronę ramienia Matyldy. Do nogi ptaka przywiązana jest długa, ograniczająca jego swobodę linka. W hakowato zagiętym dziobie ptaka srebrzy się niewielka, wciąż jeszcze żywa ryba. Kilkanaście innych, nieświadomych swojego losu, pływa w wypełnionym wodą wiadrze. To niejedyne pożywienie, jakim karmimy puszczyka. Myszy i niewielkie kurczaczki Lucek zabija uderzeniem dzioba

lub dusi w silnym uścisku szponów. Cholerne prawo natury. Zjadasz albo jesteś zjadany. Takie same zasady obowiązują w świecie ludzi, takie same w głębi otaczającego nas lasu. Myślę o instynkcie przetrwania, tym uznawanym za najbardziej bezwzględny. U kogo jest silniejszy? Skłaniam się ku temu, że najokrutniejszym drapieżnikiem jest jednak człowiek.

- Pamiętasz chyba, co mówił Marcin - zwracam się do córki, rozwieszając pranie.

Mat robi kwaśną minę, zauważam w tym kolejne uderzające podobieństwo do jej ojca. A wtedy ze zdwojoną siłą uderza we mnie tęsknota.

- Masz na myśli ten cały imprinting?

- Za jakiś tydzień Lucek odzyska pełnię sił. Wiesz, że musimy go wtedy wypuścić na wolność.

Jasne, Mat wiedziała o tym od samego początku, jednak w twarzy córki widzę czające się rozczarowanie. Kąciki jej ust wyginają się w dół, ramiona zapadają. Chodzi o lęk przed stratą. Potrafię rozpoznać w Mat tę i każdą inną z odczuwanych przez nią emocji.

- Myślisz, że będzie do nas wracał? - pyta z nadzieją w głosie.

- Będzie miał tutaj swoje miejsce. - Kątem oka zerkam na znajdującą się na krańcu działki sosnę i na Wojtka wieszającego na niej drewnianą budkę lęgową. Moja kuzynka Kasia i jej mąż wpadli do nas na weekend z dzieciakami. Ich chłopcy, rówieśnicy Matyldy, poszli się wykąpać w jeziorze. Mat oczywiście wolała zostać z sową. - Pewnie z początku będzie przylatywał częściej, ale to z czasem może się zmienić. Lucek jest dzikim ptakiem. Wiedziałyśmy o tym od samego początku. Jego miejsce jest w lesie.

- Dziwnie będzie bez niego... - Ptak, zupełnie jakby rozumiał, że to o nim mowa, wskakuje mojej córce na kark. Robi to z zadziwiającą gracją i bardzo delikatnie. - Jest tutaj, odkąd my tu jesteśmy - dodaje Mat. - Nie rozumiem, jak ludzie mogli je krzywdzić. Wiedziałaś, że kiedyś masowo je zabijano, bo kojarzyły się z demonami i śmiercią?

Potwierdzam skinieniem głowy.

- To podobno głównie przez intensywny pomarańczowy kolor jego tęczówki.

- Zabobony - prycha Mat i czule głaszcze szlarę puszczyka.

Odkładam wilgotne prześcieradło do miski i podchodzę do córki.

- Zostawimy to, jeśli chcesz. - Wskazuję dłonią stojak zakończony metalowym dzwoneczkiem. - Lucek lubi jego dźwięk. Może będziemy mogły dzięki temu dzwoneczkowi go czasami przywoływać.

- To jest niby jakaś opcja... - Mat krzywi się nieprzekonana. - Ale myślałam o czymś innym.

Kiwnięciem głowy zachęcam ją, by mówiła dalej.

- Mamy dwa prototypy Matta. Mogłybyśmy jeden wykorzystać na pewnego rodzaju test. Zróbmy to, zanim sprzedamy licencję - proponuje. - Tata nie miałby nic przeciwko temu.

Obawiam się, że wiem, co chodzi mojej córce po głowie.

- Nie do tego celu go przeznaczył - mówię stanowczo.

- Nie pozwoliłaś mi dokończyć - zżyma się Mat. - Tata zawsze podkreślał, że funkcjonalność wynalazku to nic innego jak elastyczność, jego możliwości dopasowania się do potrzeb użytkownika. Może Matt był projektowany z myślą o służbach mundurowych, ale równie dobrze sprawdzi się jako lokalizator sowy. Jeśli go jej założymy, to będziemy mogły się upewnić, że sobie radzi na wolności. Akumulator powinien starczyć na tych kilka pierwszych tygodni. Będę spokojniejsza - przekonuje.

Swoimi ostatnimi decyzjami wystawiłam spokój Mat na ciężką próbę. Jego kruche fundamenty zupełnie się rozsypały, kiedy wyrwałam córkę ze środowiska, w którym czuła się bezpiecznie, zbudowała przyjaźnie, miała swój własny mikroświat. Wciąż nie daje mi to spokoju i się o to obwiniam. Dla nastolatki, która niedawno straciła ojca, to była zbyt radykalna zmiana. Mam kolejną szansę, by jej to teraz choć trochę zrekompensować.

- Okej, zróbmy to.

Mat przygląda mi się podejrzliwie. Chyba nie spodziewała się, że pójdzie jej ze mną tak gładko.

- Serio?

- Trzeba go tylko odpowiednio przerobić, żebyśmy mogły włożyć go jej na nogę.

Naszą rozmowę przerywa dobiegający z ganku głos kuzynki. Kasia w ślicznej błękitnej sukience pojawia się na werandzie, trzymając w ręku mój telefon.

- Ktoś do ciebie dzwoni! - woła.

Kiedy wbiegam na ganek, jest już za późno, żeby odebrać połączenie. Na wyświetlaczu widzę, że to mama Elizy. Sprawy moje i Mat

zdominowały ostatnio całą rzeczywistość. Po raz pierwszy od dawna zamiast poświęcać się problemom innych, całą energię skoncentrowałam na własnej rodzinie. To nie tak, że odcięłam się od swojej uczennicy. Z Elizą wymieniłam ostatnio kilka esemesów. Nie drążyłam jednak tematów ani nie kwestionowałam jej zapewnień, że wszystko jest w porządku, że rodzice wiedzą o kradzieży, że jej wybaczyli i, co równie ważne, że zgłosili próbę szantażu policji. Wchodzę do leśniczówki z telefonem w ręku i zaszywam się w niewielkim przedsionku. Jestem tu zupełnie sama. Wciskam się w fotel i oddzwaniam. Po dwóch sygnałach w słuchawce rozlega się energiczny kobiecy głos. Po kurtuazyjnym „dzień dobry" i niezobowiązującym smali talku mama Elizy przechodzi do rzeczy.

- Nie chciałam dzwonić wcześniej, bo wiedziałam, że po tamtym... - urywa i starannie waży słowa - ...że pewnie będzie pani chciała przez chwilę zebrać myśli i zająć się swoimi sprawami. Ale nie zdążyłam pani podziękować.

- Podziękować? Ale za co? - dziwię się.

- Nie wiem, co jej pani wtedy powiedziała, ale po powrocie z wycieczki stosunek Elizy do nas bardzo się zmienił. Jest tak jak dawniej, a może nawet lepiej. Dawniej ze względu na jej chorobę trudno było o taką bliskość, jaką mają ze swoimi dziećmi inni rodzice, a obecnie jest dobrze. A nawet bardzo dobrze. Teraz Eliza otwiera się przed nami, mówi o swoich uczuciach, z własnej woli spędza z nami więcej czasu. Nawet z moim mężem ma lepszy kontakt. Może to zasługa terapii, ale obstawiam raczej, że to rozmowa z panią zapoczątkowała ten przełom. Może to wszystko brzmi niepoważnie wobec tego, co jeszcze wtedy w pani życiu zaszło. - Matka Elizy starannie dobiera słowa. Kiedy to robi, czuję, że powietrze w przedsionku staje się lepkie i gęste. Moje serce spazmatycznie tłoczy krew. Reaguję tak, bo nie chcę, żeby ta kobieta nawiązywała do wydarzeń z tamtej nocy. - Ale od jej powrotu z wycieczki wszystko zmieniło się na lepsze - dodaje.

Nie jestem pewna, czy wiem, o co jej chodzi.

- Może to dlatego, że porozmawialiście szczerze, że Eliza mogła liczyć w tamtej kwestii na waszą wyrozumiałość.

W słuchawce zaległa niewygodna cisza.

- Nie rozumiem. Na wyrozumiałość? A o jakiej kwestii mówimy? - Głos kobiety jest uprzejmy, ale kategoryczny.

- Chodzi o jej wyznanie, o to, do czego się państwu przyznała. I o waszą reakcję na to, co zrobiła - mówię oględnie.

- Na to, co zrobiła? - W słowach kobiety słyszę wyraźnie zarysowany niepokój. - Mówi pani tak, jakby moja córka zrobiła coś złego.

Tym razem to ja milczę przez dłuższą chwilę.

- Myślę, że koniecznie powinni państwo spytać o to Elizę.

Po raz kolejny odpowiada mi cisza, ale jest inna niż poprzednia, głębsza i bardziej nieruchoma. Chwilę później z telefonu dobiega mnie jakiś harmider.

- Przepraszam, ale muszę kończyć - mówi pospiesznie matka Elizy. - Zadzwonię później.

Połączenie zostaje przerwane. Mój umysł spowija gęsta mgła. Wygląda na to, że mimo zapewnień Eliza nie pisnęła rodzicom ani słowa o tym, do czego sama mi się wcześniej przyznała. Jestem naprawdę rozczarowana.

Wracam do ogrodu i idę do Wojtka zawieszającego budkę dla sowy.

- Eliza, ta moja uczennica cierpiąca na spektrum autyzmu jest pod opieką doktora Nowińskiego, tak? - pytam go.

Nowiński to dziecięcy psycholog, do którego przez pierwszy rok po śmierci swojego ojca chodziła na terapię Mat. Polecił mi go pracujący w tej samej poradni mąż Kaśki.

Wierzchem dłoni Wojtek ociera czoło zroszone kropelkami potu.

- Tak, jeśli ta dziewczyna nie jest pełnoletnia. Nowiński to u nas jedyny psycholog dziecięcy.

- Rozmawialiście kiedyś o Elizie? Wiesz może, jaką diagnozę postawił? Mówił coś o niej? - dociekam.

Wojtek stabilizuje dłońmi kołyszącą się nad jego głową drewnianą budkę i niespiesznie schodzi z drabiny.

- A o co chodzi? - pyta, kiedy staje naprzeciwko mnie. Jego twarz umazana jest czarną smugą wilgotnej ziemi. - Wyglądasz, jakbyś właśnie zobaczyła ducha.

- Okazało się, że Eliza mnie okłamała w dość istotnej kwestii.

- Nic o niej nie wiem. - Wojtek wzrusza ramionami. - To, że pracujemy w jednym ośrodku, który koordynuję, nie oznacza, że którykolwiek z terapeutów dzieli się ze mną informacjami o swoich pacjentach. Są poufne. Zresztą dobrze wiesz, że tylko sąd lub prokurator, dla dobra wymiaru sprawiedliwości, może zwolnić psychologa z tajemnicy zawodowej.

- Myślałam, że regularnie spotykacie się na omówieniach historii i problemów pacjentów. Mam na myśli wszystkich terapeutów i psychologów z waszego ośrodka.

Wojtek wybucha śmiechem.

- To się dzieje w placówkach publicznych, najczęściej w psychiatrykach, ale nie u nas. Jeśli masz jakiekolwiek podejrzenia wobec tej dziewczyny, to pogadaj po prostu z jej rodzicami. Czy tylko to cię gryzie? - pyta, świdrując mnie wzrokiem.

- Chciałabym, żeby Mat kontynuowała terapię - mówię.

- Dzieje się z nią coś złego? - Wojtek marszczy czoło, dopiero po chwili rozluźnia wszystkie mięśnie twarzy. Robi to zawsze, kiedy tylko udaje, że nie jest zaniepokojony. Mat jest jego chrześniaczką, wiem, że bardzo mu na niej zależy. Po śmierci Marka zaczął się pojawiać w jej życiu częściej niż dotychczas, poświęcając jej czas i obsypując prezentami. Myślę, że stara się w ten sposób choć częściowo zrekompensować mojej córce brak ojca.

- Nie. To znaczy chyba nic bardzo niepokojącego. Ale przeprowadzka tutaj to dla niej kolejne wyzwanie. Wyzwanie wielkiego kalibru. Mat jest z dala od przyjaciół, stała się ostatnio bardziej drażliwa. Kiepsko się dogadujemy. Nie chciałabym niczego zaniedbać, a obawiam się, że terapeucie zwierzy się chętniej niż mnie.

- Pogadam z Nowińskim, na pewno znajdzie dla niej czas - oferuje Wojtek.

- Nowińskim? - krzywię się.

- No tak. - Wojtek kiwa sugestywnie głową. - To jedyny psycholog dziecięcy w naszej przychodni. Mat powinna kontynuować terapię u niego. Dobrze się znają, zbudowali więź, nić wzajemnego zaufania. Wszystko w porządku? Miałaś jakiekolwiek obiekcje co do pracy Nowińskiego? - pyta, przyglądając mi się wzrokiem czujnego psychologa. - Wyglądasz jakoś dziwnie.

Nie wiem, dlaczego zareagowałam w ten sposób. Faktycznie, w myślach chyba odrzuciłam doktora Nowińskiego jako potencjalnego terapeutę, choć Mat nigdy nie skarżyła się na przebieg sesji. Być może po prostu wolałabym, by nie wracała w miejsce przepracowanych już wcześniej traum. A Nowiński będzie się jej z tym niezaprzeczalnie kojarzył. Główną z traum mojej córki była śmierć ojca, to ona zamieniła tryskającą życiem nastolatkę w smutny wrak dorastającej w cieniu tamtych zdarzeń dziewczyny.

- Skoro uważasz, że lepiej będzie pozostać przy Nowińskim, to nie mam nic przeciwko - mówię, choć wciąż chyba bez większego przekonania.

- Okej. Pogadam z nim jutro. Zaufaj mu - przekonuje Wojtek. - Dzięki niemu udało się błyskawicznie zdiagnozować u Mat PTSD i wdrożyć tę innowacyjną technikę odwrażliwiania metodą gałek ocznych. Efekt był więcej niż zadowalający, Mat się pozbierała, i to w krótkim czasie.

- Mówiłeś, że nie omawiacie diagnoz pacjentów ani metod leczenia... Myślałam, że dotyczy to także Mat...

- Bo nie omawiamy - zarzeka się Wojtek. - Ale Kaśka mi o wszystkim na bieżąco mówiła, dowiedziała się od ciebie - przyznaje ze skruchą Wojtek. - Nie miej jej tego za złe, to ja ją wypytywałem. Martwię się o Mat. Jest trochę jak mój własny dzieciak. Chciałem wiedzieć, co jest grane, chciałem się upewnić, że stanie bez problemu na własnych nogach.

- Jasne. Wiem, że tobie na niej zależy. Poradzisz z tym sobie? - zmieniam temat, zadzieram głowę i przyglądam się zbitej z paru desek budce.

- A masz jeszcze kilka gwoździ? - pyta Wojtek i patrzy z dumą na budkę.

- Zaraz sprawdzę - odpowiadam. Głowę wciąż zaprzątają mi myśli o Elizie.

Zamiast poszukać w leśniczówce skrzynki z narzędziami, siadam na werandzie i wstukuję w telefon wiadomość. Na ekranie pojawia się okrągła szara ikonka informująca mnie o dostarczeniu wiadomości.

Dlaczego mnie okłamałaś?

Mija kilka minut, ale Eliza milczy, mimo że ikonka zmieniła kolor na niebieski, co oznacza, że wiadomość została odczytana.

Próbuję jeszcze raz.

Eliza, powiedz mi prawdę, proszę...

Sytuacja się powtarza, kolejna wiadomość zostaje dostarczona i błyskawicznie odczytana. Tym razem na ekranie telefonu pojawiają się trzy tańczące kropeczki. To znak, że Eliza jednak mi odpisuje.

Nie okłamałam. Ale to skomplikowane.

Lepiej to na razie zostawmy tak, jak jest.

Szybko wstukuję odpowiedź.

Uciekasz od czegoś, co i tak jest nieuniknione.

Jeśli sama im nie powiesz, to przybierze zupełnie inny obrót. Nie taki, jak byś chciała.

Twoja mama się czegoś domyśla. Daj sobie pomóc. Możemy pogadać w każdej chwili.

Mogę być z tobą, kiedy zdecydujesz się, by im powiedzieć.

Kropeczki po raz kolejny tańczą na ekranie.

Nie chodzi o mój strach przed rodzicami.

Chyba się czegoś domyślam.

W okienko wstukuję kolejną wiadomość.

Chodzi o twojego szantażystę?

Tańczące kropeczki tym razem zmieniają się w coś, czego wolałabym nigdy nie przeczytać.

POLA

sierpień 2020

Wiktoria, występująca na deskach teatralnych także jako V., nie odpowiedziała na żadną z dwóch wysłanych przeze mnie wiadomości. Odezwała się dopiero, kiedy kolejny raz poszłam do pralni i poprosiłam Maksa, żeby do niej napisał i przekonał ją, by ze mną porozmawiała. Najwyraźniej bratu Lary Wiktoria ufa bardziej niż nieznajomej węszącej wokół jej zmarłej pracodawczyni. W zasadzie nie powinnam mieć jej tego za złe. Sama pewnie też byłabym nieufna. Skończyło się na tym, że po interwencji Maksa umówiłyśmy się z Wiktorią na wideorozmowę na WhatsAppie.

Tymczasem ja i Maks zawarliśmy ciche przymierze. W zamian za jego pomoc obiecałam, że będę go informować o postępach w moim prywatnym dochodzeniu. Jestem też w stałym kontakcie z siostrą Kasandry, ostatni raz rozmawiałyśmy dzisiaj, wiem, że jej stan zdrowia systematycznie się polepsza. Lekarz prowadzący Kas wspomniał podobno nawet, że przy tak pozytywnej odpowiedzi na zastosowane leczenie istnieje szansa, że w przyszłym tygodniu podejmą próbę jej wybudzenia. Z tą nadzieją każdego wieczoru kładę się spać. Często zastanawiam się też, co będzie, kiedy Kas się obudzi. Czy i kiedy odważy się opowiedzieć więcej o tym, co zasygnalizowała mi w liście? Jak silne naciski będzie na nią wywierać policja? Bo co do tego, że policja będzie je wywierać, nie mam

najmniejszych wątpliwości. Kas najprawdopodobniej jest kluczem do rozwiązania zagadki.

Na kilka minut przed godziną planowanego spotkania z Wiktorią zamykam się w biurze. To jedyne miejsce, które nie jest w żaden sposób naznaczone wspomnieniami o mojej rodzinie. Przebywanie tam, gdzie każdy zakamarek przypomina mi o stracie, gdzie odczuwam każdą z wyrwanych ze mnie żywcem dobrych emocji, jest prawdziwą katorgą. Do biura, które za jego bezosobowość lubiłam kiedyś najmniej, teraz, o ironio, zaglądam najchętniej. Zapełniłam je kwiatami. Zrobiłam to, by mieć złudne poczucie, że wciąż udaje mi się pielęgnować życie, choćby w takiej trywialnej postaci.

W otoczeniu palmy kokosowej, kilku paprotek i kilkunastu sukulentów siadam na fotelu obrotowym i przesuwam palcem nad numerem, który podała mi wcześniej Wiktoria. Przez chwilę, kiedy dziewczyna nie odbiera, wydaje mi się, że po raz kolejny wystawiła mnie do wiatru. Mylę się. Za piątym sygnałem połączenie wideo zostaje odebrane. W tej gotowej do występu artystce ledwie udaje mi się rozpoznać naturalnie wyglądającą dziewczynę z facebookowych zdjęć. Wydaje się dużo starsza, niż jest w rzeczywistości, pewnie za sprawą ciężkiego makijażu i upięcia włosów stylizowanego na pin-up girl. Usta ma przeciągnięte czerwoną szminką. Charakterystyczny dla tego stylu rulon z włosów znajduje się wysoko na czubku głowy, jest ozdobiony bandaną. Zauważam emanującą z Wiktorii pewność siebie. Nie chodzi o zarozumiałość, dziewczyna jest po prostu świadoma swoich walorów. Zastałam ją najprawdopodobniej w przerwie między występami. Wnioskuję to po zawieszonej za nią czerwonej kurtynie, za którą widać rzędy pustych krzeseł.

- Mam najwyżej dziesięć minut. Za chwilę zaczynam kolejną próbę - wyjaśnia, kiedy ikonka z moją miniaturową twarzą pojawia się na ekranie.

Obok dziewczyny przemykają inne tancerki, zwracają się do siebie w języku francuskim. Ich stroje, głównie ultrakobiece rozkloszowane sukienki w grochy, stylizowane są na lata pięćdziesiąte.

Wiktoria odchodzi na bok, znajduje jakieś spokojniejsze miejsce i tam siada albo może kuca. Nie jestem pewna. Gwar cichnie, a dziewczynę otacza tylko spowijająca pomieszczenie ciemność.

- Podobno chodzi o listę uczestników zlotu. - Uprzedza moją prośbę.

- Dokładnie tak. Zachowałaś ją?

- Powinnam ją mieć na swoim starym mailu. Wysyłałam ją też Maksowi już jakiś czas temu - oznajmia. - Czy tylko o to chodzi? - pyta i rzuca mi powłóczyste spojrzenie znad długich doklejanych rzęs.

- Kiedy ostatnio pisałyśmy do siebie, wspomniałaś o dwóch mężczyznach mieszkających w Duchnym Lesie. Chciałam dowiedzieć się czegoś o jednym z nich, o tym, który ma przed domem pasiekę. Czy Lara miała z nim problemy?

Usta Wiktorii wykrzywia grymas obrzydzenia.

- Chodzi o pszczelarza śmierdziela?

- Mówiąc „śmierdziel", masz na myśli cuchnące rośliny, które ten gość rozkładał w lesie?

Dziewczyna wzdycha.

- Nie tylko. Facet miał graciarnię w ogrodzie, na podwórzu, dosłownie wszędzie - mówi i cmoka z niesmakiem. - Sam też potężnie cuchnął.

- I zgaduję, że raczej nie wpuścił was dobrowolnie na teren swojej nieruchomości...

- Nie musiał, Lara sama tam weszła. - Mówi o tym z taką nonszalancją, jakby wtargnięcie na czyjąś posesję było najbardziej naturalną rzeczą na świecie. - Gość ma nierówno pod sufitem. Lara podejrzewała, że facet truje myszy po to tylko, by tępić w ten sposób okoliczne sowy. W jego składziku znalazła trutkę, tą ilością można by obdzielić całe gdyńskie śródmieście. Znajoma Lary opiekowała się otrutą w tamtym lesie sową. Była pewna, że trucicielem był pszczelarz.

Przed oczami staje mi niedawna dziwna konfrontacja w Duchnym Lesie. Przypominam sobie woreczek przywiązany do paska tego człowieka. W środku ruszało się coś żywego.

Czy on faktycznie mógł nosić je przy sobie po to, by truć nimi dzikie zwierzęta? Nie wiem, czy nie zapuszczam się w swoich domysłach za daleko.

- Dlaczego miałby to robić? - pytam.

- Diabli go wiedzą. - Wiktoria wzrusza ramionami. - Tak, jak mówiłam, gość ma nierówno pod sufitem.

- To, że miał w składziku zapas trutki, nie oznacza jeszcze, że wykańczał w ten sposób zwierzęta.

Znowu wzrusza ramionami.

- Gdyby pani tam wtedy była, to zrozumiałaby pani, o czym mówię. Wiedział, że węszyłyśmy. Wymierzył nam nawet karę.

- Karę? - podchwytuję.

Po twarzy Wiktorii przesunął się niezauważalny cień. Myślę, że to jakieś niechciane wspomnienie.

- Byłyśmy u tego gościa trzy tygodnie przed śmiercią Lary. Stałam z Kas na czatach, Lara przeszła przez płot i dostała się do jego ogrodu. W samym tylko składziku ten facet przechowywał cały arsenał dziwnych przedmiotów, w tym butelki takie jak ta, którą kilkanaście dni wcześniej ją zaatakował. Musiał się zorientować, co u niego robimy, bo włożył do skrytki w samochodzie Lary rój pszczół. - Na wspomnienie tamtego incydentu dziewczyna się wzdryga. - Nieźle nas wtedy pogryzły. Ale nie na tyle, by którejkolwiek z nas coś się stało. Szybko wydostałyśmy się z auta. Skończyło się na kilku ukąszeniach i opuchliźnie. Miałyśmy zadzwonić na policję, ale uznałyśmy, że to nie jest odpowiedni moment.

- Dlaczego?

- Ze względu na okoliczności. Nie mogłyśmy tak po prostu przyznać się, że Lara wtargnęła na cudzą działkę. Zresztą idę o zakład, że on i tak by się jakoś wyłgał. Żadna z nas nie widziała, jak to robił. Lara miała obmyślić jakiś plan, żeby faceta jednak pogrążyć.

- Zrobiła to?

- Nie. Trzy tygodnie później już nie żyła.

Z miejsca, w którym zaszyła się Wiktoria, dobiega jakiś hałas. Ożywione głosy i rytmiczny stukot butów zwiastują chyba wznowienie próby. Wiktoria odwraca głowę, podąża za czymś wzrokiem.

- Myślisz, że to był on? - pytam w obawie, że zaraz się rozłączy.

- Myślę, że to całkiem prawdopodobne. Zresztą przez pewien czas gliny się nim interesowały, ale podobno niczego mu nie udowodniono. Zaraz muszę lecieć... - Dziewczyna odruchowo poprawia włosy.

- Jeszcze tylko jedno... Maks mówił o jakimś folderze, który Lara zamierzała pokazać tamtej nocy. Wiesz coś na ten temat?

- Tak, folder faktycznie był, Lara wpakowała go do plecaka - odpowiada pospiesznie dziewczyna, kiwając energicznie głową. - Chciała coś ujawnić, coś związanego z jej nauczycielką, która w tamtym lesie zginęła w płomieniach rok wcześniej. Wiem tylko tyle, bo to wszystko było owiane tajemnicą.

- Dwukrotne uderzenie gongu i podkład muzyczny zagłuszają głos Wiktorii. - Niech mi pani zostawi swojego maila, to potem wyślę tę listę. Teraz naprawdę muszę już wracać.

Kiedy wydaje mi się, że dziewczyna się rozłączy i zniknie, rzuca mi jeszcze jedno czujne spojrzenie, patrzy wprost na kamerę.

- Maks mówił, że Kas jest w szpitalu. Co z nią?

Nie chcę, a przede wszystkim nie powinnam mówić o Kas, tym bardziej że zabójca Lary wciąż jest na wolności.

- Nie wiem - kłamię. - Nie udzielają mi żadnych informacji, nie jestem jej najbliższą rodziną.

Wiktoria kiwa głową bez przekonania. Jej twarz znika chwilę później z ekranu. Mam teraz w głowie chaos i gonitwę myśli. Czy ten plecak z folderem w środku mógł być bezpośrednią przyczyną zamordowania Lary? Nie wiem. Zamiast odpowiedzi wciąż zadaję sobie coraz więcej pytań.

LARA

sierpień 2019

Rozmowa z Mat, szczególnie informacja o istnieniu skrzętnie ukrywanego przez Mariannę folderu, kolejny już raz przywiodła mnie do Duchnego Lasu. Tym razem nie chciałam ciągnąć ze sobą ani dziewczyn, ani tym bardziej Artura. Pojechałam sama. Samochód zaparkowałam na skraju lasu, żeby móc niezauważenie przemknąć obok posesji pszczelarza. Podejrzewam go nie tylko o niezrównoważenie psychiczne. Myślę, że był w konflikcie z Marianną i mógł chcieć ją skrzywdzić. Ten człowiek w swoich działaniach z pewnością nie kieruje się logiką ani nie zastanawia się nad konsekwencjami. To wiem na pewno. Z jednej strony byłby więc idealnym materiałem na sprawcę, z drugiej strony nie do końca to kupuję. Człowiek zarejestrowany na obrazie z kamery kilka minut przed śmiercią Marianny maszerował w stronę jej leśniczówki z werwą. Nie utykał. Nie przystawał. Nie wlókł się. Trudno było określić jego wiek i dokładny wygląd, ale z pewnością nie miał problemów z poruszaniem się. Czy to wyklucza go z kręgu podejrzeń? Nie. Intuicja mówi mi, że ten facet w jakiś sposób maczał jednak palce w śmierci Marianny. Ale nie do niego dzisiaj przyszłam. Nie chcę kolejnej konfrontacji, a przynajmniej nie teraz. Mój cel jest zgoła inny, rozrysowywałam go dokładnie w głowie w przerwach między planowaniem zbliżającego się już zlotu.

W kieszeni moich dżinsów wibruje telefon. Nie muszę go wyciągać, by wiedzieć, że Artur kolejny raz będzie mi robił wyrzuty, że zamiast zachować dla siebie przychód z wpisowego na zlot, zamierzam go przeznaczyć w całości na wsparcie Ostoi. To fundacja, która na Pomorzu zajmuje się ratowaniem dzikich zwierząt. Zrobię to, bo tak, taki mam cholerny kaprys, taką palącą potrzebę. Mój narzeczony zupełnie tego nie kuma, jak wielu innych rzeczy, które dla mnie są ważne, a jemu wydają się głupie i trywialne. W nadziei, że ten esemes nie jest jednak od mojego narzeczonego, wyjmuję telefon. Wiadomość rozpoczyna się kilkoma wykrzyknikami, mija chwila, nim docieram do jej sedna. Jest tak, jak przypuszczałam.

!!!!!!!! Na wiele twoich decyzji przymykałem oko, ale to już jest idiotyzm do potęgi entej. Chciałem ci przypomnieć, że twój przychód w

tym miesiącu jest o 44% mniejszy niż w poprzednim. Niedługo może w ogóle zaczniesz funkcjonować pro bono??? Zobaczymy wtedy, z czego utrzymasz swojego brata.

Telefon wibruje w moich rękach kolejny raz. To znowu on.

Odbierz. Musimy to przegadać.

Oczywiście nie mam zamiaru spełniać jego prośby. Zresztą ostatnio każda prośba Artura brzmi jak rozkaz. Nie wiem, czy ta wiadomość jest gwoździem do trumny naszej relacji, czy może tylko pretekstem, bo decyzję podjęłam już znacznie wcześniej. Mam nieodpartą potrzebę poinformowania go o tym, co zamierzam wkrótce zrobić, ale jeszcze się wstrzymuję. Zwykła przyzwoitość nakazuje mi zrobić to, kiedy będę mu patrzyła prosto w oczy.

Wsuwam telefon do kieszeni i ruszam przed siebie, starając się nie myśleć o Arturze. Zbaczam z głównej ścieżki, przedzieram się przez porastającą tę część lasu gęstą darń. Panująca wokół mnie cisza jest złowieszcza, choć wciąż jest przecież widno. Sterczące sztywno z ziemi pnie sosen wyglądają tak, jakby drzewa zastygły w sennym bezruchu. To irracjonalne, ale dostrzegam w nich jakiś pierwiastek ludzki, potencjał do tego, by ruszyć z miejsca. Nie mam pojęcia, co jest tego przyczyną. Może to zwyczajnie mój umysł płata mi figle. Niebo też jest jakieś inne, nabrzmiałe od srebrzystego światła, powietrze zrobiło się ciężkie i szare od gęstniejącej mgły. Za sprawą tego dziwnego surowego krajobrazu myślę o przelanej tutaj krwi, o tych wykorzystanych do katorżniczej pracy robotnikach, a wreszcie o losie mojej nauczycielki Marianny. Cisza versus krzyk. Witalna, karmiąca sobą życie przyroda versus zawłaszczająca ją śmierć. Wszystko to działo się niemalże w tym samym miejscu, w którym teraz ja stoję. Po raz pierwszy od dawna czuję się tak nieswojo, to chyba z powodu ogarniających mnie mdłości. Po chwili uświadamiam sobie, co je wywołuje. Na kępie mchu przede mną leży truchło ptaka. Czuję unoszący się nad nim słodkawy smród padliny, to on potęguje mdłości. Truchło jest w tak zaawansowanym stanie rozkładu, że nie udaje mi się rozpoznać, jaki to ptak. Mijam go i zastanawiam się, czy jest kolejną ofiarą truciciela, czy odszedł, bo wybiła jego godzina. Po drodze napotykam inne niepokojące znaleziska. Są to przewiązane sznureczkiem zasuszone rośliny, które zawieszono na gałęziach. Kiedy ich dotykam, kruszą się w palcach, pozostawiając po sobie zielonkawe smugi i odstręczający smród. Zabieram jednak z gałęzi jedną z nich i wkładam do plecaka, zajmę się nią później.

Muszę pamiętać, że przyszłam tutaj w konkretnym celu. Docieram do leśniczówki. Nic się nie zmieniło, budynek wygląda tak samo, jak poprzednim razem. To tylko smutne zgliszcza, nic więcej. Przechodzę przez werandę, mijam dawny hol i docieram do wypalonej polany, miejsca, które przed rokiem było ogrodem. Minął rok, ale wciąż jeszcze wyczuwam nikły swąd spalenizny. Jest nasiąknięty zgnilizną i wilgocią. Trącam stojak z dzwoneczkiem w nadziei, że sowa ponownie się pojawi, ale tym razem nic takiego się nie dzieje. Mat mówiła mi, że to w sypialni jej mama schowała tajemniczy folder, zanim przeniosła go w inne miejsce. Nie liczę na wiele, ale postanawiam sprawdzić przede wszystkim to pomieszczenie.

Dom jest tak zniszczony, że początkowo nie udaje mi się nawet ustalić, gdzie mogła być sypialnia. Wchodzę na piętro. Z każdego pomieszczenia zieje tylko smutna pustka. Zwykle nie mam oporów przed eksplorowaniem opuszczonych budynków. To dzięki adrenalinie i pragnieniu dotarcia do nieznanego, do odkrycia pod postępującą degradacją dawnych śladów ludzkiej bytności. Teraz jest inaczej. Mam świadomość, że tuż obok w męczarniach zginęła Marianna, więc myszkując po jej domu, czuję się jak cmentarna hiena, jak wstrętny oszust. Kiedy już mam się wycofać, docieram do celu. Rozpoznaję sypialnię po resztkach drewnianej boazerii, którą miała być wyłożona jedna z jej ścian. Zamiast ściany znajduję jednak tylko jej nadpalony, strzępiasty fragment. Nie ma tam nic więcej, nie ma ani łóżka, ani mebli, tylko puste ściany. Kiedy wsuwam dłoń pod fragment boazerii, pod palcami wyczuwam chropowatą powierzchnię ściany. W gruncie rzeczy nie czuję się jakoś szczególnie rozczarowana, bo to nie leśniczówka jest moim głównym celem, ale największy z bunkrów, ten, w którym zostałam zamknięta i zaatakowana. Leśniczówka jest zaledwie pierwszym przystankiem na mojej dzisiejszej trasie.

Myślałam długo o tym, o czym kiedyś mówiła Marianna, o wybieraniu odpowiednich skrytek, których umiejscowienie nie wzbudzi podejrzeń u innych. Przytoczony przez nią przykład zaczerpnięty z życia zwierząt najprawdopodobniej nie miał żadnego znaczenia. Nawet jeśli folder został przeniesiony w leśniczówce do innej skrytki, z pewnością spłonął. Ale jeśli przełożyła go w inne miejsce?

Folder z pewnością zawierał coś, co mogło skłonić do zabójstwa. Miałam oczywiście tylko ogólne pojęcie o tym, czego i gdzie szukać. Miejsce ogólnodostępne, znajdujące się w pobliżu domu. A jednak niewidoczne dla niewprawnego oka. Tyle wiedziałam.

Niedawno, podczas pierwszej wizyty w Duchnym Lesie, sama się na takie miejsce natknęłam, tylko nie zdążyłam go dokładnie sprawdzić. Teraz nadarzała się ku temu idealna okazja.

Mam nadzieję, że nadal nikt mnie nie zauważył. Tak samo jak poprzednio wybieram prowadzącą do schronu trasę, przez którą nie biegnie żadna ścieżka. Nie chcę ściągać na siebie niczyjej uwagi, a zwłaszcza pszczelarza psychola. Schodzę zboczem, po drodze mijam polanę z rosnącą na środku wierzbą. Jest samotna pośród armii strzelistych sosen. Jej ciężkie gałęzie pochylają się do przodu, kora ma dziesiątki żłobień, korzenie wybrzuszają się i wiją nad powierzchnią ziemi. Wierzba wygląda na doświadczoną i steraną życiem. Wykorzystam ją jako drzewo życia, postanowiłam tak, będąc tutaj poprzednim razem.

U podnóża zbocza wartki strumień rzeki przesuwa kolejne gałęzie. Ściągam buty i moczę stopy, potem wchodzę głębiej. Woda jest rześka, cudownie kojąca, łagodzi wciąż lekko opuchnięte miejsca na łydkach, ślady po użądleniach. Idę korytem strumienia przez kolejnych kilka minut, potem znów wspinam się po skarpie. Na górze okazuje się, że zboczyłam z trasy, ale szybko obieram właściwy kurs. Nie mija więcej niż kilka minut i docieram na miejsce. Drzwi bunkra są otwarte na oścież, z jego środka, tak jak poprzednio, zieją tylko przytłaczająca pustka i ciemność. Niedawne wspomnienie sprawia, że po przekroczeniu progu schronu oglądam się za siebie kilkukrotnie. Zapalam latarkę. Słyszę swój oddech odbijający się od zanurzonych w ziemi ścian. Stres też robi swoje. Przez jeden złudny moment wydaje mi się, że to miejsce wyciąga do mnie ręce i chce mnie zagarnąć do środka. Po chwili biorę się w garść.

Nie zatrzymuję się w pierwszym pomieszczeniu, kierowana ciekawością i strachem idę do tego, w którym znajdują się żelbetonowe słupy. Oświetlone latarką dwie cegły nie wystają tak bardzo, jak wydawało mi się to poprzednio. Ale jedno się nie zmieniło - w przeciwieństwie do pozostałych między tymi dwiema brakuje spajającej je fugi. Są ruchome, a przynajmniej takie właśnie sprawiają wrażenie. Kiedy udaje mi się przecisnąć przez słupy, okazuje się, że cegieł, pomiędzy którymi brakuje zaprawy, jest znacznie więcej. Przynajmniej kilkanaście. Pierwsza, którą chwytam, jest jednak nieruchoma. Z kolejną idzie mi znacznie łatwiej. Wkładam rękę w wąską szczelinę, która pozostała po jej wysunięciu. Ze zdziwieniem stwierdzam, że nie mogę dotknąć ścianki, do której cegła powinna przylegać. Zabieram się do wyciągania pozostałych cegieł,

narzucam sobie dynamiczne tempo. Cegły, jedna po drugiej, poddają się moim dłoniom i po chwili lądują na betonowej posadzce. Zamiast odsłonić niewielką wnękę, udaje mi się wydrążyć otwór o wymiarach przynajmniej metr na metr. Kucam, przykładam policzek do wilgotnej ziemi i oświetlam skrytkę. Wydaje się pusta. Raz jeszcze wkładam w nią rozcapierzoną dłoń i przesuwam się tak blisko ściany, jak to tylko możliwe. Kończy się na tym, że ocieram się twarzą o stare, wyszczerbione cegły, do nosa wpadają mi drobinki pyłu, zaciągam się paskudnym zapachem stęchlizny. Niczego jednak nie znajduję, pod palcami czuję tylko chłodny porowaty beton. Kiedy już mam dać za wygraną, opuszkami palców natrafiam na płaski przedmiot o matowej powierzchni. By go wyciągnąć, potrzebuję kija albo haczyka. Znajduję jakąś zbutwiałą deskę. Przeciągam przedmiot bliżej siebie i z wnęki wysuwa się zamknięta plastikowa teczka. Nawet nie jest zakurzona, wygląda tak, jakby ktoś umieścił ją tam przed chwilą.

Na widok tego znaleziska przez chwilę kręci mi się w głowie, czuję gorycz żółci w gardle i nagły skurcz żołądka. Palce mi drżą, kiedy powoli odblokowuję plastikowy zatrzask. Ten moment jest jak wkroczenie na zakazany teren, jest jak zagrzebana pod ziemią tajemnica, która nigdy nie miała ujrzeć światła dziennego. Wewnątrz teczki znajduję cienki plik papierów. Biorę je w dłoń i przeglądam. Są lekko zawilgocone, ale wciąż wydają są czytelne. Kiedy wyciągam pierwszą kartkę i ją jeszcze bardziej oświetlam, serce wali mi jak oszalałe. Rozpoznaję charakter pisma Marianny. Rozmazane pod wpływem wilgoci litery układają się w krótki komunikat. Nieruchomieję.

Nazywam się Marianna Kos. Jeśli coś mi się stało, to tylko za jego sprawą. Dopuścił się wszystkiego, o czym jest mowa w dokumentach.

Jeśli nie liczyć zabrudzonych atramentem odcisków palców, to na drugiej stronie niczego nie ma. Kolejne karty są ubrudzone i zadrukowane tekstem. Kiedy pobieżnie rzucam na niego okiem, wiem już, że to nie Marianna sporządziła te dokumenty. Wszystko nagle nabiera sensu. Zabrała je komuś, kto - jeśli faktycznie zrobił to, o czym mowa w papierach - z pewnością gotów był zabić, byle je odzyskać. Wzdrygam się. Upadająca nagle na ziemię latarka na ułamek sekundy rozprasza mrok i oblewa mnie rażącym pomarańczowym światłem.

MARIANNA

sierpień 2018

- Myślisz, że on byłby gotów ją zabić?

- Kto? - Pytanie Mat mnie elektryzuje. Wbijam w córkę przerażone spojrzenie. - Chyba nie myszkowałaś w moich wiadomościach? - pytam podniesionym głosem.

Mat marszczy brwi, oczy zwężają jej się w szparki. Wydaje się zdezorientowana moją gwałtowną reakcją.

- O czym ty mówisz, mamo?

- O wiadomości od Elizy.

- Nie interesuje mnie ta dziewczyna. Ani ona, ani to, co do ciebie pisze - odpowiada z wyraźnym rozdrażnieniem. Potem zatrzaskuje klatkę z sową i zabezpiecza ją metalowym skoblem. - Pytałam o pszczelarza. Bo jeśli to on otruł Lucka, równie dobrze może znowu spróbować. Dlatego byłoby lepiej... - mówi ostrożnie i bada moją reakcję.

- Podjęłyśmy decyzję w chwili, kiedy zdecydowałyśmy się zabrać sowę do siebie. Pojutrze ją wypuścimy, tak ustaliłyśmy - mówię niechętnie i chyba jednak bez przekonania symulując stanowczość.

- Ale mamo...

Determinacja Mat jest dla mnie teraz tym trudniejsza, że sama też się waham. I w dodatku z tego samego powodu, co moja córka. Zmuszam się do wymyślenia przekonujących argumentów, żeby wypuścić Lucka na wolność. Nachmurzone czoło Mat zwiastuje dalszy opór, cokolwiek za chwilę powiem. Wiszącą w powietrzu kłótnię przerywa chrzęst kół na żwirze podjazdu.

- Spodziewamy się kogoś? - pyta Mat, nasłuchując.

- Nie. Raczej nie.

Nie czekając na rozwój zdarzeń, Matylda podrywa się z miejsca i kieruje w stronę ganku. Podążam za nią. Na podjeździe parkuje ubłocona granatowa terenówka, ta sama, którą wielokrotnie widziałam przed posesją sąsiada. To myśliwy, który regularnie i bez skrępowania patroszy w swoim ogrodzie ubitą zwierzynę. Mat i ja widziałyśmy go już tam przynajmniej kilkukrotnie. Mężczyzna wysiada z samochodu i zatrzaskuje za sobą drzwi. Po raz pierwszy widzę go w normalnych czystych ciuchach. Do tej pory

zawsze miał na sobie zakrwawiony fartuch. Dziwne, jak wygląd, a również pierwsze wrażenie, potrafi wpłynąć na postrzeganie drugiego człowieka. Wcześniej miałam go za odrażającego rzeźnika, teraz przybrał korzystny dla siebie kamuflaż. Stoi przede mną zadbany, atrakcyjny mężczyzna.

- Nie było okazji się poznać - woła, idąc w naszą stronę. - Igor Wojdal. Mieszkam po sąsiedzku. - Kiedy dociera do ganku, wchodzi na pierwszy schodek i wyciąga rękę w moją stronę. Wymieniamy uściski dłoni. Z bliska wydaje się dużo starszy, twarz ma pokrytą zygzakami zmarszczek, szorstkie dłonie są spracowane. Chociaż staram się odepchnąć od siebie te myśli, w głowie szacuję liczbę zwierząt, które tymi rękami zabił.

- To pan patroszy te biedne zwierzęta - mówi Mat, widząc go obok mnie. Splata dłonie na piersiach, w jej oczach błyska gniew.

- Jestem myśliwym, to prawda. Ale łowiectwo to nie tylko polowanie - tłumaczy mężczyzna.

- Może nie, ale zdaje się, że to właśnie brutalnością się pan napawa. - Mat bierze płytki oddech, a potem słowa same wypadają z jej ust. - Byłoby miło, gdyby nie robił pan tego tak na widoku, a jeszcze lepiej byłoby, gdyby w ogóle nie patroszył pan tych zwierząt.

- Widzę, że córka ma charakter. To dobrze, naprawdę dobrze.

- Co to „dobrze" ma niby znaczyć? - prycha Mat. Wyraźnie dąży do dalszej konfrontacji.

Wojdal wybucha gromkim śmiechem.

- W takim miejscu wyrazisty charakter na pewno się przyda - stwierdza, spoglądając na posępny dziś las.

- Zakładam, że nie przyszedł pan tutaj tylko po to, by się przedstawić. - Włączam się do rozmowy. - O co chodzi?

- Z wykształcenia jestem etnografem, regularnie publikuję felietony na łamach miesięcznika „Pomerania". Ale od jakiegoś czasu pracuję też nad swoją drugą książką. Spisuję w niej dzieje Duchnego Lasu, chodzi głównie o tło historyczne, wiadomo, że w przeszłości lasu kryje się wiele niechlubnych kart, ale nie tylko. Chcę napisać też o jego współczesnych losach - mówi i odgarnia spadającą mu na oczy czuprynę. - Pomyślałem, że może będzie pani chętna, żeby odpowiedzieć mi na kilka pytań. Chcę zadbać o szczegółowy i wiarygodny research. Ta działka jest w rękach państwa rodziny od dobrych trzydziestu paru lat. - Odchyla głowę i przebiega łakomym wzrokiem po leśniczówce. Na moment zatrzymuje spojrzenie na zamkniętej w wolierze sowie. Mruży oczy.

- Nie wiem, czy znajdę czas - odpowiadam, chcąc jak najszybciej się go pozbyć. - Mam teraz sporo na głowie.

- Na przykład naszego sąsiada? - Wojdal unosi brew. - Tak się składa, że o nim też piszę. Może jednak da się pani namówić na krótką rozmowę? Wymienimy się informacjami. Parzę też całkiem niezłą kawę. - Uśmiecha się półgębkiem.

Jeśli wzmianką o pszczelarzu chciał zarzucić dla mnie przynętę, to mu się niestety udało. Bardziej niż o tym, co ja mogę mu powiedzieć, myślę o tym, co mogę z niego wyciągnąć. Chodzi mi oczywiście o naszego sąsiada.

- Mogę zajrzeć do pana dziś po południu, może koło osiemnastej - proponuję.

- Idealnie. Adres już pani zna. - Wojdal ostentacyjnie nisko się kłania, jest w tym geście coś teatralnego. Potem odchodzi.

Zanim wrócę do rozmowy z Mat, która po wizycie myśliwego trajkocze mi nad głową, wyciągam z kieszeni telefon. Wysyłam wiadomość. Odpowiedź nie nadchodzi. To nic. Wiedziałam, że tak będzie, na pewno jest zajęty. Wiem też, że w końcu ją dostanę, a wtedy będę musiała zareagować błyskawicznie.

Dom myśliwego zbudowany jest z bali. Z zewnątrz sprawia wrażenie trochę niechlujnego i nadgryzionego zębem czasu. Wiedząc, czym Wojdal się zajmuje, spodziewam się wystroju dostosowanego do surowego klimatu jego drewnianej chaty. W wyobraźni widzę ciężkie meble, kolory w przytłaczającym odcieniu zgniłej zieleni, dziesiątki wypatroszonych zwierząt, które będą łypać na mnie ze ścian pustym spojrzeniem szklanych oczu. Nic bardziej mylnego. Wnętrze jest zaskakująco nowoczesne. Sprytnie ukryte czujniki, niewidoczne na pierwszy rzut oka sprzęty, prostota, światło i przestrzeń, a oprócz tego chromowana stal i cholernie dużo sterylnej bieli, zarówno w kuchni, jak i w salonie. Moją uwagę zwracają sięgające sufitu regały na książki. Uginają się pod ich ciężarem. Zajmują niemal całą ścianę. Gestem ręki Wojdal wskazuje mi miejsce na beżowej sofie, równie nowoczesnej, jak i pozostałe meble. Sam znika na chwilę w kuchni i wraca z dwiema parującymi filiżankami kawy. Podaje mi jedną. Potem siada przy stole.

- To pani była tą dziewczynką, którą stary Szymczak porwał i odurzył - bardziej stwierdza, niż pyta. Pociąga łyk kawy.

Na dźwięk nazwiska, którego nie wymawiałam chyba od trzydziestu lat, i po przywołaniu tego niechcianego wspomnienia, czuję skurcz żołądka

równie silny co kiedyś.

- A więc od razu przechodzimy do rzeczy? - Staram się uspokoić drżące dłonie.

Wojdal odstawia filiżankę na talerzyk. Zbiera opuszkami palców rozsypane ziarenka cukru. Wsypuje je do kawy.

- Czy to oznacza tak? - pyta, przekrzywiając głowę. Wygląda przy tym jak pies czekający na ulubioną komendę.

- Wszystko to, co się wtedy wydarzyło, pojawiło się w lokalnej prasie. Było potem filtrowane i omawiane na milion sposobów. Na pewno pan o tym czytał, niczym nowym pana nie zaskoczę. Przynajmniej nie w tej kwestii.

- Co dziesięciolatka robiła wtedy sama pół kilometra od domu pod bramą obcego człowieka? Bo to stamtąd panią zabrał i zaciągnął do środka, prawda? - Jego domagający się odpowiedzi ton jest drażniący. To samo dotyczy spojrzenia; jest równie nieprzyjemne i natarczywe.

- Odpowiedź jest prosta. Wybrałam się na spacer - odpowiadam, zachowując spokój. - Chodziło o te ule figuralne, zawsze mnie intrygowały. Byłam tylko żądnym wrażeń dzieckiem. A kiedy za płotem pojawił się chłopiec, zaczęłam z nim rozmawiać.

- Andrzej?

Kolejny raz sztywnieję. Wielokrotnie myślałam o tym, jak ten schowany za żywopłotem chłopiec się nazywał. Jego imię nie padło ani podczas rozprawy sądowej, ani w lokalnej prasie, choć kaszubskie dzienniki chętnie rozpisywały się o tej sprawie. Przez wszystkie lata ten chłopiec był w mojej świadomości tylko synem Szymczaka.

- To on teraz tutaj mieszka? - pytam.

Wojdal potwierdza skinieniem głowy.

- Wrócił do ojca do Duchnego Lasu wiele lat temu, jak tylko skończył osiemnaście lat i wyprowadził się od babci, która sprawowała nad nim opiekę.

Nie miałam o tym bladego pojęcia. Moi rodzice skrzętnie ukrywali przede mną wszystkie fakty związane z tamtą rodziną i z należącym do niej domem. Moja wiedza na temat dalszych losów starego Szymczaka ograniczała się wyłącznie do poznania treści wyroku sądowego. Wiedziałam, że sąd skazał go na dwuletni pobyt w szpitalu psychiatrycznym w Srebrzysku. Opiekę nad jego synem faktycznie przyznano babce chłopca. Poza tym wiedziałam jeszcze tylko jedno. Stary

Szymczak jakiś czas później wrócił do leśniczówki i kilka lat temu tam zmarł. Nie słyszałam nic o jego synu, nie miałam pojęcia, że też wrócił.

- Zastanawiałam się wiele razy, o co im właściwie chodziło - ojcu, a teraz synowi. Rozłożone w lesie dziwaczne roślinne relikwie, egzorcyzmy, które nade mną wtedy odprawił. To coś więcej niż jedynie przejaw choroby psychicznej... - stwierdzam i podnoszę na Wojdala wzrok. Czekam na jego reakcję.

Na twarzy mężczyzny wypisane jest zdziwienie podszyte pewnym rozbawieniem. W kącikach ust pojawia się cyniczny uśmieszek.

- Jak to? Więc pani nic na ten temat nie wie?

Nie chcę mu się tłumaczyć z tego, że świadomie wszystko wyparłam. Przez wiele lat próbowałam zapomnieć o wydarzeniu, które całkowicie zachwiało moim poczuciem bezpieczeństwa. Ale Wojdal i tak nie czeka na moją odpowiedź, z werwą podejmuje wątek.

- Teraz mówi się o Duchnym Lesie głównie w kontekście zdarzeń z okresu wojny. To one okryły go złą sławą. Pewnie zna pani tę historię, więc nie będę się nad nią zatrzymywał. Ale historia Duchnego Lasu sięga głębiej, jest znacznie ciekawsza. - Urywa, oblizuje językiem spierzchnięte wargi. Jest w tym coś lubieżnego, jakby podniecało go samo mówienie o tym miejscu.

- Ciekawsza? To znaczy? - ponaglam go.

- Duchny Las został uznany za miejsce magiczne jeszcze przed nastaniem chrześcijaństwa. Znalezione w ziemi cenne przedmioty nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Prowadzono tu kiedyś wykopaliska. Natrafiono na spirale naramienne, kabłączki, fibule i posążki z brązu z okresu kultury łużyckiej - mówi Wojdal i niemalże rozpływa się w szerokim uśmiechu. - Duchny Las przyciągał do siebie przez kolejne stulecia. W wydanej pod koniec dziewiętnastego wieku książce księdza Fiodorowskiego po raz pierwszy pojawia się wzmianka o wzniesionej w Duchnym Lesie kapliczce. To ona i wykopana nieopodal studnia z wodą, którą zresztą uznano za świętą, stały się później stacją pielgrzymki na trasie Kalwarii Wejherowskiej. Jak się można domyślić, ściągały tu tłumy. Ale i ona z czasem przestała istnieć, po osiemdziesięciu latach kapliczkę przewróciły grudniowe sztormy. Niemal w tym samym czasie studnia całkowicie wyschła.

- Ale jak mają się do tego wszystkiego Szymczakowie? - pytam. Wiercę się niecierpliwie na sofie.

- A tak, że nadal uznają tę ziemię za świętą. A raczej uznaje ją Andrzej, bo tylko on już został. Ostatni członek rodu pojebańców - mówi złośliwie Wojdal. Na jego twarzy za sprawą chowającego się za chmurami słońca pojawiają się cienie ostre jak szpony. Odnoszę wrażenie, że kryje się za tym coś więcej, że ta ciemność wypływa też częściowo z jego wnętrza. - Powiedzmy, że z tego, co zdążyłem się zorientować, wynika, że przyświeca mu jakaś misja oczyszczenia tego miejsca - kontynuuje. - Nieprzypadkowo zresztą. Historia tej rodziny jest silnie związana z Duchnym Lasem. Ojciec starego Szymczaka był jednym z tych zamordowanych przez Niemców robotników...

- A więc rozmawiał pan z nim? - pytam. - Z synem Szymczaka?

Wojdal po raz kolejny wybucha śmiechem, tylko że tym razem brzmi on jakoś upiornie. Potem odzywa się chrapliwym głosem nałogowego palacza.

- Nie. Po tym, jak nasłałem na niego straż miejską, nie ma mowy, żeby chciał ze mną gadać. Raczej schodzimy sobie teraz z drogi. Konfrontacja mogłaby się źle skończyć. Widziałem u pani w klatce sowę. - Wraz ze zmianą tematu zmienia się ton jego głosu, jest teraz spokojniejszy, matowy. - Zgaduję, że znalazła ją pani w lesie, osłabioną i niezdolną do lotu. I okazało się, że została wcześniej otruta.

Dokładność, z jaką Wojdal opisuje stan Lucka, kiedy trafił w nasze ręce, początkowo uruchamia we mnie tryb ostrzegawczy. Potem jednak dociera do mnie, że może stoimy jednak po tej samej stronie barykady, przynajmniej w tym konkretnym przypadku.

- A więc pan też podejrzewa Szymczaka o trucie ptaków?

- Głównie sów, ale nie tylko. I niejedynie ptaków. Były też lisy i kuny leśne. Z racji tego, czym się zajmuję, znam ten las jak własną kieszeń. Przemierzam go wzdłuż i wszerz. Znajduję średnio od kilku do nawet kilkunastu sztuk trucheł tygodniowo, chyba żadne z tych zwierząt nie zginęło w starciu z drapieżnikiem, nie wyglądało też na chore. To trwa już bardzo długo.

- Skoro to trwa od dawna, to dlaczego nikt z tym nic nie robi? - wchodzę mu w słowo.

- Bo odpowiedzialne za to służby mają takie rzeczy w dupie. Zaalarmowałem w zeszłym roku straż miejską i inspektorat weterynarii. Owszem, pobrano kilka próbek. We wszystkich przypadkach stwierdzano to samo - śmiertelna dawka rodentycydów. I na tym koniec, bo wszyscy mają to tak naprawdę gdzieś. Rolnicy trują gryzonie, żeby nie niszczyły ich

plonów. Taką dostałem odpowiedź. Szymczak jest widać nietykalny. W zasadzie odniosłem pewien sukces - mówi Wojdal z wyczuwalną przechwałką w głosie. - Moja interwencja ostudziła trochę jego zapał. Przez kilka miesięcy w lesie był spokój. Truchła zaczęły znów się pojawiać dopiero wtedy, kiedy sprowadziła się tutaj pani z córką.

Słowa Wojdala weryfikują nagle moje plany związane z wypuszczeniem Lucka na wolność. Jeśli się na to faktycznie zdecyduję, to na pewno wywiozę sowę w bezpieczne miejsce z dala od Szymczaka i jego urojeń. To samo zamierzam zrobić ze swoją córką.

- Powiedział pan, że Szymczak truje głównie sowy. Dlaczego?

- Też się nad tym zastanawiałem. Pogrzebałem trochę w papierach. Wie pani, że rozdziobią nas nie tylko kruki i wrony, jak pisał Żeromski? Wygłodniałe sowy też to potrafią. A przynajmniej, jak się okazało, mają takie predyspozycje. Kiedy nocą odnaleziono tamtych rozstrzelanych robotników, ich ciałami zainteresowały się sowy. To była anomalia, sowy zwykle nie żywią się trupami, ale z jakiegoś powodu tym razem to zrobiły. Myślę, że dlatego Szymczak ma swoją własną fiksację na punkcie tych ptaków, że chce je ukarać. Oczyścić z nich las. Do tego samego używa tych cuchnących pakunków z roślinami. Nie wiem tego na pewno, bo nie jestem psychiatrą, ale temu gościowi przydałaby się solidna terapia i trochę skutecznej chemii, która przeryłaby mu tę jego rozmiękczoną idiotyzmami banię. W końcu przez kilka ładnych lat wychowywał go jego szurnięty tatuś, a w dodatku schizofrenia podobno jest dziedziczna...

- Myśliwy zawiesza głos.

Zapada między nami ciężka, niewygodna cisza. Czuję, że powoli się w niej zapadam. W głowie kłębią mi się różne myśli, dopóki z tego stanu odrętwienia nie wybudzi mnie wibrujący w torebce telefon. To sygnał przychodzącego esemesa. W nadziei, że to może być on, ten, do którego pisałam kilka godzin wcześniej, ignoruję Wojdala i wyciągam telefon. Czytam wiadomość.

Dziś nie mogę. Mam wyjazd służbowy, do jutra mnie nie ma.

A więc jest dokładnie tak, jak myślałam. Nie mam pojęcia, czy mój plan ma szansę powodzenia, nie wiem nawet, czy przypuszczenia Elizy są słuszne, ale muszę rozwiać swoje wątpliwości. Boże, mam nadzieję, że je wyjaśnię, że moja uczennica się jednak myli. Jeśli dziewczyna ma rację, to uzyskany na miejscu dowód może zmienić wszystko, co do tej pory

wiedziałam i w co wierzyłam. Nie mogę więc tego sygnału zignorować, dopóki sama się nie przekonam. Dopijam naprędce ohydną lurowatą kawę, wsuwam telefon do torebki i podnoszę się z sofy. Szymczak i jego psychoza muszą teraz zejść na dalszy plan.

- Czy możemy dokończyć tę rozmowę trochę później? - W zasadzie nie pytam, tylko to oznajmiam.

Wojdal jest zdezorientowany. Znów przekrzywia głowę, kolejny raz przypomina mi węszącego psa.

- Dopiero co ją zaczęliśmy - mówi z goryczą.

- Odezwę się. W tej chwili muszę pilnie wyjść.

Nie czekając na jego reakcję, kieruję się w stronę drzwi. Otwieram zaparkowany przed posesją samochód i siadam za kierownicą. Wkładam kluczyk do stacyjki, ale jeszcze nie uruchamiam silnika. Wybieram w telefonie numer Mat. Odbiera za trzecim sygnałem.

- Wrócę trochę później. Muszę jeszcze coś załatwić - rzucam w słuchawkę.

- Czyli mam wolną chatę? - W głosie córki słyszę euforię.

- Zarygluj dolne zamki i nigdzie się nie ruszaj - mówię stanowczo.

- Mamo, już to przerabiałyśmy. Ze sto razy. Jest jeszcze widno...

- Mat, proszę... - Nie ustępuję, ale nieco łagodnieję.

W słuchawce słyszę ciche westchnienie.

- Coś się stało? Jesteś jakaś przybita.

- Wszystko w porządku - kłamię. - Po prostu chcę, żebyś była bezpieczna. Będę za dwie, trzy godziny, nie później.

- A dasz się przekonać do tej sukienki z Żary? Tej szafirowej z cekinami. Chciałabym ją włożyć na urodziny Uli.

Nasze finanse są w opłakanym stanie, ale w przyszłym miesiącu Mat też ma urodziny.

- Okej, ale to będzie prezent na twoje urodziny. *Deal?*

- *Deal!* - Mat się rozchmurza. - Zrobię nam lasagne. Będzie gotowa, jak wrócisz.

Rozłączam się. Głos Matyldy staje się już tylko ciszą. Z duszą na ramieniu przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam w stronę Trójmiasta. Liczę na to, że wszystkie moje obawy za chwilę się rozproszą.

Na miejsce docieram po trzech kwadransach. Modernistyczna trzypiętrowa kamienica mieści się w Śródmieściu w prestiżowej i sukcesywnie rewitalizowanej części Gdyni. Promienie zachodzącego słońca kładą się na nowej kremowej elewacji budynku, tworząc iluzję pochłaniających konstrukcję pomarańczowych płomieni. Drewniane drzwi udekorowane płycinami obramowanymi ciemnymi listwami są lekko uchylone. Popycham je i wchodzę do przestronnej, równie zadbanej, co fasada domu, klatki schodowej. Mijam pierwszą kondygnację. Mieszkania zostały zaadaptowane na firmę. Na jego firmę. Wspinam się na drugie piętro. Z drżącym sercem uderzam dwukrotnie w kołatkę zamocowaną na drzwiach z numerem jedenaście. Nie wiem, czego się spodziewać, od czego zacząć, chcę chyba po prostu pozbyć się wątpliwości, nie mam nawet konkretnego planu tego, co zrobię, kiedy już znajdę się w środku. Dotychczas wydawało mi się, że znam tę rodzinę dobrze, że wiem, co kryje się po drugiej stronie tych drzwi. Teraz mam zupełny mętlik w głowie.

Drzwi otwiera mi jego syn. Staszek to skóra zdjęta z ojca, te same szeroko rozstawione błękitne oczy, te same gęste brwi, oliwkowa karnacja i wyraźnie zarysowane kości policzkowe. Tego nastoletniego dzieciaka różni od ojca przede wszystkim to, że rządzi nim niczym nieskrępowany luz. Jego ojciec zawsze był inny, cichy, spięty i poukładany, w każdym swoim wcieleniu, tym zawodowym i tym prywatnym. Na twarzy chłopaka maluje się zdezorientowanie. Pod pachę ma wciśniętego wakeboarda i kolorową kamizelkę. Jego jedna stopa jest bosa, druga wciśnięta w białego converse'a ze splątaną na ciasny supeł sznurówką.

- Cześć, wychodzisz? - pytam.

- Jestem sam. Zaraz mam trening, a rodziców nie ma - odpowiada chłopak, kucając. Odnoszę wrażenie, że czujnie mi się przygląda. Przez chwilę mocuje się z ciasnym trampkiem. Potem sięga po drugi but, który wylądował pod stolikiem.

- Tato wyjechał, to wiem, a kiedy wróci mama? - pytam.

- Jakieś pół godziny temu pojechała na siłkę. - Staszek podnosi się z ziemi, wkłada oparty o stolik sportowy plecak. - Pewnie wróci za godzinę, najwyżej dwie. Czasami robi po treningu jakieś szybkie zakupy. Chcesz poczekać? - proponuje z pewnym wahaniem i znów zawiesza wzrok na mnie. Potem otwiera szerzej drzwi.

- Dzięki. - Kiwam entuzjastycznie głową i nim któreś z nas się rozmyśli, przekraczam próg mieszkania.

Obładowany sprzętem sportowym Staszek wychodzi z domu kilka minut później, zostawiając mnie z rozrysowującym się powoli, ale konsekwentnie, planem tego, co dalej. Tylko piętro dzieli mnie od gabinetu jego ojca, piętro i rosnące we mnie wyrzuty sumienia, bo przecież podejrzenia Elizy mogą być zupełnie bezpodstawne. Mogą. Ale nie muszą.

Kiedy zostaję w mieszkaniu sama, swoje pierwsze kroki kieruję w stronę zawieszonej w korytarzu drewnianej szafki. Tak, jednak to robię. Na ośmiu ponumerowanych haczykach zawieszone są klucze pojedyncze i dwa pęki wiszące na metalowych kółkach. Wszystkie są starannie opisane.

Strych. Dom - zapasowe. Piwnica. Garaż. Mieszkanie nr 14. Skrzynka pocztowa. Domek - Chojnice. Warsztat.

Tylko tyle. Żadne z nich najwyraźniej nie otwierają znajdującego się pode mną biura, do którego chcę się teraz dostać. Byłam tam już wcześniej wielokrotnie i dzięki temu pamiętam, że każde z pomieszczeń, poza głównym wejściem, otwierane jest na kartę. Wychodzi na to, że ojciec Staszka musi przechowywać klucz do frontowych drzwi swojej firmy i kartę w innym miejscu, może w gabinecie w mieszkaniu? Mieszczące się na końcu korytarza drzwi tego zawsze były zamknięte, a ja nieraz snułam domysły na temat tego, jak wygląda ta jedyna całkowicie zaaranżowana przez niego przestrzeń. Czy jest tak samo pełna nieznośnego pedantyzmu, jak jej właściciel? Kiedy naciskam klamkę i popycham drzwi, a moim oczom ukazuje się jasny przestronny pokój, w kieszeni spodni wibruje telefon. Wyciągam go i odczytuję wiadomość.

Staszek pisał, że wpadłaś i że byłaś zdenerwowana. Wszystko okej? Mam przerwę, ale jeśli coś nie gra, to skończę trening wcześniej i zaraz będę.

W okienko wiadomości wpisuję odpowiedź i przesuwam palcem nad „wyślij".

To nic pilnego. Poczekam tutaj na ciebie.

Wsuwam telefon do kieszonki spodni i wchodzę do gabinetu. Lakierowany parkiet lśni czystością, wygląda na niedawno polerowany. Ręcznie rzeźbione stare meble z litego drewna - sofa, biblioteczka i biurko - przedstawiają sceny polowań, zdobią je też ornamenty roślinne, zwierzęce i geometryczne. Podobne biurko, ciężkie i równie dostojne, miał kiedyś w swoim gabinecie mój ojciec. W pomieszczeniu panuje zaduch, pokój sprawia wrażenie niewietrzonego od dłuższego czasu, smutnego i zastygłego w bezruchu. Z pewnym zażenowaniem i dopadającym mnie

uczuciem zdrady podchodzę do biurka i usiłuję wysunąć szufladę. Tak jak przypuszczałam, jest zamknięta. Wciskam pod nią dłoń z nadzieją, że znajdę tam ukryty kluczyk, ale na próżno. Przyglądam się zamkowi. Z pewnością nie należy do najsolidniejszych mechanizmów, raz nawet udało mi się rozpracować podobny, ten, który zabezpieczał biurko ojca. Zrobiłam to, krnąbrna i wiedziona złym przeczuciem nastolatka, która podejrzewała go o zdradę mamy. Skończyło się wtedy na uszkodzeniu zamka i karczemnej awanturze zrobionej mi przez oboje rodziców. Czy i tym razem cel powinien uświęcać środki?

Kierowana podobnym jak wtedy instynktem raz jeszcze podchodzę do szafki na klucze. Wyciągam jeden z pęków zawieszony na cienkim metalowym kółku. Usuwam z niego klucze, prostuję kółko, zginam jedynie jego ostre zakończenie, tworząc w ten sposób niewielki haczyk. Wracam do gabinetu i wsuwam tak przygotowane narzędzie do zamka. Sekundy skupienia zmieniają się w kolejne próby manipulacji. Zaczepiam haczykiem o element, który próbuje cofnąć zamek, a potem delikatnie poruszam zapadnię. Początkowo nic się nie dzieje, słyszę tylko cichy trzask przeskakującego w zamku metalu i łomoczące w moich piersiach serce. Wstrętny oszust - dokładnie tak się teraz czuję. Ufają mi do tego stopnia, że powierzyli mi swoje mieszkanie. Ja niejednokrotnie powierzałam im swoje. Łączyło nas zaufanie, a także pewnego rodzaju bliskość. Te myśli powodują u mnie dekoncentrację, stabilna dotychczas ręka zaczyna mi drżeć. Kiedy już mam dać za wygraną, jedna z zapadni wydaje z siebie głośne pojedyncze kliknięcie. Jest inne niż te, które słyszałam dotychczas. Wyciągam ostrożnie narzędzie z zamka, wsuwam paznokieć w szczelinę między szufladą a blatem i delikatnie ciągnę.

W środku nie znajduję kluczy ani kart magnetycznych. W szufladzie są starannie ułożone szare teczki, a w nich dokumenty. Obok leżą akcesoria biurowe. Przeglądam papiery pobieżnie. Na pierwszy rzut oka nie znajduję tam nic szczególnego. Moją uwagę przykuwa inny niż pozostałe błękitny folder. Kiedy go otwieram i powoli kartkuję znajdujące się w nim dokumenty, czuję nieprzyjemne mrowienie w karku i dłoniach. Dobrze znam to uczucie, w ciągu ostatnich dwóch lat towarzyszyło mi często - to skradający się strach przed czymś złym i nieodwracalnym. Zawarte w teczce informacje detonują we mnie kolejną bombę. Nie tylko potwierdzają słowa Elizy, rzucają światło na inne, jeszcze bardziej obciążające dowody. Kiedy kilkanaście minut później do mieszkania dociera ona, mama Staszka,

siedzę na sofie w salonie, z wciśniętym za pasek spodni niebieskim folderem, który ukradłam jej mężowi z szuflady. Co gorsza, uszkodzony zamek został otwarty. A to znaczy, że on wkrótce się o wszystkim dowie i połączy fakty. Nie mówię jej o tym, co zrobiłam ani dlaczego się do tego uciekłam, a przede wszystkim nie mówię jej, że jej mąż jest po prostu parszywym kutasem, najprawdopodobniej jednym z najbardziej obrzydliwych ludzi, jakich znam. Nie mówię też o tym, że zamierzam wykorzystać zdobyte informacje przeciwko niemu.

Kiedy dwie godziny później docieram do domu, dookoła leśniczówki panuje niemal absolutna ciemność. Zasnute chmurami niebo jest tylko grafitową ciemnością, niczym więcej. Mat chyba jeszcze nie śpi. Przez jedno z okien na parterze miga łuna błękitnego światła. Wkładam klucz do zamka, przekręcam go, ale drzwi nie puszczają. Zaryglowała je od środka, tak jak mi obiecała. Stukam kilkukrotnie kołatką, za każdym razem wkładam w to coraz więcej siły.

- Idę! - Kilka chwil później słyszę zachrypnięty głos mojej córki.

Kiedy drzwi się otwierają, stoi za nimi Mat ubrana tylko w oversize'ową bluzę. Jest poczochrana i najwyraźniej zaspana. Za plecami Mat mruga przytłumione niebieskie światło telewizora, w powietrzu unosi się przyjemny zapach lasagne.

- Odgrzejesz mi ją czy z tęsknoty za mną sama wszystko zjadłaś? - Silę się na dowcip. Mam nadzieję, że Mat nie wyczuje mojego prawdziwego wisielczego nastroju.

- Dochodzi chyba północ - mówi z naganą w głosie Mat i trze oczy. - To była jakaś randka czy coś? Nie żebym miała coś przeciwko, ale wolałabym wiedzieć, co się święci.

- Parę rzeczy na mieście. Miałam spotkanie w sprawie sprzedaży mieszkania, a potem wyskoczyłam na szybką kawę z Olką, naszą polonistką. Ploty... - odpowiadam, unikając jej wzroku. Nie potrafię kłamać. To zawsze była moja słaba strona.

- Dobra, dobra. Lepiej od razu powiedz, że to była randka. Bo od kiedy to pijesz kawę na noc, co? Zawsze powtarzasz, że boli cię potem serce. - Głos Mat jest teraz zadziwiająco rześki.

- To podgrzejesz ją czy nie, upierdliwcu? - Czuję, jak zaczepiony o pasek spodni folder nieco się przesuwa, a ostra krawędź wbija mi się w pępek. Muszę go natychmiast wyciągnąć. - Zaraz przyjdę, idę tylko pod prysznic. Jestem skonana - mówię i kieruję się w stronę schodów.

Ku mojemu zadowoleniu Mat odpuszcza dalsze przesłuchanie i znika w kuchni. Wchodzę na piętro, rozpinam zamek kurtki i wyciągam folder zza paska. Ściana sypialni pokryta jest szpetną boazerią, była tu, odkąd tylko pamiętam. Nadaje się chociaż do tego jednego - stanowi idealną, tymczasową skrytkę. Szczelina między ścianą a boazerią ma kilka centymetrów. Tyle wystarczy, by upchnąć w niej folder. Kiedy to robię, gdy teczka zostaje niemal całkowicie wsunięta w szczelinę, słyszę dobiegające zza moich pleców skrzypienie desek. Kiedy się odwracam, w przejściu widzę zdziwioną Mat.

- Mamo, dlaczego nie zdjęłaś kurtki na dole? I co jest grane, ale tak na serio serio? - pyta i patrzy na mnie wyczekująco.

Wiem, że dla jej dobra będę ją musiała kolejny raz okłamać. Wiem też, że mi nie uwierzy, dlatego dokumenty nie są tutaj bezpieczne. Jutro się nimi zajmę.

POLA

sierpień 2020

Plik Excela z zapisanymi w nim nazwiskami uczestników zlotu, a także dołączonym do nich kontaktem mailowym i telefonicznym V. wysłała mi późną nocą. Kolejnego dnia rano zaszyłam się w swoim biurze z wydrukowanymi tabelkami i gotowym do pracy laptopem. Usiadłam na podłodze wciśnięta między dwie doniczki z sukulentami. Rozłożyłam kartki na parkiecie. To w tej chwili mój najbezpieczniejszy azyl.

Rozumiem, co miał na myśli Maks, mówiąc, że przeszedł już identyczną drogę, którą ja obrałam teraz, bez powodzenia. Przeczesywanie na Facebooku kont uczestników zlotu jest pracą iście Syzyfową. Mam do dyspozycji czterdzieści trzy nazwiska i tylko dwadzieścia cztery profile z ustawieniami publicznymi. Potrzebuję ich, by prześledzić codzienne poczynania uczestników zlotu, ich interakcje w czasie kilku lat, a także po to, by odnaleźć członków ich rodzin. Na tym ostatnim zależy mi najbardziej. Jeśli wierzyć zapewnieniom Maksa, treść zawieszonej na „Drzewie życia" niepokojącej go karteczki sugerowała, że Lara odpowiadała za śmierć czyjejś bliskiej osoby. Zapisane tam trzy liczby miały nawiązywać do wypadku, w którym Maks utracił sprawność. Swoje myśli w postaci kilku piktogramów nanoszę na kartkę papieru. Rozchodzące się wokół nich strzałki na razie prowadzą donikąd.

??? MATKA LARY ???

Wokół nakreślonych naprędce słów stawiam znaki zapytania. Zaborcza matka, która nie chce utracić kontroli nad synem, przez kolejne lata obarcza

swoją córkę odpowiedzialnością za jego niepełnosprawność? Czy byłaby zdolna w brutalny sposób zabić własne dziecko? Wyrzucam z głowy tę natrętną myśl. Niewiele matek jest tak bardzo toksycznych jak moja. Normalne matki w okolicznościach podobnych do tamtych, nawet mimo smutku i drążącego je żalu, wybaczają i kochają zdrową matczyną miłością. Ta moja naiwna wiara wystarczy mi, by wykluczyć matkę Lary z kręgu podejrzeń.

Na żmudnym przeczesywaniu kont kolejnych uczestników zlotu upływają mi cztery godziny. Co gorsza, wzmianek użytkowników o śmierci ich najbliższych znalazłam tu aż nadto. Troje spośród dwudziestu dwóch uczestników zlotu opublikowało zdjęcia bliskich, którzy odeszli w trakcie ostatnich kilku lat. Czyjaś mama, babcia i chłopak. Wyrażone pod wspólnymi zdjęciami słowa pełne są miłości i tęsknoty. Ale bez znajomości dokładnych dat te informacje okazują się i tak zupełnie nieprzydatne. Wiem za to, kiedy doszło do tamtego wypadku z udziałem Maksa i Lary. Dzięki opublikowanemu na stronie internetowej biogramowi Lary dowiaduję się, że jej osiemnaste urodziny przypadały czternastego sierpnia dwa tysiące jedenastego. Zapisuję i tę datę na kartce papieru. Stawiam koło niej piktogram gwiazdki. Co dalej?

Zostały mi jeszcze tylko dwa facebookowe konta. Nieprzypadkowo zostawiłam je sobie na sam koniec. Zaczynam od tego, które należy do młodej dziewczyny. Pomijam na razie jej walla i otwieram galerię zdjęć. Pierwszy album został opublikowany sześć lat temu. Po jego otwarciu moją uwagę przykuwa jedno z czternastu zdjęć. Rozpoznaję na nim około trzydziestokilkuletnią kobietę przytuloną do wtedy kilkuletniej dziewczynki. Rosarium w zamku w Rogalinie, dwie uśmiechnięte twarze, w zasadzie niemal identyczne, ewidentnie łączy je ten sam genetyczny kod. Opatrzony uśmiechniętą emotką pod zdjęciem widnieje podpis:

Mamcia i ja 🙂

W normalnych okolicznościach zignorowałabym tę fotografię. Ot, rodzinne szczęście, tylko tyle. Znając jednak późniejszy los tej kobiety, nie mogę tego zrobić. Uśmiechająca się ze zdjęcia brunetka nie żyje przynajmniej od kilku lat. Nie znałam jej osobiście, ale rozpoznaję ją, bo przez kilka lat z rzędu zgarniała nagrodę Galionu Gdyńskiego za wkład w działalność charytatywną na rzecz miasta. Żadna nagroda nie była w stanie oddać tego, kim była Hanna Szperlińska, niestrudzona w wytyczaniu i

zdobywaniu kolejnych celów. Dzięki założonej przez nią fundacji, a przede wszystkim dzięki jej zaangażowaniu i umiejętności jednoczenia ludzi, w ciągu zaledwie sześciu lat wTrójmieście powstały cztery ośrodki. Dwa zostały stworzone dla osób niepełnosprawnych intelektualnie, dwa kolejne dla bezdomnych. Stopniowo fundacja Hanny Szperlińskiej przekształcała się w dużą instytucję charytatywną, która miała swoje oddziały na terenie całego Pomorza. Myślę, że nie ma wTrójmieście nikogo, kto nie myślałby ciepło o tej kobiecie. Pamiętam, jak trudno było mi uwierzyć, że ta energiczna i pełna życia kobieta umarła dosłownie z dnia na dzień. Krwiak podtwardówkowy, chyba taką przyczynę zgonu podano w lokalnych mediach, bo o śmierci Hanny Szperlińskiej swojego czasu było dość głośno.

Otwieram nowe okienko, potem googluję jej imię i nazwisko. Przeklikuję na Wikipedię. Szukam informacji, która w tym momencie interesuje mnie najbardziej. Kilka kolejnych kliknięć i docieram do niej.

Data śmierci: dziewiętnasty sierpnia dwa tysiące jedenastego.

Przyczyna śmierci: krwiak podtwardówkowy ostry.

Miejsce śmierci: Gdańsk.

Czuję pełznące po kręgosłupie ciarki. Data śmierci tej kobiety jest niemalże zbieżna z datą wypadku Lary. Różni je zaledwie pięć dni. Drżącymi dłońmi otwieram kolejne okienko, w wyszukiwarkę wpisuję zbitek trzech słów.

„Krwiak podtwardówkowy ostry". Wchodzę w pierwszy lepszy artykuł, kierując się jedynie jego popularnością. Przebiegam tekst wzrokiem, zagłębiając się tylko w interesujące mnie fragmenty. Czytam między innymi o tym, że w niektórych wypadkach komunikacyjnych, w wyniku urazów głowy, krwiak może tworzyć się powoli i daje niepokojące objawy dopiero po upływie kilku dni od zdarzenia. A to oznacza, że rozpiętość tych dat wcale nie wyklucza tego, że Hanna Szperlińska brała udział w kolizji z samochodem Lary. Nie rozumiem tylko jednego. Skoro samochód nie ucierpiał szczególnie w wyniku tego wypadku, to dlaczego jego kierowca miałby doznać silnego urazu głowy? Znajduję na to pewne sensowne wytłumaczenie - może parkująca na poboczu Hanna nie była przypięta pasem. Mogła uderzyć głową o kierownicę, możliwości jest tak naprawdę wiele. Takie zderzenie nie musiało od razu wywołać widocznych obrażeń. Może Hanna je nawet zlekceważyła. Nie jestem ekspertem, na razie to tylko amatorska teoria, nic więcej. Ale ta zbieżność, szczególnie w kontekście

tamtej zawieszonej na „Drzewie życia" groźby, jest więcej niż zastanawiająca.

Zrywam się z miejsca i podchodzę do biurka, na którym zostawiłam telefon. Wyszukuję zapisany w telefonie numer Maksa.

- To zabawne, że właśnie teraz pani dzwoni - mówi chłopak, kiedy odbiera po drugim sygnale. Jest jakiś inny niż zwykle, wyraźnie pobudzony. - Miałem właśnie zrobić to samo.

- Chodzi ci o jej profil na Fejsie? Też znalazłeś to zdjęcie? - pytam.

- O... profil... na... Fejsie?! - powtarza chłopak, przeciągając słowa. Wydaje się zdezorientowany. - Nie. O co chodzi?

- Chyba mam pewien trop. Ale ty pierwszy.

Przez moment ze słuchawki dobiega tylko przyspieszony oddech. Może Maks zastanawia się, czy zmusić mnie, bym jednak pierwsza powiedziała mu, o co mi chodzi. Jeśli miał taki zamiar, to po chwili z niego rezygnuje.

- Wspominałem o Jeezym, kumplu, który wie wszystko o tej ściągniętej z sowy kamerze.

- Kojarzę - potwierdzam. - Co z nim?

- Krótko po śmierci Lary ogarnął dla mnie trzy inne mikrokamery. Zawiesił je w różnych miejscach, zapewniających odpowiedni kamuflaż, każdą przed bramą albo drzwiami frontowymi domów trzech różnych osób. Wytypowałem te, które z różnych powodów podejrzewałem o zabójstwo siostry. Początkowo robiłem to regularnie, sprawdzałem zapis kamer, ale efekty tej obserwacji były dość żenujące. Wychodzący i wchodzący do swoich domów ludzie, tylko tyle widziałem. Przez ostatnich kilka miesięcy ani razu nie sprawdzałem nagrań. Zresztą mieliśmy kłopot logistyczny. Akumulatory trzeba było podładowywać średnio co tydzień. Jeezy'emu się to znudziło, a ja nie mogłem swobodnie się przemieszczać i chyba tak naprawdę straciłem już nadzieję, że to ma jakikolwiek sens. Ale po tym, jak pani pojawiła się w pralni z jakąś pokręconą motywacją dotarcia do prawdy o śmierci Lary, poczułem się jak słabeusz. Albo raczej jak śmierdzący tchórz, który za szybko się poddał. Ja, jej brat... - Maks mówi to z rozbrajającą szczerością. - Lara nigdy by tego nie zrobiła, gdyby chodziło o mnie - kontynuuje po krótkiej przerwie. - Tym się od siebie różniliśmy. Nie chodziło tylko o nogi, o ich sprawność. To jest jedynie wygodna wymówka. Ona była niezłomna i nieustraszona. Ja po jej śmierci mówiłem pas przy każdym kolejnym wyzwaniu. Miałem się stąd wydostać i usamodzielnić, a wciąż tkwię tutaj, w pralni, w kokonie swojej matki. Utknąłem, podczas

gdy wszystko inne mknie do przodu. Bez niej zabrakło mi motywacji, siły, którą we mnie wlewała. Pod wpływem rozkminy, może wyrzutów sumienia, a przede wszystkim na skutek tego pani nachalnego drążenia zacząłem raz jeszcze przeglądać nagrania, które miałem...

- Znalazłeś coś? - pytam ostrożnie, bo wiem, ile kosztowało go to wyznanie.

- Nie zauważyłem nic ponad to, co widziałem wcześniej. Ale teraz oglądałem nagrania w całości, a nie kawałek po kawałku, jak dotychczas. A to zmieniło postać rzeczy, bo wtedy umykał mi pewien detal.

- Jaki?

- No właśnie w tej sprawie dzwonię. Będę potrzebował pomocy. Zawiezie mnie pani do Duchnego Lasu?

- Kiedy? Teraz? - Ograniczam się do zadania tylko tych pytań. Umieram z ciekawości.

- Tak. Po drodze wszystko wyjaśnię. - Wyszeptane w słuchawkę słowa Maksa niosą ze sobą niebezpieczną obietnicę.

LARA

sierpień 2019

dzień zlotu, Duchny Las

Pierwszy raz nie uczestniczyłam w przygotowaniach do zlotu tak intensywnie jak do tej pory. Zwykle nadzorowałam każdy etap, tym razem, między innymi ze względu na moje zaangażowanie w próbę wyjaśnienia śmierci Marianny, zostawiłam wszystko w rękach dziewczyn. Sama dawałam jedynie akcept lub modyfikowałam ich pomysły. Wyjątkiem było drzewo życia. Wybór kartek i wstążek, które miały zawisnąć na drzewie, a także realizacja i cała związana z tym procedura były od początku do końca moim pomysłem.

Na polanę, czyli do miejsca, gdzie rośnie wierzba, prowadzi teraz szeroka ścieżka. Po jej bokach rozmieszczone są niewielkie świeczki w szklanych słoiczkach. Pomarańczowy płomień pożera niewielkie knoty, wydając przy tym przyjemny syczący odgłos. Lampki rozstawiliśmy także wokół naszego obozowiska i polany. Na razie wciąż jeszcze jest widno, ale za jakieś trzy godziny otaczająca nas ciemność będzie gęsta i nieprzepuszczalna. Uczestnicy zlotu siedzą teraz w tym świetlnym kręgu i przy dźwiękach akustycznej gitary pałaszują pieczone na ognisku pianki i kiełbaski.

Za mniej więcej kwadrans przechodzimy do kolejnego, przedostatniego już punktu programu. Jest nim odczytywanie zwierzeń z zawieszonych na gałązkach karteczek i wspólne znajdywanie rozwiązań opisywanych w nich problemów. Później mamy przed sobą już tylko finał, czyli podchody. Zamknięty w moim plecaku folder oraz nagranie z kamery ważą tyle co nic, ale odkąd wydobyłam folder z bunkra, czuję niemal fizyczny ciężar tajemnicy ukrytej między stronicami dokumentów. Chcę ją wreszcie wyjawić w obecności wszystkich tu zgromadzonych. Dziś w nocy, podczas finału, dokładnie wtedy to zrobię. Jutro zaniosę dowody na policję, udowodnię im, jakimi durniami byli, uznając pożar instalacji w leśniczówce za nieszczęśliwy wypadek. Lenistwo albo rutyna - przez to jednemu skurwielowi prawie by się upiekło. Na samą myśl o chwili ujawnienia dowodów czuję, jak mocno wali mi serce.

W ciągu paru godzin temperatura obniżyła się przynajmniej o kilka stopni. Jest teraz cholernie zimno. Wkładam na siebie polarową bluzę i idę z powrotem w stronę polany. Po drodze mijają mnie dwie chichoczące dziewczyny. Kilka innych osób rozpierzchło się nad strumieniem, dobiegają stamtąd ich głosy. Kiedy od mojego celu dzieli mnie nie więcej niż kilkanaście metrów, słyszę przed sobą rumor upadających na ziemię ciężkich przedmiotów.

- Cholera jasna, Maks! Uważaj! - Podniesiony głos należy do Artura. - Nie kręć mi się tu pod nogami! - rozkazuje.

- O co ci znowu chodzi? - To mój brat, jest wyraźnie zdenerwowany.

- O to, że się tu pałętasz, zamiast siedzieć na miejscu.

- A kto powiedział, że mam siedzieć na miejscu? Zupełnie cię pogięło? Poruszam się po terenie tak samo jak inni. Dokonujesz selekcji, komu wolno to robić, a komu nie?

Sylwetka Artura nagle maleje, chyba się po coś schyla. A potem na powrót rośnie i się prostuje. Wydaje mi się większy i silniejszy niż poprzednio.

- Po prostu spadaj, stary, nie rzucaj się. Lepiej zejdź mi z drogi, dobrze ci radzę.

- Radzisz? - Maks prycha lekceważąco.

- Dokładnie tak, i to nie pierwszy raz. Wciąż nie słuchasz. Jak jaśniej mam ci przetłumaczyć, co to znaczy wymiksować się z miejsca, w którym cię nie chcą?! - Z każdym kolejnym wypowiedzianym przez Artura słowem wyczuwam nasilającą się w jego głosie agresję.

- Jeśli chodzi ci o moją przeprowadzkę, to mam w dupie twoje fochy - mówi Maks zadziornym tonem.

Jestem już na tyle blisko, by zrozumieć, co się najprawdopodobniej stało. Mój sterowany furią mózg działa na najwyższych obrotach. Drwa rozsypane wokół wózka mojego brata są dla mnie czytelną wskazówką. Pewnie Artur niósł je na ognisko i w ciemności wpadł na Maksa. Mój skulony w wózku brat wydaje mi się jeszcze bardziej kruchy i delikatny niż zwykle. Jego oczy się szklą, a nozdrza rozszerzyły się i lekko drgają. Przenoszę wzrok na Artura. Jego nabiegłą krwią twarz wykrzywia gniewny grymas. W tej chwili cholernie go nienawidzę.

- O co ci chodzi?! - wrzeszczę. - Dlaczego wyładowujesz na nim swoją frustrację?

- Frustrację?! - Artur parska śmiechem. - Nie widziałaś, co ten gówniarz zrobił. Wszedł mi w drogę i celowo mnie podciął - rzuca wściekle.

- Bzdura! - krzyczy Maks. - Masz, gościu, urojenia!

- I co? Znowu będziesz go bronić? - rzuca Artur konfrontacyjnie.

Mój wzrok prześlizguje się po nim z niechęcią. Nie widzę w nim człowieka, z którym dzieliłam życie przez ostatnie dwa lata, widzę tylko emanującą z niego szpetotę. Zmieniła twarz Artura w bezładnie rozrastające się kłęby szarego dymu. Tylko tyle jestem w stanie teraz w nim dostrzec.

- Maks, zostawisz nas na moment, proszę? - zwracam się do brata, staram się przy tym zachować spokój, ale nadal huczy we mnie gniew. - Na moment! - dorzucam bardziej stanowczo, kiedy widzę, że mój brat się waha.

- Okej - mówi Maks i powoli odjeżdża w stronę rozświetlonej lampionami polany.

Kiedy zostajemy sami, podnoszę wzrok na Artura.

- Myślę, że nie ma sensu tego odwlekać - mówię.

- Czego?

- Tego, że nie chcę już z tobą być. - Te słowa padają z moich ust z zaskakującą łatwością. Czuję wyraźną ulgę. - Miałam ci to powiedzieć po zlocie, żeby nie robić dziś scen, ale nie mogę dłużej udawać.

Ściągam z palca pierścionek zaręczynowy, złotą żmijkę, i wciskam mu go w dłoń. Artur obraca pierścionek w palcach.

- Tylko dlatego, że dokuczyłem twojemu nietykalnemu braciszkowi, przekreślasz wszystko to, co razem zbudowaliśmy? - pyta z goryczą i wysuwa przed siebie dłoń.

- Od miesięcy nam się nie układa. Nie patrzymy już nawet w tę samą stronę.

- Nie patrzymy? - Nagle Artur zamyka pierścionek w dłoni. Wkłada w to tyle siły, że kłykcie zupełnie mu bieleją. - To w którą stronę ty patrzysz?

- Patrzę w wielu kierunkach. A nie tylko w jednym, nie tylko tam, gdzie leżą pieniądze. Widzę przede wszystkim ludzi i miejsca. Wolę łączyć i przeżywać, niż kalkulować i mnożyć. Zapomniałeś, jak to jest, Artur. Zapomniałeś i chyba nie potrafisz wrócić tam, gdzie kiedyś byliśmy razem...

- Wygląda na to, że starannie to wszystko przemyślałaś. Dobrze rozumiem? - pyta Artur, wciąż wpatrując się bezmyślnie w swoją zamkniętą dłoń. W porównaniu z tym, jak gwałtownie zareagował przed chwilą w

stosunku do Maksa, teraz zachowuje się zupełnie nietypowo dla siebie. Wydaje się nieobecny, zaskakująco opanowany.

- Nie zmienię decyzji - odpowiadam. Zdumiewa mnie własna stanowczość.

Artur w milczeniu wsuwa pierścionek do kieszeni dżinsów. Robi to powoli, może czeka, że go powstrzymam. Nie wiem, co dokładnie chodzi mu po głowie. W tej samej chwili zza jednego z drzew wyłania się Wiktoria. Jest w radosnym nastroju. Ma na sobie czarną bomberkę, top i legginsy, wszystkie z identycznym kwiatowym wzorem. We włosy ma wplecioną opaskę.

- Już czas - mówi. - Za pięć minut zaczynamy. Ty określasz zasady, prawda? - zwraca się do mnie.

Oszołomiona kiwam na potwierdzenie głową. Wciąż jeszcze nie ochłonęłam po rozmowie z Arturem.

- Ej, a co taki skisły nastrój się tu zrobił? - Wiktoria zerka to na mnie, to na Artura. Twarz Artura jest obojętną maską. Moja wręcz przeciwnie, aż kipi od wypisanych na niej emocji.

- Chodźmy już - mówię i ruszam przed siebie.

- Wiesz, że będziesz tego prędzej czy później żałować - dobiega mnie zza pleców zdławiony głos Artura. Dopiero teraz mój eks wydaje się rozżalony.

Ignoruję go, idę naprzód. Wiem, że jeśli teraz się odwrócę lub cokolwiek powiem, to tylko pogorszę sprawę.

- O czym on mówi? - pyta zdziwiona Wiktoria.

Milczę. Na szczęście do polany jest coraz bliżej. Po chwili docieramy na jej skraj. Widziana z tej perspektywy wierzba wygląda jak magiczne drzewo z baśni. Jej ciężkie, gęsto porośnięte liśćmi gałęzie opadają na ziemię, przypominają do złudzenia potargane włosy staruszki. Wiedźma albo mityczna meduza byłyby także trafnym skojarzeniem. Karteczki wiszące na wierzbie przywodzą mi na myśl papierowe ptaszki przewiązane kolorową wstążeczką. Wszyscy uczestnicy siedzą na matach wokół ogniska i tworzą radosny, kolorowy krąg. Na polanie raz po raz słychać głośne salwy śmiechu. Przemykam niezauważona i zajmuję miejsce na przeciwległym skraju, tuż obok Maksa. Kiedy siadam, mój brat nachyla się nade mną.

- Nie mogłaś lepiej zrobić - szepce mi do ucha.

- O czym ty mówisz? - pytam i przyglądam mu się ze zdziwieniem.

- Wiem, że zostawiłaś tego drania. - Na jego twarzy widać wyraz cichego triumfu.

Nie pytam go, skąd to wie, bo chwilę później na polanie słychać gong. Trzy uderzenia przerywają toczące się wokół ogniska rozmowy. Jego dźwięk zapowiada przejście do kolejnego tego dnia, piątego zadania. Tego, którego wyczekiwałam nie mniej niecierpliwie niż finału zlotu. Podnoszę się z miejsca i staję pod wierzbą, na której pniu podczas otwarcia zlotu wyryliśmy swoje imiona. Z poranionej kory wciąż jeszcze sączy się świeży sok. Myśli o rozstaniu z Arturem nagle się ulatniają, gdy tłumaczę ponownie zasady „Drzewa życia". Najprawdopodobniej nie wszystkie kartki uda nam się teraz odczytać, na tę część zlotu mamy tylko półtorej godziny, tyle samo przeznaczyliśmy na podchody. O tym też mówię. Kiedy kończę objaśniać zasady, kilka osób podnosi ręce. Dwie dziewczyny i chłopak, wyraźnie przejęci nadchodzącym zadaniem, pytają o to, czy uda nam się dokończyć zadanie jutro rano, przed rozjechaniem się do domów. Nie planowałam tego, ale przystaję na ich prośbę, podkreślając, że udział w tej dodatkowej części zlotu jest dobrowolny.

Pierwszy na ochotnika zgłasza się Arek - utalentowany dzieciak, trochę przy kości, z tego powodu nieco zakompleksiony - który ma niewyobrażalną smykałkę do rysowania. Jego ilustracje do komiksów są po prostu genialne. Początkowo atmosfera jest gęsta, pełna niecierpliwego wyczekiwania, ale po ściągnięciu z gałęzi i przeczytaniu pierwszego zwierzenia Arek nieco się rozluźnia. Poruszony w wyznaniu problem dotyczy nieśmiałości i związanej z tym nieumiejętności nawiązywania kontaktów. Autor wynurzenia skarży się na doskwierającą mu samotność. Odzew uczestników jest natychmiastowy, widzę kilka podniesionych rąk. Potem pojawiają się kolejne, a wraz z nimi słowa wsparcia. Zaskakuje mnie płynąca szerokim strumieniem ilość zrozumienia i dobra. Podobnie dzieje się przy kolejnych trzech zwierzeniach. Po następną, piątą kartkę sięga Karina, uczennica liceum i wolontariuszka. Przez chwilę się z nią mocuje, potem odczytuje zapisane na niej pytanie.

Jak uporać się z wieloletnim bólem i z tym, że w spowodowanym przez nierozważnego kierowcę wypadku ginie najbliższa ci osoba?

Wymierzyć winnemu sprawiedliwość???

4

!!!

- O co chodzi z tymi cyframi? - pyta siedzący najbliżej wierzby chłopak, którego imienia nie pamiętam.

- Możesz przeczytać je jeszcze raz? Te cyfry? - zwracam się do Kariny, czuję paraliżujący mnie strach. Mam nadzieję, że to tylko moja rozbudzona wyobraźnia i że niepotrzebnie się nakręcam.

- Dwieście dwadzieścia trzy, dziewięć, cztery, a po nich trzy wykrzykniki - powtarza Karina.

Spojrzenia moje i Maksa się spotykają, oboje znamy te cyfry aż za dobrze, wyryły się w naszej pamięci wspomnieniem podszytym lękiem. We mnie jest on wciąż żywy, tak samo kiedyś, jak i teraz. Nic się nie zmieniło. Wystarczy, że usłyszę dźwięk, który w jakiś sposób wiąże się z wypadkiem, a jestem wewnątrz tej gniecionej siłą uderzenia karoserii. Przeżywam tamtą chwilę na nowo, a lęk w ciągu kilku sekund osiąga apogeum. Nigdy nie chodziło o mnie, ale o odpowiedzialność za brata i winę, która zawsze już będzie moim brzemieniem. To samo dotyczy zapachów i smaków. Od ośmiu lat nie tknęłam lodów, absolutnie żadnych. Za kierownicę wsiadam tylko wtedy, kiedy nie mam innego wyjścia.

Przebiegam wzrokiem po twarzach uczestników, badam ich reakcje, by wyczuć jakąś anomalię, a tym samym przyznanie się do zawieszenia tej kartki. Ale maluje się na nich tylko zdziwienie, ewentualnie zaciekawienie. Jest tak, jakby ta kartka była dla wszystkich, poza mną i Maksem, jedynie roszadą, której nie potrafią rozwiązać. Bo tak jest w rzeczywistości. Mnie udało się to zrobić, dlatego jest dla mnie czymś innym, dużo bardziej niepokojącym komunikatem. Biorę ją za groźbę pod swoim adresem.

Kilka osób komentuje coś w niewielkich grupkach, nie słyszę, o czym mówią, ich ciche słowa to zaledwie gasnący i na przemian wzniecający się szum. Tym razem nikt nie podnosi ręki. Jeden z chłopców, ma chyba na imię Marcin, wstaje i odzywa się pierwszy, zagłuszając ten rozproszony pomruk. Wtedy pozostałe głosy milkną.

- Nie wiem, co znaczą te cyfry, ale sprawiedliwości nie powinno się wymierzać na własną rękę, szczególnie jeśli ktoś chce to zrobić z takich pobudek, o których tu pisze. Wtedy to nie jest sprawiedliwość, tylko zemsta. A zemsta to nie przywrócenie równowagi - mówi z przekonaniem. - Nie pomaga też w wybaczeniu. Stawia nas w pozycji ofiary, a potem

prześladowcy, co w konsekwencji wyklucza wybaczenie. Zamiast dać nam ulgę, przynosi rozczarowanie.

- Nie znasz sytuacji - wtrąca ktoś inny. To wysportowana dziewczyna z dwoma rudymi warkoczykami, lichymi jak mysie ogonki. Wygląda na sportsmenkę. Chyba jej nie znam. - A co, jeśli mowa tutaj o celowym działaniu, o pijanym kierowcy albo takim, który prowadził pod wpływem narkotyków? Wyroki sądowe to jest jakaś kpina - żarliwie argumentuje, żywo przy tym gestykulując. - Mordercy wychodzą na wolność po kilku miesiącach, czasami nie odsiadują nic. Wtedy trzeba wziąć sprawy w swoje ręce...

- Więc to powód do zemsty? - odzywa się nieśmiało Arek, ten, który ściągnął pierwszą z zawieszonych na drzewie kartek. - Robiąc to, o czym mówisz, cofamy się do starożytności, do prawa talionu i kodeksu Hammurabiego. Oko za oko, ząb za ząb. - Jego głos nabiera rezonu. - Hubert ma rację, to tylko odczłowiecza, nic więcej.

Po kilku chwilach dyskusja wymyka się spod kontroli. Myślę wciąż o autorze tego zwierzenia, więc nie nadążam za jej dalszym przebiegiem. Spór w pewnej chwili przerywa Artur. Prosi kolejną chętną osobę do ściągnięcia kartki. Tłumaczy, że wkrótce kończy się nam czas. Faktycznie zostały jeszcze tylko dwa kwadranse. Mam nadzieję, że miną jak najszybciej.

Trzy uderzenia gongu obwieszczają koniec tej części zlotu. Biorę się w garść, by szczegółowo objaśnić zasady podchodów. Potem Kas i Wiktoria rozdają uczestnikom pierwsze wsunięte w korę wskazówki, pozostałe ukryte są w lesie. Mają w ciągu półtorej godziny doprowadzić zwycięską dwuosobową drużynę do celu, czyli do mnie. Będę czekać przy największym bunkrze z ukrytym w środku plecakiem.

- Nie pójdziesz tam sama. Pojadę z tobą - mówi mój brat, kiedy zostajemy przy ognisku sami. Uczestnicy skupiają się wokół Kas i Wiktorii udzielających im startowych wskazówek.

Przebiegam wzrokiem po polanie. Nie wiem, gdzie nagle wsiąkł Artur. Nie ma go nigdzie w zasięgu mojego wzroku.

- Co masz na myśli? - pytam Maksa.

- Nie mów, że nie zauważyłaś podtekstu. Autor zwierzenia nawiązywał do naszego wypadku. Nie wiem, o co chodzi, ale sugerował, że ktoś wtedy zginął. To brzmiało cholernie dziwnie. Jakby ktoś miał do ciebie o to pretensję i - bierze głęboki wdech - jakby chciał się zemścić.

- Przecież nikomu nic się nie stało - mówię, ale bez przekonania.

- A ta kobieta, o której mi opowiadałaś? Wjechałaś jej w zderzak. To ona zadzwoniła po karetkę, a potem rozpłynęła się w powietrzu.

- Nic jej nie było, kiedy odjeżdżała - powtarzam, z większym niż poprzednio przekonaniem. Chociaż tak naprawdę niewiele pamiętam. Zajęta bratem zakleszczonym w samochodzie, nie zwracałam uwagi na nic, co działo się wokół nas. Patrząc na to z perspektywy czasu, wydaje mi się dziwne, że ta kobieta odjechała tak po prostu, nie czekając na karetkę. Może jednak coś jej się stało, może sama była w szoku... - Nie przedostaniesz się ze mną do bunkra - mówię jednak do brata, staram się zachować wszystkie wątpliwości dla siebie. Nie ma mowy, bym naraziła Maksa na jakiekolwiek niebezpieczeństwo. Nie tym razem. - Ścieżka jest wąska i wyboista. Będę miała ze sobą telefon. Nie nakręcajmy się. Zabrałam ze sobą gaz pieprzowy. Prędzej niż zemsty autora tej kartki obawiam się psychola pszczelarza - mówię i wybucham wymuszonym śmiechem.

- To powiedz Kas albo Wiktorii, żeby poszła z tobą. - Maks nie ustępuje.

- Znasz mnie, braciszku. - Poklepuję go po ramieniu, potem mierzwię mu czuprynę. - Nie lubię asekuranctwa. Nie lubię dróg na skróty. Zróbmy to jak należy.

Tym razem męczy mnie jakiś niewytłumaczalny lęk. Jakieś cholernie niepokojące przeczucie. Nie mogę się go pozbyć, odkąd weszłam dziś do Duchnego Lasu. O tym też Maksowi nie wspominam.

- Nie złaź tylko do tego bunkra, bo tam nie złapiesz zasięgu. I miej ją przy sobie - mówi Maks i wskazuje dłonią na moją komórkę.

Naszą rozmowę przerywa kolejne potrójne uderzenie gongu. Wszystkie oczy zwrócone są w tej chwili na mnie.

- Zaczynamy? - Rozciągam usta w szerokim uśmiechu. Symuluję ekscytację.

W lesie słychać pomruk aprobaty. Kiedy oddalam się w stronę bunkra, wyposażona w plecak z dokumentami, latarkę, gaz pieprzowy i butelkę wody, raz jeszcze się odwracam. Maks rozmawia teraz z Kasandrą. Dziewczyna kiwa sugestywnie głową. Mam tylko nadzieję, że mój brat jej do mnie zaraz nie przyśle. Nim ruszę w dalszą drogę, wyciągam z plecaka latarkę, uruchamiam ją i idę naprzód.

Od bunkra dzieli mnie nie więcej niż czterysta metrów. Niby niewiele, jednak to na tyle daleko, bym czuła się osaczona przez gęstniejącą coraz bardziej wokół mnie szarość. To za sprawą tego lasu nie jestem do końca sobą, a przynajmniej nie dzisiaj. Ze świadomością, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat Duchny Las zebrał żniwo śmierci i wykarmił mieszkające tutaj potwory, a wreszcie wpuścił do siebie kolejne, czuję się jeszcze bardziej nieswojo. Baśniowe drzewo, klimatyczne lampiony i wesoły gwar są tylko przykrywką dla czającego się tutaj zła. Ja wciąż je czuję, milczące, rozpływające się w mglistej szarości.

Na miejsce docieram szybciej, niż zakładałam. Wchodzę ostrożnie do bunkra. Latarką oświetlam sobie drogę. Ostatnia z pozostawionych w lesie wskazówek ma zaprowadzić do mnie zwycięską drużynę. Łamigłówka przygotowana przeze mnie dla tych, którzy dotrą tu jako pierwsi, jest kluczem do trofeum. Zdecydowałam, że plecak z ukrytym w nim folderem i dokumentami umieszczę tam, gdzie sama znalazłam te papiery. Zakryta cegłami wyrwa w ścianie jest wystarczająco duża, by zmieścić tam plecak. Wyciągam z niego wodę i gaz pieprzowy i czym prędzej wychodzę na powierzchnię.

Kiedy to robię, wyczuwam jakąś zmianę. Nie wiem, o co dokładnie chodzi, może to tylko mój potęgujący się niepokój. Chciałabym, ale się nie mylę. Nie jestem tutaj sama. Słyszę trzask trącanej gałązki, to dowód, że poza mną jest tutaj ktoś jeszcze. Zaciskam w lewej dłoni flakonik z gazem pieprzowym, paznokciem usuwam z niego zatyczkę. Jestem gotowa, by w każdej chwili rozpryskać drażniącą mgiełkę. Wyciągam przed siebie dłoń, w której trzymam latarkę. Cienka wiązka światła przemyka na oślep najpierw po porowatej ścianie bunkra, potem po poruszających się na wietrze sosnach. Za jedną z nich ktoś stoi. Czuję skurcz w gardle i gorzki smak żółci. To ten rodzaj tajemnicy, do której wcale nie chcesz dotrzeć ani teraz, ani nigdy. Ale nie mam innego wyjścia.

Celuję światłem latarki w twarz tego człowieka, on sam chowa się za pniem drzewa. Ma wydatne łuki brwiowe, rozwichrzoną czuprynę i małe nieruchome oczka. Dolatuje do mnie smród, a raczej gnilny fetor. Rozpoznałabym go wszędzie.

MARIANNA

sierpień 2018

Grobowe milczenie, które zapadło między mną a Matyldą, przerywa sączący się z głośników radiowy szlagier. Mat ostrożnie trzyma na kolanach klatkę z sową, jakby to było najcenniejsze, ale jednocześnie bardzo kruche trofeum. W eleganckiej koktajlowej sukience, którą dostała ode mnie wczoraj na urodziny, z przytuloną do siebie brudną klatką, moja córka wygląda dość kuriozalnie. Zawsze taka była, pełna sprzeczności. A przede wszystkim pełna empatii, miłości i poświęcenia dla tych, których kocha. To kolejne cechy przekazane jej w genach przez mojego męża, to za nimi w jego wydaniu sama okrutnie tęsknię.

- Wiesz przecież, że musimy to zrobić. Teraz, dopóki on jeszcze pamięta, jak żył, zanim do nas trafił. To tak naprawdę ostatni moment, by mógł odnaleźć się na wolności.

Usta mojej córki przypominają cienką poziomą kreskę. Są takie zawsze, kiedy Mat się dąsa.

- Nie o to mi chodzi. Nie o to, że musimy wypuścić Lucka - tłumaczy, uparcie unika mojego wzroku, wpatruje się w klatkę. - Wiem, że to dla niego w tej sytuacji najlepsze rozwiązanie. Nie jestem egoistką.

- Więc co jest grane? - Wyjeżdżam na główną drogę, dodaję gazu i wrzucam trójkę.

- Przedwczoraj, po powrocie od myśliwego, schowałaś za boazerią w swojej sypialni jakąś teczkę. Teraz ona znikła. A ty wciąż milczysz.

Bałam się tej konfrontacji. Na myśl o niej oblewa mnie fala gorąca.

- A więc szperałaś w moich rzeczach?

Mat wzrusza ramionami.

- Zawsze powtarzałaś mi, że nie powinnyśmy mieć przed sobą tajemnic. Cokolwiek się zdarzy, zmierzymy się z tym razem. To twoje słowa - mówi ze skierowaną do mnie pretensją. - Tym bardziej, jeśli ta teczka dotyczy tego szurniętego sąsiada, co dokładnie podejrzewam, to mam prawo wiedzieć, jaka jest jej zawartość. Mam prawo wiedzieć o sprawach, które toczą się pod dachem naszego domu. Nie jestem głupia, mamo. Skoro przeniosłaś tę teczkę w inne miejsce, to coś się dzieje, coś ważnego. Zresztą odkąd wróciłaś wtedy w nocy do domu, jesteś jakaś inna, totalnie spięta.

To prawda, obiecałyśmy sobie szczerość. Dlatego tym dotkliwiej czuję dzielący nas sekret. Milczę tylko dlatego, by chronić Mat. Z tego samego powodu usunęłam esemesy, które wymieniłam z Elizą. Chcę odwlec tę rozmowę przynajmniej do jutra, dopóki nie będę gotowa zburzyć spokojnego świata mojej córki. Mój już runął.

- Zaraz będziemy na miejscu, wypuścimy Lucka, a potem jedziesz na urodziny Uli - mówię, siląc się na swój zwykły ton.

- A co to wszystko ma do rzeczy?

- Potrzebuję czasu, by ci o tym powiedzieć. Zrobię to jutro, kiedy wrócisz. Okej?

Matylda podnosi na mnie wzrok.

- Teraz na serio będę miała o czym myśleć... Mówisz tak, jakbyś wpadła na trop jakiejś grubej afery...

- Czytasz za dużo kryminałów. - Wybucham wymuszonym śmiechem.

Po kolejnych kilku minutach i kolejnych próbach zmiany tematu dojeżdżamy do Sitna, niewielkiej miejscowości oddalonej o kilka kilometrów od Duchnego Lasu. To wciąż okolice Kaszubskiego Parku Krajobrazowego i, co najważniejsze, gęsto zalesiony teren. Jesteśmy na tyle daleko od leśniczówki, żebym nie musiała się obawiać, że Szymczak podejmie kolejną próbę otrucia naszego puszczyka, a jednocześnie na tyle blisko, by Lucek z łatwością zaaklimatyzował się na nowym terenie. Parkujemy samochód na poboczu leśnej drogi, w miejscu, które do złudzenia przypomina okolice Duchnego Lasu. Gdy wysiadamy z samochodu, zauważam, że oczy mojej córki się szklą.

- Hej. - Podchodzę do niej i kładę jej rękę na ramieniu. - Postępujemy słusznie.

- Wiem, po prostu się z nim zżyłam. Niewiele mamy na tym pustkowiu. W sensie mamy niewiele dobrych bodźców, zero miłych ludzi wokół. Tylko dwóch psycholi, z których jeden truje zwierzęta, a drugi czerpie satysfakcję z ich rozpruwania. Porąbane to wszystko. A dzięki niemu... - Mat patrzy z czułością na wiercącego się w klatce ptaka. - Dzięki niemu było jakoś raźniej. Na chwilę normalnie - mówi z westchnieniem.

- Nasze mieszkanie jest już wystawione na sprzedaż. Obniżyłam jego cenę, by szybciej znaleźć chętnych. Jak tylko je sprzedamy, to od razu się wynosimy i wynajmiemy coś w Trójmieście - obiecuję.

Mat stawia klatkę i poluzowuje zabezpieczający drzwiczki skobel.

- Mam to zrobić tutaj? - Podnosi na mnie pytający wzrok.

Kiwam głową. Sowa, jakby wyczuwała to, co ma zaraz nastąpić, porusza się po klatce jeszcze bardziej niespokojnie niż poprzednio. Usiłuje poderwać się z miejsca, szamocze się i uderza głową o metalową kratę. Zamocowany na jej łapie Matt nie będzie jej uwierał ani przeszkadzał.

Pozwoli nam obserwować ją przez przynajmniej kilka dni. Na tyle powinien starczyć akumulator.

Szybkim ruchem Matylda odbezpiecza skobel i otwiera metalowe drzwiczki. Sowa przez chwilę nie reaguje, kręci się wokół własnej osi. Dopiero w pewnym momencie orientuje się, że jej droga do wolności jest otwarta. Najpierw tylko asekuracyjnie wychyla łeb, potem wysuwa się cała, rozpościera skrzydła i wzbija się w powietrze. Wygląda przy tym tak, jakby w jej życiu nie było żadnej trzytygodniowej przerwy na leczenie i interakcję z ludźmi. Porusza się majestatycznie i bezszelestnie. Po chwili znika w koronie jednego z drzew.

- Chodź, bo się spóźnimy - mówię do córki wpatrującej się w drzewo. - Dobra robota. - Podchodzę i obejmuję ją ramieniem.

Wsiadamy do samochodu w milczeniu. Zgodnie z planem zawożę Mat do jej koleżanki Uli. Potem zawracam.

W drodze powrotnej do leśniczówki dzieje się jedna z tych rzeczy, której od samego początku się obawiałam. Na wyświetlaczu mojego wsuniętego na półkę telefonu pojawia się jego imię. Odbieram połączenie i ustawiam tryb głośnomówiący. Nie odzywam się pierwsza, po prostu czekam.

- To było sprytne zagranie, przyznaję. Mogłabyś wykorzystywać swój błyskotliwy umysł do lepszych celów niż ten, na którym się ostatnio skupiłaś. Bo chyba nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji tego, co zrobiłaś, włamując się do mojego biurka. - Jego głos jest zadziwiająco rzeczowy i opanowany. Nie ma w nim nawet cienia skruchy.

Wrzucam dwójkę i zwalniam, ale otaczające mnie drzewa i tak mkną w swoim zwykłym szarozielonym pędzie.

- Ciebie powinnam zapytać dokładnie o to samo. Myślałeś o konsekwencjach, kiedy to robiłeś?

- Nie bawmy się teraz w samobiczowanie i wyrzuty sumienia, okej? Dobrze wiesz, że muszę je odzyskać - mówi twardym tonem. - Ubijmy interes. Czego chcesz w zamian?

- Tylko tego, żebyś sam poszedł na policję i do wszystkiego się przyznał.

- No proszę, proszę. Dobra samarytanka... - rechocze. - Jakie to miłe i jakże książkowe rozwiązanie. Rzecz w tym, że teraz zupełnie nie wchodzi w rachubę. Pytałem, czego chcesz w zamian.

- Wykorzystałeś Elizę. Nie tylko ją. Kim są pozostałe kobiety? Im też już to zrobiłeś czy dopiero zamierzałeś?

Jego głos oddala się, potem zupełnie milknie. Ze słuchawki nie wydobywa się żaden dźwięk. Kiedy wydaje mi się, że za tę przerwę w połączeniu odpowiada słaby zasięg, on odchrząkuje i znów się odzywa.

- To nie jest rozmowa na telefon. Wspólnie coś wymyślimy. - W jego słowach wyczuwam zapowiedź jakiejś obrzydliwej obietnicy, którą chce mi złożyć.

- Wspólnie? Nie zamierzam być częścią twoich machlojek.

- Teraz już jesteś. Nie trzeba było ruszać tego gówna. Zaczyna potwornie śmierdzieć, dopiero jak je potrącisz. Powinnaś była to wiedzieć. - Bierze oddech. Chce dodać coś jeszcze, ale w słuchawce rozchodzą się inne głosy. Należą chyba do kobiety i mężczyzny. - Zadzwonię wieczorem - mówi i się rozłącza.

W gruncie rzeczy spodziewałam się po nim takiej reakcji. Ma do stracenia zbyt wiele, by potulnie udać się na policję i wyznać swoje grzechy. Może powinnam rozegrać to inaczej, może dla bezpieczeństwa Mat i własnego trzeba było przed nim wszystkiego się wyprzeć, a po cichu zrobić swoje? Teraz już i tak za późno na te dywagacje. Skoro był zdolny do zrealizowania tamtego planu, to do czego jeszcze może się posunąć, by siebie chronić? Cokolwiek zamierza zrobić, nie sądzę, by odważył się teraz tutaj przyjechać. Jednak perspektywa spędzenia samotnej nocy w leśniczówce w tych okolicznościach napawa mnie jeszcze większym lękiem niż zwykle.

By o tym wszystkim nie myśleć, po powrocie do Duchnego Lasu zajmuję się pracą odkładaną przez kilka ostatnich dni. Sprzątanie szuflad i rozmaitych zakamarków wciąż zamkniętych od czasu przeprowadzki jest dziś wybawieniem. Cztery godziny mijają w mgnieniu oka. Kiedy kończę, wyciągam się na sofie w salonie i zasypiam, wycieńczona emocjami minionych dni. Nie wiem, ile czasu mija do chwili, gdy się budzę, chyba z powodu włączonego na pełny regulator telewizora. Przez sekundę zupełnie nie wiem, co się dzieje. Wyciągam spod pleców pilota i wciskam na nim czerwony guzik. Ekran gaśnie. Wciąż jeszcze na wpółprzytomna z mozołem podnoszę się z sofy i wlokę w kierunku sypialni. Nie obchodzi mnie, że jestem w ciuchach i pełnym makijażu. Mój umysł wciąż jest zasnuty mgłą. To dość dziwne, ale całkiem przyjemne uczucie, które

uwalnia mnie od obecnych kłopotów. Kiedy docieram do sypialni, zawijam się w kołdrę i natychmiast odpływam.

Śnię okropny sen. W tym śnie brakuje mi powietrza, a płuca wypełniają mi kłęby gryzącego dymu. Na łóżku, tuż obok mnie, leży mój mąż. Jest dokładnie tak samo, jak wtedy, dwa lata temu, kiedy obudziłam się o świcie, a on odsypiał zarwaną w pracowni nockę. Tym razem, ten jeden jedyny raz, miał wstać wcześniej niż ja. Nastawiony przez niego budzik wydawał z siebie najbardziej drażniący dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Przypominał mi zwielokrotniony wściekły chrobot sunącej po tablicy kredy. Tylko znacznie głośniejszy. Kilka dni wcześniej mój mąż umówił się na rozmowę z inwestorem, któremu miał przedstawić Matta. Cały wczorajszy dzień i całą noc przygotowywał tablice poglądowe, opracowywał wykład, który potem wspólnie ćwiczyliśmy. Marek był genialnym naukowcem, ale niestety kiepskim mówcą. To nic, i tak zawsze ciężką pracą osiągał to, co chciał, nawet jeśli niekoniecznie było to zgodne z jego naturą.

Tak jak wtedy w swoim śnie trącam delikatnie ramię męża, ale nie ma żadnej reakcji z jego strony. Składam więc pocałunek na jego karku, potem na policzku. O tym, co w realu działo się później, zawsze chciałam zapomnieć. Wypierałam z pamięci każdy szczegół tamtego poranka, przede wszystkim zetknięcie swoich ust z jego szorstkim lodowatym policzkiem. Wyparłam też zimny zapach śmierci, własny skowyt i naszą zaspaną córkę, która z wypisanym na twarzy przerażeniem wparowała do sypialni kilka chwil później. Zaalarmował ją wydobywający się z mojego gardła straszny krzyk. Niczego nie zapomniałam, próby wymazania z pamięci tamtego dnia były chybione. Dobrze, że chociaż w obecnym śnie tamto wspomnienie nie odtwarza się na nowo.

Chciałabym się już obudzić, nadal bardzo źle mi się oddycha. Czuję się jak bezwolna kukła, jakby na mojej klatce piersiowej ułożono stukilowy betonowy blok. Leżę i nie mogę się ruszyć. Nie mogę złapać tchu. Obudź się! - nakazuję sobie w trakcie tej dziwnej sennej podróży.

Budzę się zlana zimnym potem. Włosy przykleiły mi się do twarzy, ubrania mam wilgotne i lepkie. Ale pobudka wcale nie przynosi ulgi. Owszem, wraz z powrotem do rzeczywistości zanika obraz poprzedniego mieszkania, obok mnie nie ma też Marka, ale sypialnię w leśniczówce wypełniają gęste kłęby dymu. Widzę je dzięki włączonej na stoliku nocnej lampce. W sypialni jest gorąco jak w piecu. Ocieram dłonią wilgotne czoło.

Kłęby dymu są cholernie rzeczywiste, jest ich coraz więcej, mnożą się na moich oczach w zastraszającym tempie. Są jak czarne strzępiaste potwory bez twarzy. Wyciągają w moją stronę swoje macki, wciskają mi je do ust, nosa i gardła. Mimo odurzenia dymem w głowie uruchamia mi się jakiś przełącznik. Natychmiast podrywam się na równe nogi.

Pożar. Pieprzona instalacja, do której nie wezwałam fachowca. Ucieczka.

W głowie błyskają mi tylko te trzy myśli, napędza mnie instynkt przetrwania. Ale nie mija nawet chwila, a widoczność w pokoju drastycznie maleje. Jest tak bardzo źle, że nie widzę własnej ręki. Działam jak w transie, zgodnie ze swoją wiedzą na temat tego, jak postępować w razie pożaru. Jednym ruchem zdzieram poszewkę z poduszki. Schylam się, upadam na kolana i po omacku przeszukuję podłogę pod łóżkiem. Gdzieś tam powinna być jeszcze butelka z wodą. Kiedy ją znajduję, ściągam z niej zakrętkę i polewam poszewkę płynem. Przykładam ją sobie do twarzy, by ochronić drogi oddechowe. Buchający gorąc też się nieco wtedy neutralizuje, ale wiem, że to tylko złudne wrażenie i że to nie potrwa długo. Kolejny krok to odnalezienie drogi ucieczki. Zmierzając do wyjścia, poruszam się wzdłuż łóżka, a potem ścian, by w ciemności nie stracić orientacji. Nie podnoszę się z kolan, bo pamiętam, że gorące powietrze oraz drażniący dym częściej kierują się ku górze, dół jest lepszą drogą ewakuacji. Kiedy docieram do drzwi, jestem tak wyczerpana, że ledwie udaje mi się je pchnąć. Ani drgną, więc zbieram wszystkie siły i pcham ponownie. Ale znów nic się nie dzieje. Zapieram się dłońmi o klamkę i podnoszę ją, co jest okupione nieziemskim wysiłkiem. Czuję się tak, jakby ktoś wyssał ze mnie wszelką energię.

Nacieram na drzwi całym ciałem, okropnie kręci mi się w głowie. Kłęby dymu wirują wokół mnie, czuję się jak w piekielnej czeluści. Ledwie udaje mi się ustać na nogach. Nie mam jednak wątpliwości, że to nie dlatego nie mogę się stąd wydostać. Ewidentnie coś blokuje drzwi od drugiej strony. Gdzieś w ulotnym przebłysku świadomości dociera do mnie, że to nie żadna usterka instalacji elektrycznej zamknęła mnie w tej trującej pułapce. To on. Przyszedł tutaj zdeterminowany, by osiągnąć swój cel. Po pierwsze chce mnie uciszyć, po drugie chce zniszczyć dowody, bo jest przekonany, że folder znajduje się na terenie leśniczówki.

Potem nie myślę już o niczym więcej, jestem na granicy utraty przytomności. Moja córka, tylko jej twarz staje mi przed oczami. Jej

smutne oczy, zgarbiona sylwetka, słowa, którymi obie czasami się bezwiednie raniłyśmy. Wszystko to składa się na obraz tego, jak bardzo zniszczyła ją śmierć ojca. Jak bardzo nam obu podcięła skrzydła. Nie mogę się poddać, nie mogę tego zrobić choćby ze względu na nią. Pamiętam, że podczas pożaru nie wolno otwierać okien. Nagły dopływ powietrza sprzyja gwałtownemu rozprzestrzenieniu się ognia. Ale nie mam wyboru. Okno to moja jedyna droga ucieczki. Pełzam po podłodze, początkowo staram się racjonalnie gospodarować powietrzem. Kiedy docieram na drugą stronę sypialni i wczołguję się po ścianie w stronę okna, powietrza już nie ma. Jest tylko wdzierający się w moje płuca dym. Jeśli okno nie puści, umrę tutaj, za chwilę strawią mnie płomienie buchające z wnętrza domu. Chwytam za klamkę i przyciągam okno do siebie. Puszcza. To mój wielki sukces, mam teraz ratunek na wyciągnięcie ręki. Ta myśl dodaje mi sił, trzyma mnie przy życiu. Kiedy wysuwam dłoń, by się podnieść, a potem usiąść na parapecie, natrafiam na opór. Jakaś twarda deska zajmuje całą powierzchnię okiennej ramy, tyle udaje mi się wybadać. Moją drogę do wolności blokuje zamknięta od zewnętrznej strony okiennica.

Nagle całe dotychczasowe napięcie opada, powietrze staje się rześkie, moje płuca się nim wypełniają. Gęsty dym się cofa. Przerażające czarne bestie, które jeszcze przed chwilą wdzierały mi się do płuc, stają się tylko odległym wspomnieniem. Tak samo sypialnia w leśniczówce. Jestem na powrót w naszym gdyńskim mieszkaniu, jasnym i słonecznym. Nie wiem, jaki mamy dzień tygodnia. To zresztą nieważne. Wracam do chwil, kiedy wszystko było normalne, kiedy moje życie wypełniała zwyczajna codzienność, za którą przez dwa ostatnie lata tak bardzo tęskniłam. Wreszcie jest i on, Marek. Mój mąż leży na sofie uśmiechnięty, choć milczący. Wyciąga do mnie ręce...

POLA

sierpień 2020

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? - zwracam się do siedzącego obok mnie chłopaka. - Inaczej będę się musiała zatrzymać - mówię kategorycznie.

Załadowany do bagażnika wózek Maksa podskakuje na wertepach nieutwardzanej drogi. Dotarliśmy właśnie na skraj Duchnego Lasu. Mamy za sobą już ponad czterdziestominutową jazdę, a chłopak nadal uparcie milczy. Jego milczenie wywołuje we mnie niepokój. Bardziej niż irytację.

- Wolałem, żebyś sprawdziła sama. Jak ci powiem, to i tak mi nie uwierzysz - mówi i mruży nerwowo powieki. Nie wiem nawet, kiedy przeszliśmy na ty.

Kolejna dziura, w którą z impetem wpadamy, sprawia, że podskakujemy w fotelach.

- Przepraszam - mówię do Maksa i zwalniam. Nie wiem, czy moja szaleńcza jazda po wybojach nie naraża go na szwank.

Kątem oka zauważam, że na ostatnim wyboju z kieszeni bluzy chłopaka wysunęła się czarna rękojeść. Kiedy przyglądam się jej uważniej, dociera do mnie, że to najprawdopodobniej chwyt pistoletowy. Maks zabrał ze sobą broń. W mojej głowie nagle mnożą się powody, dla których ten dzieciak wytrzasnął skądś spluwę. Albo zabrał ją, by chronić nas przed kimś lub czymś, do czego jedziemy, albo...

Zwalniam jeszcze bardziej, przerażona tym, że pod pretekstem przekazania mi nowych informacji Maks tak naprawdę mógł zastawić na

mnie pułapkę. Niepełnosprawny chłopak był przez cały czas poza kręgiem moich podejrzeń. Kiedy Maks zauważa, że mój wzrok utkwiony jest w jego kieszeni, po kręgosłupie przebiegają mi ciarki.

- Co to jest? - pytam, wskazując brodą pistolet. Mówię to tak, by się nie zorientował, jak bardzo jestem przerażona.

Jego lewa dłoń powoli pełznie wzdłuż ciała, łapie za rękojeść i wydobywa spluwę z kieszeni. Zamieram.

- To tylko atrapa - mówi z pewnym rozbawieniem. - To znaczy nie do końca.

- Co masz na myśli? - pytam, przełykając nerwowo ślinę.

- Wyglądasz tak, jakbym miał ją w ciebie zaraz wycelować - mówi chłopak i wybucha śmiechem. Nieco się rozluźniam. - To cacko jest na kule pieprzowe i gumowe. Kule pieprzowe uwalniają drażniący pył pieprzowy. A te drugie, twarde kule gumowe, cechują się dużą mocą obalającą.

- A po co to nam? - pytam, przyglądając się sceptycznie broni.

- W razie czego. - Maks wzrusza ramionami. - Nauczyłem się, że w życiu nie można liczyć na fuksy, na żadne pieprzone zrządzenia losu. Trzeba brać sprawy we własne ręce. Inaczej karma sama cię dorwie i przeora.

- Powiesz mi wreszcie, o co chodzi? Nie zrobię niczego, dopóki nie dowiem się, co jest grane, a przede wszystkim dokąd jedziemy.

Chłopak chowa broń. Z drugiej kieszeni wyciąga paseczek miętowej gumy do żucia i wkłada go sobie do ust.

- Lara miała kiedyś ostrą spinę z tym pszczelarzem - mówi, mlaszcząc. - Wbiła się na jego posesję. Zdobyła tam dowody na to, że wcześniej ten gość zastawił na nią pułapkę w bunkrze i że truł zwierzęta w lesie. Miała potem te dowody przeciwko niemu wykorzystać, ale już nie zdążyła. Facet być może planował ją uciszyć. To naturalne, że miałem go na celowniku.

Skinieniem głowy zachęcam go, by mówił dalej.

- Dlatego poprosiłem Jeezy'ego, żeby zainstalował kamerę w dziupli na drzewie, naprzeciwko płotu pszczelarza. Nie było łatwo ustawić tam to cholerstwo, bo przed jego domem rośnie wysoki żywopłot. Obszarem, który rejestrowała kamera, była więc furtka, brama wjazdowa i te ule. Ale dobre i to. Chciałem przynajmniej kontrolować zwyczaje tego dziwaka. To, kiedy wyjeżdża, o której wraca, kto do niego przychodzi. I tak dalej. Mógł być na przykład z kimś w zmowie. Ktoś mógł go szantażować.

- Ale skoro zrezygnowałeś z dalszej obserwacji, to znaczy, że jednak nikt podejrzany się tam nie kręcił...

- Nie pozwoliłaś mi dokończyć - mówi Maks i gromi mnie wzrokiem. - Możemy się tutaj na chwilę zatrzymać? - Chłopak wskazuje na pobocze.

Zjeżdżam z drogi i parkuję we wskazanym przez niego miejscu.

- Tak jak już mówiłem... - podejmuje przerwany wątek. - Zwykle oglądałem nagrania z pewną regularnością na fast-forwardzie. Teraz, kiedy po czasie usiadłem do tego z otwartą głową, zauważyłem coś nietypowego. Zobacz. Połączyłem rejestrowane przez kilkanaście dni pliki w jedno nagranie. Wyciąłem i skleiłem tylko te fragmenty, na których pojawia się ta sama aktywność pszczelarza.

To powiedziawszy, Maks wyciąga z kieszeni bojówek telefon. Uruchamia przygotowany wcześniej materiał wideo. W kadrze pojawia się zapowiedziany fragment posesji pszczelarza - brama wjazdowa i furtka, a także ustawione za nią ule. Chłopak przybliża obraz. Za kiepską jakość nagrania odpowiada spora odległość kamery od uli, na które jest skierowana. Stoi przed nimi mężczyzna ubrany w biały kapelusz i kombinezon. Zasłaniająca jego twarz siatka nie pozwala mi ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że on i facet od cuchnących roślin to jedna i ta sama osoba. Mężczyzna podchodzi po kolei do każdego ula, usuwa z niego pokrywę i wyciąga drewnianą ramkę wypełnioną plastrami miodu. Roi się na niej od pszczół. Na końcu pszczelarz ponownie umieszcza ramkę we wnętrzu ula. Potem odchodzi.

- Okej, właśnie tym chyba zajmuje się pszczelarz. Nie widzę w jego zachowaniu niczego dziwnego - mówię, wyczekując jakiegoś nagłego olśnienia, które obiecywał mi Maks.

- Patrz dalej - zachęca chłopak i przesuwa nagranie o kilka klatek do przodu.

Kolejny fragment jest zaskakująco podobny do poprzedniego. Zmienia się jedynie data. Dwa dni później pszczelarz wyciąga te same drewniane ramki, dokładnie o tej samej godzinie. Zegar umieszczony w prawym narożniku nagrania wyświetla godzinę piętnastą. Maks znów przesuwa nagranie o kilka kolejnych klatek.

- Co widzisz teraz? - pyta.

- To samo - odpowiadam, nadal nie wiem, do czego to wszystko zmierza. - Widzę pszczelarza, który wykonuje swoją pracę.

- No dobra. Spróbujmy jeszcze raz. - Maks ciężko wzdycha. Jest ewidentnie rozczarowany brakiem mojej spostrzegawczości. - Tym razem przyjrzyj się każdemu detalowi jeszcze uważniej.

W skupieniu śledzę kolejną niemalże identyczną scenę. Od pozostałych dzieli ją tylko jedna różnica. Zaglądając do ula, który jest najdalej od kamery, pszczelarz nie wyciąga ramki, a jedynie delikatnieją unosi. Mówię o tym Maksowi.

- Wreszcie idziesz w dobrą stronę! - wykrzykuje chłopak triumfalnie. - A ile uli widzisz na nagraniu?

- Za kogo mnie masz? Umiem przecież liczyć - obruszam się.

- Czyli?

Przewracam oczami.

- Sześć.

- A do ilu z nich zaglądał pszczelarz na poprzednich nagraniach?

- Do wszystkich? - zgaduję, ale teraz wcale nie jestem tego taka pewna.

- To obejrzyj dwa pierwsze nagrania jeszcze raz.

Uruchomiony ponownie film udowadnia mi, że jednak się pomyliłam. Pszczelarz zagląda tylko do pięciu uli, za każdym razem pomija ostatni, ten, który umieszczony jest najdalej od kamery.

- Okej. Teraz to widzę. Tylko na ostatnim nagraniu zajrzał do szóstego ula i wyciągnął czubek mieszczącej się tam ramki. Na poprzednich zupełnie go ignorował.

- Przyjrzyj się uważnie tej ramce. - Maks wraca do ostatniego, trzeciego nagrania. Jeszcze bardziej przybliża kadr, na którym widoczny jest fragment ramki ostatniego ula.

Mrużę oczy, by z ziarnistego obrazu wyłowić jak najwięcej szczegółów.

- Ma chyba inny kolor - mówię. - Pozostałe nie są lakierowane, a ta jest niebieska.

- Po co lakierować drewnianą ramkę?

- Nie mam pojęcia. Nie znam się na tym.

- Ja też się nie znam, więc zbadałem temat. Wewnątrz uli znajdują się tylko i wyłącznie ramki wykonane z surowego nielakierowanego drewna - wyjaśnia Maks. - To, co widzisz, to nie ramka. Ten przedmiot jest zresztą zbyt cienki, by mógł nią być.

Przedmiot, w którym jeszcze przed chwilą widziałam drewnianą ramkę, za sprawą siły sugestii zamienia się w coś zupełnie innego, w teczkę albo blok rysunkowy.

- W takim razie co to jest? - pytam.

- W chwili śmierci moja siostra miała ze sobą plecak. Nigdy go nie odnaleziono. W środku miała niebieski folder z dokumentami, których nie chciała mi pokazać.

Wyznanie Maksa i jego niewypowiedziana sugestia są tak nieprawdopodobne, że mija chwila, nim udaje mi się to w ogóle przetrawić. W głowie mam zupełny mętlik.

- Chcesz powiedzieć, że pszczelarz od roku przechowuje w ulu zawartość plecaka twojej siostry?

Maks nie odpowiada, ale na jego twarzy wypisana jest niezachwiana pewność.

- W takim razie powinniśmy zawiadomić policję - mówię. - To może być istotny dowód.

- Z jakiegoś powodu do tej pory nie wierzyłaś w działania policji. Ja zresztą też nie. - Z tej samej kieszeni, z której wyciągnął telefon, Maks wydobywa teraz zafoliowane lateksowe rękawiczki i mi je wręcza. - Jeśli to ten folder, to zawiadomimy gliny. Nic się nam nie stanie. Pszczelarza nie ma teraz w domu.

- Skąd to wiesz? - pytam. Boję się, że moja ciekawość bierze górę nad rozsądkiem. Powoli zaczynam wierzyć w powodzenie obłąkańczego planu Maksa.

- O tej porze w czwartki pszczelarz zawsze jeździ na zakupy, a przynajmniej w zeszłym roku robił to ze stałą powtarzalnością. Bramy wjazdowej nigdy nie zamyka na klucz. Prześledziłem te i jego inne rytuały. - Maks zerka na zegarek. - Na mój gust mamy jeszcze niecałą godzinę. Lepiej się pospieszmy.

- Oczekujesz, że włamię się na jego posesję i sprawdzę, czy facet nadal trzyma w ulu coś, co potencjalnie może być folderem, który należał do twojej siostry?

- Właśnie tak! A o czym ty chciałaś mi powiedzieć, kiedy do mnie dzwoniłaś?

Z nadmiaru toczących się równolegle wydarzeń zupełnie zapomniałam o dziewczynie z Facebooka. Mówię Maksowi, czego dowiedziałam się o niej i o jej zmarłej matce.

- Znam ją słabo, może dlatego ta dziewczyna była poza kręgiem moich podejrzeń. - Kolejny raz chłopak nerwowo mruży powieki. - Nie kleiłem jej z tym wszystkim. To oczywiście wcale nie znaczy, że ona stoi za śmiercią

Lary - mówi z nadzieją w głosie. - Ale z dużym prawdopodobieństwem coś knuła i zawiesiła na „Drzewie życia" tamtą kartkę.

W ciszy, którą wywołały nasze wzajemne wyznania, jedziemy do posesji pszczelarza. Po wyjściu z samochodu wkładam lateksowe rękawiczki. Podchodzę do płotu, Maks zostaje w aucie. Zanim wtargnę na posesję, przez przymkniętą bramę staram się zajrzeć do środka. Chcę to zrobić, by upewnić się, że faktycznie poza nami nikogo tu nie ma. Dom, a wraz z nim garaż oraz podjazd, jest ukryty za drzewami zasłaniającymi mi widok. Pamiętam też o psie, małym czarnym kundelku, który może się gdzieś tutaj kręcić. Po chwilowym wahaniu, kiedy nic niepokojącego dookoła się nie dzieje, wchodzę do środka...

Im bliżej jestem pasieki, tym głośniejszy szum słyszę z wnętrza drewnianych uli. Przynajmniej co do jednego Maks miał rację. Wszystko wskazuje na to, że ostatni z nich, przypominający upiorną postać z *Krzyku* Muncha, jest pusty. Nie wydobywa się z niego żaden dźwięk. Z tłukącym się w piersiach sercem unoszę jego pokrywę i zaglądam do środka. Na pierwszy rzut oka nic tam nie ma. Wsuwam jednak dłoń do ula, ostrożnie dotykam jego ścianek. W pewnym momencie palcami natrafiam na coś, co swoją fakturą różni się od pozostałych jednakowo gładkich ścianek. Podważam przedmiot paznokciami i odrywam go. Przytwierdzona do niego taśma klejąca puszcza z głośnym chrzęstem.

By wydobyć go w całości, muszę zwinąć przedmiot w niewielki rulon. Kiedy to robię, moim oczom ukazuje się niebieski folder wypełniony cienkim plikiem dokumentów. Nagły skok adrenaliny dyktuje mi kolejne niekontrolowane reakcje. Usypiają na moment moją czujność. Otwieram teczkę i pobieżnie przeglądam zawartość pierwszego dokumentu, potem kolejnego i jeszcze jednego. Wszystkie dotyczą tego samego. To kserokopie kart pacjenta oraz odręczne zapiski lekarskie. Wygląda na to, że zostały sporządzone podczas sesji terapeutycznych. W prawym narożniku, poza lekarskimi spostrzeżeniami, znajdują się również daty poszczególnych sesji. Każdy z dokumentów opatrzony jest pieczątką i podpisem lekarza.

Pomorski Instytut Psychoterapii

EGO

Wojciech Malicki

Nie byłoby niczego niepokojącego w dokumentach, gdyby nie przypięte do każdego z nich niewielkie samoprzylepne karteczki w kratkę, którą wykorzystano do rozrysowania tabeli. Mieszczą się w niej dodatkowe

adnotacje. Pismo na karteczkach jest zgodne z tym, które widzę na kartach i notatkach.

Eliza Witkowska (Kradzież - rodzice)

5000 zł - wpłynęło.

Hipnoza/przeciwprzeniesienie

Marlena Nowacka (Nimfomanka, wielokrotna zdrada partnera)

10 000 zł - brak reakcji. Podjęto kolejną próbę, deadline 1 września. Brak reakcji jednoznaczny z odmową = kompromitacja, ujawnienie Pawłowi Nowackiemu sekretów żony.

EMDR

Wioletta Karaś (Przemyt narkotyków)

18 000 zł - wpłynęło.

EMDR

Pod Wiolettą Karaś w tabelce umieszczone są dwa kolejne nazwiska, kolejne sumy pieniędzy, które, jeśli wierzyć zapiskom, zostały przelane. Komu? Czyżby niejaki Wojciech Malicki, którego podpis widnieje pod każdą z kart pacjenta, wykorzystywał poufne informacje swoich pacjentek, by je szantażować?

Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast, kiedy przeglądam kolejne dokumenty. To trzy ostatnie kartki, które znajdowały się w folderze. Naniesione na nie odręczne notatki zostały sporządzone przez tę samą osobę. W przeciwieństwie do tych, które znajdują się na samoprzylepnych karteczkach, są dość chaotyczne, pełne przekreśleń. Jakby sunąca po papierze ręka szantażysty działała niepewnie, jakby robiła to w przypływie niepokoju albo ekscytacji. Może jednego i drugiego. Przebiegam wzrokiem po pierwszym tekście.

Powinnaś być bardziej ostrożna.

Należę do międzynarodowej grupy hakerów. Zainstalowałem na twoim telefonie złośliwe oprogramowanie, które dało mi dostęp do jego kamery. Aplikacja nie tylko uzyskała dostęp do całego archiwum twojego telefonu,

dała mi także możliwość obserwowania i śledzenia twoich poczynań, a co za tym idzie, także nagrywania filmików i robienia zdjęć bez twojej wiedzy.

Brzmi jak podły fejk?

A co powiesz na to, że dysponuję konkretnymi danymi, które przechwytywałem systematycznie przez ostatnie miesiące. Zacznijmy od wieczoru 18 marca 2019. Nagranie w warsztacie samochodowym twojego ojca i kasa, z której zabrałaś pieniądze. Ukradłaś je i pozwoliłaś, by ktoś zupełnie niewinny poniósł za ciebie karę. Smutny szary dzień i przebiegła dziewczyna, która pod pretekstem próby uwolnienia się od rodziców dopuściła się obrzydliwej malwersacji. Brzmi znajomo? I czy naprawdę muszę dodawać więcej?

Oczywiście nikt nie powinien się o tym dowiedzieć, a już w szczególności twoi rodzice, to jasne. I wcale nie muszą, bo możesz jeszcze to wszystko naprawić. Możesz, jeśli w ciągu 72 godzin przelejesz równowartość pięciu tysięcy złotych na moje konto bitcoin. To naprawdę niewiele za moje milczenie, zważywszy na to, jak wysoka jest stawka twojej wolności.

Na dole dokumentu, drukowanymi literami, zapisany został ciąg liter i cyfr, jak przypuszczam, są to dane do przelewu kryptowaluty. Przeglądam dwa ostatnie arkusze - to podobne, choć zmodyfikowane, bo dopasowane do konkretnych kobiet, próby szantażu wykorzystujące „haki", jakie miał na nie szantażysta. Wszystkie opierają się na informacjach zawartych w kartach pacjenta, a także odręcznych zapiskach. Dlatego podejrzewam, że nowiny o złośliwym oprogramowaniu to podpucha. Źródło informacji tego człowieka było zupełnie inne, leżało bezpiecznie w jego szufladzie. Raz jeszcze przebiegam wzrokiem po dwóch ostatnich listach. Nieco dziwi mnie styl, w jakim napisano wiadomości. Przypomina mi jedną z randomowych, nieco niedbałych gróźb wysłaną przez młodego cyberprzestępcę. Nie ma w niej nawet śladu wysublimowanego żargonu uznanego psychoterapeuty. Ale pewnie taki właśnie Malicki miał cel - chciał odsunąć od siebie wszelkie podejrzenia, dlatego też skierował uwagę na bajeczkę o cyberprzestępczości. Podszyta jakimś dziwnym niepokojem, wkładam papiery do folderu i nakrywam ul wiekiem.

Kiedy to robię, myślę jeszcze o tym, jak terapeuta uzyskał kompromitujące jego pacjentki informacje. Stawiam na jakąś zastosowaną poza świadomością tych kobiet metodę pozyskiwania niechcianych wspomnień.

To bardzo prawdopodobny scenariusz, zważywszy na techniki terapeutyczne, o których tutaj mowa. Hipnozę i EMDR, czyli technikę odwrażliwiania metodą gałek ocznych, zastosowano też w moim leczeniu, stąd wiem o nich nieco więcej. Obie bazują na przywoływaniu traumatycznych zdarzeń, które z różnych przyczyn zostały zablokowane w umyśle pacjenta. Cały ten proces odbywa się poza jego świadomością. Chory nie wie, że dopuszcza swojego terapeutę do jaskrawych obrazów rozrysowanych z własnych najgorszych lęków. Ja też tam byłam.

Tylko jak powiązany jest z tym wszystkim pszczelarz? Czyżby i on leczył się u tego samego psychoterapeuty, co wspomniane w dokumentach kobiety? A może, co wydaje mi się jednak raczej nieprawdopodobne, sam nim kiedyś był?

To wszystko nie ma najmniejszego sensu.

Uśpiona czujność, uważaj! - Nagle mój umysł wysyła mi ostrzeżenie, niestety pojedyncze i w dodatku bardzo spóźnione. Zaabsorbowana swoim znaleziskiem, wyłącznie na nim skupiłam uwagę. Dociera to do mnie, kiedy słyszę zbliżające się za moimi plecami ciężkie kroki. Suną po grząskiej trawie, wydając przy tym głośny, chlupoczący odgłos. To on mnie alarmuje. Odwracam się i widzę zawieszoną nad moją głową, zaciśniętą w pięść rękę, z której coś wystaje. Jakiś zmięty zielony materiał. Tylko tyle. Ten człowiek bierze zamach, ciągnie się za nim ten sam co poprzednio gnilny fetor. Unoszę ręce, by osłonić głowę, ale robię to zbyt późno. Wbrew temu, czego się spodziewałam, nie spada na mnie grad ciosów. Jego dłoń wpycha mi do ust nasączony jakimś płynem materiał. Potem wszystko dzieje się w mgnieniu oka. Otaczające mnie przedmioty zmieniają kształty i kolory, wirują w jednostajnym pędzie, a wreszcie zupełnie tracą kolor. Kiedy ciemnieje mi przed oczami, słyszę rozdzierający powietrze huk. Na końcu wszystko blaknie, a potem powoli rozbłyskuje na nowo.

LARA

sierpień 2019 dzień zlotu

Przed ukryciem plecaka zabrałam z niego flakonik z gazem pieprzowym i wsunęłam go do kieszonki szortów. Jest teraz na swoim miejscu, czuję pod palcami każdą jego wypukłość. To dodaje mi odwagi. Chowając się za ostrym światłem latarki, wkładam dłoń w spodenki i po omacku wyciągam z nich atomizer. To w zasadzie moja jedyna broń. Wraz z jej wydobyciem czuję szumiącą w skroniach krew i towarzyszący jej nagły skok adrenaliny. Jestem teraz gotowa na wszystko. Pszczelarz się nie porusza, z jego ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Stoi za drzewem, jak wyjęty z koszmaru nieruchomy chochoł, i tylko mi się przygląda. Jego rozwiane przez wiatr włosy plączą mu się po twarzy. Nie wywołuje to u niego żadnej reakcji. Nie odgarnia ich, wciąż tylko tępo się we mnie wpatruje. Przez moment ulegam złudnemu wrażeniu, że facet jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Ale obrzydliwy i jeszcze silniejszy smród, który od niego dolatuje, rozwiewa wszelkie wątpliwości.

Myślę o tym, co tak właściwie chodzi mu po głowie. Czy w jego chorym umyśle on jest myśliwym, a ja zwierzyną? Jeśli właśnie taki scenariusz sobie obmyślił, to muszę natychmiast działać. Stojąc przed bunkrem na zupełnie nieosłoniętym terenie, jestem teraz łatwym celem. Opuszczam latarkę w dół, ale wciąż jest szarawo, więc nadal jestem widoczna, podbiegam do najbliższego drzewa i się za nim chowam. Zapieram się dłońmi o jego wilgotną korę. Wtedy pszczelarz się odzywa.

- Nie powinnaś była tu przychodzić sama. - Ton jego głosu mnie zaskakuje. Nie pasuje ani do jego zewnętrznej szpetoty, ani do roli truciciela zwierząt. To ton uprzejmego kaznodziei. - Nie słuchałaś. Nie powinnaś tego robić. Tak samo jak ona nie powinna była wtedy zostać sama w leśniczówce. Ono wciąż krąży po lesie. Zwielokrotnione grasuje po jego zakamarkach w swojej najgorszej postaci.

Nie wiem, o czym on bredzi. Nim zdążę zareagować, moją uwagę przykuwa jasne światło migające w oddalonym o kilkanaście metrów zagajniku. Zapala się i na powrót gaśnie. Przesuwa się w coraz szybszym tempie, staje się większe, ewidentnie zbliża do nas. Kierowana jakimś złym przeczuciem, reguluję latarkę i na nim skupiam całą uwagę. Początkowo

widzę tylko zarys ludzkiej sylwetki, nic więcej. Rosnący we mnie niepokój po kilku sekundach osiąga apogeum. Kiedy osłaniam oczy dłońmi, udaje mi się rozpoznać wchodzącą na polanę postać. Znam ten charakterystyczny sprężysty chód i lekko zgarbioną sylwetkę. Oddycham z ulgą. To tylko Kas.

- Hej, jesteś tutaj? - rzuca niepewnie w moją stronę. I ona osłania oczy dłońmi, pewnie oślepia ją moja latarka.

Na powrót kieruję wiązkę światła na drzewo, za którym jeszcze przed chwilą stał pszczelarz, ale teraz nikogo tam nie ma.

Zniknął, kurwa!

- Chodź tutaj, szybko! - wołam Kas. Jestem na siebie wściekła, że straciłam go z pola widzenia.

- Coś się dzieje? Jesteś zdenerwowana - pyta, podbiegając do mnie.

Światło mojej latarki kolejny raz omiata otaczającą bunkier polanę i drzewa, najpierw szybko i chaotycznie, potem wolniej i z większą dokładnością. Ale za każdym razem widzę to samo - poruszane na wietrze drzewa i krzewy. Pszczelarz jakby rozpłynął się w powietrzu.

- On tutaj był - mówię, lustrując jeszcze raz polanę. Zaglądam za bunkier, sprawdzam prowadzące do niego drzwi. Są zamknięte i wyglądają dokładnie tak, jak je przed chwilą zostawiłam. Nikogo tam nie ma.

- Kto? - pyta zdezorientowana Kas.

- Pszczelarz. Obserwował mnie i gadał jak potłuczony.

- Chcesz, żebym po kogoś zadzwoniła? Może niech Artur tutaj przyjdzie? - W wielkich oczach Kas czai się strach. Zakładam, że i ona widzi w moich to samo.

Nie wiem, co się ze mną dzieje. Szmery w lesie są teraz czymś więcej niż tylko sporadycznymi podmuchami wiatru. Niosą ze sobą jakąś ponurą wiadomość, której nie rozumiem i nie potrafię właściwie odczytać. Wiem, że muszę zaufać temu, co przecież logiczne i w pełni racjonalne. To tylko moja zmęczona ostatnimi wydarzeniami głowa nadbudowuje nad rzeczywistością jakąś własną historię. Chorą wizję. Duchny Las i te wszystkie utracone w nim dusze są niczym innym jak tylko smutną opowieścią.

- Lara?

Zaniepokojony głos Kas wyrywa mnie z zamyślenia.

- Hmm?

- To co mam robić? Dzwonić po Artura?

- Nie! - Stanowczość, z jaką wypowiadam te słowa, zaskakuje mnie. - Nie chcę go tutaj - dodaję nieco łagodniej.

- Co robimy? - W głosie Kas słyszę niepokój. Widzę, że dziewczyna zaczyna się trząść, pociera dłońmi o dżinsy. Za zmianę w jej zachowaniu raczej nie odpowiada unoszący się w powietrzu chłód. Kas jest śmiertelnie przerażona i jak zwykle w stresujących sytuacjach wpada w panikę.

- Czekamy. Niedługo powinien się tutaj pojawić ktoś z naszych.

Kas kiwa bez przekonania głową, ale nie odpowiada. Wskazuję dłonią leżący przed bunkrem przewrócony na bok betonowy postument. Siadamy na nim. W zaciśniętej dłoni wciąż trzymam flakonik z gazem, gotowa, by go użyć. Mija kilkanaście minut pełnego napięcia oczekiwania. Ale nadal żaden z uczestników nie nadchodzi. Kas raz po raz rozgląda się po otaczającym nas lesie. Oświetla szpaler drzew swoją latarką. Wsłuchujemy się w ciszę i prawie ze sobą nie rozmawiamy. Ale udaje mi się wyciągnąć z niej jedno. Zgodnie z moim przypuszczeniem przysłał ją tutaj Maks. Nie wiem, ile czasu mija, ale w pewnym momencie nieco się rozluźniam. Zakładam, że gdyby pszczelarz miał się znów pojawić, to już dawno by to zrobił.

- Muszę siku - oznajmia Kas, wierci się niespokojnie w miejscu.

- Teraz?

Dziewczyna wzrusza ramionami.

- Zawsze tak mam, kiedy się stresuję. Pójdę tylko tutaj obok. - Wskazuje za bunkier. - Zaraz wracam.

Odprowadzam ją wzrokiem, aż do momentu, gdy jej wychudzona sylwetka nie zniknie za zanurzoną w ziemi konstrukcją. Zrywam źdźbło trawy i drę je na drobne kawałeczki. W ten sposób zabijam wlokący się nieznośnie czas. Jednym z urbexowych niezbędników jest czuły słuch i umiejętność rozróżniania poszczególnych dźwięków, głównie zbliżających się z oddali kroków. W rzeczywistości stricte urbexowej zwykle zwiastują one kłopoty, najczęściej obecność pilnujących terenu strażników. Wielokrotnie musiałam im się gęsto tłumaczyć z tego, co robię na zamkniętym strzeżonym terenie. Bo takie czasami też się zdarzały na mojej *to-do-list.* Tym razem nie słyszę kroków, ale i tak wiem, że ktoś się zbliża. I nie jest to Kas. Odgłos trącanej, a potem łamanej gałązki dobiega z drugiej strony polany. Zaciskam w dłoniach flakonik z gazem, palec kładę na spuście atomizera. Odgłos powtarza się trzykrotnie, ale tym razem słyszę

go w innym miejscu, jest bardziej odległy, jakby był niesiony przez leśne echo.

- Kas? - wołam. - Wszystko okej?

- Tak, już idę - słyszę z oddali.

Podnoszę się z miejsca i z rozlewającej się dookoła szarości, gęstniejącej z każdą chwilą, próbuję wyłowić kogoś, a może coś, co krąży wokół polany. Odgłosy, ciche pomruki i rozpraszający je szelest, może szept, dobiegają z różnych stron. Czyżby to było jakieś dzikie zwierzę, a może pszczelarz wyposażony w kolejną własnoręcznie przygotowaną broń? Może chce zastawić na mnie nową pułapkę? By dokładnie zlokalizować źródło dźwięku, przez chwilę kręcę się zdezorientowana wokół własnej osi. Wirujące dookoła mojej głowy poskręcane gałęzie, potężne konary i porastające je pędy falują delikatnie na wietrze, wyglądają jakoś zadziwiająco ludzko. Są groźne i nieprzyjazne. Przypominają mi zakończone szponami ręce próbujących mnie dopaść bezwzględnych zabójców, obleczonych w leśną szatę. Twarda kora jest jak ich nieprzepuszczalna zbroja, niewielkie szyszki są jak wycelowane we mnie strzały. Zaciskam powieki. Wyobraźnia, to tylko moja pierdolona wyobraźnia podszyta lękiem i wspomnieniem tego, co wydarzyło się tutaj kilkadziesiąt lat temu. Morze krwi i las - niemy świadek wojny i ludzkiego bestialstwa. Na jeden złudny moment i ja się tam przeniosłam - usiłuję się w ten sposób uspokoić, tym argumentem pocieszyć.

Na powrót otwieram powieki, ale leśni zabójcy nadal tam są, tak samo realni i groźni. Zbliżają się do mnie, są już na wyciągnięcie ręki. Wraz z ich obecnością moje trzeźwe myśli bledną, a potem zupełnie blakną. Gdzie jestem? Co się dzieje? Słabnę i absolutnie niczego nie jestem już pewna. Nim zdążę zareagować, wydaje mi się, że drzewa robią dokładnie to, co zamierzyły - chwytają mnie i powalają na ziemię. Siła zacisku wokół szyi sprawia, że na moment sztywnieją mi palce, przez co wypuszczam z rąk flakonik z gazem. Ląduje gdzieś w podłożu, w wyciszającym upadek gęstym mchu. Próbuję zaczerpnąć powietrza, ale złapanie tchu staje się teraz niewykonalne, to czyn, na który nie starcza mi sił. Mój oddech przypomina charczący świst, płuca palą mnie od środka. Boże, co się ze mną dzieje? Dlaczego mój mózg jest nagle tak stężały? Usiłuję wsunąć palce pod to, co zaciska się na mojej szyi, ale nie mam szans tego z siebie zrzucić. Nie są to żadne pędy drzew, to naprawdę była tylko wyobraźnia. Ale wcale mnie to nie uspokaja. Przedmiot pozbawiający mnie tchu

przypomina w dotyku cienką, ale kurewsko naprężoną strunę, która wpija mi się w skórę. Zamiast otaczających mnie drzew mam nad sobą wychudłą, upiorną postać w masce, która wygląda jak wydłużony pysk jelenia. Dzieli nas najwyżej kilkanaście centymetrów, czuję na sobie jej oddech, mdlący różany zapach, którym jest zabarwiony. Zauważam, że maska w dwóch miejscach jest wyszczerbiona, jakby została zniszczona przez jakiś powolny rozkład. Poza tym defektem jest szczelnie pokryta rudym włosiem i cholernie realistyczna, a co za tym idzie, także przerażająca. W wyciętych na oczy otworach widzę nieprzyjemny błysk oczu drapieżnika gotowego do ataku. Kiedy nasz wzrok się spotyka, zacisk na moment puszcza, a wzrok kryjącego się za maską człowieka łagodnieje - czyżby to był znak dochodzącego do głosu sumienia? A może tylko jego chwilowy przebłysk?

Wykorzystuję ten moment, by łapczywie wciągnąć powietrze do płuc. Raz, drugi i trzeci. Czuję niewyobrażalną ulgę. Dotlenione komórki mojego mózgu znów zaczynają myśleć trzeźwo, opracowywać plan. Jaki? Na razie nie wiem. Mam w głowie tylko strzępki rozbieganych myśli. W oczach zamaskowanej postaci coś znów się wtedy zmienia, coś się przeobraża. Spojrzenie jest rozsierdzone nowym, innym niż poprzedni, jeszcze silniejszym gniewem i zabarwione czystą nienawiścią. Wiem, że cokolwiek ten człowiek zamierza zrobić, zrealizuje swój plan z zimną krwią. Czuję, jak w milczeniu wysuwa telefon z tylnej kieszeni moich spodni.

Kas? Gdzie jest, do cholery, Kas? Schowała się, pobiegła po pomoc - w mojej głowie kotłują się te i inne pytania. Jak uciec? - ta myśl wysuwa się na pierwszy plan.

- Wstawaj - burczy pod nosem postać, a ja nie mogę się oprzeć wrażeniu, że znam ten głos. Znam, choć nie mogę dopasować go do twarzy, bo postać za wszelką cenę stara się go zmienić. Zacisk odbierający mi po raz kolejny oddech nie pozostawia mi wyboru. Posłusznie gramolę się na kolana, potem powoli wstaję. Wydaję w duchu okrzyk triumfu, kiedy znajduję na ziemi flakonik z gazem. Zaciskam go w dłoni. Udaje mi się wtedy lekko przekrzywić głowę i przyjrzeć się napastnikowi. Kimkolwiek jest ten, kto kryje się pod maską, nie jest to pszczelarz. Nałożone na dłonie neonowe rękawice, długie nogi, zgrabna talia, lekko umięśnione ramiona i rysujące się pod ciemną bluzką wydatne piersi pasują do młodej kobiety. Nie rozpoznaję w niej nikogo. Na dzisiejszym zlocie nikt nie był ubrany w czarne legginsy i przylegającą ciasno do ciała bluzkę. Po omacku odszukuję przycisk atomizera i odblokowuję zawleczkę. Kiedy mam go użyć, zacisk

struny na mojej szyi staje się jeszcze silniejszy, a ból bardziej uporczywy. Czuję, jakby struna przerwała moją cienką skórę, jakby coraz bardziej wnikała w głąb mojego ciała. Znów zupełnie nie mogę oddychać. Krztuszę się, moje nieposłuszne ciało nie współpracuje ze mną. Jest tak, jak przed chwilą, kiedy halucynogenne wizje rysowały nad moją głową ruchome drzewa. Teraz i one znikają, widzę tylko ciemność rozświetlaną raz po raz łuną światła. Gaśnie i na powrót się zapala. Jestem chyba na skraju utraty przytomności. Wszystko wokół jest tylko zbitką tych dwóch barw i faktur, a moją głowę wypełnia chaotyczny zlepek porwanych na strzępy myśli.

Postać w masce naciera na mnie piersiami, stojąc za moimi plecami, prowadzi mnie w kierunku bunkra, który oświetla latarką. Próbuję unieść rękę, w której trzymam atomizer z gazem, ale nie ma szans, żebym wpółprzytomna właściwie wycelowała w twarz swojego napastnika, jeszcze nie teraz. Nie mogę zdemaskować swojej broni, jeśli nie potrafię jej odpowiednio użyć. Kiedy przechodzimy przez próg bunkra, napastnik kolejny raz luzuje zacisk i popycha mnie na ziemię, a sam staje nade mną. Moje ciało upada na beton z głośnym łomotem. Flakonik z gazem kolejny raz wyślizguje mi się z palców i gdzieś toczy. Być może właśnie tym zdemaskowałam swój zamiar. Kurwa! Ale przynajmniej znów oddycham. Oddycham. Zawilgocone powietrze wżera się w moje płuca. Łapczywie łykam jego kolejne hausty. Potem nieco wyrównuję rozedrgany oddech. Mój napastnik chyba nie zorientował się, że miałam ze sobą broń. Oparta plecami o ścianę jednocześnie szukam po omacku pojemnika, nie tracąc z pola widzenia człowieka w masce, który podchodzi do mnie, wciąż trzymając w rękach latarkę. Na moment zupełnie martwieję. Sposób, w jaki się poruszył, w jaki stawiał kroki, z nieprzypadkowo wypracowaną gracją, wywołuje we mnie nieprzyjemne mrowienie. Poznaję ją, poznaję ruch tego ciała. Ten różany zapach, on przecież też jest znajomy.

- V.? - pytam wciąż jeszcze słabym głosem, nadal nie mam przecież stuprocentowej pewności. Mam nadzieję, że napastnik zaprzeczy, że usłyszę inny głos. Nadal dyskretnie przeszukuję chropowatą podłogę, przesuwam się niezauważalnie, by dotrzeć do zakamarków, w które mógł wturlać się atomizer.

Chwilę później zawisa nade mną zakryta maską twarz. Widzę wyłaniające się spod niej oszalałe z gniewu oczy. Są szkliste, z długich czarnych rzęs powoli kapią łzy. Wsiąkają w maskę. Nie mija chwila, gdy oczy, a wraz z nimi maska, znikają. Dzieje się tak za sprawą wycelowanej

we mnie oślepiającej wiązki światła. To chyba latarka. Nie wiem tego na pewno, niczego nie widzę. Niczego poza tym rażącym mnie światłem.

- Myślałaś, że za ten wszawy grosz sprzedałam swoją duszę, co? - Wiem już, że głos z pewnością należy do Wiktorii. Dziewczyna nawet nie próbuje go zmienić. Zastanawiam się, czy demaskując ją, nie popełniłam błędu. Teraz V. nie ma już nic do stracenia.

- O co ci chodzi? - pytam słabym głosem. Tylko tyle udaje mi się wydusić.

- Moja mama czekała wtedy na mnie pod szkołą baletową, jak zawsze o tej samej porze. - Ku mojemu zdziwieniu w głosie Wiktorii nie ma nienawiści. Zabarwiony jest goryczą i tęsknotą, która mimo upływu lat wcale nie zelżała. Tęsknotą samotnego osieroconego dziecka.

- Miałyśmy po szkole iść na spacer i na ciastko. Taki cotygodniowy rytuał. Moja nagroda po lekcjach. Z początku nie zauważyłam, że coś jest nie tak. Poza widocznym wgnieceniem w zderzaku auto nie miało śladów poważnego wypadku. Mama o niczym mi nie powiedziała, chyba sama była w szoku. Nie wiem. Poszłyśmy wtedy do parku, potem na ciastko. - Robi pauzę, ale światło latarki wciąż wycelowane jest we mnie. Kiedy podejmuje przerwany wątek, jej głos drży. - Wieczorem mamę zaczęła boleć głowa, szybciej niż zwykle poszła spać. Nie wyglądało na to, że dzieje się z nią coś złego. Kolejnego dnia rano zastałam mamę nad toaletą, wymiotowała i dosłownie słaniała się na nogach. Miałam dwanaście lat i nie wiedziałam, co powinnam w takiej sytuacji zrobić. Po kilkudziesięciu minutach kolejnych torsji mama doczołgała się do sypialni. Spojrzała tylko na mnie błagalnym wzrokiem, szukając ratunku. A ja wciąż nie wiedziałam, że umierała, że już wtedy było za późno. Pamiętam, jak wybierałam numer pogotowia, jak długo dyspozytorka zbywała mnie, zanim w końcu wysłała do nas karetkę. Kiedy przyjechała, mama była już bliska utraty przytomności. Wtedy oczywiście nie miałam pojęcia, że przyjechała pod szkołę baletową po wypadku, który ty spowodowałaś. Dopiero kilka miesięcy później udało mi się połączyć wszystkie kropki. Zachowałam to odkrycie dla siebie.

Chcę jej odpowiedzieć, otwieram usta, ale nie wypływają z nich żadne słowa. Poczucie winy i chęć wyrwania się z rąk V. żądnej przelewu krwi, to one dochodzą we mnie do głosu. Gaz, znajdź go! - wydaję sobie komendę. Przesuwam się w bok, moje palce robią to samo, penetrują podłogę centymetr po centymetrze. Przecież on musi gdzieś tu być. Ten cholerny

flakonik upadł gdzieś tutaj. W końcu natrafiam palcami na fragment czegoś, co przypomina w dotyku kawał gruzu zakończony ostrą krawędzią, a obok niego pojemnik z gazem. Mój ratunek. Wiktoria mówi dalej.

- Byłam tylko dzieciakiem, ale na tyle kumatym, by wiedzieć, że nie wsadzą cię za kratki, że i tak się wyłgasz. Nie potrafię grać w takie gierki, to nie leży w mojej naturze. Ale przez ten rok, kiedy u ciebie pracowałam, nauczyłam się i tego. Byłam zaangażowana i sumienna, bo napędzała mnie myśl o tym, by poznać cię lepiej i samej wymierzyć ci sprawiedliwość.

- Boże, Wiktoria! Zwariowałaś? - W roztrzęsionym odległym głosie wydobywającym się z zewnątrz rozpoznaję Kas.

Nie widzę, gdzie dziewczyna jest ani co robi.

Ale coś jednak się zmienia. Zaskoczona obecnością Kas, Wiktoria na moment ściąga latarkę w dół. Mrużę podrażnione ostrym światłem oczy, szybko przyzwyczajam je do panującej wewnątrz bunkra ciemności. Być może ten moment to moja jedyna szansa. Wyciągam przed siebie zaciśniętą w pięść dłoń, w której trzymam wycelowany w stronę Wiktorii atomizer i naciskam na spust. Trafiam, ale moja nerwowa próba nie była chyba wystarczająco celna. Wiktoria cofa się, potyka i upada, krzycząc i trąc oczy. Stałam jednak chyba zbyt daleko, by obezwładnić ją całkowicie. Przez chwilę waham się, czy nie zaatakować jej raz jeszcze, ale ostatecznie z tego rezygnuję. Chcę nas tylko stamtąd wydostać - siebie i Kas i zaalarmować pozostałych. Koło bunkra znajduję swój telefon, który musiała zgubić V., kiedy upadała. Nigdzie nie widzę garoty, ale nie zaprzątam sobie teraz tym głowy.

- Idziemy, Kas! - zwracam się do stojącej w przejściu, osłupiałej z przerażenia dziewczyny. W tych wiszących na niej za dużych ciuchach Kasandra wygląda jak leśna mara. - Wracajmy do bazy! - Ciągnę ją za rękę. Kasandra milczy, ale posłusznie podąża za mną.

Po kilku metrach zatrzymuję się jednak i wracam pod bunkier. Zatrzaskuję drzwi, przez chwilę bezskutecznie mocuję się z zasuwą. Zostawiam więc drzwi przymknięte.

- Prędzej, prędzej! - ponaglam. - Trzymaj się mnie. Pobiegniemy wzdłuż rzeki. Tak będzie szybciej.

Dziewczyna kiwa głową, a ja liczę na to, że utrzymamy jednakowe tempo. Wyciągam telefon, by zadzwonić do Maksa, ale nie daje się uruchomić. Ekran jest stłuczony, być może coś się uszkodziło, kiedy upadł.

- Szlag by to! Twój telefon działa?

- Działa - odpowiada niepewnie. Jej oddech jest przyspieszony. - Ale tu zupełnie nie ma zasięgu. Ani przy bunkrze, ani tutaj. Próbowałam parę razy. Może uda nam się połączyć, jak dotrzemy nad rzekę?

Kiwam na potwierdzenie głową. Wkładam swój telefon do kieszeni i biegnę przed siebie, początkowo odwracam się kilkukrotnie, patrząc, czy Kas za mną nadąża. Potem las coraz bardziej gęstnieje, wraz z nim gęstnieje ciemność, zasysa nas w swoim rozrastającym się wnętrzu zapadającego błyskawicznie zmierzchu. Jeszcze tylko chwilę, jeszcze tylko zbocze i dotrzemy nad rzekę. Stamtąd powinnyśmy dobiec do bazy w ciągu kilku minut, dzieli nas od niej nie więcej niż czterysta metrów. Kiedy przedzieram się przez porastające zbocze leśne chaszcze, ostre krawędzie gałęzi i kolce wijących się pnączy smagają mnie po twarzy i łydkach, nogi grzęzną w podmokłej glebie. Ale nie przejmuję się tym. Coraz wyraźniej słyszę wartki szum rzeki, to on jest moim dalszym drogowskazem. To on mnie napędza. Niesiona wizją dotarcia do celu tracę na chwilę czujność. Zaczepiam nogą o coś, tracę równowagę, potykam się o wystający z ziemi korzeń i upadam.

Mija chwila, nim się podnoszę, słyszę za sobą szelest trącanych liści. Za szelestem podąża jasne światło latarki. Jest inne niż to, którym oświetlała sobie drogę Kas. To, które mnie atakuje, jest jaskrawe i ostre, takie samo jak to, którym wcześniej oślepiła mnie Wiktoria. Zdezorientowana, kolejny raz wydobywam z kieszeni flakonik z gazem, ale tym razem jestem wolniejsza niż poprzednio. Nim zdążę zareagować, V. wytrąca mi go z rąk. Bo tak, to ona, nie widzę jej, ale poznaję to po różanym zapachu, po jej zwinnych ruchach. Światło nagle gaśnie, a las spowija zupełna ciemność. Ponownie nie wiem, czy jest prawdziwa, czy to tylko ja odtworzyłam ją w swojej głowie. Na szyi czuję ten sam co poprzednio silny zacisk. Boże, kolejny raz poległam. Wiem, że to znowu ta garota. Podobnie jak wcześniej, usiłuję wsunąć pod strunę palce, ale teraz okazuje się to niewykonalne. Napięta struna jest ostra jak brzytwa, kaleczy mi skórę. Szamoczę się resztką sił i wierzgam nogami, ale moje ciało staje się nieposłuszne, coraz bardziej brakuje mi tlenu, a światło latarki też gdzieś znika.

Z tej otaczającej mnie czerni wyłaniają się kolorowe rośliny, tak irracjonalne w tej sytuacji - unoszą się nade mną i mnożą. Szum rzeki nie jest już tuż obok, tym razem woda przepływa przeze mnie, wpływa do nosa, oczu, uszu i przeszywa mnie chłodem. Jest inny, niż się spodziewałam,

rześki i przyjemnie kojący. Nie wiem, czy to kolejne halucynacje, czy otaczająca mnie rzeczywistość naprawdę się zmienia. Nie wiem. Zostaję w niej, aż wszystko zupełnie się wycisza i gaśnie...

POLA

wrzesień 2020

Białe jaśniejące od środka plamy wciąż jeszcze od czasu do czasu tańczą mi przed oczami, tak jak teraz. To konsekwencje odurzenia przez pszczelarza, a najpewniej i upadku. Tomografia głowy nie wykazała niczego niepokojącego, ale bywają chwile, że mimo upływu trzech tygodni od tamtego zdarzenia czuję się tak, jakbym była zawieszona w próżni, lekka i zupełnie bezwolna.

Na wszelki wypadek chwytam więc za poręcz, żeby przejść kilka ostatnich schodków. Kiedy docieram na miejsce, stukam kilkukrotnie w te same drzwi, pod którymi stałam ostatnio dwa miesiące temu. Czekam. Po chwili otwiera je zgrabna blondynka z podkrążonymi, zmęczonymi oczami. Kobieta jest siostrą Kasandry, to ona informowała mnie o postępach w leczeniu. Uśmiecha się, ale usta drżą jej lekko. Sprawia wrażenie spiętej. Nie pasuje do tego radosnego wnętrza. Plakaty wiszące w korytarzu są chyba inne niż wtedy, kiedy znalazłam tutaj nieprzytomną Kas, ale znów zdominowały je szczeniaczki. Meble w odcieniach pudrowego różu tak samo ociekają słodyczą.

- Tylko nie za długo, proszę. Dochodzi już do siebie, ale tylko fizycznie. Wciąż jest pod stałą opieką lekarza - szepce i rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie. - Przyniosę wazon - dodaje, wskazując na bukiet margerytek, które ze sobą przyniosłam.

Kiwam na potwierdzenie głową i wręczam jej kwiaty. Potem ściągam buty i wchodzę przez uchylone drzwi do dużego jasnego pokoju. Na sofie z

książką w ręku leży Kas, w otoczeniu kilkunastu wielkogłowych pluszaków. Co dość dziwne, wygląda lepiej niż siostra. Jest rumiana, wyraźnie zrelaksowana. Spod koca wystają jej stopy we włochatych skarpetach. Kiedy mnie zauważa, uśmiecha się blado, z pewnym zawstydzeniem. To nasze pierwsze spotkanie, odkąd Kas wróciła do domu trzy tygodnie temu. Nie jestem pewna, czy wiem, jak powinnam się zachować.

- Jak na kogoś, kto niedawno wywinął się śmierci, wyglądasz całkiem nieźle - mówię w końcu. Silę się na marny dowcip, byle jakoś rozładować atmosferę.

Reakcja Kas mnie zaskakuje. Dziewczyna zrzuca z siebie koc, odkłada książkę, podrywa się z sofy i rzuca mi się w ramiona. Kiedy ją obejmuję, wyczuwam pod bluzą jej wychudzone ciało i sterczące kości.

- Ty też. To znaczy ty też ledwie się wykaraskałaś. - Dziewczyna podnosi na mnie wzrok. - Nie wiadomo, co by było, gdyby Maks nie pojechał wtedy z tobą...

- A więc już znasz całą historię?

Kas wzrusza ramionami.

- Nie wiem, czy znam całą. Pytałam Maksa, a raczej to on pierwszy pytał mnie. Wymieniliśmy się informacjami. Częściowo. Powiesz mi, jak faktycznie wtedy było?

- Jak na pierwszą próbę wystrzelenia z broni, miał dobrego cela, to fakt - mówię. - Pierwszy wystrzał podobno oszołomił pszczelarza, a drugi powalił go jak kłodę. Huk zaalarmował myśliwego, tego, który mieszka na skraju lasu. Policja zjawiła się dopiero godzinę później. A przynajmniej taką wersję słyszałam, bo wtedy wciąż jeszcze byłam nieprzytomna.

- Dokumenty, które tam znalazłaś. To były te same, które w swoim plecaku miała Lara, prawda? - Kas wysuwa się z moich ramion i siada na krawędzi sofy. Bierze w dłoń jedną z maskotek. Oczy dziewczyny błyszczą, policzki płoną, a palce zaciskające się na pluszaku drżą. Kas jest wyraźnie pobudzona.

- Wszystko na to wskazuje.

- Wiesz, kim on jest? Ten facet, który podpisywał się na dokumentach - docieka.

- Zapamiętałam jego nazwisko, dzięki temu mogłam go sprawdzić. Gość jest właścicielem poradni psychologicznej. Był jakimś krewnym biolożki, tej, która zginęła w leśniczówce. Zadzwoniłam nawet do tej

poradni pod pretekstem umówienia się na wizytę do tego psychoterapeuty. Okazało się, że chwilowo nie przyjmuje. Wydaje mi się, że śledczy już się do niego dobrali, tym bardziej że w zeszłym tygodniu na łamach „Kuriera Gdyńskiego" i na portalu trójmiasto.pl ukazał się, co prawda dość zdawkowy, artykuł o próbach szantażu, do którego wobec swoich pacjentek posunął się znany trójmiejski psychoterapeuta. Nie podano jego personaliów, ale inicjały się zgadzają. W zasadzie szantażował te kobiety, które były leczone przez innych specjalistów w jego poradni. Leczenie pacjentów omawiane jest podobno na cotygodniowych spotkaniach z udziałem wszystkich terapeutów. Nie wiem, czy tak było w tym przypadku, ale on wtedy miałby dostęp do całej bazy pacjentów, a tym samym ich sekretów i zwierzeń, pozyskanych najczęściej podczas seansów hipnozy albo terapii metodą EMDR. Podobno gość był hazardzistą i miał potężne długi, a nie chciał utracić swojej pozycji. Jak się czujesz? - zmieniam temat, zauważając kolejną zmianę w zachowaniu Kas. Na jej szyi i policzkach pojawiają się czerwone plamy. Kas reagowała podobnie już wcześniej i zawsze wtedy, kiedy coś ją męczyło.

- Odkąd powiedziałam śledczym o wszystkim, czuję się lepiej. - Dziewczyna skubie kolorowe frędzle koca. Wbija w nie wzrok. - Pewnie chcesz wiedzieć, dlaczego tyle zwlekałam i dlaczego to zrobiłam. - Wyczuwam w jej słowach wstyd.

Nie poganiam jej. Po prostu czekam.

- Prowadziłyśmy fanpage'a razem z Wiktorią przez ponad rok. To naturalne, że z czasem się zżyłyśmy, zaczęłyśmy sobie mówić o wielu rzeczach. - Kasandra podejmuje przerwany wątek. - Potem okazało się, że tylko ja mówiłam jej o sobie, a Wika skrzętnie tkała swoją własną fikcję. Prawdą było tylko to, że dorastała u ciotki we Francji. I to, że odnosiła sukcesy na deskach teatralnych. Reszta była wyrachowanym planem, który chciała później wdrożyć. Wiesz, co mnie od tamtej pory dręczyło? - Kas patrzy mi prosto w oczy, widzę w nich żal. Na razie nie wiem, czego dotyczy.

Proszę, by mówiła dalej.

- Myślę, że Wiktoria chciała tylko nastraszyć Larę, nie zamierzała jej zabić.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Rozpoznałam Wikę i pod wpływem impulsu wykrzyknęłam jej imię. Mówię o tamtej nocy - podejmuje wątek Kas i znów podnosi na mnie

wzrok. - Wiktoria przyszła pod bunkier w masce, a skoro zasłoniła twarz, to może wcale nie miała zamiaru zrobić tego, do czego się w ostateczności posunęła. Wciąż o tym myślę...

Ta hipoteza zupełnie się nie klei. Zastanawia mnie też kilka innych rzeczy.

- Skoro pojawiła się tam z garotą, to z pełną premedytacją planowała zabójstwo - wyrokuję. - Mówiłaś, że ją rozpoznałaś. W jaki sposób? - pytam.

Kas się wzdryga, potem kurczy i zapada w sobie. Zaciska jeszcze mocniej palce na szyi pluszowego misia, potem zapalczywie go głaszcze. Przypomina mi kilkuletnie dziecko, udręczone traumą.

- Wika o tym nie wiedziała, ale byłam kiedyś w Teatrze Muzycznym na spektaklu, w którym występowała. Miała wtedy na sobie tę maskę. Zapamiętałam ją, bo była bardzo charakterystyczna, obrzydliwie wręcz realistyczna. Powiedziałam o masce śledczym, powiedziałam im też o mailach z pogróżkami, które Wika słała potem do mnie, powiedziałam też o karcie przetargowej, która powstrzymywała mnie przed mówieniem.

- O jakiej karcie przetargowej?

Kas wierci się niespokojnie na sofie, potem trze dłońmi o spodnie. Z naszego pobytu w Srebrzysku pamiętam nie tylko to, ale i jej inne podobne zachowania. Wiem, co zapowiadają. Przypuszczam, że zbliża się moment wyznania jakiejś niewygodnej dla niej prawdy.

- Tak, jak mówiłam, zbudowałyśmy z Wiką pewną więź. Nie przyjaźniłyśmy się, ale kumplowałyśmy na tyle, że pozwalałam jej czasem zaglądać do swojego telefonu... - Dziewczyna nagle urywa.

- Co w nim było?

- To zabrzmi głupio, ale wydawało mi się, że praca przy boku Lary była jedynym, co mi tak naprawdę w życiu wyszło. Lara szybko stała się kimś w rodzaju mojego mentora. Albo nawet guru. Miałam w telefonie folder, w którym przechowywałam wszystkie wyrazy sympatii Lary wobec mnie, głównie wiadomości, jej pochwały, wspólne zdjęcia i tak dalej... - Kas mówi to z widocznym zażenowaniem. - Ktoś mógłby uznać, że wiesz, że to było... - szuka właściwych słów.

- Psycholskie? - powtarzam słowo, które padło kiedyś z ust Artura.

Kas zwiesza głowę.

- Bałam się, że policja może to tak zinterpretować. Bo Wiktoria najwyraźniej skopiowała te dane, tak przynajmniej twierdziła. To w końcu

ja znalazłam Larę. I bez tego byłam pierwsza na ich celowniku.

- Był, a raczej wciąż jeszcze jest, pszczelarz. Było wiele innych osób...

Kas potrząsa zdecydowanie głową.

- Nie, pszczelarza na pewno nie było przy jej śmierci.

- Na pewno? - podchwytuję. - Skąd możesz to wiedzieć? Podobno w chwili, w której Wiktoria topiła Larę, byłaś z dala od miejsca zbrodni, odurzona gazem pieprzowym. Tak powiedziała mi twoja siostra.

Kas wbija wzrok w misia wetkniętego w fałdy jej bluzy, jakby to tam szukała dla siebie ratunku.

- Był tam, zanim pojawiła się Wiktoria, ale potem odszedł. Pszczelarz, bo o nim mówię.

- Co nie znaczy, że nie wrócił... Nie mogłaś tego widzieć... Lara nie umarła przecież w wyniku uduszenia, tylko utonięcia. Nie wiadomo dokładnie, co stało się w tej rzece po tym, jak straciłaś przytomność.

Kas nie odpowiada, ale kurczy się jeszcze bardziej. Zgina się wpół i przyciska maskotkę do brzucha. Potem spuszcza wzrok. Kołysze się w przód i w tył, jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą. Naszą uwagę przyciąga dźwięk dzwonka do drzwi, a potem głosy na korytarzu. Jeden należy do siostry Kasandry, drugi, bardziej donośny i zdecydowany, do młodego mężczyzny. Po chwili drzwi pokoju lekko się uchylają.

- Kas? Czy na pewno o wszystkim powiedziałaś policji? - pytam. Kładę jej dłoń na ramieniu.

Kiedy Kas podnosi na mnie wzrok, wydaje się nieobecna. Z tego stanu odrętwienia wyrywa ją dźwięk otwieranych szerzej drzwi. Wzdryga się. W przejściu pojawia się jej siostra, a tuż za nią dobrze zbudowany mężczyzna w dżinsach i szarym golfie. Jego spojrzenie jest przenikliwe i czujne.

- Śledczy Pawlicki chciałby ci zadać jeszcze kilka pytań - mówi siostra Kas i uśmiecha się blado, jest jeszcze bardziej spięta niż poprzednio. Rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie, które odbieram jako sygnał do wyjścia. Podnoszę się więc z sofy, ściskam rękę Kas i wychodzę na korytarz. Siostra Kasandry wychodzi za mną i zamyka drzwi. Kiedy schylam się po buty, kątem oka zauważam, że ociera łzę z policzka. Odnoszę wrażenie, że wcale nie okazuje smutku, tylko narastający w niej gniew.

- Kas wraca do formy - mówię z entuzjazmem, sznurując buty. Staram się ją rozgryźć.

- Tak, swojej szczytowej formy. - W jej odpowiedzi wyczuwam sarkazm.

Nieruchomieję.

- Coś się stało?

- Raczej znów się dzieje. Za sprawą mojej siostrzyczki, rzecz jasna.

W jej głosie pobrzmiewa zniecierpliwienie.

- Chodzi o wizytę śledczego? - dociekam. - Mają na Wiktorię coś nowego?

Siostra Kas siada na szafce i rozprostowuje nogi. Widzę w jej wzroku rozczarowanie i potężne zmęczenie.

- Nie chodzi o Wiktorię, chodzi o moją siostrę - mówi od niechcenia. - Podobno to w jej zeznaniach są jakieś nieścisłości.

- Nieścisłości?

Dziewczyna ciężko wzdycha. Troskliwa starsza siostra, za której maską dotychczas się chowała, nagle znika.

- Wie pani, co od zawsze było jej problemem?

- Relacje z ludźmi. Odrzucenie - odpowiadam bez zastanowienia.

- Kas bardzo chciała, żeby wszyscy myśleli, że była odrzucona i skrzywdzona. Pełna kompleksów. Inna. Sama sobie na tę łatkę zapracowała. Bo tak w istocie było, ale to był zawsze efekt jej kompulsywnych kłamstw. To one odstręczały w pewnym momencie ludzi, których udało jej się wokół siebie na krótką chwilę skupić.

- Nie wyczułam, by mnie kiedykolwiek okłamała... - mówię, choć nasza rozmowa zasiała we mnie niepokój.

Siostra Kas wybucha spazmatycznym śmiechem.

- Zrobiła to już pewnie sto razy, tylko się pani nie zorientowała. Jest w tym naprawdę dobra. Wie pani, dlaczego ona zachowuje się jak dziecko? Dlaczego żyje w tej swojej kolorowej bańce dziecięcych iluzji? - pyta i rozgląda się z dezaprobatą po zawieszonych na ścianie plakatach. Nie przerywam jej. Czekam. - Kompulsywni kłamcy w pewnym sensie pozostają na etapie rozwoju dziecka, za pomocą kłamstwa chronią swoją psychikę i obniżają poziom lęku. Oczywiście nie robią tego w każdej sytuacji, ale Kas robi to na tyle często, że nie wiem już, kiedy kłamie w żywe oczy, a kiedy mówi prawdę. Zdradza prawdę tylko wtedy, gdy jest przyparta do muru albo gdy pogrążają ją twarde dowody. Teraz najwidoczniej ukrywa coś jeszcze, inaczej ten gliniarz by się tutaj nie kręcił - dodaje z wyraźną niechęcią. - A mnie brakuje już sił na sprzątanie bałaganu, który znowu po sobie zostawiła. Mam swoją rodzinę i swoje życie, o które ona w swoim egoizmie zupełnie nie dba, za to jej problemy

ściągają mnie tutaj średnio raz w tygodniu. - Mówi to z wyraźną pretensją. - Sprzątam po niej przez całe życie.

- A co powiedział ten glina? - pytam, lekceważąc to jej użalanie się nad sobą.

Z pogrążonego dotychczas w ciszy pokoju Kas dobiegają ożywione głosy. Nie słyszę, o co dokładnie chodzi, ale rozmowa Kas i detektywa przybiera chyba poważny ton.

Potem drzwi pokoju gwałtownie się otwierają. Pojawia się w nich śledczy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

- Może pani do nas na moment przyjść? - zwraca się do siostry Kas tonem nieznoszącym sprzeciwu. Mnie ignoruje.

Żegnam się pospiesznie i wychodzę, a w głowie mam gonitwę myśli. Czego jeszcze nie wiem o Kas? Czy i przede mną coś ukryła, skoro udało się jej zwieść nawet psychoterapeutów? Co tak naprawdę działo się między podduszeniem Lary a jej utonięciem? Luka w pamięci Kas stwarza wiele możliwości. Wychodzę na zewnątrz, wyciągam z torebki papierosa i zapalam go. Zatapiam się w swoich myślach. Chodnikiem biegną wracające ze szkoły dzieci. Poza ich żartami i oddalającym się beztroskim śmiechem otacza mnie zupełna cisza. To w niej znajduję w końcu pewną podpowiedź. Pamiętam, że kiedy wchodziłam do mieszkania Kasandry, okno jej pokoju na parterze było otwarte. Ciekawość tego, z czym tym razem przyszedł do Kasandry śledczy, prowadzi mnie pod przeciwległą ścianę budynku. Być może uda mi się ich podsłuchać. Szybko trafiam na właściwe miejsce, rozpoznając zza otwartego okna głos Kasandry. Stoję jednak zbyt daleko, by usłyszeć, co mówi. Wspinam się na murek biegnący wzdłuż schodów prowadzących na podwórze. Głosy stają się bardziej wyraźne.

- Tyle że Wiktoria Wójcik twierdzi zgoła co innego - odzywa się znajomy męski głos. - Na zabezpieczonym wcześniej flakonie z gazem pieprzowym nie było jej odcisków palców. Jedyne, które tam ujawniono, należały do ofiary. A to znaczy, że albo to Lara wycelowała spray w pani twarz, albo od początku to była tylko zmyślona historia. Skłaniam się ku temu drugiemu. Wiktoria Wójcik twierdzi, że przez cały czas była pani świadoma wszystkiego, co się działo, i nie powstrzymała jej pani. Powiem więcej, oskarżona twierdzi, że wskazała jej pani miejsce, w którym ukryła się ranna ofiara.

- To tylko jej słowo przeciwko mojemu!

- Czyżby? - W pytaniu detektywa słyszę oskarżenie.

Nie czekając na reakcję dziewczyny, śledczy podchodzi do okna. Widzę jego przemieszczający się wzdłuż parapetu cień. Mężczyzna wyciąga coś z torby, a może plecaka. Nie wiem tego dokładnie, dzieli mnie od niego zbyt duża odległość. Po chwili w mieszkaniu rozlega się inny, metaliczny i stanowczy głos wydobywający się z głośnika. Zakładam, że to uruchomiony przez śledczego dyktafon.

- *Skoro, jak pan twierdzi, nie miał pan nic wspólnego ze śmiercią Lary Gaj, to dlaczego ukrywał pan na terenie swojej posesji należący do niej plecak?*

- *Byłem przy tym, kiedy ta dziewczyna chowała go w bunkrze. Zabrałem go stamtąd następnego dnia.* - Zalękniony męski głos należy do pszczelarza.

- *Dlaczego więc nie zaniósł go pan na policję?* - pada z ust śledczego kolejne pytanie.

- *Bo byłem wielokrotnie przesłuchiwany w sprawie śmierci Marianny. A te dokumenty dotyczyły właśnie jej i zebranych przeciwko terapeucie dowodów. Były przez nią własnoręcznie podpisane. Nikt nie uwierzyłby mi, że znalazłem je w bunkrze. Znów byłbym na waszym celowniku. Bałem się...*

- *Chronił pan zabójcę.*

- *Chroniłem siebie.*

- *Wie pan, że za utrudnianie i uniemożliwianie postępowania karnego, a pośrednio pomoc sprawcy, grozi odpowiedzialność karna? Jak pan wie, za zaatakowanie Poli Szulc i spowodowanie uszczerbku na jej zdrowiu już grozi panu kara pozbawienia wolności do lat trzech. Nie mówiąc o truciu zwierzyny leśnej...*

- *Ale ja nie chciałem jej niczego zrobić* - zarzeka się mężczyzna. - *Chciałem jej tylko odebrać folder i zniszczyć dokumenty.* - W głosie Szymczaka słyszę skruchę. - *Byle już do tamtego nie wracać. Byle się od tego odciąć...*

- *Zanim odpowie pan na kolejne pytanie, proszę nie pogarszać swojej sytuacji. Proszę się dobrze zastanowić.* - Głos śledczego jest ostry jak brzytwa.

W pokoju Kas zapada pełna oczekiwania cisza. Po dłuższej chwili przerywa ją ten sam głos wydobywający się z głośnika.

- *Wróćmy teraz do nocy, w której zamordowano Larę Gaj* - zmienia temat śledczy. - *Widział pan twarz jej zabójcy, widział pan dokładny*

przebieg zdarzeń?

- *Nie* - odpowiada po raz pierwszy zdecydowanie Szymczak. - *Kiedy do tej Lary dołączyła ta blada dziewczyna...*

- *Kasandra Klimas?* - dopytuje śledczy.

- *Tak. Więc kiedy do niej dołączyła, zacząłem wracać do domu.*

- *Dotarł tam pan?*

- *Nie. Gdy byłem już blisko pasieki, usłyszałem wołanie o pomoc, głos był porażający. Zawróciłem.*

- *I co pan wtedy zobaczył?*

Cisza.

- *Panie Szymczak, co pan tam wtedy zobaczył?* - powtarza śledczy, ton jego głosu staje się jeszcze bardziej natarczywy.

- *Coś działo się w rzece. Słyszałem głuchy plusk, powtarzany raz za razem. Raz za razem. Raz za razem. Ale z takiej odległości jeszcze nie widziałem, co tam się dzieje. Ale wiedziałem, że to było Ono. Ono za to wszystko odpowiadało. Było już ciemno, ale dzięki latarce zauważyłem stojącą na szczycie zbocza dziewczynę. Tym razem to ona przyjęła Jego oblicze. Wszystkiemu się przyglądała.*

- *Ono? Co ma pan na myśli?*

- *Zło, które łatami ściąga do tego lasu. Karmi się słabymi ludźmi, karmi się ich wypaczonym sumieniem i wykorzystuje ich jako narzędzie do popełnienia kolejnej zbrodni.*

Śledczy dwukrotnie odchrząkuje, potem głośno przełyka ślinę. Być może chce w ten sposób stonować swoje prawdziwe emocje.

- *Co było potem?* - pyta.

- *Stała tam, dopóki wołanie nie ustało. Potem zbiegła ze zbocza.*

- *Dlaczego pan nie zareagował?*

- *Zareagowałem, ale utykam na prawą stopę. Nie mogłem iść szybciej* - wyjaśnia z zażenowaniem.

- *Co było dalej?*

- *Kiedy dotarłem na szczyt zbocza, w rzece leżała dziewczyna, ta sama, która włamała się kiedyś do mojego ogrodu. Ta sama, która w bunkrze ukryła plecak. Już się nie ruszała, nie walczyła. Po prostu tam leżała, nieruchoma i tak strasznie nierzeczywista. Ta, która zbiegła ze zbocza,*

rozmawiała na brzegu rzeki z kimś, kto miał na twarzy maskę, prawdopodobnie to też była dziewczyna. Chyba dobrze się znały.

- Czy to była właśnie ta maska?

Na nagraniu słychać szelest przesuwanego po blacie przedmiotu. Zakładam, że śledczy pokazuje Szymczakowi zdjęcie.

- *Tak* - odpowiada z przekonaniem. - *Ta postać w masce po chwili zniknęła wgłębi lasu, a ta druga najpierw wyciągnęła telefon i zaalarmowała służby ratunkowe, dopiero potem wyciągnęła tamtą dziewczynę z wody. Nawet nie sprawdziła, czy ona oddycha. Zostawiła ją tam samą. Później też zniknęła w lesie, chyba poszła powiedzieć reszcie.*

- Reszcie, czyli komu?

- Tym, którzy zgromadzili się tamtej nocy w lesie. Nie wiem, jaką bajeczkę wymyśliła. Ale podziałało. Do tej pory nikt się przecież nie dowiedział. Kiedy zniknęła, ja zszedłem ze zbocza, ale u leżącej na brzegu dziewczyny nie wyczułem pulsu. Wycofałem się.

Brzdęk przycisku zatrzymującego nagranie rezonuje mi w uszach jeszcze na długo po tym, jak w pokoju Kasandry pada kolejne pytanie.

- To jak było naprawdę, pani Klimas? - W głosie śledczego nie słyszę dotychczasowego profesjonalnego dystansu, słyszę satysfakcję. Jest podobna do tej, którą odczuwa łowca po złapaniu zwierzyny w zastawioną przez siebie pułapkę.

Odpowiada mu jednak tylko milczenie.

- Co ty zrobiłaś, Kas? Co zrobiłaś? - W pokoju słychać histeryczne zawodzenie siostry Kasandry. - Mów! - rozkazuje, kiedy nieco się uspokaja.

- Nie chciałam, żeby coś jej się stało - odpowiada Kas, a we mnie wzbierają mdłości. Jej głos jest tak cichy, że ledwie udaje mi się ją usłyszeć. Nie ma w nim jednak żalu, jest rzeczowy i opanowany. - Nie wiedziałam o zamiarze Wiki, przysięgam. Ale kiedy to się stało, kiedy Lara biegła w stronę rzeki, coś we mnie pękło. Instynkt obronny nie zadziałał. Zamiast niego odezwało się we mnie coś, co już od dawna wołało we mnie o uwagę. Strach przed reakcją Wiktorii i coś jeszcze. Mój własny strach, który bez względu na to, co robiłam i jak bardzo się starałam, wciąż mnie dręczył. Czynił mnie nijaką, absurdalnie wręcz przezroczystą. Miesiącami wypełniałam każde z poleceń Lary, byłam przy niej, wierna jak pies. A ona tego nie odwzajemniała, niczego - ani mojego wysiłku, ani poświęcenia, ani starań. Zresztą nie wyrządziłam jej przecież krzywdy. Pozostawiłam tylko

to, co się wtedy działo, swojemu biegowi. To Wiktoria. To ona jej to zrobiła...

Kolejne wypowiedziane przez śledczego słowa zagłusza trzask zamykanych drzwi i głośny szloch. To zapewne siostra Kas.

EPILOG

Jak dobrze znamy swoich najbliższych, z którymi dzielimy dom, łóżko i wspólne życie? A jak dobrze znamy tych, z którymi miesiącami budowaliśmy więź opartą, jak nam się wydawało, na szczerości i wzajemnym zaufaniu? Partnerstwo, miłość i przyjaźń. Rodzina. Ten wąski krąg zaufania w nieprzyjaznym świecie jest jak ostoja, do której każdy z nas chce wracać. W gruncie rzeczy nie istnieje nic ponad to.

W ciągu ostatnich dwóch lat wszystko to, co uznałam za swój bufor bezpieczeństwa, w mgnieniu oka strawił ogień. Wystarczyła jedna iskra, by pozostawić po sobie tylko zgliszcza.

Czy kara, która dosięgnie szwagra Marianny - jeśli złożone przeciwko niemu zeznania i zebrane dowody okażą się na tyle mocne, by go skazać - będzie współmierna do tego, co zrobił? To samo dotyczy Wiktorii, Kas, a nawet Szymczaka. A wreszcie - co z tymi, którzy stracili swoich bliskich? Nad tym też się zastanawiam. Mam na myśli Matyldę, córkę Marianny, Maksa, ale i siostrę Kas. Ona też w pewien sposób straciła bliską osobę.

Mimo okrucieństw, które człowiek, wiedziony chorymi żądzami, wniósł do Duchnego Lasu, życie w nim wciąż płynie swoim stałym rytmem. Jeszcze nie wiem, gdzie jest moje miejsce, i nie wiem, czy w ogóle kiedykolwiek je znajdę. Czasem, kiedy stoję nad grobem męża i synka, myślę o tym, że nie zostało mi wiele więcej ponad wspólne wspomnienia i tę nierzeczywistą ciszę, w której obaj są już zamknięci na całą wieczność. Ale potem, kiedy wychodzę, wraz ze zgrzytem zatrzaskiwanej cmentarnej

bramy znowu budzi się we mnie chęć do życia. Wracają zapachy, pojawiają się nowe obrazy, ludzie. Wciąż jeszcze pragnę być częścią tego świata.

PODZIĘKOWANIA

W lesie zawsze czułam się bezpieczna. Bez względu na porę dnia czy pogodę przyroda od zawsze wypełniała mnie naturalną siłą, nawet, a może zwłaszcza, w tych najpodlejszych życiowych sytuacjach. To tam uciekałam, to tam szukałam wspomnień...

To słowa, które na kartach *Murszu* wypowiada Pola. Zdarza się, że słowa moich bohaterów są mentalnym transferem moich własnych uczuć i przemyśleń. Tak też było w tym przypadku. W kaszubskim lesie, który nazwałam „pieszczotliwie" Duchnym Lasem, spędziłam wiele chwil, szczególnie w okresie pandemii. To tam rozliczałam się z niedawnymi wydarzeniami swojego życia, na które nie było mojej zgody, a jednak nie miałam na nie żadnego wpływu; to tam na najwyższych obrotach działała moja wyobraźnia, a wtedy działy się rzeczy dobre, tak bardzo wyczekiwane. W trakcie tych leśnych spacerów pojawiali się moi bohaterowie, ożywali we mnie, padały jakieś słowa, z mijanych przeze mnie zagajników powoli, ale konsekwentnie wyłaniały się pomysły na tę historię. Trzymacie ją teraz w swoich rękach, zanurzyliście się w niej na tych kilka godzin, może leżąc pod ciepłym kocem, z kubkiem parującego napoju w ręku, a może na rozgrzanej słońcem plaży albo w pociągu. A ja niezmiennie nie mogłabym wymarzyć sobie większej nagrody. Was.

Las był więc naturalną inspiracją, siłą napędzającą *Mursz.* Nie mniejszy udział w tej historii miało zaprzyjaźnione grono moich sprzymierzeńców, którym z całego serca dziękuję za nieustające wsparcie.

Dziękuję:

Tobie, Kasiu, za twój wewnętrzny radar, który zawsze odpalał się w najodpowiedniejszych momentach i kierował w dobrą stronę, a także za to, że nie ma dla Ciebie rzeczy niemożliwych, za Twoją waleczność, dobro i troskę;

Tobie, Aniu, za zrozumienie i za te niewidzialne niteczki powiązań, które skutecznie tkane były latami, silne i nie do zerwania. Takie były i takie są 🙂

Tobie, Weroniko, za to, że znamy się „od podszewki", od zawsze, za tę naszą silną, nierozerwalną więź 🙂

Tobie, Agnieszko, za Twoje złote serducho, siłę i za tajemnice, które zachowały się w czerwonym pamiętniku z misiem :D; za wszystkie te

talenty, którymi wciąż mnie zaskakujesz. Masz ich zdecydowanie więcej, niż Tobie samej się wydaje. *Go, Aga, go!*

Tobie, Madziu, za nasze liczne podróże po rodzinnej osi czasu, za rozmowy i wspomnienia, które wtedy za każdym razem na nowo budzą się do życia, za nasze wielogodzinne buszowanie w starych fotach 🙂

Tobie, Asiu, za przyjaźń, za wzajemne niezachwiane zaufanie, za te wszystkie leśne spacery po lubuskich chaszczach (i nie tylko!);

Tobie, Marysiu, za Twoją niezłomność, wrażliwość i siłę. Jesteś najlepszą sąsiadką everrrrr!

Tobie, Marto, za bezcenne pszczelarskie rady i za zabranie mnie do najpiękniejszych miejscówek Dolnego Śląska.

Dziękuję także swojej wydawniczej Rodzinie:

Pani Małgorzacie Burakiewicz, za zaangażowanie i ciepło, a także za to, że z każdą kolejną historią scala się Pani z nią nie mniej niż ja; za to, że wkłada Pani całą swoją wiedzę i serce w nadanie jej najlepszej możliwie formy. Bardzo to doceniam 🙂

Pani Małgorzacie Czarzasty, za twórczą swobodę, nieustającą wiarę we mnie, za słowa stale dodające mi skrzydeł;

Pani Iwonie Walskiej, za doskonałą komunikację, za wspólny twórczy „przelot myślowy" i za ogromne zaangażowanie w działania promocyjne.

Ogromne podziękowania kieruję także w stronę Bartka z Bliskich Spotkań. Bartku, jestem wzruszona i pełna podziwu dla Twojej czytelniczej pasji, niekończących się pokładów kreatywności i niesamowitych książkowych działań!

Dziękuję także Tobie, Czytelniku, za to, że zanurzyłeś się w tej historii. Dzięki Tobie jestem tutaj, dzięki Tobie mogę dalej tworzyć.

To do kolejnego takiego spotkania!